

Irene Hannon

# *Pewnego lata*



Replika

# Hannon Irene

## Pewnego lata

Choć Karen i Val są siostrami, nigdy nie były sobie dość bliskie. Kiedy Val jeszcze jako nastolatka wyjechała z rodzinnego miasteczka do Nowego Jorku i Chicago, robić karierę aktorską, na Karen spoczął obowiązek opieki nad matką. Teraz, po wielu latach, Val musi powrócić, by pomóc siostrze. Okazuje się, że Val miała znacznie więcej niż jeden powód, by stąd wyjechać.

Wypadek samochodowy w przeciągu kilku chwil obraca w perzynę życie Scotta i jego plany na przyszłość. Mężczyzna jest przekonany, że nigdy już nie wróci do muzyki i stracił nadzieję na odzyskanie sprawności w lewej ręce. Za namową matki, niechętnie zgadza się objąć stanowisko prowadzącego chór kościelny. Nawet się nie spodziewa, jak wiele zmieni to w jego bezbarwnym życiu.

David i jego mała córeczka Victoria właśnie przeprowadzili się do miasteczka z St. Louis. Dziewczynce bardzo brakuje tragicznie zmarłej matki, trudno jest jej się odnaleźć w nowym otoczeniu. Kiedy jednak David spotyka w gabinecie fizjoterapeutycznym córkę jednej ze swoich nowych pacjentek...

## *Prolog*

### *Karen*

Z burzami zwykle dawała sobie radę... Tym razem miała jednak do czynienia z tsunami.

Kiedy pielęgniarka regulowała kroplówkę przy łóżku jej matki, Karen Butler pokonała kolejną falę paniki i zmieniła pozycję na krzesło tak, aby swobodnie spoglądać przez okno. W oddali samotny dąb sięgał niemal nieba, chociaż jego nagie konary pozbawione były życia, pomimo ciepłej wiosny, która w Missouri eksplodowała już dawno bujną roślinnością. Nieszczęsny dąb, ofiara srogiej zimy.

Pasował do niej.

- Pani matka szybko dojdzie do siebie. Szczęśliwie, jej zawał nie był rozległy. A pani? Jak pani się trzyma? -Pielęgniarka zrobiła kilka kroków w kierunku drzwi.

- Doskonale. *Kłamczucha, kłamczucha.*

- Gdyby chciała się pani napić kawy albo czegoś zimnego, zaraz za kantorkiem pielęgniarek mamy niewielką kuchenkę. Proszę się obsłużyć.

- Dziękuję.

Zrezygnowawszy z daremnej próby przyjęcia na krzesło w miarę wygodnej pozycji, Karen wstała, przeciągnęła się i zaczęła chodzić w tę i z powrotem po szpitalnym pokoju.

Co z tego, że zawał nie był rozległy? W najbliższej przewidywalnej przyszłości matka będzie wymagała bezustannej opieki.

A kto jej tę opiekę zapewni?

Stara, dobra, niezawodna Karen.

Poczuła na piersiach wielki ciężar, który wyciskał powietrze z jej płuc. Jak dotąd trzymała się dzielnie, ale jak długo mogło to jeszcze potrwać? Czy podniesienie się ze zrujnowanego małżeństwa, praca poza miejscem zamieszkania (czego nie robiła od ponad dziesięciu lat) i wychowywanie zbuntowanej córki, której przemianę w nastolatkę skomplikowało jeszcze rozejście się rodziców, nie były wystarczająco trudnymi wyzwaniem?

Zatrzymawszy się przed łóżkiem, Karen obserwowała, jak biała pościel na łóżku Margaret regularnie unosi się i opada. Odkąd pamiętała, matka zawsze wyglądała identycznie. Miała stalowosiwe włosy, ułożone przez fryzjerkę w sposób, który był niemodny już od co najmniej dwudziestu lat. Jej cienkie wargi wyginały się w grymasie niezadowolenia nawet wtedy, kiedy spała. Ostre kości policzkowe niezbitnie świadczyły, że nie jest osobą ani łagodną, ani tolerancyjną.

Trudno ją było zadowolić nawet wtedy, gdy miała dobry nastrój. A teraz, kiedy będzie musiała dochodzić do siebie po zawale? Nie, to na pewno było niemożliwe.

Karen poczuła skurcz żołądka i skrzyżowała ramiona na piersiach, zaciskając palce na skórze ponad łokciami. Próbowła zadowalać Margaret przez całe życie. Bez słowa skargi akceptowała wszystkie rodzinne obowiązki. I co z tego miała? Jedyne bezustanną matczyną krytykę.

Ale czy miała jakiś wybór po tym, jak Val porzuciła rodzinę i zajęła się wyłącznie karierą pedagogiczno-teatralną?

Jej wzrok spoczął na małych, srebrnych różach w przekłutych uszach matki. Różę sprezentowała matce Val, bardzo dawno, na któreś urodziny. Karen znowu

poczuła, jak wzbierają w niej wszelkie rodzinne żale... zaraz potem, jak zwykle, poczuła złość.

Dobry Boże, czy to mi nigdy nie minie? Przecież jestem już za stara, żeby wciąż nosić w sobie te wszystkie drobne urazy, rozmyślała Karen. Co z tego, że Val jest złotą dziewczyną i ma kolorowe życie? Co z tego, że jest ulubioną córką mamy? Trudno, tak już jest. Nie powinnam wciąż się nad sobą użalać.

A jednak żal wciąż powracał.

Wciąż czuła ból.

Rozdrażniona, odwróciła się plecami do łóżka. Dość. Miała teraz ważniejsze zmartwienia i nie powinna się osłabiać rozpamiętywaniem tego, na co nie miała wpływu. Na przykład musiała wymyślić, jak sobie będzie radzić z najnowszą komplikacją. Kristen wciąż kuśtykała po domu ze złamaną nogą, w pracy rozpoczynał się najbardziej gorący okres - to wszystko dodatkowo utrudniało jej sytuację.

*Nie oszukuj się, Karen. Potrzebujesz pomocy.*

Nie!

Zacisnęła zęby i wyprostowała ramiona. Może nie była taka ładna, lubiana, pewna siebie i utalentowana jak Val, jednak zawsze była doskonale zorganizowana i potrafiła sobie radzić z wszelkimi przeciwnościami losu.

Z chorobą matki też da sobie radę, jak ze wszystkim innym.

Usłyszała za plecami szelest i odwróciła się. Matka poruszała w powietrzu swobodną ręką.

Karen przystanąła z boku łóżka.

— Czego potrzebujesz, mamó?

Margaret z zaskakującą siłą złapała ją za ramię i potrząsając nią, wydała z siebie niezrozumiały jazgot. Jej twarz ścinała frustracja.

Ożył ekran monitorujący pracę jej serca. Serce Karen również zabiło szybciej. Pośpiesznie nacisnęła przycisk przywołujący pomoc.

- Spokojnie, mamó. Zaraz przyjdzie pielęgniarka. Dwie minuty później Karen odeszła od łóżka. Pielęgniarka uspokoiła Margaret i wsunęła pod nią basen.

Karen nie byłaby w stanie tego zrobić. Każdy ma swoje ograniczenia. Karen nie była wyjątkiem.

Zacisnąwszy zęby, wyjęła z torebki telefon komórkowy. Czy jej się to spodoba, czy nie, Val musi przyjechać do domu.

Val nie mogła odmówić. Obie siostry nie powinny w najbliższym czasie używać słowa „nie”.

### *Val*

Z ręką na klamce drzwi wyjściowych, Val Montgomery zawahała się, usłyszawszy dzwonek telefonu. Wiedziała, że makijaż, dzięki któremu miała wyglądać na nastolatkę, znacznie straci na wyrazistości, jeżeli za późno wyjdzie na próbę kostiumową. Spędzenie z kiepskim makijażem kolejnej godziny uspokajania umięśnionych nastoletnich samców w sali prób nie było wesołą perspektywą.

Uniosła wyżej przeładowaną torebkę i zaczęła szukać w niej kluczy. Ktokolwiek telefonuje, może się po prostu nagrać.

- Val, mówi Karen - zabrzmiał w mieszkaniu głos siostry, kiedy włączyła się automatyczna sekretarka. Dłoń Val zastygła nad torebką. - Koniecznie muszę z tobą porozmawiać, i to najszybciej, jak to tylko możliwe. Proszę, zadzwoń do mnie, kiedy tylko odbierzesz tę wiadomość, proszę. Mam nowy telefon i posiałam

gdzieś numer twojej komórki. Musimy się jak najprędzej spotkać...

W ciszy, która nastąpiła, przez głowę Val przebiegło mnóstwo myśli.

Skoro Karen zatelefonowała, ma chyba poważny problem.

Z ręką wciąż na klamce, przygryzła dolną wargę. Nie planowała na dzisiaj żadnego kryzysu, broń Boże... Ale jeśli teraz wyjdzie z domu, nie porozmawiawszy wcześniej z siostrą, będzie rozkojarzona przez cały wieczór, a przecież napompowani adrenaliną chłopacy wymagali od nauczycielki pełnej uwagi.

Z westchnieniem rezygnacji podeszła do telefonu i podniosła słuchawkę z widełek.

- Karen? Właśnie wychodziłam. Co się stało?

- Dzięki Bogu, że cię złapałam! Jestem w szpitalu. Mama miała zawał. Zawał.

Kiedy słowa siostry przebiły się przez mózg Val, spróbowała rozebrać wiadomość na części. Nic z tego.

Matka zasypywała córki mnóstwem problemów, ale chociaż na zdrowie bezustannie narzekała, była zdrowa jak koń.

Nerwowo przeczesła włosy palcami i popatrzyła za okno. Na horyzoncie zbierały się szare chmury.

- W jakim jest stanie?

- Według lekarzy zawał nie był rozległy. Wciąż ją jednak badają. Na razie wiadomo tylko tyle, że przez jakiś czas będzie wymagała stałej opieki.

I spodziewam się, że weźmiesz w tym udział. Chociaż słowa głośno nie padły, przekaz był wystarczająco oczywisty.

Val zacisnęła usta i mocniej objęła dłonią słuchawkę telefonu. Nie ma mowy. Już sama myśl o spędzeniu dłuższego okresu w towarzystwie egocentrycznej matki-mani-pulantki sprawiła, że poczuła ścisk w żołądku. Do dziś nie rozumiała, jakim cudem Karen zdołała przeżyć u jej boku tak długie lata i nie zwariować.

Przedłużającą się ciszę, w trakcie której Val czyniła wielki umysłowy wysiłek, żeby wymyślić odpowiedź, która zwolniłaby ją z niewypowiedzianego jeszcze głośno obowiązku, przerwała Karen.

- Posłuchaj, przykro mi, że dzwonię z tym do ciebie. - W jej głosie dało się usłyszeć nutę desperacji. - Sama zajęłabym się matką, gdybym mogła, ale Kristen kilka dni temu złamała nogę w sali sportowej, a w pracy mam dosłownie urwanie głowy. Nie jestem w stanie zajmować się dwójką chorych bez żadnej pomocy. Twój rok szkolny niedługo się kończy i pomyślałam, że mogłabyś do nas przyjechać na kilka tygodni, żeby mi pomóc, przynajmniej w tym najtrudniejszym okresie.

Kilka tygodni!?

Gdy część mózgu Val próbowała ogarnąć zagrożenie, jakie stanowiła ta perspektywa, jego druga połowa sprawiła, że niespodziewanie rzuciła pytanie dotyczące innej sprawy:

- Dlaczego mi nie powiedziałaś o Kristen?

- Nie widziałam powodu, żeby cię martwić. Mieszkasz za daleko od nas, żeby w czymkolwiek jej pomóc, prawda?

Val zignorowała znak zapytania.

- Dobrze się czuje?

- Użala się nad sobą. Opuściła finałowe zawody gimnastyczne, nie może chodzić na basen i przechodzą jej koło nosa wszystkie typowo letnie atrakcje. Jej



zdaniem nastąpił koniec świata. Ale lekarz twierdzi, że szybko dochodzi do zdrowia. Val uśmiechnęła się do siebie.

- Kiedy się ma kilkanaście lat, życie jest naprawdę ciężkie.

- Możesz mi wierzyć, Kristen przypomina mi o tym codziennie.

- Ja też mam te problemy. W rzeczy samej właśnie czeka na mnie zgraja domorosłych aktorów z liceum i jeżeli natychmiast do nich nie dotrę, dramat rozpocznie się, zanim ta dziatwa w ogóle wyjedzie na scenę. Wiesz co? Zadzwoń do ciebie jeszcze dzisiaj i porozmawiamy, dobrze?

Krótkie wahanie siostry, po którym nastąpiła zwięzła odpowiedź, podpowiedziało Val, że Karen rozpoznała jej grę na zwłokę.

- Tak. Prawdopodobnie będę jeszcze w szpitalu. Podam ci numer do pokoju szpitalnego mamy i mój numer na komórkę.

Zapisawszy cyfry, które podała Karen, Val popatrzyła na zegarek.

- Zadzwoń za kilka godzin - powiedziała.

- Doskonale.

Karen rozłączyła się. Jej zrezygnowany głos podpowiedział siostrze, że nie spodziewa się po niej dotrzymania słowa.

Kiedy Val chowała kartkę z numerami do torby, niespodziewanie ukłuło ją poczucie winy. Czy Karen kiedykolwiek prosiła o pomoc, w jakiegokolwiek sprawie? Val nie pamiętała takiej sytuacji. Najwyraźniej siostra była w tej chwili u kresu wytrzymałości. A ona sama nie miała na lato specjalnie napiętych planów, jeśli nie liczyć dwóch mało istotnych sesji fotograficznych, które mogła

przecież przyspieszyć. Poza tym potrafiła dawać sobie radę z matką o wiele lepiej niż Karen. Mogłaby do niej pojechać.

Ale gdy w jej głowie zaczął kiełkować pomysł powrotu nad Missouri, do miasteczka, w którym spędziła całe dzieciństwo, nagle ogarnęła ją panika.

Zacisnęła palce na kluczach, zamknęła oczy i spróbowała odegnać od siebie bolesne wspomnienia - te same wspomnienia, które często powracały do niej w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Nieproszone, co jakiś czas wydostawały się z mrocznego więzienia w głowie, gdzie je przetrzymywała. Uparcie domagały się trwałego wyjścia na wolność. Do tej pory potrafiła zaganiać je z powrotem, gdzie ich miejsce, jednak z każdym dniem stawały się coraz bardziej niesforne i natarczywe, i coraz słabiej nad nimi panowała.

Wiedziała, że pewnego dnia walkę z nimi przegra z kretesem.

I co potem?

Przełknęła ślinę. Nadchodził czas, żeby zmierzyć się z ponurą prawdą. Powinna uczynić to, czego unikała od wielu miesięcy.

Jedynym sposobem, żeby uwolnić się od bezustannie prześladujących ją błędów przeszłości, było skonfrontowanie się z nimi i wyrzucenie ich w mrok niepamięci raz na zawsze.

Być może właśnie zyskała okazję, by to uczynić.

Krew w jej dłoni zaczęła gwałtownie pulsować. Osłabiła ucisk palców na kluczach i ze złością popatrzyła na czerwone ślady, jakie pozostawiły na jej ręce. Gdyby ścisnęła je dłużej, ślady stałyby się wyraźniejsze, a palce długo dochodziłyby do normalnego stanu. Musiała przywrócić... normalność.

Palcom.

I swojemu życiu. Val zamknęła oczy.

Nadszedł czas, żeby pojechać do domu. Do Waszyngtonu\*.

*Scott*

- Dalej, chłopaki, pośpieszcie się. Padam z nóg. Scott Walker posłał Markowi zmęczony uśmiech

i przełożył walizeczkę z saksofonem do drugiej ręki. Właśnie wychodzili z klubu jazzowego.

- Może jesteś już za stary na takie życie?

- Może wszyscy jesteśmy za starzy? - Joe prowadził już wszystkich w kierunku furgonetki. - Niedawno tutaj byliśmy. Co to za miejsce, bo już nie pamiętam...?

- Filadelfia. - Ich manager nacisnął guzik na pilocie, otwierając zamki w samochodzie. - Po byle jakich spelunach, w których graliście przez dziesięć lat, powinniście być wdzięczni, że Prestige wynajęło wam na promocję debiutanckiego albumu miejsca z klasą.

- No i jesteśmy wdzięczni. - Scott otworzył drzwiczki samochodu i wszedł do środka. - Ale występujemy co wieczór już od sześciu tygodni i naprawdę czujemy to w kościach. - Stłumił ziewnięcie. - Trochę porządnego snu dobrze nam zrobi.

Miał nadzieję.

Tymczasem bezustanne podróże, krótkie noce i nieustanne żądania firmy fonograficznej, by udzielać więcej wywiadów dla radia i telewizji, by pojawiać się w prasie

\* Chodzi o miasteczko Washington w stanie Missouri, nad rzeką Missouri, położone w odległości około 100 kilometrów na zachód od St. Louis (przyp. tłum.).

i żeby wręcz zanudzać swoimi wizerunkami melomanów, nużyły i denerwowały. Chodziło im przecież o muzykę, a nie o bezustanne gadanie.

Zabawne, ale wielki przełom w karierze niespodziewanie sprawił, że mieli znacznie mniej czasu na to, co najbardziej kochali.

Zapadła cisza, kiedy wszyscy zajęli miejsca w fotelach, a manager usiadł za kierownicą. Joe i Mark zasnęli w ciągu kilku minut. Uspokojony monotonnym szumem silnika furgonetki, Scott także zaczął odpływać, lecz nagle rozbudził go silny wstrząs.

Próbując błyskawicznie oprzytomnieć, usłyszał pisk hamulców. Boleśnie uderzył ramieniem o ściankę samochodu. Oślepiły go światła innego pojazdu, który niespodziewanie znalazł się o kilka cali z przodu. W jednej chwili w jego uszach rozbrzmiał zgrzyt rozdieranego metalu. Uniósł rękę, żeby osłonić twarz.

Ktoś zaczął krzyczeć.

Wrzeszczeć.

Ogarnął go ból - ostry, głęboki i odbierający oddech. Zaskoczenie.

W ostatniej chwili, zanim zawładnęła nim absolutna ciemność, Scott zrozumiał jedną rzecz z absolutną jasnością.

Trasa promocyjna skończyła się. Zrozumiał też, że nawet, jeżeli to przeżyje, jego życie już nigdy nie będzie wyglądało tak samo.

*David*

- Tato... Dlaczego się przeprowadzamy? David Phelps usiadł na stercie kartonów, które właśnie zapakował, i popatrzył na córkę. Ile już razy

odpowiadał na to pytanie w ciągu ostatnich tygodni? Dziesiątki, z całą pewnością. Jednak pięcioletnie dzieci nie zachowywały informacji w pamięci przez długi czas - szczególnie tych, które nie miały dla nich sensu. Zatem niezależnie od tego, jak długo i cierpliwie by to wyjaśniał, Victoria i tak nie zrozumiałaby, dlaczego opuszczają mieszkanie, które było jej domem od dnia, w którym się urodziła.

- Ponieważ dostałem nową pracę w innym miejscu, które nazywa się Waszyngton i leży w stanie Missouri, a także dlatego, że chcę, abyśmy zamieszkali w domu z ogrodem, w którym mogłabyś się bawić.

David ukucnął obok dziewczynki i odgarnął zabłąkany kosmyk jasnych włosów z jej czoła.

Victoria położyła ręce na biodrach i zabawnie przekrzywiła główkę. W tej pozycji tak bardzo przypominała Natalie, że patrząc na nią, David poczuł, jak ściska mu się gardło.

- Przecież mogę się bawić w parku za rogiem. Tam jest przecież i karuzela, i nawet zjeżdżalnia.

- Ale ten park nie należy do ciebie. W nowym domu będziesz miała nawet większy pokój. I pomalujemy go na różowo.

- Wolę kolor purpurowy.

- Niech więc będzie purpurowy. Dziewczynka wyprostowała ręce i zwiesiła głowę.

- Ale ja i tak nie chcę nigdzie jechać. Lubię St. Louis. David także lubił to miasto. Decyzja, którą podjął,

objawiła mu się w trakcie modlitwy. Zrozumiał, że musi zaakceptować fakty. Pojął, że pewne marzenia nigdy już nie powrócą i nadszedł czas, żeby uwolnić się od przeszłości.

Ale jak to wyjaśnić pięcioletniemu dziecku? Victoria

wiedziała tylko tyle, że jej świat wkrótce wywróci się do góry nogami.  
Znowu.

Przyciągnął ją do siebie i mocno uściskał.

- St. Louis to miłe miasto, kochanie, ale "waszyngton na pewno też polubimy, kiedy tylko się tam znajdziemy.

- A jeśli nie? - Na policzkach dziewczynki pojawiły się łzy.

- Wtedy przeprowadzimy się gdzieś indziej. Victoria cofnęła się i zmierzyła ojca badawczym wzrokiem.

- Uroczyście przysięgasz?

Była to ich osobista wersja przysięgi „z ręką na sercu”, zarezerwowana wyłącznie dla najpoważniejszych spraw. David wytrzymał wzrok córki.

- Uroczyście przysięgam.

Dotknęła palcem guzika na jego koszuli.

- Dobrze. Ale przecież nikogo nie będziemy tam znali! Będziemy zupełnie samotni!

- Wcale nie. Pamiętaj, zawsze jest z nami Pan, nieważne, dokąd się udajemy.

- Tylko że... kiedy się kogoś nie widzi, trudno pamiętać o jego istnieniu.

Tym razem David mocno przycisnął główkę Victorii do swojej piersi. Trudno mu było się z nią nie zgodzić. W ciągu ostatnich kilku lat doświadczył wielu sytuacji, w których Bóg zdawał się być od niego bardzo daleko. Musiał jednak nadal wierzyć, że nawet w najtrudniejszych dniach, kiedy czuł się najbardziej samotny, Bóg był razem z nim.

Przeczuwał, że przeprowadzka do Waszyngtonu przyniesie mu nową porcję ciężkich wyzwań.

- Karen? Podawaj już to jedzenie, czekałyśmy wystarczająco długo. Po prostu zostaw porcję dla Val w piecyku. Zje, kiedy przyjdzie, o ile w ogóle będzie głodna.

Usłyszawszy zniecierpliwiony głos matki, dobiegający z salonu, Karen oparła się o stół kuchenny i policzyła do dziesięciu.

Powoli.

Przez cały czas zwalczała pokusę, żeby porwać torebkę i stąd sobie pójść, a potem zająć się własnymi rachunkami i wciąż czekającym w domu praniem, zamiast usługiwać i gotować matce po wyczerpującym dniu, jaki spędziła w pracy.

- Karen? Słyszałaś mnie?

Głośne pytanie wciąż wibrowało w powietrzu w całym domu, gdy Karen walczyła z nagłą ochotą, żeby natychmiast stąd uciec. Ale była przecież tą najbardziej odpowiedzialną córką swojej matki. Czy jednak pragnęła zbyt wiele, chcąc, żeby przynajmniej głos Margaret brzmiał normalnie?

Na progu salonu przystanęła. Matka bawiła się pilotem do telewizora, zmieniając kanały.

- Słyszałam cię, mamo. Może jednak poczekamy jeszcze na Val? Na pewno będzie jej bardzo miło, jeśli zje z nami. Jestem pewna, że po długich godzinach za kierownicą okaże się bardzo głodna.

- Ludzie teatru są zupełnie nieprzewidywalni. Pewnie gdzieś utknęła, otoczona przez wielbicieli i teraz nawet nie ma ochoty dać nam znaku życia.

W Karen zagotowała się krew.

- Ona jedynie uczy o teatrze w szkole średniej. Przecież nie występuje na Broadwayu.

- A mogłaby. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego zupełnie się nie troszczy o swoją karierę. Pomóż mi przejść do kuchni.

Karen w milczeniu stanęła za plecami matki. Ciężko oddychała z wysiłku jeszcze zanim zdołała ją podnieść z głębokiego fotela.

- Powinnaś zadbać o kondycję, laka młoda kobieta jak ty nie powinna dostawać zadyszki po niewielkim wysiłku.

Karen zacisnęła usta i policzyła do trzech; tym razem nie miała czasu na liczenie do dziesięciu.

- Nie mam ani chwili, żeby iść na siłownię.

*A ty, mamo, bynajmniej nie jesteś lekka jak piórko.*

- Val *nigdy* nie chodziła na siłownię, a od zawsze jest szczupła.

*Jasne, powtarzaj to częściej.*

- Może ma lepszą przemianę materii niż ja? - Słowa Karen zabrzmiały ostrzej, niż tego chciała.

- Nie musisz mieć na tym tle kompleksów. Powstrzymawszy się od kolejnego komentarza,

Karen podała matce kulę. Żałowała, że nie doprowadziła do tego, by matka wzięła ze szpitala oferowany jej balkonik do chodzenia albo fotel elektryczny. Jednak Margaret głośno protestowała, że nie chce, żeby robiono z niej inwalidkę.

Szkoda, że nie zdobyła się wtedy na stanowczość.

Wysiłek fizyczny powinien jednak przywrócić matce pełną władzę w lewej nodze i ręce - im szybciej, tym lepiej.

Karen poczuła ból w ramieniu, gdy w trakcie drogi do kuchni matka uwiesiła się na nim całym ciężarem.

- Co zjemy na kolację?



Margaret usiadła na swym krześle i poprawiła przygotowane dla niej sztućce. Pod kątem prostym ułożyła nóż i łyżeczkę, inaczej złożyła serwetkę, a szklankę z wodą przesunęła dwa cale w prawą stronę.

Karen znowu ścisnęło w żołądku. Nie potrafiła nawet nakryć do stołu w taki sposób, żeby matka była zadowolona.

*Daj sobie spokój, Karen.*

A jednak postarała się, żeby jej głos zabrzmiał wesoło, kiedy odpowiadała na pytanie:

- Przygotowałam jedną z twoich ulubionych potraw, mamo. Zapiekanekę po pastersku. Ponieważ takie zapiekanki są miękkie, powinnaś ją zjeść bez mojej pomocy.

- Mam nadzieję, że nie użyłaś do nich puszkowanej marchwi?

Karen odwróciła się, żeby wyciągnąć z piecyka naczynie żaroodporne.

*Boże, daj mi cierpliwość i siłę.*

- Nie, przygotowałam je zgodnie z twoim przepisem.

Położyła naczynie na stole. Na brzegach było lekko nadkruszone, jednak wciąż doskonale służyło swoim celom. Ziemniaki puree miały z wierzchu złocisty kolor i dawały kuszący aromat.

- Ładnie pachnie, prawda? - Karen wyłożyła na talerze dwie obfite porcje.

- Spróbujemy, zobaczymy. - Margaret wbiła widelec w złocistą masę.

Nie wyrwało się jej ani jedno słowo podziękowania za to, że córka przygotowała wspólny posiłek. Nie skomentowała ponętnego widoku dania. W ogóle nie wykazała dla niego żadnego entuzjazmu.

Cała Margaret.

Potrząsając głową, Karen owinęła naczynie folią i wstawiła z powrotem do piecyka. Zajęła miejsce przy stole i skłoniła głowę.

- Panie Boże, dziękujemy Ci za ten posiłek i wszystkie inne dary, którymi nas obdarzasz. Prosimy Cię o dalszą opiekę i o pomoc w spełnianiu wszystkich naszych potrzeb, zarówno fizycznych, jak i duchowych. Napełniaj nasze dusze miłością, a nasze ciała pożywieniem. Amen.

Margaret nabrała na widelec odrobinę ziemniaków.

- Bardzo mi przykro, że córka nie odziedziczyła przynajmniej części twojej wiary - powiedziała.

Karen porzuciła nadzieję na sympatyczną rozmowę przy obiedzie.

- Kristen przechodzi teraz okres buntu, normalny u nastolatki. Wiem, że znajdzie właściwą drogę do Boga.

- Hmm... Twoja córka nie opuściła jedynie Boga. Od dnia, w którym powalił mnie atak, widziałam ją tylko przez krótką chwilę.

- Trudno jest jej nawet chodzić po mieszkaniu ze złamaną nogą.

- Jednak mały wysiłek, żeby odwiedzić chorą babcię, nie zabiłby jej.

- Jak ci smakuje zapiekanka?

Pytanie padło z ust Karen, zanim zdołała zdać sobie sprawę z tego, co robi. Częściowo powodowało nią dążenie do zmiany tematu, ale bardziej była to potrzeba uzyskania od matki chociażby drobnej pochwały, w jakiegokolwiek sprawie.

- Za dużo soli. - Mimo tej krytycznej uwagi, matka i tak jadła z wilczą zachłannością.

Lecz Karen z miejsca opuściły resztki apetytu, a w czole, tuż nad oczami, poczuła niespodziewany skok ciśnienia.

*Nie\ Tylko ani mi się waź rozplakać\ Poczekał jeszcze kilka minut. Kiedy tylko zjawi się Val, od razu będziesz mogła stąd uciec.*

Dwie minuty później, po przełknięciu kilku kęsów posiłku, usłyszała jak koła samochodu miały żwir na podjeździe.

*Wreszcie!*

Właśnie otwierała drzwi, gdy Val uniosła rękę, żeby zapukać.

Patrząc na zastygłą w bezruchu sylwetkę siostry, Karen pospiesznie zlustrowała jej sylwetkę. Ostatnio widziała młodszą siostrę przed rokiem i przez ten czas Val niewiele się zmieniła. Miała identycznie lśniące jasne włosy i wciąż tę samą, doskonałą figurę. Umiejętnie dobierała ubrania. Roztaczała wokół siebie aurę doskonałości.

Inaczej mówiąc, była jej całkowitą odwrotnością.

Karen wygładziła wzdłuż ciała pogniecioną koszulę khaki i poprawiła dłonią przetłuszczone włosy. Doskonale zdawała sobie sprawę, że wygląda dokładnie na taką osobę, jaką jest - kobietę z lekką nadwagą, dobiegającą wieku średniego, o brązowych włosach bez połysku, byle jak się ubierającą i wiodącą nieciekawą żywot; w obliczu Val ta przygnębiająca świadomość pogłębiała się.

Val zerknęła w kierunku stołu i odezwała się cicho:

- Chyba sprawa jest zbyt poważna, żebyśmy mogły powitać się z radością, co?

Karen zesztywniała.

- Spóźniłaś się.

- Godzinę jazdy stąd robotnicy całkowicie przebudowują drogę. No i padła mi komórka, bo w przeciwnym wypadku bym przecież zadzwoniła. Nie wiedziałam, że zrobisz z tego wielką sprawę.

- W domu czeka na mnie Kristen. Jeszcze nic nie jadła. Czekałam tu z obiadem tak długo, jak mogłam, ale mama w końcu powiedziała, że jest głodna. Zostawiłam ci porcję w piekarniku.

- Zamknijcie drzwi! Wypuszczacie na zewnątrz za dużo zimnego powietrza. Mój rachunek za prąd do klimatyzacji sięgnie nieba! - Margaret pomachała w ich kierunku widelcem. - W połowie maja nie powinno być tak gorąco. To jest chyba to globalne ocieplenie, o którym tyle się mówi. Świat zaczyna schodzić na psy.

Val wydeła usta w smutnym uśmiechu.

- Widzę, że nic się nie zmieniła.

- Jest chora.

- Zawsze była taka, chora czy zdrowa. - Val wzięła głęboki oddech. - No, dobrze, chyba muszę stanąć przed obliczem lwa. - Zawiesiła torebkę na ramieniu, wyprostowała się i wyminęła Karen. - Cześć, mamó. Powróciła twoja marnotrawna córka.

- Najwyższy czas. - Margaret zmierzyła ją wzrokiem od stóp do głów i głośno wciągnęła nosem powietrze.

- Też się cieszę, że cię widzę.

- Hmm... - Margaret umieściła okulary wyżej na nosie. - Cóż, oczywiście, cieszę się, że wróciłaś do domu. Karen nie daje sobie rady, a potrzebuję pomocy.

- To prawda. - Odpowiedź Val zabrzmiała bardzo niewinnie, lecz Karen wyczuła w niej fałszywy ton.

Margaret go nie wyczuła.

- Rano będziemy musiały porozmawiać. - Margaret zgarnęła widelcem z talerza drobne resztki mielonej wołowiny i wsunęła je sobie do ust. - Teraz muszę się położyć. Karen, pomóż mi przejść do sypialni.

- Skoro wróciłam, mamó, mogę przejąć od niej tego

typu obowiązki. - Val rzuciła torebkę na stół i podeszła do Margaret.

- Jesteś za chuda, nie masz dość siły. Niech Karen to zrobi. Ma więcej mięśni dookoła kości.

Policzki Karen oblał ciepły rumieniec. *Masz rację, mamo, w tym cały problem.*

- Obie ci pomożemy. - Val napięła mięśnie na ręce. - Dużo ćwiczę na siłowni. Zdziwiłabyś się, jaka jestem silna. - Skinęła na Karen, żeby ta stanęła po drugiej stronie krzesła Margaret.

Karen zajęła miejsce i trzymając Margaret pomiędzy sobą, obie przetransportowały matkę do jej pokoju. Nie minęło piętnaście minut i kobieta była gotowa do snu. Wtedy obie siostry wróciły do kuchni.

- Przygotowałam zapiekankę po pastersku. - Karen otworzyła piecyk. - Wystarczy jeszcze dla ciebie i Kristen. Przypuszczam, że po długiej podróży jesteś głodna.

- Bardzo ci dziękuję, jednak w drodze się zatrzymałam i zjadłam jakąś sałatkę.

- Nic więcej nie jadasz na kolację? Tylko kapustę?

- Było w niej trochę kurczaka.

- To jednak zbyt mało na kolację. Zapiekanka jest znacznie bardziej pożywna.

Val bez słowa podeszła do stołu, kiedy Karen zaczęła rozwijać folię.

Niestety, zapiekanka nie przetrwała w piecyku w najlepszym stanie. Jej wypełnienie rozpląnęło się po całym dnie naczynia żaroodpornego, a na jej powierzchni pojawiły się małe tłuste plamy. Pierzynka z ziemniaków, jeszcze niedawno puszysta, teraz była popękana i wyschnięta. Pociemniałe marchewki również nie wyglądały apetycznie.

Karen dostrzegła na ustach siostry grymas niesmaku, zanim jeszcze ta zdołała posmakować dania. Cis'nienie niebezpiecznie jej podskoczyło.

- Ze dwie godziny temu, kiedy miałaś przyjechać, wyglądało o wiele lepiej. - Karen poczuła wypieki na twarzy.

- Hej, doceniam twoją troskę o mnie. Ale dzisiaj nie liczyłam na nic ponad sałatkę, i tyle mi właśnie wystarczy.

Odwróciwszy się, Karen ponownie owinęła naczynie folią, po czym wsunęła je do torby termoizolacyjnej.

- W domu czeka na mnie córka, pewnie głodna jak wilk. Pewnie z radością zje twoją porcję.

- Karen, przepraszam. Wiem, że kosztowało cię to wiele pracy. Zapiekanka po pastersku to ulubiona potrawa mamy, prawda? Założę się, że jej smakowała.

- Sama nie wiem. Powiedziała, że jest za słona. - Jeszcze raz stoczyła zwycięską walkę ze łzami, które napływały jej do oczu.

- Cała matka.

- Czasami się zastanawiam, dlaczego w ogóle próbuję jej dogadzać. — Karen zamknęła torbę z większą energią, niż to było konieczne.

- Ja też.

Karen zacisnęła dłonie w pięści i stanęła przed siostrą.

- Posłuchaj, na dzisiaj mam już dość wszelkiej krytyki, rozumiesz? Staram się jej dogadzać, ponieważ nie mam wyboru. Mieszkam tutaj. Staram się, jak mogę, żeby żyć z nią jak najlepiej.

Val przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu.

- Wiesz doskonale, że masz wybór. I może jesteś zbyt gorliwa.

- Łatwo ci to mówić. Nie musisz się z nią codziennie widywać.

- Z własnego wyboru.
- Ja nie mogłam odejść.
- Dlaczego nie?
- Moje życie należało do tego miejsca. Tutaj wyszłam za mąż.
- To także był wybór. *Zły wybór.*

Chociaż Val nie powiedziała tego głośno, myśl ta dotarła do obu sióstr.

Karen podniosła torbę termoizolacyjną.

- Muszę już iść.
- Ja wtedy też musiałam.

W szybkiej odpowiedzi siostry zabrzmiały dziwne dźwięki, jednak Karen była zbyt rozzłoszczona, żeby je odnotować.

- Odejście nie zwolniło cię od zobowiązań rodzinnych... Ale to ja musiałam je przejąć, odkąd kiedy siedemnaście lat temu wyjechałaś do college'u i już nigdy tu nie wróciłaś! Czy kiedykolwiek miewałaś z tego powodu poczucie winy?

Twarz siostry pociemniała.

- Może zostawimy tę rozmowę na inny dzień? Jestem zmęczona, a ty zdenerwowana.

- Doskonale. - Karen wsunęła owinięte naczynie pod pachę i złapała torebkę. - Zadzwoń do mnie jutro. Przekażę ci informacje o schemacie terapii mamy i o lekarstwach, jakie przyjmuje. Potrzebujesz pomocy w przenoszeniu bagażu z samochodu?

- Dam sobie radę.
- Przygotowałam dla ciebie twój stary pokój. W gościnnej łazience znajdziesz świeże ręczniki.
- Dzięki.

Przy drzwiach Karen jeszcze się zatrzymała. Val opie-

rała się ręką o blat stołu kuchennego, który stał w tym samym miejscu, odkąd sięgała pamięcią. Od ich wspólnego dzieciństwa w domu zmieniło się naprawdę niewiele.

Pod każdym względem.

Jednak sytuacja pomiędzy nią a Val z pewnością nie ulegnie poprawie, jeżeli Karen wyjdzie stąd teraz naburmuszona. Doskonale to rozumiała.

- Nie wiem, dlaczego nasza rozmowa jest tak nieprzyjemna - powiedziała do Val. - Jednak naprawdę doceniam twoją gotowość przyjścia mi z pomocą.

Jej słowa nie zabrzmiały zbyt szczerze. Więcej w nich było niechęci, niż wdzięczności. Ale przecież przez te wszystkie lata to ona usługiwała matce, a nie Val. Trudno jej było o tym nie pamiętać.

- Przyszła na mnie kolej. - Val wzruszyła tym ramieniem, którym nie opierała się o stół.

- Nie pozwól, żeby mama cię omotała.

- Dam sobie radę.

- Jestem tego pewna. - Choć Val była ulubienicą matki, nie chroniło jej to przed licznymi cierpkimi uwagami. Mało się jednak nimi przejmowała. - Porozmawiamy jutro. Witaj w domu.

- Dzięki.

Odpowiedź Val zabrzmiała zdawkowo, jednak barwa jej głosu i wyraz twarzy nie pozostawiły Karen wątpliwości, że siostra pragnęłaby w tej chwili przebywać gdzieś zupełnie indziej.

Gdy dziesięć minut później Karen kuchennymi drzwiami wchodziła do własnego domu, telewizor włączony był na



cały regulator, a odgłosy muzyki heavy metalowej i swobodnie traktowanej gitary basowej natychmiast sprawiły, że mocniej zaczęły pulsować jej skronie.

- Kristen! Wróciłam do domu!

Nie doczekawszy się odpowiedzi, położyła naczynie żaroodporne na stole. Nie zdziwiła się; muzyka była zbyt głośna, żeby córka mogła ją usłyszeć.

W bojowym nastroju ruszyła w kierunku źródła muzyki.

Kristen leżała na kanapie w salonie, plecami zwrócona do drzwi kuchennych. Jej zagipsowana aż po udo noga znajdowała się w pozycji horyzontalnej, drugą natomiast opuściła na podłogę. Pisała coś na laptopie i zdrową nogą tupiała w podłogę do rytmu.

Potrząsnąwszy głową, Karen wzięła do ręki pilot od telewizora i wyłączyła odbiornik. W pokoju zapanowała błogosławiona cisza.

Kristen popatrzyła na matkę, marszcząc czoło.

- Ja to oglądałam!

- Trzech rzeczy na raz robić nie można. Kristen skrzywiła się z niezadowoleniem.

- To się nazywa „podzielność uwagi”. Wszyscy młodzi ludzie ją mają.

- Podobnie jak dorośli. Ale młodzi ludzie muszą co chwilę zmieniać obszar głównego zainteresowania. To wymaga wysiłku i ostatecznie jest bardzo mało wydajne. - Skinęła w kierunku czarnego ekranu telewizora. - A ten konkretny program w ogóle nie był wart żadnego wysiłku.

- Nie lubisz telewizji?

- Nie przepadam za nią. Jesteś głodna?

- Niedawno zjadłam trochę chipsów. Myślałam, że wrócisz wcześniej.

- Val się spóźniła. Dwa razy próbowałam się do ciebie dodzwonić, ale telefon był zajęty.

- Rozmawiałam z Garym. - Kristen posłała matce wyzywające spojrzenie.

Karen stłumiła w sobie rozdrażnienie. Nie przepadała za ostatnim obiektem westchnień Kristen, jednak nie miała ochoty na kolejną sprzeczkę tego wieczoru.

- Przyniosłam kolację. Chodź, pomogę ci wstać. Kristen, o wiele lżejsza i bardziej zwinna niż Margaret,

nie wymagała wielkiej pomocy. Kiedy córka stanęła na nogach, Karen podniosła z podłogi kule i podała je córce.

- Ta złamana noga śmierdzi - powiedziała Kristen z krzywą miną, umieściwszy oparcia kul pod pachami.

- I tak się ciesz, że tylko na tym się skończyło. Kristen wywróciła oczyma i głośno westchnęła.

- Zamierzasz znowu wspominać Stevena?

- Twój widok mi wystarczy. To ty raczej powinnaś go traktować jako punkt odniesienia. Konieczność wspomagania się przez kilka tygodni kulami jest jednak czymś znacznie lepszym niż spędzanie reszty życia z paraliżem od pasa w dół. Przed Stevenem rysuje się naprawdę trudna droga.

- Tak. - Kristen zmarszczyła czoło. - Ten wypadek był okropny. Bardzo mu współczułam.

- Mam nadzieję, że również się za niego modliłaś.

- A co dadzą modlitwy? - Rysy twarzy dziewczyny stwardniały. - Na pewno nie poprawią jego zdrowia. Zresztą, dlaczego Bóg w ogóle dopuścił do tego wypadku?

- Nie wiem. Tylko sam Bóg zna odpowiedź na to pytanie. Jest taki punkt, w którym następuje zetknięcie wiary i zaufania.

- W każdym razie niektóre wyroki boskie trudno jest zaakceptować. - Kristen popatrzyła na swoje purpu-

rowe paznokcie, wystające spod gipsu. - Erin podobno słyszała od swojego chłopaka, który jest jego kuzynem, że Steven próbował się zabić. Serce Karen zamarło.

- Kiedy?

- Zaraz jak wrócił do domu ze szpitala.

- Tym bardziej powinnyśmy się za niego modlić.

- Bóg nigdy nie słucha moich modlitw. - Kristen na chwilę zacisnęła usta. - Modliłam się, żebyście z tatą znowu zaczęli żyć w zgodzie, a wy tymczasem się rozwiedliście.

Karen usłyszała w głowie szum pulsującej krwi.

- Cóż, w naszym małżeństwie pojawiły się problemy nie do pokonania.

- Nawet nie próbowałaś ich pokonać! Po prostu zrezygnowałaś i pozwoliłaś Stephanie, żeby odebrała ci mojego tatę! Dlaczego o niego nie walczyłaś? Dlaczego nie mówiłaś mu, że musi pozostać z nami, bo tutaj jest jego miejsce? Zawsze pozwalałaś mu narzucać swoje zdanie! Pomiałał tobą tak jak babcia!

Karen nie wytrzymała.

- Kristen! - zawołała. - Dostyc!

- To wszystko prawda!

Zamiast cokolwiek odpowiedzieć, Karen obróciła się na pięcie i rzuciła przez ramię do córki:

- Wypakuję twoją kolację.

Trzydzieści sekund później drżącymi palcami otworzyła torbę termoizolacyjną. Wiedziała, że agresywne zachowanie nie może ujść Kristen płazem, jednak nienawidziła agresji i konfrontacji. Szczególnie konfrontacji z córką.

Poza tym Kristen miała rację.

Pozwalała Michaelowi właściwie na wszystko. Zno-

siła jego kaprysy i nastroje, w milczeniu przyjmowała złośliwe komentarze, autokratyczne maniery. Nieodmiennie zgadzała się z jego opiniami i osądami, mając nadzieję, że taka postawa zapewni spokój we wspólnym domu. Podobnie uległa była wobec matki, przekonana, że uległość i posłuszeństwo wobec Margaret doprowadzą do poprawy ich wzajemnych stosunków.

Jednak taka postawa nie sprawdziła się ani wobec męża, ani wobec matki. Margaret była kapryśna i bezustannie miała o coś pretensje, a Michael wybrał sobie nowy obiekt westchnień. Konkretnie, wybrał Stephanie.

Skrzypienie kul zapowiedziało przybycie Kristen do kuchni. Karen zdjęła folię aluminiową z naczynia żaroodpornego. Jedzenie było teraz w jeszcze gorszym stanie niż po przybyciu Val i Kristen zrobiła na jego widok podobną minę, jak jej ciotka. W rzeczy samej Kristen -piętnastoletnia dziewczyna o długich jasnych włosach i żywych niebieskich oczach - łudząco przypominała młodą Val.

- Co to jest? - Kristen z niesmakiem pociągnęła nosem.

- Zapiekanka po pastersku.

- Może kiedyś to była zapiekanka. - Kristen jeszcze przez chwilę wpatrywała się w naczynie, po czym odwróciła się. - Mogę zamówić coś chińskiego na wynos?

Z trudem przełknawszy ślinę, Karen skrzekliwym głosem udzieliła jej odpowiedzi składającej się tylko z jednego słowa:

- Tak.

Kiedy Kristen dokuśtykała do salonu, Karen popatrzyła na zapiekanke i znów z trudem powstrzymała się od łez. Jej córka miała rację. Porcja jedzenia w naczyniu

już w niczym nie przypominała zapiekanki po pastersku, którą przygotowywała dzisiaj z takim mozołem. Wyglądała fatalnie. Tak, jak jej życie.

Mimo że ceglane ściany w parterowym budynku, który przez pierwszych osiemnaście lat życia uważała za swój dom, były bardzo grube, Val i tak wyraźnie słyszała chrapanie matki.

Cóż, chociaż ktoś był tutaj w stanie głęboko spać.

Uniósłszy się na łokciu, popatrzyła na budzik. Była druga w nocy.

Wiedziała już, że tym razem się nie wyśpi. Bynajmniej, nie obwiniała o to matki.

Opuściła głowę na poduszkę i wpatrzyła się w ciemny sufit. Noce były jak czarne dziury. Funkcjonujące w jej rozleniwionym umyśle niechciane wspomnienia chyłkiem wymykały się z mroku i unosiły się nad nią jak jastrzębie nad ofiarą.

Po dwudziestu minutach zmagania Val poddała bitwę i opuściła nogi na podłogę. Kiedy wstała, materac zaskrzypiał w proteście, ale natychmiast ponownie zapanowała cisza. Val zrobiła kilka kroków wśród cieni. Dotknęła palcami statuetki - nagrody, którą otrzymała w konkursie piękności, a potem oprawionego w ramkę programu szkolnego przedstawienia, ozdobionego niebieską wstążką - pamiątki konkursu recytatorskiego, w którym otrzymała wyróżnienie.

Tak, te przedmioty przypominały dobre chwile spędzone w domu rodzinnym.

Stała przed biurkiem, które kryło pamiątki najgorszych wydarzeń. Wytarła wilgotne dłonie w szorty.

Górnej szuflady biurka ani ona, ani zapewne nikt inny nie otwierał od wielu lat. I zapewne popełniała błąd, podchodząc do niej już podczas pierwszej nocy, którą spędzała w domu.

Musiała jednak zajrzeć do środka - prędzej czy później. A pod osłoną nocy pewnie będzie to łatwiejsze. W mroku, wśród cieni ukryje to przed sobą... i przed Bogiem.

Złapała za rączkę górnej szuflady i niepewnie ją pociągnęła.

Szuflada nie poruszyła się.

Pociągnęła ją jeszcze raz, z większą siłą.

Tym razem szuflada odrobinę się przesunęła. Było jasne, że nikt jej nie otwierał od bardzo długiego czasu.

Val zawahała się. A może to był dla niej znak? Może nie powinna grzebać w popiołach po dawno wypalonym ogniu, który strawił jej duszę i serce pozostawił w strzępach?

Ale jeśli tego nie uczyni, czy kiedykolwiek pokona koszmary, zawsze atakujące ją z rosnącą intensywnością w miarę, jak zbliżała się rocznica dnia, który na zawsze odmienił jej życie?

Nie.

Musiała to zrobić. Teraz.

Val znowu złapała za uchwyt szuflady i mocno pociągnęła. Drewno zapiszczało w proteście, ale szuflada się wysunęła. Val zastygła na chwilę w bezruchu, jednak Margaret nadal spokojnie chrapała. Cóż, było jak zawsze. Matka zdawała sobie sprawę z nocnej aktywności córki tak samo jak osiemnaście lat wcześniej. Czyli wcale.

Kiedy szuflada była otwarta do połowy, Val wsunęła do niej rękę i przesunęła palcami w odległy róg.

Przez ułamek sekundy zdawało się jej, że tego, czego szuka, już tutaj nie ma, i szybciej zaczęła błdzić ręką we wnętrzu szuflady. Lecz nagle jej dłoń dotknęła znajomego cylindra i Val zamknęła czy.

Przez tyle lat nikt tego nie ruszył. Było ukryte. W ciemności. Widziane ostatni raz właśnie przez nią, dawno temu, kiedy to tutaj chowała.

A może byłoby lepiej, gdyby jednak ktoś odkrył jej sekret i kazał naprawić straszliwy błąd? Może gdyby ją złapano na złym uczynku i ukarano, zdołałaby znaleźć drogę do rozgrzeszenia już wiele lat temu? Już dawno uwolniłaby się od poczucia winy, które ciąży na niej od tak dawna?

A jednak nie mogła zmienić przeszłości. Była tylko w stanie mierzyć się z terażniejszością.

Walcząc z własnym strachem, Val wyciągnęła z szuflady niewinny brązowy cylinder z tektury, w którym kiedyś był woskowany papier.

Teraz znajdowało się w nim coś znacznie cenniejszego.

Val przycisnęła cylinder do piersi i podeszła do krzesła przy oknie. Kiedy wsuwała palce do cylindra, jej dłoń drżała. Po chwili wyciągnęła pojedynczą kartkę papieru. Była zwinięta w ciasną tulejkę. Val ostrożnie rozprostowała ją i położyła obok siebie, na wyblakłym, kiedyś jaskrawym, kwiecistym obiciu krzesła. Pożółkły papier zaprotestował, cicho trzeszcząc.

To dla niego wróciła do Waszyngtonu. Na przestrzeni wielu mil i lat tragiczna pomyłka, jaką popełniła, wisiała nad nią niczym cień, oczekując na jej powrót. Nadszedł czas, żeby się z nią zmierzyć. Pogodzić się z przeszłością. Zrobić krok do przodu.

Przeznaczenie było jasne.

Znacznie trudniejsza zdawała się jednak droga ku niemu.

I chociaż opiekowanie się matką nie zapowiadało się na proste zajęcie, z pewnością było drobnostką w porównaniu z czekającymi Val zmaganiem o odkupienie.



- Chce mi pan wmówić, że cały ten paraliż istnieje tylko w mojej głowie? - Scott wpatrywał się w postać w białym fartuchu, zasiadającą za ogromnym biurkiem z drewna orzechowego.

Palce aż świerzbiły go, by pociągnąć za sznur przy żaluzjach okiennych za mężczyzną w kitlu i wyjrzeć na majowe słońce, słabo sącające się pomiędzy nimi, jednak zapanował nad tym odruchem.

- Nie. Nerwy w twojej ręce zostały poważnie uszkodzone. W swoim czasie, jeśli będziesz kontynuował ćwiczenia, które zlecił fizjoterapeuta, nastąpi duża poprawa. Nie jest wykluczone, że w przyszłości odzyskasz całkowitą sprawność w tej ręce, jeśli tego zechcesz.

Scott zmrużył oczy.

- Co to ma znaczyć? Uważa pan, że chciałbym spędzić w takim stanie resztę życia? - Uniósł lewą rękę i bezskutecznie spróbował poruszyć palcami.

- Widzisz, wcale nie chodzi o twoje świadome zamiary, ale o traumę, zarówno psychiczną, jak i fizyczną, jakiej doświadczyłeś w wyniku wypadku. - Siwowłose lekarz pochylił się ku pacjentowi. - Straciłeś coś więcej niż władzę w lewej ręce, Scott. Straciłeś dwójkę przyjaciół. Straciłeś przyszłość, na którą byłeś przygotowany. Straciłeś marzenie, na którym koncentrowałeś się od... dziesięciu, piętnastu lat? Kiedy twoja ręka będzie zdrowa... dopiero wtedy... będziesz musiał przystąpić do odbudowywania swego życia. Będziesz musiał podjąć decyzje dotyczące przyszłości i je realizować. Chociaż nawet wtedy niekoniecznie będziesz już na to gotowy.

- Nie wiedziałem, że jest pan psychologiem, doktorze.

Jeśli sarkastyczny ton uraził lekarza, ten nie dał tego po sobie poznać. Usiadł wygodniej w fotelu i przez chwilę bębnił palcami po biurku.

- W mojej pracy można naprawdę wiele się dowiedzieć o tym, co kieruje postępowaniem ludzi. Jednak zawodowy psycholog potrafi wnikać do twojego umysłu znacznie głębiej niż ja.

Scott milczał przez długą chwilę.

- Uważa pan więc, że powinienem się spotkać z psychoanalitykiem?

- Wiele przeszedłeś. Profesjonalna rozmowa na ten temat bardzo by ci pomogła.

- A co z moimi bólami głowy? Czy one także istnieją tylko w mojej wyobraźni?

- Nie. Miałeś poważne wstrząśnienie mózgu. Z biegiem czasu bóle głowy zanikną, jednak zanim to nastąpi, mogą minąć długie miesiące. Jak często ci się przytrafiają?

- Codziennie.

- W skali od jednego do dziesięciu, zakładając, że dziesięć to granica omdlenia, jak silne są najgorsze bóle?

- W tej skali osiągają osiem, czasami dziewięć stopni. Doktor pochylił się nad biurkiem i przysunął do

siebie bloczek z receptami. Napisał kilka słów, wydarł receptę i podał ją Scottowi.

- To powinno pomóc — powiedział. Następnie zapisał coś na kolejnej receptce i również ją podał pacjentowi. -Jeśli zdecydujesz się na spotkanie z psychologiem, masz tutaj nazwisko takiego, który powinien ci pomóc.

Po krótkim wahaniu Scott odebrał kartkę i wsunął ją do kieszeni.

- Dzięki.

Bawiąc się długopisem, lekarz uważnie popatrzył na Scotta.

- Odnoszę wrażenie, że nie zamierzasz do niego zadzwonić, co?

- Wolałbym przejść przez tę traumę samodzielnie.

- Zapamiętaj, przyznaję, że czasami potrzebujemy pomocy, żeby przebrnąć przez wyzwania, jakie życie rzuca nam pod nogi, nie jest oznaką słabości.

- Wezmę to pod uwagę.

Doktor wstał z fotela z ciężkim westchnieniem i wyciągnął rękę.

- Zadzwoń do mnie, jeżeli czegokolwiek będziesz potrzebował przed terminem kolejnej wizyty.

Scott potrząsnął dłonią lekarza.

- Dziękuję.

Wyszedł z gabinetu i skierował się do windy. Każdy krok, który stawiał na posadzce, sprawiał, że boleśnie pulsowały mu żyły na skroniach. Po drodze zerknęła ku niemu z ukosa atrakcyjna dwudziestokilkulatka w fartuchu laboratoryjnym, jednak nawet się za nią nie obejrzał. Wszedł do windy i drzwi zamknęły się za nim. Dawniej natychmiast by się zainteresował taką dziewczyną. Na pewno postarałby się, żeby zwróciła na niego większą uwagę. Przez całe życie uprawiał różne dyscypliny sportu i przestrzegał zasad racjonalnego odżywiania, dlatego niewiele osób było w stanie odgadnąć, że ma już trzydzieści osiem lat. Do poderwania laborantki wystarczyłyby mu uśmiech i miła rozmowa.

Teraz jednak nie miał ochoty na randki.

Właściwie to miał ochotę na bardzo niewiele rzeczy.

Wyszedł z windy i otaksował wzrokiem hol.

Niemal natychmiast zauważył matkę. Dorothy Wal-

ker zawsze wyróżniała się w tłumie. Nie przypominała żadnej innej spośród znanych Scottowi sześćdziesięcioletnich kobiet. Była szczupłą, niską, miała starannie uczesane siwe włosy. Ubrana w dzinsy, energiczna, mogła z łatwością uchodzić za osobę młodszą o dobre dwadzieścia lat.

Scott obserwował jej ożywioną twarz. Dorothy właśnie piła kawę i rozmawiała z młodą matką, która kołysała na kolanie dziecko. Kiedy niemowlę złapało ją za palec, Scott dostrzegł, jak łagodnieje jej twarz i mocniej zabiło mu serce. Z pewnością byłaby wspaniałą babcią. Tymczasem jego pasją zawsze była muzyka, a w nomadycznym stylu życia nie było miejsca na małżeństwo.

Jeśli Dorothy była z tego powodu rozczarowana, nigdy nie dała tego po sobie poznać. Postępowała tak, jak należało się po niej spodziewać: odgrywała rolę zastępczej babci w lokalnym ośrodku opieki dziennej nad dziećmi. Taka właśnie była jego matka. Zawsze skora do pomocy osobom, które jej potrzebowały.

Żałował, że nie odziedziczył po niej tych skłonności.

Ruszył w jej kierunku, ostrożnie stawiając poszczególne kroki, żeby zmniejszyć pulsowanie w skroniach. Z trudem przełykał ślinę. Był zgorzkniały i zniechęcony do życia. Może jeszcze kiedyś słodycz powróci do jego świata? Może czarne chmury się rozplyną i powróci do niego optymizm?

Na razie nie miał na to nadziei.

Matka zauważyła go. Szybko pożegnała młodą kobietę, wstała i wyszła mu naprzeciwko.

— Wszystko w porządku? - Położyła dłoń na jego ramieniu. Wyraz zaniepokojenia na jej twarzy współgrał z tonem głosu.

- Tak. Lekarz powiedział, żebym nadal wykonywał wszystkie ćwiczenia, a bóle głowy w moim stanie to rzecz normalna. Zapisał mi środki przeciwbólowe.

Scott wyciągnął z kieszeni dzinsów receptę i podał ją matce.

Dorothy przeczytała kartkę i ze zdziwieniem zmarszczyła czoło.

- Widzę tu tylko jakieś imię i nazwisko. Doktor Lawrence Matthews. Podał jej kartkę z nazwiskiem psychologa. Wspaniale!

- Przepraszam. - Odebrał kartkę matce i znowu sięgnął do kieszeni. - Myślisz, że zrealizujemy receptę tutaj, na miejscu?

Zaczął odczuwać drobne, ostre ukłucia na całej czaszce. Wiedział, że za kilka chwil przerodzą się w przenikliwy ból głowy. Jaskrawe światła w holu szpitalnym mogły jedynie przyśpieszyć ten proces.

- Jasne. Widziałam aptekę w korytarzu. - Dorothy wzięła receptę i podprowadziła syna w kierunku krzesła. - Poczekaj tu. - Scott sięgnął po portfel, jednak przytrzymała mu rękę. - Rozliczymy się w domu. Siadaj.

Jej dziesięciominutowa nieobecność minęła Scottowi we mgle bólu. Wreszcie Dorothy wróciła - z buteleczką tabletek i napełnionym wodą papierowym kubkiem. Jednak do tego czasu ból w jego głowie rozgorzał w pełni, a podsycala go nawet tak prosta czynność jak wytrząśnięcie pigułek z buteleczki. Połknął kilka, popijając jednym długim łykiem, po czym matka odebrała mu kubek z drżącej dłoni.

- Chyba nie najlepiej z tobą - powiedziała. Po tym, jak przytaknął, ledwie dostrzegalnym ruchem głowy, ujęła go pod rękę. - Chodź. Przyprowadzę samochód.

Nie protestował. Ból dochodził do najwyższego poziomu w dziesięciostopniowej skali doktora. W tej chwili boles'nie pulsowało każde naczynie włoskowate w jego głowie. Właściwie pragnął tylko się położyć, nieważne gdzie.

Tymczasem musiał znieść długą drogę powrotną z St. Louis do Waszyngtonu.

Praktycznie przez cały czas milczał. Kiedy wyjechali z centrum miasta, matka zadała mu tylko jedno pytanie:

- Scott, kto to taki, ten doktor Matthews? Ani nie uniósł głowy, ani nie otworzył oczu.

- Psycholog.

Poczuł na sobie jej badawczy wzrok.

- Chyba powinieneś z nim porozmawiać.

- Nie jestem wariatem.

- Nie, ale samo życie bywa szalone. Czasami trudno się z nim mierzyć bez pomocy.

- Ty zawsze dawałaś sobie radę sama. Nawet po śmierci taty.

- Nigdy sama nie byłam. Na każdym kroku pomagał mi Bóg.

Szcześciara. Bo chociaż jego własne relacje z Wszechmogącym nie osłabły, kiedy kroczył trudną drogą do sukcesu, wątpił, żeby przetrwały w dobrym stanie w obliczu bezsensownej tragedii, która trzem osobom odebrała życie i zniszczyła wszystkie jego marzenia.

- Chcesz powiedzieć, że ludzie wiary nigdy nie potrzebują pomocy ludzi?

Właściwie nie obchodziło go, co odpowie matka, ale nie chciał też być niegrzeczny po tym wszystkim, co dla niego zrobiła.

- Nie. Bóg często używa czynników zewnętrznych, żeby wskazać nam drogę, kiedy się zagubimy.

- To by nic nie pomogło, mamó. Uwierz mi.

Na kilka sekund w samochodzie zapanowała cisza.

- Wiem, że twój świat wydaje się w tej chwili bardzo mroczny, ale wiem także, że słońce zaświeci dla ciebie znowu. Wierzę, że pewnego dnia znowu zagrasz na saksofonie, tak dobrze, jak przed wypadkiem. Albo jeszcze lepiej.

Zamiast odpowiedzieć, Scott jeszcze mocniej zacisnął oczy.

Nie miał nastroju na wysłuchiwanie bezsensownych pocieszeń.

Trzymając rękę na drzwiach lodówki, Val westchnęła, wpatrując się w jej zawartość. Jak to możliwe, że w domu jest tak mało zdrowego i treściwego jedzenia? Na półkach leżały konserwy, tłuste mięso albo przetwory nafaszerowane cukrem. Matka nigdy nie odżywiała się należycie, jednak wraz z wiekiem jej przyzwyczajenia w tym zakresie sięgnęły dna.

Szybka wyprawa do sklepu spożywczego po podstawowe produkty znalazła się na czele listy czwartkowych zajęć Val - zaraz po pierwszym seansie zajęć fizjoterapeutycznych z matką.

Zamknęła lodówkę i otworzyła zamrażalnik. Uznała, że kiełbaska i kanapki z jajkiem będą dla Margaret najlepszym daniem na śniadanie. Sama zamierzała zjeść jakieś pełnoziarniste pieczywo - bajglą, ciepłą bułeczkę albo kromkę chleba.

Nic z tego. Miała do dyspozycji jedynie biały chleb.

A sok ananasowy w lodówce był zdecydowanie za słodki.

Cóż, śniadanie będzie kiepskie.

Kiedy już wydostała matkę z łóżka i doprowadziła do stołu, poczuła się, jakby przepracowała cały dzień. Zaczęła odczuwać nieprzespaną noc. Cóż, niekoniecznie potrzebowała pełnych ośmiu godzin snu, jednak ze trzy na pewno by się przydały.

Wyciągnęła z kuchenki mikrofalowej posiłek, który przygotowała dla matki, postawiła talerz przed nią na stole, a sobie naląka kawę do filiżanki. Miała nadzieję, że zastrzyk kofeiny trochę ją wzmocni.

- To całe twoje śniadanie? - Margaret z dezaprobatą popatrzyła na filiżankę.

- Raczej nie jadam śniadań.

- Jesteś zbyt chuda. Przecież w domu jest mnóstwo jedzenia. Zjedz coś.

- Kawa mi wystarczy. - Val oparła się biodrem o stół i popatrzyła na zegarek. - Według planu, który zostawiła Karen, o dziewiątej powinnaś rozpocząć ćwiczenia z terapeutą. Ubierzemy się.

Jej matka zacisnęła usta w upartym grymasie.

- Nigdzie nie pójde.

- Przykro mi, ale takie jest zalecenie lekarzy.

- To strata czasu. Ćwiczę i będę ćwiczyć sama w domu. Będę wykonywać takie ćwiczenia, jakie mi pokazali w szpitalu. I w końcu sama dojdę do siebie.

- „W końcu”, mamó, to znacznie za późno. Fizjoterapia przyspieszy proces rekonwalescencji.

- A ty będziesz mogła wcześniej wrócić do Chicago? Val upiła łyk kawy i odpowiedziała spokojnie:

- Mam wolne całe lato, jeśli nie liczyć kilku sesji fotograficznych. Zamierzam tu zostać tak długo, jak długo będę potrzebna. Chcę jednak, żebyś była w dobrym zdrowiu znacznie wcześniej, nim będę musiała wyjechać.



- I przypuszczam, że potem nie zobaczymy cię tutaj przez kolejny rok albo dwa? — Margaret szurnęła talerzem i zrobiła obrażoną minę.

— Być może. Prowadzę bardzo intensywne życie. Bez pośpiechu upiła kolejny łyk kawy. Dzięki Bogu

już dawno temu nauczyła się nie okazywać, jak mocno uwagi matki zachodzą jej za skórę. Między innymi dzięki temu wciąż pozostawała przy zdrowych zmysłach. Szkoda, że Karen nie opanowała tej samej umiejętności.

— Twoja siostra też bywa zajęta, a jednak znajduje dla mnie czas.

Rzeczywiście. Karen zawsze była córką doskonałą. Zmaganie się z tym ideałem nie miało sensu.

Val odeszła od stołu i zmieniła temat rozmowy.

- Wybierzmy jakieś wygodne ubranie dla ciebie -powiedziała.

Bez większej pomocy ze strony matki Val ubrała starszą kobietę, zaprowadziła do samochodu i mając jeszcze kilka minut zapasu, dowiozła ją do centrum terapii medycznej. Już w tym drugim dniu pobytu u matki czuła wielkie psychiczne zmęczenie. Jak dawała sobie z nią radę Karen? Przecież miała z Margaret naprawdę urwanie głowy. A musiała jeszcze chodzić do pracy, zajmować się dorastającą córką, no i pokonywać wszelkie trudności, jakim charakteryzuje się życie kobiety po rozwodzie.

Kiedy weszły do poczekalni, Val stłumiła w sobie poczucie winy. Miała go już serdecznie dosyć.

Gdy zajęły miejsca na krzesłach, Margaret przyjęła do niej szklanke wody i zaczęła oglądać kolorowe magazyny. Pierwsze dwa, które podała jej Val, jedynie odepchnęła, uznając, że są to „śmieci”.

Minęły zaledwie dwie minuty i w poczekalni zjawił się mężczyzna o płowych włosach. W ręce trzymał tekturową podkładkę z dokumentami.

- Margaret Montgomery? Żadnej szansy na chwilę oddechu.

- Tutaj!

Val uniosła rękę i wstała, chcąc pomóc matce. Chociaż trenowała na siłowni i uprawiała fitness, zajmowanie się matką było dla niej o wiele łatwiejsze w duecie z Karen. Wciąż zmagala się z Margaret, chcąc ją postawić na nogi, gdy mężczyzna, który wcześniej ją wywołał, stanął po drugiej stronie kobiety, przychodząc z pomocą.

- Pozwoli pani, że pomogę. - Zerknął na Val ponad głową jej matki.

Wbrew sobie popatrzyła mu w oczy.

Miał najbardziej zielone oczy, jakie w życiu widziała.

I ten mały dołeczek w prawym policzku...

- Podnieśmy ją na trzy, dobrze?

Val odchyliła głowę, chcąc ukryć lekkie zaczerwienienie, jakie pojawiło się na jej twarzy.

- Dobrze - powiedziała.

Chociaż włożyła w unoszenie matki wszystkie swoje siły, właściwie to mężczyzna wziął na siebie cały ciężar tej operacji. Pod koszulką z krótkimi rękawami widoczne były jego imponujące bicepsy.

Kiedy Margaret stanęła na nogi, mężczyzna posłał Val radosny uśmiech.

- Misja zakończona.

- Dzięki.

- Nie ma problemu. — Teraz mężczyzna skierował całą uwagę na Margaret. Wyciągnął do niej rękę. - Mar-

garet, nazywam się David Phelps. Będę z panią współpracował przez kilka najbliższych tygodni.

- Bardzo mi miło. - Margaret potrzęsnęła jego ręką. - To jest moja córka, Val.

Mężczyzna znów się do niej uśmiechnął.

- Miło mi cię poznać. Pozostaniesz z nami w trakcie sesji?

- Mogłabym, ale miałam nadzieję, że zrobię w tym czasie trochę zakupów w sklepie spożywczym.

- Przecież w domu jest mnóstwo jedzenia. - Margaret popatrzyła na nią surowo ponad oprawkami okularów.

- Pewnych rzeczy jednak brakuje.

- Nie ma problemu. Margaret i ja doskonale damy sobie radę we dwoje. Prawda, Margaret? - Mężczyzna obdarzył starszą kobietę czarującym uśmiechem.

Policzki Margaret przybrały żywszą barwę i kobieta mimowolnie poprawiła fryzurę.

- Tak, przypuszczam, że damy sobie radę. Idź, Val, jeśli musisz. Widzę, że jestem w dobrych rękach.

Co za łaska!

Val podniosła z krzesła torebkę.

- Jeśli więc nie masz nic przeciwko temu, wrócę za godzinę.

- Doskonale. - David ujął jej matkę pod ramię. -Kiedy skończymy dzisiejszą sesję, chciałbym z obiema paniami porozmawiać przez chwilę na temat zasad naszej terapii. - Z kolei zadał pytanie Margaret: - Masz może własny chodzik?

- Nie. Przecież nie jestem inwalidą! Mam tylko kule... i mam nadzieję, że nie będą mi potrzebne zbyt długo.

- Cóż za zdecydowanie. Gdybym miał więcej takich pacjentek jak ty, wkrótce straciłbym pracę.

Lizus - tylko takie słowo przychodziło Val do głowy, kiedy patrzyła, jak jej matka reaguje na Davida. Niebywałe.

- Idź już. - Margaret po królewsku zbyła ją machnięciem ręki. - Zobaczymy się później.

Val pospiesznie wyszła na zewnątrz. Bała się, że matka w ostatniej chwili zmieni zdanie.

W pełni wykorzystała darowaną godzinę. W kolejce do kasy wypłała mały karton jogurtu, potem wstąpiła jeszcze do znajdującej się obok sklepu spożywczego kawiarni na kawę z mlekiem, a poza tym kupiła mnóstwo owoców i warzyw, chleb pełnoziarnisty oraz tyle chudego mięsa, żeby wystarczyło do końca tygodnia.

Kiedy po niecałej godzinie wróciła do centrum terapeutycznego, czuła się w miarę zrelaksowana.

Akurat zaczęła czytać jakiś kolorowy magazyn w poczekalni, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich David. Mężczyzna skinął na nią grzecznie, przywołując ją do siebie.

- Jak minęła sesja? - zapytała Val.

David przepuścił ją, żeby pierwsza przekroczyła próg. Miał nienaganne maniery.

- Spędziliśmy bardzo owocną godzinę. Twoja matka zgodnie ze mną współpracuje i ma w sobie wiele energii.

Val przychodziło do głowy mnóstwo przymiotników, które mogłyby opisać matkę. Nie było jednak wśród nich ani słowa „zgodna”, ani „energiczna”.

- Jeśli mama już sobie coś postanowi, to potrafi być bardzo uparta w dążeniu do celu. - Nic grzeczniejszego, co nie ocierałoby się o kłamsrwo, Val nie potrafiła wymyślić.

- To doskonała cecha, przynajmniej biorąc pod uwagę okoliczności. - David zamknął za nią drzwi.

- Prawda. Ale, szczerze mówiąc, jestem trochę zaskoczona. Przecież przywlokłam ją tutaj niemal na siłę.

- Wielu pacjentów z początku tak się zachowuje. Częścią naszej pracy jest uświadamianie im wartości terapii i uzmysławianie, że znacznie przyspiesza ona powrót do zdrowia.

Takie argumenty z pewnością działały na większość ludzi, Val była jednak zaskoczona, że poddała się im również matka. Szybszy powrót do zdrowia oznaczał przecież mniejszą władzę nad córkami. Znaczył tyle, że córki nie będą musiały ciągle jej poświęcać tyle samo uwagi - a Margaret lubiła, kiedy wokół niej skakano, czy była zdrowa, czy chora. Niby dlaczego dwadzieścia lat temu, po śmierci taty, sprzedała samochód? Przecież mogła zrobić prawo jazdy i byłaby bardziej niezależna; przecież miała wtedy zaledwie pięćdziesiąt lat. Ale nie. Wołała, żeby inni ludzie ją wozili albo użalała się nad sobą, kiedy ludzie nie mogli - lub nie chcieli - jej podwozić. To współczucie sobie samej przerodziło się w kompleks udęconej męczennicy, który starannie w sobie pielęgnowała.

- Widzę, że reagujesz dość sceptycznie - powiedział David i lekko przekrzywił głowę, spoglądając badawczo na Val.

Rzeczywiście, był bardzo spostrzegawczy.

- Wręcz przeciwnie. Podziwiam twoje umiejętności perswazji.

- Nie zapomnij też o moim uroku osobistym.

Ta uwaga mogła sobie być zaledwie żartem, jednak David naprawdę był czarujący. Val doskonale rozumiała, dlaczego matka dała mu się zauroczyć. Rzecz jasna, nie

był w typie Val. Jak dla niej, za bardzo sprawiał wrażenie faceta z żurnala i po prostu zachowywał się zbyt po amerykańsku.

Poza tym nie miała ochoty na żaden romans.

- Dołączmy do twojej matki, dobrze? Trzecie drzwi po prawej stronie.

Ruszył przodem, a Val podążyła za nim. Kiedy tylko znalazła się w niewielkim gabinecie, usiadła na krześle obok matki. David zajął miejsce za małym biurkiem.

- Myślę, że dobrze mi poszło - powiedziała Margaret.

- Tak słyszałam.

- Margaret sprawiła, że dobrze rozpocząłem pracę w nowym miejscu.

- David obdarzył starszą kobietę szerokim uśmiechem. - Mam nadzieję, że to doskonały znak na przyszłość.

- Doskonale dasz tu sobie radę. - Margaret pochyliła się i poklepała go po dłoni. - David właśnie się tutaj przeprowadził z St. Louis. Jestem jego pierwszą pacjentką w Waszyngtonie. Postanowił się wyprowadzić z wielkiego miasta. - Zmarszczyła czoło i popatrzyła na Val. - Są ludzie, którzy doceniają uroki życia w małych miasteczkach!

David popatrzył na matkę, następnie na córkę i zmienił temat rozmowy.

- Margaret, dostaniesz ode mnie kilka kartek z opisem ćwiczeń, jakie dzisiaj wykonywaliśmy. Val, chciałbym, żebyś także zrozumiała ich znaczenie i cel, ponieważ będziesz nadzorować program rehabilitacji matki w domu.

Przez kolejnych kilka minut wyjaśniał obu kobietom program ćwiczeń, jaki ułożył dla pacjentki. Kiedy skończył, włożył kartki do tekturowej teczki i podał ją Val.

- Jakieś pytania?

- Wszystko brzmi bardzo prosto.

- Margaret? A ty?

- Mam tylko nadzieję, że Val nie będzie nadmiernie wymagającym domowym terapeutą. - Margaret lekko pociągnęła nosem i rzuciła w kierunku córki ponure spojrzenie.

- Dobry trener nakazuje podopiecznym przekraczać granice. Na tym polega ta praca. Zresztą sama się dzisiaj o tym przekonałaś. Myślę, że z Val będziesz sobie dawać radę równie dobrze jak ze mną. W każdym razie na wtorek poproszę dokładny raport z przebiegu ćwiczeń w domu.

- Moglibyśmy jeszcze powtórzyć to ćwiczenie z palcem? Obawiam się, że nie do końca wiem, jak je wykonywać.

- Jasne.

David zajął się Margaret, a tymczasem Val rozejrzała się po jego gabinecie. Na wszystkich ścianach wisiały dyplomy i certyfikaty, a półka za biurkiem pełna była książek z zakresu medycyny i fizjoterapii. Stały na niej również dwie fotografie w ramach. Jedna przedstawiała Davida w towarzystwie ślicznej blondynki, trzymającej na rękach dziecko. Na drugiej znajdowała się jasnowłosa dziewczynka w wieku mniej więcej pięciu lat; miała -podobnie jak David - wesołe zielone oczy i ujmujący uśmiech. Była prześliczna.

Mała, śliczna dziewczynka, jakiej Val nigdy nie będzie miała.

- Val! Jestem gotowa!

Val drgnęła, ale szybko powróciła do rzeczywistości.

- Przepraszam. Podziwiałam fotografię tej dziewczynki. To twoja córka?

- Tak. Victoria. Ma pięć lat.

- Co za urocze dziecko! - Margaret założyła okulary, żeby lepiej przyjrzeć się dziecku. - Co za anielska buzia!

David lekko skrzywił usta.

- Niech cię nie zmyli jej twarz. Czasami Victoria naprawdę potrafi zajść za skórę.

- Coś wiem na ten temat. - Margaret wydała ciężkie westchnienie udęczonej matki. - Przecież sama wychowałam dwie córki.

- I chyba jesteś usatysfakcjonowana, podobnie jak ja? Victoria jest błogosławieństwem mojego życia. Myślę, że podobnie myślisz o swoich dzieciach? - Nie dając Margaret szansy na odpowiedź, David wstał z krzesła. - Cóż, przepraszam, ale czekają na mnie kolejni pacjenci. - Obszedł biurko i razem z Val pomógł Margaret wstać. - Dzwoncie do mnie, jeżeli przed kolejną sesją będziecie miały jakieś pytania.

Wypowiadając ostatnie słowa, otworzył jednocześnie drzwi gabinetu.

- Na pewno będziemy dzwonić. - Margaret mocno ścisnęła ramię córki.

Val podała rękę Davidowi.

- Jeszcze raz dziękuję.

Przez moment patrzyli sobie w oczy i Val natychmiast ogarnęło bardzo dziwne uczucie. Odniosła wrażenie, że David spogląda jej prosto w serce, za nic mając okazywane przez nią pozory obojętności, i dostrzega w jej wnętrzu znacznie więcej, niż chciałaby, żeby zobaczył. Co gorsza, kiedy jego długie palce mocno zacisnęły się na jej dłoni, poprzez ten uścisk mężczyzna jakby przemawiał: *Zależy mi na tobie. Możesz mi zaufać. Jestem tutaj tylko dla ciebie.*

Mowa-trawa. Co w nią dzisiaj wstąpiło?



A jednak wrażenie jej nie opuszczało... David miał niewątpliwą charyzmę. Może łąpały się na nią także inne kobiety? Jeśli tak, David posiadał niezwykle przydatny w jego zawodzie dar. Przecież bez przerwy musiał motywować pacjentki i sprawiać, żeby swoim zachowaniem przekraczały granice, które zdawały się im nieprzekraczalne.

Szkoda, że był żonaty.

Chociaż i tak nie miało to znaczenia. Nawet, gdyby był wolny, Val nie mogła tego powiedzieć o sobie.

Z pewnym wysiłkiem Val wysunęła dłoń z jego dłoni i zaraz ujęła matkę pod ramię. Jeszcze raz uchwyciła spojrzenie Davida, kiedy otwierał przed nią drzwi do poczekalni. Potem przez chwilę obserwował obie kobiety z progu. Wreszcie uniósł rękę w geście pożegnania, cofnął się do gabinetu i zamknął za sobą drzwi.

Symbolika tego prostego ruchu odbiła się w Val rezonansem.

Zamknięte drzwi mogły stanowić kanwę dla całej historii jej życia.

I poza sobą nikogo nie mogła za to winić.

David oparł się o drzwi i głęboko odetchnął. Oczywiście, czekała już na niego kolejna pacjentka. To była prawda. Najpierw jednak chciał sporządzić notatki po sesji z Margaret, a potem uporządkować myśli.

Ponieważ te ostatnie minuty były bardzo interesujące i... intrygujące.

Nie chodziło bynajmniej o Margaret. Łatwo było ją przejrzeć. Miał przed sobą mistrzynię w manipulowaniu ludźmi. David jednak miał doświadczenia z tyłoma

pacjentkami jej pokroju, że doskonale wiedział, jak sobie z nią poradzić.

Zupełnie inaczej wyglądała sprawa z jej córką. Pod jej gładką maską znajdowało się wiele różnorodnych warstw, mnóstwo podwodnych prądów pod pozornie spokojną powierzchnią niewielkiej sadzawki. Dostrzegł w niej zawłość, cienie i skrupulatnie skrywane zakamarki, starannie zasłonięte za śliczną buzią i wspaniałym ciałem.

Te zakamarki były ukryte bardzo *bezpiecznie* — właśnie takie słowo przyszło mu do głowy. Gotów był postawić wiele pieniędzy na to, że większość ludzi da się zwieść fizycznej urodzie Val i niczego innego w niej nie dostrzeże. Nigdy nie spróbują zajrzeć głębiej. Dotyczyło to także jej matki.

Oderwał się wreszcie od drzwi i podszedł do biurka. Usiadł i wyciągnął z kieszonki długopis. Zaczął nim kulać po całym biurku; jakoś nie miał w tej chwili głowy do sporządzania profesjonalnych notatek.

Margaret wspomniała o pracy Val w teatrze i na wybiegach dla modelek - nic zatem dziwnego, że jej córka poruszała się z gracją i elegancją. Nic też dziwnego, że język jej ciała sugerował pewność siebie i mówił po prostu, że kobieta doskonale panuje nad swoim losem i doskonale zna swoje miejsce na ziemi.

A jednak jej melancholijne oczy mówiły zupełnie coś innego, szczególnie wtedy, gdy wpatrywała się w zdjęcia stojące na półce za biurkiem.

David odwrócił się na krześle i popatrzył na fotografię rodzinną; jak zwykle w takich momentach, jego serce zabiło ciężko i gwałtownie. Może nie do końca zrozumiał reakcję Val na jej widok, rozumiał jednak smutek, jaki rodzi tęsknota za czymś zupełnie nieosiągalnym.

On, Natalie i Victoria wyglądali na idealną rodzinę. A jednak czegoś tej fotografii brakowało. Kiedy Natalie trzymała Victorię na ramionach, w tych pierwszych wspólnych latach, na jej twarzy brakowało tego nadzwyczajnego, łagodnego wyrazu, jaki David dostrzegł na twarzy Val przed kilkoma minutami.

Oczywiście, Natalie kochała Victorię, na swój sposób. David nigdy w to nie wątpił. Tyle że nie była to taka miłość do wspólnego dziecka, jakiej spodziewałby się po swojej żonie. I, oczywiście, była to zupełnie inna miłość niż ta, którą czuł on sam. Dla niego każdy dzień z najdroższą córką był bezcennym darem.

Jego spojrzenie powędrowało na fotografię Victorii. Miał uroczą córkę i tylko bardzo niewielu ludzi potrafiło nie poddać się jej urokowi. Pacjenci, pacjentki i współpracownicy wielokrotnie mu powtarzali, że mając taką śliczną córkę, jest wielkim szczęściarzem.

Chociaż Val raczej w jego gabinecie milczała, pozostawiając słowa swojej matce, jej oczy mówiły naprawdę wiele. Kiedy patrzyła na fotografię, była w nich wyraźna tęsknota. To zrozumiałe, gdyż Victoria zawsze wzbudzała instynkty macierzyńskie, w każdej przypadającej się jej kobiecie. Ale skąd brał się w Val ten wielki, chociaż starannie skrywany smutek?

Zachowywała się tak, jakby to, czego pragnęła, znajdowało się bardzo daleko poza jej zasięgiem.

Dlaczego?

Z ciężkim westchnieniem David ponownie odwrócił się przodem do biurka i otworzył teczkę z dokumentami Margaret. Przecież nie mógł brać na siebie wszystkich trosk tego świata, nie mógł rozwiązywać problemów wszystkich ludzi. Natalie zawsze mu o tym przypominała, kiedy brał na siebie zbyt wiele zobowiązań w kościele,

albo gdy przystępował do trudnych projektów, które jednak nie gwarantowały mu pieniędzy. I miała rację.

Cokolwiek gnębi Val, nie mogło to mieć dla niego znaczenia, nie powinien się tym przejmować.

Ponieważ miał dość własnych wyzwań i kłopotów w nowym życiu i w nowym miejscu pracy. Poza tym musiał być przecież i matką, i ojcem dla małej dziewczynki, która kreowała aż nadto własnych problemów.

Było sobotnie popołudnie. Do uszu Karen dobiegł dźwięk zajeżdżającego na podjazd samochodu. Odsunęła firanę w salonie i wyrzła na zewnątrz.

- Kristen, przyjechał twój ojciec.
- Zaraz będę gotowa.
- Spóźnisz się.
- Powiedziałam, że za minutę będę gotowa!

Karen wywróciła oczyma. Po osiemnastu miesiącach miała prawo sądzić, że Kristen wreszcie zrezygnuje z dziecinnej sztuczki. Naprawdę sądziła, że guzdrząc się w pokoju za każdym razem, kiedy przyjeżdżał Michael -zmuszając w ten sposób rodziców do byle jakiej, zdawkowej rozmowy - doprowadzi do ich ponownego połączenia się?

Szlag by to trafił. Przecież Michael nie miał najmniejszej ochoty, żeby wrócić do Karen, a ona sama czuła się w jego towarzystwie co najmniej nieswojo.

Zadzwonił dzwonek przy drzwiach frontowych i Karen wyszła na korytarz. Przyglądała sukienkę, odrobinę poprawiła fryzurę, po czym otworzyła drzwi.

- Cześć, Michael.
- Cześć. - Jak zwykle spojrzał na nią zdawkowo, bez zainteresowania.
- Kristen jest gotowa?
- Prawie. Będzie potrzebowała pomocy; samodzielnie nie da rady wsiąść do samochodu.
- Och, jasne.

Michael spojrzał w kierunku swojego nowiutkiego sportowego auta i wszedł do środka.

Karen otaksowała go szybkim spojrzeniem. Był

nienagannie ubrany — jak zwykle! Kanty jego spodni w kolorze khaki byty ostre jak brzytwa, a oksfordzka koszula starannie nakrochmalona. Nie miało znaczenia, gdzie akurat przebywał - w sali wykładowej na uniwersytecie, na polu golfowym, czy, jak dzisiaj, na szkolnym pikniku, na który właśnie wybierał się z córką - stawiał sobie za punkt honoru, żeby wyglądać olśniewająco. Trzymał się znakomicie, chociaż był od Karen starszy o trzynaście lat. Regularne ćwiczenia na siłowni i długie poranne przebieżki sprawiały, że absolutnie nie wyglądał na swoje pięćdziesiąt jeden lat. Jego wiek nieznacznie zdradzały tylko drobne siwe pasemka wśród brązowych włosów na skroniach. Z ich powodu nie miał już wyglądu młodzieniaszka, ale zarazem dodawały mu one wytworności.

Może właśnie to hm... „dystyngowane” noszenie się sprawiało, że wciąż pociągał młodsze kobiety?

Miła aparycja, stylowe ubrania i okazałe bicepsy nie mogły być jednak usprawiedliwieniem dla niewierności. Nawet jeśli żona miała lekką nadwagę i była raczej prostą Jane niż Jane Russell.

Karen podniosła głowę i trzasnęła drzwiami trochę mocniej, niż to było konieczne.

- Sprawdź, co z Kristen - powiedziała. Właśnie ten moment jej córka wybrała, żeby zjawić

się w salonie. Co za przypadek! A właściwie *żaden przypadek*.

- Cześć, tato. - Głos Kristen zabrzmiał trochę zbyt radośnie. Unikała wzroku matki.

- Cześć, kochanie. - Michael podszedł do córki i mocno ją uściskał. - Widzę, że kolekcjonujesz autografy na swoim pancerzu.

- Tak! Na początku co chwilę przychodzili tu kole-

dzy z klasy i się podpisywali, ale chyba już im to spowszedniało, bo odwiedzają mnie coraz rzadziej.

- Dzisiaj spotkasz się ze wszystkimi. Jesteś gotowa?

- Aha. Mamo, gdzie są moje ciasteczka?

- W kuchni. Zaraz ci je przyniosę.

- Mamy coś ze sobą zabrać? - zapytał Michael, kiedy Karen zniknęła w kuchni.

- Tak. Mama piecze doskonałe ciastka czekoladowe z orzechami!

- Przecież Stephanie mogła coś kupić w piekarni... Najwyraźniej jego młoda, nowa ukochana niezbyt

często zagłada do kuchni. Kristen stłumiła uśmiech. Nic dziwnego, że ojciec jest tak szczupły! Zapewne od dnia, kiedy odszedł od żony, nie jadł porządnego domowego obiadu.

- Domowe słodkości są lepsze. A mama jest w kuchni naprawdę doskonała.

Chociaż było to już i tak zupełnie nie na miejscu, Karen nie mogła nie podziwiać nieustępliwości córki w walce o ponowne połączenie się rodziców.

- Mogłabyś się pośpieszyć, Karen? - zawołał Michael. - Nie chcę, żeby Stephanie długo czekała.

Żadnego słowa podziękowania. Typowe u tego faceta.

W kuchni wyraźnie było słyhać głosy Michaela i Kristen. Pakując ciasteczka, Karen nie miała najmniejszego poczucia winy, że przysłuchuje się ich rozmowie.

- Dlaczego ją zabrałeś?

- Jesteśmy parą, Kristen. Wiele rzeczy robimy razem.

- Ale przecież mieliśmy na ten piknik jechać tylko we dwoje. To miał być czas dla nas, dla ojca i córki.

- Myślałem, że piknik na zakończenie roku szkolnego jest imprezą dla całych rodzin?

- Tak. Ale Stephanie nie ma nic wspólnego z naszą rodziną.
- Wkrótce ona i ja będziemy przecież rodziną.
- Ale na razie nie jesteście!
- Posłuchaj, może sobie nie życzysz, żebyśmy w ogóle tam jechali?

Karen wróciła do salonu i zobaczyła, że ojciec i córka mierzą się wzrokiem.

Wzruszywszy ramionami, Kristen pogodziła się z porażką.

- Cieszę się na ten piknik już od tygodni.
- A więc jedźmy tam i dobrze się bawmy...
- Lepiej byłoby bez Stephanie - mruknęła Kristen, zawiedziona.

Karen podała Michaelowi talerz z ciasteczkami ze słodkim, szerokim uśmiechem.

- Bawcie się dobrze! Wykrzywił twarz.
- Oczywiście. Dzięki.

Uśmiech znikł z twarzy Karen, kiedy popatrzyła na córkę. Kristen już od rana była podekscytowana perspektywą spędzenia całego dnia z ojcem. W ciągu ostatnich kilku miesięcy nie poświęcał jej zbyt wiele czasu - Karen zakładała, że przyczyną była Stephanie. Teraz Kristen z trudem powstrzymywała łzy.

Karen podeszła do córki i uścisnęła ją.

- Przykro mi, kochanie - wyszeptała, kiedy Michael otwierał drzwi.
- To nie będzie to samo - powiedziała Kristen prosto do jej ucha i pociągnęła nosem. - Nic nie będzie takie samo.

Cóż mogła na to odpowiedzieć?



Uściskawszy córkę jeszcze raz, Karen odsunęła się od niej. Michael i Kristen opuścili dom w ciszy. Po chwili kobieta usłyszała odgłos włączanego silnika i samochód zjechał z podjazdu. Zza firanek obserwowała jeszcze, jak Michael wyjeżdża na ulicę.

Stephanie siedziała na fotelu obok kierowcy i wyglądała przez okno, na prawo. Michael patrzył prosto przed siebie, obie dłonie mocno zaciskał na kierownicy. Kristen zajmowała miejsce z tyłu. Obie nogi ułożyła na siedzeniu, ramiona trzymała splecione na piersiach.

Cała grupka nie wyglądała na szczęśliwą rodzinę, zamierzającą wesoło spędzić długie popołudnie.

- Karen? Tu Val. Mogę cię o coś poprosić?

Karen w myślach nakazała sobie ostrożność i mocniej chwyciła telefon, drugą ręką wyciągając naczynia ze zmywarki.

- O co chodzi?

- Po drodze z Chicago mój samochód zaczął wydawać dziwne odgłosy, zaprowadziłam go więc dziś rano do warsztatu. I oczom nie mogłam uwierzyć, bo natknęłam się na Freda. Wciąż tam pracuje! Ma chyba z osiemdziesiąt pięć lat! I od razu powiedział, że w samochodzie trzeba ustawić zapłon, cokolwiek to znaczy. Zawiózł mnie do domu, ponieważ samochód będzie gotowy dopiero późnym popołudniem. Planowałam pojechać do sklepu w czasie drzemki mamy i teraz zastanawiam się, czy mogłabyś mnie podwieźć. W czasie terapii w czwartek zrobiłam najpilniejsze zakupy, ale w kuchni właściwie nic nie ma i trzeba naprawdę sporo rzeczy dokupić.

Wyjrząwszy przez okno, Karen pośpiesznie rozważyła prośbę siostry, obserwując jak słońce bawi się w chowanego wśród gałęzi klonu. W pierwszej chwili chciała odmówić. Wolałaby zostać w domu i w sobotnie popołudnie cieszyć się rzadkimi chwilami świętego spokoju. Z drugiej strony, sama powinna zrobić zakupy do domu. Gdyby nawet pojechała z Val i tak będzie miała jeszcze mnóstwo czasu dla siebie, zanim Michael przywiezie Kristen z pikniku.

- Dobrze. Kiedy chcesz jechać?

- Jak najszybciej. Mama właśnie zasypia. Powinna spać ze dwie godziny.

- Będę u ciebie za dziesięć minut.

- Dzięki. Będę gotowa.

Niekoniecznie. Val zawsze ze wszystkim się spóźniała.

Ale dziewięć i pół minuty później, kiedy parkowała przed domem, jej siostra już stała na progu, elegancka i szykowna jak zwykle. Jej rozwiane, jasne włosy lśniły w słońcu, spod krótkich szortów wystawały smukłe i opalone nogi, a obcisła czarno-biała kamizelka podkreślała jej nieskazitelne kształty.

Karen skuliła się w fotelu za kierownicą i tylko przyglądała dłonią dzinsy na udzie. Cholera, czy stałoby się coś złego, gdyby poświęciła w domu z pięć minut na odświeżenie się? Mogła przecież szybko wyszczotkować włosy, pomalować usta szminką i zmienić ubranie. Ona tymczasem jedynie związała włosy gumką, zrezygnowała z makijażu i wyszła do samochodu w zbyt obcisłych dzinsach i luźnej koszulce, która zamiast ukrywać jej nadmiar kilogramów, tylko je podkreślała.

Tym niemniej próba rywalizowania z Val w kategorii elegancji z góry skazana była na niepowodzenie.

- Hej, bardzo ci dziękuję. - Siostra usiadła obok niej. - Przepraszam, że dałam ci tak mało czasu.

- Ja też muszę zrobić zakupy. - Karen wrzuciła bieg i ruszyła. - Skoro jadę do sklepu dzisiaj, będę mogła sobie tego oszczędzić na początku tygodnia. O tej porze roku mam w firmie mnóstwo pracy, a nienawidzę łażenia po sklepach po długim i ciężkim dniu.

- No właśnie, co słyszeć w pracy?

- Właściwie wszystko w porządku. Minęło trochę czasu, zanim przyzwyczaiałam się do jałowego reżimu przebywania tam od dziewiątej do piątej, jednak praca w biurze czasami bywa interesująca. Poza tym... Nie bez znaczenia jest całkiem dobra wypłata i pewne poczucie niezależności z nią związane. Kilka miesięcy temu nawet dostałam awans! Teraz jestem starszą asystentką w naszym sekretariacie.

Skoro nie mogła rywalizować z siostrą pod względem urody, mogła przynajmniej pochwalić się drobnymi sukcesami w świecie biznesu.

Ku jej zaskoczeniu Val szczerze się ucieszyła.

- To wspaniale! Zawsze byłaś inteligentna. Masz przecież wyższe wykształcenie i w ogóle dziwię się, że na początku starałaś się tylko o posadę sekretarki.

- Miałam niewielkie doświadczenie, a mój nieużywany dyplom liczył sobie już czternaście lat. Uznałam, że na początek stanowisko sekretarki mi wystarczy.

- Tym bardziej cieszę się, że szefowie docenili twój intelekt. Gdybyśmy się zamieniły rolami, ja pewnie wciąż byłabym zwykłą sekretarką.

Karen popatrzyła na nią sceptycznie.

- Raczej w to wątpię.

- Możesz mi wierzyć. Ludzie patrzą na mnie i myślą „tępa blondynka”. Mama nie jest wyjątkiem. Jej zdaniem

zewewnętrzny wygląd jest moją jedyną zaletą. Zawsze mi mówiła, że to ty jesteś tą bardziej inteligentną spośród nas dwóch.

Matka wychwalała ją przed Val?

A to ci dopiero...

Karen mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy.

- Mnie z kolei mawiała, że jesteś prześliczna -zauważyła.

- No proszę, o każdej starała się mówić coś miłego. Resztę drogi przejechały w milczeniu, ale było to

raczej milczenie przyjazne niż pełne napięcia.

Karen dwukrotnie objechała parking, zanim znalazła na nim wolne miejsce, i dopiero potem poszły do marketu. Obie wzięły wózki na zakupy i Karen poprowadziła siostrę w kierunku działu z produktami spożywczymi.

- Jak poszła mamie pierwsza sesja z terapeutą? -Karen wzięła z pierwszej półki worek z frytkami. - Kiedy ją pytałam, odparła tylko, że doskonale.

- Bo tak było. Terapeuta owinał ją sobie wokół palca w ciągu sześćdziesięciu sekund. To było niesamowite. Wyobrażasz sobie potulną i uległą mamę? Albo wręcz w nastroju do flirtu?

Karen niemal się zakrztusiła, zdejmując z kolejnej półki kartonik z ciastkami maślanymi.

- Co?!

- Trudno w to uwierzyć, prawda? David doskonale potrafi dawać sobie z nią radę. Poza tym nie mam z nią żadnych problemów w domu, ponieważ mama za nic w świecie nie chce rozczarować Davida w najbliższy wtorek.

- Żartujesz?!

- Przysięgam, że mówię prawdę! - zaśmiała się Val.

- Chyba wybiorę się do niego na naukę...

- Na nic ci się to nie zda. Tutaj chodzi raczej o męski

urok, chociaż... jeszcze kilka dni temu byłam przekonana, że mama jest na coś takiego całkowicie odporna.

Karen chusteczką starła z palców odrobinę cukru pudru.

- Ile lat ma ten facet?

- Nie wiem. Ma pięcioletnią... No, jest trochę po trzydziestce.

- Przystojny?

- Taką urodą sympatycznego sąsiada.

- A więc nic nadzwyczajnego... - Karen potrząsnęła głową. - No cóż, darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby. Bałam się, że nawet we dwie nie będziemy w stanie zaciągać matki na tę terapię.

- Tymczasem sytuacja jest zupełnie inna. W kwestii terapii mama zachowuje się jak potulna owieczka. - Obejrząwszy główkę brokuł, Val ułożyła ją na dnie wózka. - Opiera się jednak na innych frontach. Na przykład jedzenie... Nie chce jeść niczego, co jej przygotuję.

- Tak, coś mi wspominała.

- Na pewno nie powiedziała ci wszystkiego. - Val zgarnęła z półki pęczek dymki. - Codziennie narzeka na moje jedzenie, a przecież ma wprost potworne przyzwyczajenia, jeśli chodzi o codzienne posiłki. Staram się to zmienić, i to jak najszybciej.

Kiedy Val kontynuowała opowieść o zdrowej żywności, którą przygotowuje matce, i o jej reakcjach na te nowości, usta Karen lekko zadrżały.

- Dziwię się, że nie dostała kolejnego zawału.

- Już jej to nie grozi. Poza tym, jeśli będzie się zdrowiej odżywiać, na pewno zrzuci kilka zbędnych kilogramów. To jej tylko dobrze zrobi, możesz mi wierzyć. Do tej pory za bardzo tyła. Ale powiedz mi, co się dzieje z Kristen? Ma się lepiej?

Kiedy ramię w ramię przemierzały sklepowe alejki, Karen opowiadała Val o córce. W pewnej chwili dotarły do działu z mięsem i owocami morza. Gdy Val wybierała tilapie, Karen przejrzała wzrokiem zawartość jej wózka z zakupami. Siostra kupowała głównie żywność naturalną: chleb pełnoziarnisty, warzywa i owoce; tymczasem jej własny wózek pełen był dań, które należało tylko odgrzać w kuchence mikrofalowej, słonych przekąsek, płatków śniadaniowych i słodczy.

- Myślę, że to właśnie dzięki specjalom, które przygotowujesz dla mamy, jesteś taka szczupła - powiedziała. - Może ja też powinnam zastosować taką dietę?

- Chcesz zrzucić trochę wagi?

- Nie. - Karen wzięła do ręki paczkę mielonej wołowiny. - Chociaż powinnam. W ciągu ostatnich dwóch lat przytyłam dziesięć kilogramów.

- Nic złego by się nie stało, gdybyś zaczęła odżywiać się trochę inaczej. Masz tutaj mnóstwo mrożonej żywności, a w niej pełno soli i węglowodanów - zauważyła Val, pochylając się nad jej wózkiem.

- Ale posiłki z takich półproduktów łatwo się przygotowuje! - zaczęła się bronić Karen. - A ja nie mam czasu na przyrządzanie wyszukanych kolacji...

- Ja też nie mam na to czasu! Mam za to w repertuarze szybkie i zdrowe posiłki, a wśród nich niezmiernie smaczne chińskie specjały. Jeśli tylko zechcesz, z wielką chęcią udostępnię ci przepisy.

Karen zważyła w ręce paczkę z mieloną wołowiną i włożyła ją do wózka.

- Wiesz co? Z lat, kiedy dorastałyśmy, nie pamiętam, żebyś dużo czasu spędzała w kuchni.

- Bo prawie do niej nie zaglądałam. Mama nie uczyła mnie przyrządzania domowych posiłków. Raczej

się spodziewała, że zostanie gwiazdą na Broadwayu i będę miała mnóstwo służących na każde skinienie. - Val zaczęła pchać wózek w kierunku wyjścia.

- Ja również tak myślałam. W końcu miałaś urodę i talent.

Karen widziała siostrę tylko kątem oka, jednak dostrzegła, że nagle jej twarz nieznacznie stężała.

- Uroda to nie wszystko. W każdej chwili gotowa byłam zamienić ją na twoją inteligencję.

Gdy Val stanęła przed kasą i zaczęła wykladać na taśmie zakupy z wózka, Karen popatrzyła na zegarek. Pomysł ze wspólnymi zakupami wcale nie okazał się taki zły. Nie pamiętała, kiedy ostatnio obie tak sympatycznie i swobodnie ze sobą rozmawiały.

Może nigdy?

Pod wpływem impulsu dotknęła ramienia siostry.

- Wypijemy razem kawę? Obok jest mała kawiarenka, a mama obudzi się dopiero za jakieś dwie godziny.

- Sobotni wypad na smakołyki... - Na ustach Val pojawił się wesoły uśmiech. - Przypomniało mi się, jak razem z tatą latem jeździliśmy na lody w soboty.

- Tak, zgadza się. To są chyba moje najlepsze wspomnienia z dzieciństwa. Mama nigdy nie mogła zrozumieć, dlaczego tak chętnie co tydzień lubimy z nim jeździć do sklepu żelaznego. Myślę, że nigdy nie odkryła tego naszego małego sekretu.

- Też tak myślę. - Val zachichotała i położyła na taśmie przed kasą główkę brokuł. - Jasne. Chodźmy na kawę. Może zapoczątkujemy w ten sposób nową tradycję?

Kilka minut później, gdy przy małym stoliku w rogu kawiarni popijały kawę z mlekiem, Val zrobiła smutną minę.

- Cóż, nie są to lody, jednak nawet ta kawa przypomina mi nasze wyjścia z tatą.

- Po tylu latach wciąż mi go brakuje. - Karen przesuwiała palcem po brzegu filiżanki.

- Ja również za nim tęsknię. Był wspaniałym facetem. Kiedy było trzeba, wspierał nas i dodawał otuchy. To dzięki niemu miałam wrażenie, że jestem kimś nadzwyczajnym, kto ma światu wiele do zaoferowania.

- Ja też się tak czułam dzięki ojcu. - Karen upiła łyk kawy. - Wiesz co? Zawsze się zastanawiałam, dlaczego mu się spodobała nasza mama.

- Cholera... nie wiem.

- Może w młodości była inna?

- Ludzie aż tak bardzo się nie zmieniają. No, ale kiedy się do niej zalecał, może była trochę bardziej sympatyczna? Kto wie? Zakochani ludzie zachowują się zupełnie inaczej niż normalnie, szczególnie gdy są przekonani, że w ten sposób zbliżą do siebie ukochanego czy ukochaną.

W głosie Val pojawił się smutek i Karen już chciała zapytać o jego przyczynę, jednak ugryzła się w język. Przecież nigdy się sobie nie zwierzały... Postanowiła zmienić temat rozmowy na taki, który w żadnej z nich nie wzbudzi zakłopotania.

- Tato nigdy na nią nie narzekał. - Karen zamieszała łyżeczką w kawie. - Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek powiedział o mamie jakieś złe słowo.

- To nie leżało w jego charakterze. Kiedy ja mamę krytykowałam, zawsze mi odpowiadał, że nasza mama jest taka, jaka jest, co jednak wcale nie znaczy, że nas nie kocha.

- Mnie mówił to samo. Zawsze potrafił łagodzić jej



cierpkie uwagi. Czasami nawet sprawiał, że czułam się ładna. -  
Przyznawszy to, Karen opuściła głowę.

- Dlaczego to było takie trudne?

Karen posłała siostrze spojrzenie, które miało znaczyć „przestań się wygłupiać”.

- Daj spokój, Val. Mama miała rację. Jediną śliczną osobą w naszej rodzinie jesteś ty.

Val głośno prychnęła.

- Przestań bredzić.

- Ale to prawda.

- Nie.

- Posłuchaj mnie tylko... Dziękuję ci za słowa otuchy, ale jak myślisz, gdybyśmy stanęły obok siebie i kazały jakiemuś mężczyźnie między nami wybierać, którą z nas by wybrał?

Val zmrużyła oczy.

- Mężczyźni bywają bardzo powierzchowni - powiedziała.

- Nie tylko mężczyźni z miejsca dostrzegają piękną kobietę.

- Jasne, w pierwszej chwili wybór padłby na mnie. Blondynki zawsze zwracają na siebie uwagę. Ale ty masz przecież piękne oczy! Przy okazji: drobny makijaż by to podkreślił. I masz wspaniałe włosy! Żałuję, że moje nie układają się tak naturalnie jak twoje. No i dodajmy te kości policzkowe, za które dałabym się zabić.

- Daruj sobie...

Val ułożyła łokieć na stoliku i podparła dłonią policzek.

- Nigdy nie myślałam, że czujesz się tak... tak...

- Zanedbana? Niecelegancka? Spróbuj funkcjonować w cieniu wytwornej siostry.

Idealnie pomalowanym paznokciem Val przecięła kroplę kawy na stoliku.

- Wiem, że dobrze wyglądam, jednak nigdy mi nie przyszło do głowy, że ty uważasz się za kobietę nieatrakcyjną. Możesz mi wierzyć albo nie, ale zawsze ci zazdrościłam.

- Chyba żartujesz. Czego, na Boga, mogłabyś mi zazdrościć?

- Tego, że byłaś ulubienicą mamy. Tą bardziej inteligentną siostrą. Tą, która zawsze postępowała tak, jak należy.

Karen bezwiednie otworzyła usta ze zdziwienia.

- Mama ci to mówiła?

- Tak. Z wkurzającą regularnością.

- Ale... przecież ja zawsze myślałam, że to ty jesteś jej ulubienicą. Bezustannie opowiadała mi, jaka jesteś ładna i utalentowana. Mówiła, że zrobisz wielką karierę. Może nawet na Broadwayu. Mówiła, że z twojego powodu chłopcy pchają się do naszego domu drzwiami i oknami. A ja przecież aż do college'u nawet nie byłam na randce. Czułam się jak ofiara losu.

Val głośno westchnęła i potrząsnęła głową.

- Wiedziałam, że mama potrafi manipulować ludźmi, jednak dotąd nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo manipulowała nami i jak mocno wpłynęło to na nasze wzajemne relacje.

- Ja też tego nie wiedziałam.

Val popatrzyła na zegarek i chwyciła torebkę.

- Co za... hmm, *diablica*. Chociaż nie, to chyba zbyt mocne słowo, nie chcę sugerować, że kierowały nią jakieś diaboliczne intencje. Wydaje mi się, że mama po prostu lubi mieć kontrolę nad ludźmi. W każdym razie, niedługo się obudzi i jeżeli mnie przy tym nie będzie,

zostanę skazana na słuchanie jej narzekań przez resztę dnia. Dałabym sobie z tym radę, ale po co?

- Rozumiem cię.

Karen wstała, jednak kiedy ruszyła w kierunku drzwi, Val dotknęła jej ramienia.

- Nawiasem mówiąc, nie jesteś ani zaniedbana, ani nieatrakcyjna.

- A ty nie jesteś tępą blondynką.

Przez krótką chwilę siostry patrzyły sobie w oczy.

- Powtórzmy wypad na kawę? - Val zawiesiła sobie torebkę na ramieniu.

- Chyba dopiero w następną sobotę. Ostatni tydzień w miesiącu jest u mnie w pracy zawsze najtrudniejszy - powiedziała Karen.

Jej siostra uśmiechnęła się.

- Zapiszę to sobie w kalendarzyku.

Karen nastawiła radio na stację ze starymi przebojami, po czym sięgnęła do lodówki po spaghetti, którego nie dojadła ostatniego wieczoru. Nagle zawahała się, przypomniawszy sobie wózek z zakupami Val. Z pewnością nie było w nim żadnego makaronu.

Postanowiła, że zamiast spaghetti zje szynkę z indyka. Obłoży nią kanapkę z chleba pełnoziarnistego. Tak będzie o wiele zdrowiej... no i nie bez wpływu na sylwetkę.

Gdy rozsmarowywała na chlebie musztardę, usłyszała w radiu Bette Midler. Ach... *Wiatr pod moimi skrzydłami*, co to była za piosenka! Teraz już takich nikt nie pisał. A skoro nikogo nie było w domu, Karen postanowiła śpiewać razem z Bette. Dlaczego nie? Lubiła

śpiewać, jednak jej nieśmiałość sprawiała, że swoje zainteresowania wokalne ograniczyła w życiu jedynie do występów w chórze kościelnym. Anonimowa, w dużej grupie chórzystów, czuła się znacznie pewniej.

Jednak już po kilku dźwiękach musiała umilknąć, bo niespodziewanie trzasnęły drzwi wejściowe.

- Kristen? To ty?

- Tak.

Szlag by trafił. Przyjechała do domu ładnych parę godzin za wcześnie. Przecież miała zostać jeszcze na ognisku.

Może jednak w grę wchodził ogień innego rodzaju?

Karen wytarła dłonie w ręcznik do naczyń i przeszła do salonu. Kristen siedziała wyprostowana na kanapie, z ramionami splecionymi na piersiach, z widocznym wielkim wzburzeniem na twarzy.

- Chyba wróciłaś trochę zbyt wcześnie? -Tak.

- Co się stało?

- Stephanie źle się poczuła. - Ze słów dziewczyny bił sarkazm.

Karen podeszła do kanapy i usiadła na oparciu.

- Ludzie czasami chorują.

- Och, proszę cię! - Kristen przewróciła oczami.

- Takie rzeczy się zdarzają.

- Tak, Stephanie zachorowała. Zachorowała na myśl, że spędzi całą sobotę na pikniku szkolnym. Słyszałam, jak rozmawiała z tatą. A przecież jest taka młoda! To irytujące. Wygląda bardziej na jego córkę, niż na... kimkolwiek dla niego jest.

Oczywiście, Kristen miała rację. Michael lubił otaczać się młodziutkimi dziewczynami. Przecież i Karen była zaledwie studentką drugiego roku, kiedy zwróciła

na siebie jego uwagę. Jego obecna ukochana studiowała przynajmniej na przedostatnim roku, miała jakieś dwadzieścia trzy albo dwadzieścia cztery lata... Ale przecież i tak była stanowczo zbyt młodą osobą dla mężczyzny, który liczył sobie już pięćdziesiąt jeden wiosen.

- W każdym razie nie mam pojęcia, co tata w niej widzi. - Kristen wypowiedziała te słowa z wielkim niesmakiem. - Dziewczyna mówi bardzo niewiele, a jak się już odzywa, to opowiada wyłącznie o sobie. Głędzi na czym była w kinie w zeszłym tygodniu, jakie kupiła sobie ciuchy i jakie zajęcia będzie miała w następnym semestrze. Ani razu mnie o nic nie zapytała. Nawet nie zainteresowała się moją złamaną nogą. Jest tak cholernie płytka, że aż strach.

- Przykro mi, że dzień minął inaczej, niż chciałaś. - Karen objęła córkę ramieniem.

- Powinnaś być jednak pojechać na ten piknik tylko z tobą.

Karen nie dopuściła do siebie bolesnej myśli, że jest rodzicem drugiego wyboru.

- Przecież chciałaś spędzić popołudnie z ojcem.

- I nic z tego nie wyszło. - Kristen sięgnęła po kule i z trudem wstała z kanapy. - Będę u siebie w pokoju.

- Zjesz coś na kolację?

- Zjadłam hamburgera na pikniku. Stephanie nie chciała się nawet zatrzymać przy stoisku, ale tata się uparł, bo wcześniej obiecał, że mnie nakarmi. - Kristen zatrzymała się na progu. - Z tego dzisiejszego wyjazdu wynikła przynajmniej jedna dobra rzecz.

- Co takiego?

- Coś nieprzyjemnego wydarzyło się pomiędzy tatą a Stephanie. Było oczywiste, że dziewczyna od samego początku nie miała zamiaru jechać na piknik. Ale

wyczułam coś jeszcze. To było jak... Sama nie wiem. Odniosłam wrażenie, że łączące ich więzy jakby pękły. Stephanie zachowywała się bardzo obojętnie wobec taty i nie pozwalała, żeby trzymał ją za rękę. Zresztą oboje zachowywali się... inaczej. Może wkrótce się rozstaną?

*I może mama i ojciec znowu będą razem?*

Gdy Karen ujrzała nadzieję w oczach córki, jej gardło mocno się ścisnęło. Jak to możliwe, że minęło już tyle lat, odkąd niemowlę drobnymi paluszkami przypieczętowało związek pomiędzy matką a córką? Zdawało się jej, że minęło zaledwie kilka dni, odkąd biegała - z duszą na ramieniu — za rowerkiem Kirsten, kiedy dziewczynka uczyła się na nim jeździć. Strasznie się wtedy o nią martwiła; bała się, że dziecko się przewróci i pokaleczy. Odnosiła wrażenie, że zaledwie przed tygodniem przyszła na szkolny korytarz, zdenerwowana i jednocześnie przepelniona dumą, oczekując, aż młoda kobieta, w jaką przeistoczyła się jej córka, wyjdzie z sali, w której zdawała ostatni egzamin. Pamiętała radość, jaka ją ogarnęła, gdy Kristen wreszcie wyszła do niej, rozpromieniona i szczęśliwa.

Jeśli powrót do Michaela miałby przywrócić to szczęście, powinna rozważyć taką ewentualność.

Tyle że Michael już się nią nie interesował; Stephanie nie miała tu nic do tego. Sama Karen również nie miała ochoty na kontynuowanie tego związku.

- Twój tata już do nas nie wróci, Kristen - powiedziała. Mówiła cichym głosem, lecz jej słowa brzmiały stanowczo. - Nawet jeśli zerwie ze Stephanie, znajdzie sobie dziewczynę podobną do niej. Szczupłą, śliczną i młodą.

— Gdybyś trochę się postarała, też mogłabyś być szczupła i śliczna. - Oczy Kristen zaszczyły łzami.

- Nic by z tego nie wyszło, kochanie.
- Skąd wiesz? Nawet nie spróbowałaś!
- Bo to nie ma żadnego sensu.
- Dlaczego nie? Chcę, żebyśmy znowu we troje byli rodziną! Czy to tak wiele?

Karen poczuła, że zaczynają jej pulsować żyły na skroniach. Wiedziała, że zaraz dopadnie ją potężny ból głowy.

- Ja też chciałabym, żeby wszystko potoczyło się inaczej - powiedziała. - Ale twój tata i ja od samego początku niespecjalnie do siebie pasowaliśmy. Mieliśmy różne i niedające się pogodzić priorytety. Ale to wcale nie znaczy, że ty nie możesz utrzymywać z nim doskonałych relacji.

- To nie jest to samo - wykrztusiła Kristen.

Jej twarz jakby poszarzała. Tłumiąc łkanie, przeszła przez hol do swojego pokoju. Po chwili trzasnęła za sobą drzwiami na tyle mocno, że zadrżały obrazy na ścianach.

Zadrzało też serce jej matki.

Scott stał przy oknie pokoju gościnnego w domu matki i zaciskał prawą dłoń w pięść. Ani widok kolorowego ogrodu, który Dorothy z wielkim poświęceniem pielęgnowała, ani wspaniałe słońce majowej soboty - nic nie potrafiło przeniknąć mroku, jaki w nim tkwił i odbierał mu apetyt, energię oraz zainteresowanie życiem. Każdy dzień był identyczny. Wstać. Ubrać się. Powłóczyć się po pokoju. Położyć się. Gapić się w sufit.

Czy był w tym jakikolwiek sens?

W kieszeni namacał sfatygowaną kartkę. Tę, którą nosił przy sobie od ostatniego wyjazdu do St. Louis.

Może powinien jednak zatelefonować do tego psychoterapeuty?

Lecz przecież ten facet i tak nie ożywi tragicznie zmarłych przyjaciół ani nie sprawi, że Scott znów będzie robił karierę. Nie zmieni tego, że lata jego pracy i ćwiczeń zostały w ułamku sekundy unicestwione przez kierowcę ciężarówki, który zasnął za kółkiem.

Wszyscy psycholodzy tego świata mogli jedynie słuchać, jak Scott daje upust swej wściekłości, frustracji i desperacji.

Nie miał ochoty płacić z tę wątpliwą przyjemność ciężkich pieniędzy.

Uniósłszy lewą rękę, popatrzył na zwinne kiedyś palce, obecnie sztywne i bez czucia. Wykonywał wszystkie zalecone ćwiczenia, jednak poprawa była minimalna. Jeśli rekonwalescencja nadal będzie przebiegać tak wolno, miną długie lata, zanim odzyska w nich sprawność i znów będzie mógł grać na instrumencie.



A co będzie robił do tego czasu? Nie miał zielonego pojęcia.

- Scott? - Stłumione pytanie matki dotarło do niego przez niedomknięte drzwi. - Wszystko w porządku?

Wziąwszy głęboki oddech, z trudem wyrzucił z siebie kłamstwo:

- Tak. Możesz wejść.

Drzwi otworzyły się szerzej i Dorothy przestąpiła próg.

- Jest piękny dzień. Doskonały na spacer. Kolejny element rekonwalescencji, opisany w książce

na temat depresji, którą przypadkiem zauważył w kuchennej szufladzie. Aktywność fizyczna zajmowała jedno z pierwszych miejsc na liście „pożądanych zachowań”. Rozdział na ten temat Dorothy oznaczyła specjalną zakładką.

- Zastanowię się nad tym.

Dorothy jakby się zawahała, jednak ku uldze Scotta nie naciskała.

- W lodówce zostawiłam ci sałatkę i porcję *quiche* na lunch. Upiekłam też czekoladowe ciasteczka z orzechami, takie jak lubisz.

- Dzięki, mamo.

Zdrowa dieta i regularne odżywianie się też zajmowały na tej liście czołowe miejsce.

- Odniosę naczynie żaroodporne do Ramseyów. Ich syn miał w marcu wypadek i od tego czasu przeżywają trudne chwile... Potem idę do kościoła i gdy będę stamtąd wracała, zatrzymam się na chwilę u Margaret Montgomery. W zeszłym miesiącu miała atak serca. A może przejdiesz się ze mną? Nie zaszkodzi, jeśli chociaż na chwilę wyjdiesz z domu.

Nazwiska znajomych matki nic mu nie mówiły i abso-

lutnie nie był zainteresowany opuszczeniem domu i oglądaniem świata na zewnątrz, ani słuchaniem o problemach innych ludzi.

- Nie.

Dorothy nic na to nie odpowiedziała, tylko przeszła przez pokój i pocałowała syna w czoło. Z bliska mógł dostrzec świeże zmarszczki na jej twarzy - bez wątpienia ich przyczyną był on sam. Chyba powinien zdobyć się na wysiłek i chociaż w drobnym zakresie zareagować pozytywie na jej starania.

- Ale może wyjdę później na spacer - powiedział.

- Spacer dobrze ci zrobi. - Mimo że Dorothy starała się nadawać swojemu głosowi optymistyczny ton, zmarszczki wokół ust zdradzały napięcie i przemęczenie. - A tak przy okazji, jutro po mszy urządzamy małe spotkanie. Może pójdziesz ze mną?

Drobne ustępstwo, żeby zadowolić matkę to jedno, ale bezcelowe włączenie się do kościoła to coś zupełnie innego.

- Raczej nie. Jeszcze nie jestem gotowy, żeby wchodzić w tłum ludzi. *A tym bardziej zbliżać się do Boga, który mnie opuścił.*

- Dobrze. Wrócę za parę godzin.

Było jasne, że Dorothy wcale nie spodziewała się pozytywnej reakcji syna na tę ostatnią sugestię.

Kilka minut później Scott usłyszał, jak otwierają się automatyczne drzwi garażu i po chwili matka wyjechała na ulicę. Drzwi zamknęły się z hałasem i w domu znów zapanowała cisza.

Zebrał w sobie resztki energii i zaciągnął zasłony, uniemożliwiając promieniom słońca penetrowanie jego pokoju. Nadmiar słońca wciąż wywoływał u niego bóle głowy.

Poza tym ciemność lepiej współgrała z jego nastrojem.

Kiedy w pokoju zapadł półmrok, kontury mebli straciły ostrość. Poruszając się prawie po omacku, Scott podszedł do łóżka i położył się na plecach. Nie miał wielkiej nadziei, że zaśnie. Od dnia wypadku bezsenność była jego nieodłączną towarzyszką, mimo że właściwie w każdej chwili ogromnie pragnął pogрузić się w mroku i tęsknił za wolnym od koszmarów snem, który był ucieczką od udręki, jaką stanowiły wspomnienia.

W rzeczy samej ciemność była bardzo atrakcyjną perspektywą. Ponętną obietnicą ucieczki. Pokusą.

Lecz decyzja musiałaby być ostateczna. Nieodwołalna.

Nie. Na taki krok nie był gotowy. Jeszcze.

- Ty musisz być Val. Ja jestem Dorothy Walker, znamy się z twoją mamą z kościoła. Wpadłam, żeby się dowiedzieć, jak ona się czuje.

Ujrzawszy na progu kobietę o bystrych oczach, niemłoda już, siwiejącą, lecz ubraną w proste dzinsy, Val uśmiechnęła się i wyciągnęła do niej rękę.

- Miło mi panią poznać. Proszę, zapraszam do środka.

- Nie wiem, czy przyszłam w porę...

- Szczerze mówiąc, cieszy mnie każde towarzystwo. W miniony weekend wyskoczyłam z Karen do sklepu i od tego czasu z nikim innym nie rozmawiałam, tylko z mamą. Wiem, że mama także ucieszy się z gościa — odparła Val. Zaraz przyszło jej do głowy, że pewnie trochę przesadziła, bo przecież Margaret nawet w swoich

najlepszych czasach nie była osobą towarzyską. Ale niech się teraz stara, wcale jej to nie zaszkodzi. - Mama drzemie, ale lada chwila powinna się obudzić.

- Dobrze. Wejdę na kilka minut. - Dorothy wyciągnęła rękę z bukietem róż, piwonii i lili. - Pomyślałam, że Margaret ucieszy się z kwiatów. Zerwałam je w moim ogrodzie.

- Są prześliczne! - Val wzięła do ręki owinięte serwetką kwiaty i wprowadziła starszą kobietę do salonu.

Uniosła bukiet do twarzy. Poczwała zapach, którego już niemal nie pamiętała, a który przywiódł jej teraz na myśl obrazy drewnianych płotów, malowanych białą farbą, rodzinnych spotkań w ogrodzie i leniwych letnich popołudni. Nakazał jej pomyśleć o czasach, kiedy żyło się znacznie wolniej i spokojniej, a sąsiedzi spotykali się na obszernych przydomowych werandach, żeby porozmawiać, popijając lemoniadę. Czasach, kiedy całe rodziny spędzały w ogrodach długie godziny, aż do późnego zmierzchu, ze śmiechem dzieląc się różnymi wesołymi historiami, nierzadko zasiadając przy niewielkich ogniskach, wokół których krążyły ćmy.

Czasy, za którymi tęskniła i które bardzo chciała przeżyć, mimo że przecież nigdy ich nie знаła.

Z pewnym wysiłkiem zdołała się uśmiechnąć.

- Proszę, niech pani usiądzie. Ja tymczasem wstawię kwiaty do wazonu. Może czegoś się pani napije?

- Nie, dziękuję.

Minęło kilka minut, zanim Val znalazła w zagraconej spiżarni odpowiednie naczynie. Powróciwszy do Dorothy, ustawiła wazon na stoliku.

- Zapewne ma pani wspaniały ogród.

- Jest bardzo ładny, a praca w nim, pomaganie roślinom w rozwoju... cóż, bardzo mnie to uspokaja. - Usia-

dla wygodniej na kanapie. - A ty lubisz zajmować się ogrodem?

Val przysiadła na poręczu fotela i niechętnie potrząsnęła głową.

- Pewnie bym to polubiła, jednak nie mam takiej szansy. Mieszkam w Chicago, w wysokim apartamen-towcu. Mój związek z ogrodnictwem ogranicza się do uprawy kilku ziół w doniczkach. Ale rozumiem pani satysfakcję z pomagania roślinom... Nauczam aktorstwa w szkole średniej; praca z młodymi ludźmi, obserwowanie, jak się rozwijają, to też niezwykle doświadczenia!

- Słyszałam, jak Margaret opowiada o córce, która związała się z teatrem, ale nie zdawałam sobie sprawy, że jesteś nauczycielką.

Nic dziwnego. Matka zawsze opowiadała ludziom o jej karierze aktorskiej, a nie o tym, że pracuje w szkole.

- Przepraszam, mówiła pani, że poznała mamę w kościele?

- Zgadza się. Przeprowadziliśmy się do Waszyngtonu trzy lata temu, kiedy mój mąż odszedł na emeryturę, i dołączyliśmy do miejscowej parafii. To bardzo zżyta grupa wiernych i nawet trochę czuję się winna, że nigdy wcześniej nie odwiedziłam twojej matki w domu.

- Cóż, w dzisiejszych czasach ludzie bywają bardzo zajęci.

- Obawiam się, że w ostatnich czasach bywam jeszcze bardziej zajęta niż zwykle. Kilka tygodni temu mój syn miał poważny wypadek samochodowy. Przywiozłam go do domu na rekonwalescencję. Mąż zmarł dwa lata temu i z powodu wypadku syna odczuwam teraz jego stratę podwójnie głęboko.

- Przykro mi. Bardzo pani współczuję.

- Dziękuję. Ale cóż, każdy z nas musi nosić swój krzyż. Szczęśliwie w tej drodze towarzyszy nam Bóg.

Val nie zdążyła wymyślić żadnej dyplomatycznej odpowiedzi, bo w całym domu rozbrzmiał nagle ostry, złośliwy głos matki:

- Val! Chcę już wstać! Zbawczy wrzask.

- Już idę, mamo! - Val wstała. - Potrzebuję kilku minut i zaraz przyprowadzę do pani moją mamę. Poczekaj pani?

- Oczywiście.

Tak jak się Val spodziewała, Margaret nie była ani trochę zachwycona perspektywą zabawiania nieproszonego gościa.

- Przecież wyglądam strasznie. - Margaret zerknęła w lustro nad swoją toaletką i przyglądała włosy. Na czole miała odcisnięte ślady od poduszki. - Grzeczni ludzie najpierw telefonują, a dopiero potem składają wizyty chorym osobom.

- Masz całkowitą rację. - Val podała matce kulę.

- Dobre maniery to dzisiaj taka sama rzadkość jak kruche ciasto naszpikowane smalcem. I z tego powodu świat jest o wiele gorszym miejscem niż kiedyś.

- Ale o wiele zdrowszym.

- Hmm... - Margaret popatrzyła na córkę ponad oprawkami okularów, po czym ujęła ją pod rękę. - No, ale zmierzmy się z tą kobietą.

Kiedy Val wprowadziła matkę do salonu, Dorothy wstała i wyciągnęła rękę do Margaret.

- Margaret, cieszę się, że cię widzę.

Matka podała jej zdrową rękę z taką miną, jakby

była królową, która w czasie przechadzki po ogrodzie napotkała na swojej drodze pięknego pawia.

- Mamo, popatrz na te piękne kwiaty. To prezent od Dorothy. - Val podprowadziła ją do stolika.

Margaret poprawiła okulary i popatrzyła na stolik.

- Lepiej podłóż talerzyk pod ten wazon, bo jest wilgotny i wilgoć pozostawi ślady na meblu.

Cholerna uprzejmość.

- Nieprawda, sprawdzałam, wazon jest suchy. - Val lekko szturchnęła matkę. - Czyż nie są piękne?

Margaret zmierzyła ją złym spojrzeniem, jednak podjęła grę.

- Rzeczywiście, są prześliczne. Zawsze byłaś doskonałą ogrodniczką, Dorothy. Chociaż, moim zdaniem, wkładanie wysiłku w pielęgnację czegoś, co żyje tak bardzo krótkim życiem to niepotrzebny wysiłek.

- Pielęgnowanie kwiatów sprawia mi wielką przyjemność. - Dorothy uśmiechnęła się. - Cieszę się, że wyglądasz już znacznie lepiej.

Margaret westchnęła niczym cierpiętница i w tym momencie Val uznała, że to jej matka jest tym członkiem rodziny, który ma największy talent aktorski.

- Przypuszczam, że trochę mi się polepsza, ale uwierz mi, Dorothy, choroba to dla człowieka wielka próba.

- Prawda. Dobrze, że obie córki z takim oddaniem się tobą opiekują.

- Tak, cóż, po to ma się w końcu rodzinę.

- Zgadza się. Chociaż młodzi ludzie żyją w dzisiejszych czasach bardzo intensywnie.

- Wiem, wiem! Od przyjazdu Val moja druga córka, Karen, prawie wcale się ze mną nie kontaktuje.

Val z trudem się powstrzymała, żeby nie wtrącić

jakiejsz uszczypliwej uwagi. Przecież Karen sumiennie dba o nią od wielu lat.

Rozmowę niespodziewanie przerwał dźwięk dzwonka przy drzwiach. Val posadziła matkę na krześle.

- Ja otworzę - powiedziała.

Zanim przekręciła zamek, przez boczne okno sprawdziła, kto stoi za drzwiami. Stłumiła chichot. Cóż za wycucie chwili! Otwierając drzwi, zawołała przez ramię:

- Zobacz, kto przyszedł, mammo!

Do przedpokoju weszła Karen. Pod jej ramieniem miała jakieś paczki, przez drugie przerzuciła dwie plastikowe torby z ubraniami, które właśnie odebrała z pralni.

- Ha, popatrz, Karen, właśnie o tobie rozmawialiśmy. - Dorothy powitała ją uśmiechem.

Policzki Margaret zabarwiły się na jasnoróżowo, jednak swoje zakłopotanie zamaskowała atakiem:

- Dlaczego nie jesteś teraz w biurze? Myślałam, że w ostatnią sobotę zawsze robicie podsumowanie całego miesiąca, czy jak to zwiecie, i zawsze wtedy pracujesz?

Karen posłała Val pytające spojrzenie.

- Mama właśnie opowiadała, że ostatnio mało cię widuje. - Val bardzo się postarała, żeby nie parsknąć śmiechem.

W oczach Karen pojawiło się zrozumienie.

- W tym miesiącu wcześniej zrobiliśmy to podsumowanie, wpadłam więc, żeby ci przywieźć lekarstwa, które odebrałam w aptece. A przy okazji, sama widzisz, mam dla ciebie pranie i jeszcze wiele innych rzeczy. Zobacz, odebrałam nawet to, co zawiozłaś do wyczyszczenia jeszcze przed zawałem. Gdybym dzisiaj do ciebie nie wpadła, Val musiałaby specjalnie jechać do mnie.



- Hmm. - Margaret popatrzyła na Karen badawczo. - Widzę, że wciąż nosisz tę różową bluzkę. Przecież wiesz, że różowy to nie jest twój kolor. Powinnaś się jej pozbyć. Szkoda, że w tej rodzinie tylko Val została obdarzona przez Boga dobrym gustem.

Na kilka sekund zapadła niezręczna cisza i w końcu Dorothy popatrzyła na zegarek.

- Obawiam się, że będę musiała już sobie pójść. Chociaż bardzo żałuję, że nie mogę zostać na obiad. Cokolwiek tutaj gotujecie, z kuchni rozchodzą się po domu wspaniałe zapachy.

Margaret wciągnęła powietrze nosem i popatrzyła podejrzliwie na Val.

- Co to takiego?

- Ratatuj.

- Rat... co?

- Ratatuj. To wegetariańskie danie z bakłażanów, pomidorów, zielonej papryki, podlane zagęszczonym sokiem owocowym. Na pewno będzie ci smakować.

- Znowu ta twoja niby zdrowa żywność.

- Uwierz mi, takie jedzenie ma na ciebie dobry wpływ.

- Ale przez cały czas tracę na wadze.

- Tym lepiej dla ciebie. Musisz trochę schudnąć.

- Moim zdaniem mogłabyś brać korepetycje z gotowania od swojej siostry. Karen w kuchni jest doskonała.

Dorothy zabrała ze stołu torebkę.

- Cóż, ruszam już do siebie - powiedziała. - Po drodze zatrzymam się jeszcze u Ramseyów z miską lasagne.

Ponieważ atmosfera w salonie była już naprawdę ciężka, Val nie dziwiła się, że Dorothy chce już iść. Żałowała tylko, że nie może do niej dołączyć.

- Lasagne. To jest dopiero porządne jedzenie! -wykrzyknęła Margaret z utęsknieniem.

Dorothy zareagowała, zanim Val zdołała jej w tym przeszkodzić:

- Lasagne z indykiem to moja specjalność. Margaret opadła dolną szczęką.

- Dodajesz indyka do lasagne? - zdziwiła się głośno.

- Indyk jest znacznie zdrowszy od zazwyczaj stosowanej mielonej wołowiny, a jedząc, nawet nie poczujesz różnicy.

Margaret na moment zaniemówiła. Val miała wielką ochotę, żeby przybić Dorothy piątkę.

- A jak się miewa pani syn, Dorothy? - zapytała Karen i przerzuciła ubrania przez oparcie krzesła.

Przez twarz starszej kobiety przebiegł jakby cień.

- Dziękuję, że zapytałaś. Muszę powiedzieć, że radzi sobie nie najlepiej. Fizycznie jakby powoli się odradzał, jednak wypadek pozostawił u niego ciężkie, za to niewidzialne rany na duszy i podejrzewam, że minie mnóstwo czasu, zanim te rany się zaleczą.

- Będę o nim pamiętała w modlitwach.

- Może powinien przyjść do kościoła? - Margaret oparła ręce na kolanach, co oznaczało, że za chwilę wygłosi jeden ze swoich wyświechtanych komunałów. -W czasach trudnej próby tylko Bóg przynosi ukojenie.

- Tak, to prawda - odparła Dorothy. Wyciągnęła z torebki kluczyki do samochodu. Margaret skierowała uwagę na Karen.

- Pójdiesz ze mną w następną środę na prelekcję Mary Nissan z ostatniej podróży do Afryki? Prelekcja odbędzie się w bibliotece i musiałabym zatelefonować, żeby zarezerwować miejsca.

- Nie, mamo. Nie pamiętasz, że w środy mam próby chóru?

Usłyszawszy odmowę, Margaret zrobiła naburmuszoną minę.

- Powinnaś dać sobie spokój z tym chórem - oznajmiła. - Z całej rodziny tylko Val ma talent wokalny. Jestem pewna, że jeśli odpuścisz sobie jedną próbę, żeby spędzić wieczór z matką, nikt w tym chórze nie będzie za tobą tęsknił.

Karen zaczerwieniła się, a Val poczuła, że krew się w niej niemal gotuje. Ta uwaga była zbyt okrutna.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, jednak Karen ją uprzedziła.

- Mamo, to będzie jedna z naszych ostatnich prób. Na poprzednim spotkaniu Marilyn powiedziała nam, że jej mąż zostanie wkrótce przeniesiony do innej miejscowości. Za dwa tygodnie oboje się przeprowadzają.

- Naprawdę? - Dorothy posłała Karen zdziwione spojrzenie. - Nic o tym nie słyszałam.

- Bo nie ma jeszcze oficjalnej informacji. Myślę, że wielebny Richards zamierza ogłosić to parafianom jutro w trakcie mszy.

- Pomyślał już o mianowaniu kogoś innego dyrygentem chóru?

- Nic mi o tym nie wiadomo.

- Mam nadzieję, że szybko kogoś wyznaczy. - Margaret pochyliła się i wyciągnawszy z kieszeni chusteczkę, starła ze stolika wymaginaną kropelkę wody. - Nabożeństwa bez chóru... to już nie będzie to samo.

- Prawda - przyznała Dorothy.

Val odprowadziła kobietę do drzwi, walcząc z pokusą, żeby podejść z nią aż do samochodu, a potem oddalić się w siną dal.

- Będę się za ciebie modliła. - Dorothy po raz ostatni przystanęła na progu i odezwała się do Margaret.

- Dziękuję ci. Jeden czy drugi paciorek na pewno mi się przyda.

Zamykając drzwi za gościem, Val uniosła wzrok ku niebu. Amen.

Słyszając chrobot klucza w drzwiach kuchennych, Scott odstawił na stół pustą szklankę i odwrócił się, żeby przywitać matkę.

- Jest już późno. Martwiłem się o ciebie. Dorothy zamknęła za sobą drzwi, przeszła do salonu

i położyła torebkę na krzesło.

- Po nabożeństwie zatrzymałam się trochę na dłużej u wielbnego Richardsa. Jadłeś coś?

- Nie byłem głodny.

- Usmażę ci naleśniki, co? Pamiętasz, kiedyś jadaliliśmy naleśniki w każdą niedzielę po powrocie z kościoła.

- Jasne, że pamiętam. Dobrze, chętnie zjem naleśniki.

Chociaż Scott chciał, żeby w jego słowach pojawiło się chociaż trochę entuzjazmu, niewiele z tego wyszło.

Dorothy otworzyła jedną z szafek i wyciągnęła z niej sokowirówkę, stojącą na brzegu. Uczyniła to tak nieporadnie, że sokowirówka upadła na podłogę. Za chwilę ten sam los spotkał plastikową miskę, w której zamierzała mieszać ciasto.

Scott zmarszczył czoło. Takie niezgrabne ruchy zupełnie nie pasowały do jego matki.

- Wszystko w porządku, mamó?

- Oczywiście.

- Wydajesz mi się trochę rozkojarzona. Dorothy podniosła z podłogi mikser i miskę, po

czym odmierzyła porcję mąki.

- To chyba z powodu mojej rozmowy z wielebnym Richardsem. Polubiłbyś go, Scott. W kazaniach zawsze podpowiada, w jaki sposób adaptować wiarę w Boga do naszego codziennego życia.

- A o czym z nim rozmawiałaś?

Scott odwołał się do wcześniejszych słów matki, pomijając jej uwagę o kazaniach. Równocześnie zaczął rozstawiać talerze na stole.

Na ułamek sekundy ręce Dorothy zeszywniały. Po chwili kontynuowała rozbijanie jajek i wrzucanie ich do miski z mąką.

- O tobie.

Scott znieruchomiał.

- O mnie? A co takiego można o mnie mówić?

- Mówiliśmy o tym, że mógłbyś na jakiś czas zastąpić dyrygentkę naszego chóru, która właśnie zrezygnowała z tej funkcji.

Dorothy wypowiedziała te słowa bardzo szybko, na jednym wydechu.

Scott wpatrywał się w nią, jak dodaje do miski mleka, a potem miesza zawartość miski z o wiele większą energią niż to konieczne.

- Chyba żartujesz? - odezwał się w końcu.

- Nie, jestem bardzo poważna. I wielebny Richards także. Jeśli tylko zechcesz, ta funkcja będzie twoja.

Dorothy wrzuciła na patelnię kawałek masła.

- W tej chwili nie chce mi się nawet myśleć o powrocie do jakiegokolwiek pracy.

- Przecież tutaj nie chodzi o kopanie rowów. Wątpię,

czy lekarze mieliby coś przeciwko podjęciu przez ciebie takiego zajęcia, ale jeżeli się obawiasz o ich stanowisko, możesz się przecież skonsultować.

- Czy przypadkiem taki dyrygent nie powinien grać również na organach?

Masło na patelni zaczęło skwierczeć i wylała na nią porcję rzadkiego ciasta.

- Nie mamy organów, tylko pianino.

- No to niech będzie pianino.

- Tak, powinien. I powinien dyrygować chórem.

- A pomyślałaś może o mojej ręce? Pamiętasz, że nie mam w niej zucia? Przecież nie mogę jedną ręką grać na pianinie.

- Założę się, że jedną ręką potrafisz grać lepiej niż większość ludzi dwiema. Zawsze doskonale sobie radziłeś z klawiaturą. Poza tym parafia wcale nie potrzebuje wirtuoza na stanowisko dyrygenta chóru, a trochę aktywności muzycznej może doskonale wpłynąć na twoje palce.

Jednoręki dyrygent chóru kościelnego, który nie uczęszcza na nabożeństwa! Ten pomysł był absurdalny.

- Czy ten twój pastor wie, że nie jestem najpobożniejszym facetem w okolicy?

- Rozmawiałam z nim na ten temat. - Dorothy przełożyła naleśniki na talerz. - Powiedział mi, że Biblia pełna jest historii ludzi, którzy zbłądzili i którzy w końcu zaufali Panu.

Szach mat.

Lecz nawet, jeśli któraś z tych historii mogłaby do niego pasować, Scotta nie interesowało stanowisko dyrygenta chóru.

- To bez sensu, mamo. - Położył na stole sztucce i wyciągnął z lodówki karton soku pomarańczowego. -

Zresztą... naprawdę nie jestem jeszcze gotowy na coś takiego.

- Podejdź jednak do tej propozycji praktycznie. Dorothy usiadła przy stole naprzeciwko Scotta.

- Niby jak?

Scott otworzył buteleczkę z syropem i obficie skropił nim swoją porcję naleśników.

- Jako dyrektor chóru zarobisz trochę pieniędzy, zanim podejmiesz decyzję, co będziesz chciał robić dalej. Wiem, że firma ubezpieczeniowa tego kierowcy z ciężarówki, która w was uderzyła, pokrywa twoje rachunki za leczenie, ale mam wrażenie, że byłoby całkiem rozsądnie, gdybyś zdecydował się zarabiać jakieś dodatkowe pieniądze.

Z takim argumentem Scottowi było już znacznie trudniej polemizować. Kiedy dzień za dniem koncertował, zarabiał całkiem sporo, jednak kariera muzyczna z zasady przynosiła fortuny tylko nielicznym wybrańcom. A jego niewielkie oszczędności już się niemal kończyły.

Tylko ciche tykanie kuchennego zegara zakłócało ciszę, gdy Scott przypatrywał się, jak porcja syropu dociera do brzegów złocistego naleśnika, a potem rozlewa się na talerz. Przyrządzone przez matkę naleśniki zawsze były doskonałe. Równie doskonałe były jej rady. Często udzielała ich Scottowi przy posiłkach, takich jak ten.

Było prawdą, że przydałoby mu się trochę pieniędzy. I przecież wobec tego wszystkiego, co teraz dla niego robiła, mógłby się podjąć czegoś, co wprowadziłoby ją w zadowolenie. Taki drobny gest go nie zabije.

Uniósł głowę i stwierdził, że Dorothy przez cały czas go obserwuje. Do tej pory nie tknęła swoich naleśników.

- Dobrze. Zajmę się tym chórem, dopóki ktoś inny nie znajdzie się na to miejsce.

Jej uśmiech był wielką nagrodą za tę decyzję. Nie mógł jednak odpędzić od Scotta paniki, jaka nagle go ogarnęła.

Ponieważ nie był jeszcze gotowy na taki krok. Nie był gotowy na powrót do świata. Na spotkania z ludźmi. Na udawanie, że wszystko z nim jest już w porządku -bo przecież nic nie było w porządku i pewnie już nigdy nie będzie.

Jednak matka zapędziła go w kozi róg, a on nie potrafił znaleźć sensownego wyjścia.



- Val? Moglibyśmy przez chwilę porozmawiać? -zapytał David.

Młoda kobieta odłożyła na stolik kolorowy magazyn plotkarski, który właśnie przeglądała bez większego zainteresowania.

- Jasne. Czy z mamą wszystko w porządku?

- Tak. Chciałem tylko z tobą przedyskutować kilka zmian w jej programie rehabilitacyjnym. Na razie pracuje na jednym z przyrządów, mamy więc kilka minut. -Wskazał Val ręką, żeby weszła do gabinetu, po czym przepuścił ją w progu. - Napijesz się może kawy?

- Tak, bardzo chętnie, dzięki.

- Śmietanka? Cukier?

- Piję czarną i gorzką.

- Tak jak ja. Usiądź i poczekaj chwilę, zaraz wrócę. Na chwilę zostawił Val samą, lecz nie minęła nawet

minuta, gdy wrócił z dwoma plastikowymi kubkami gorącej kawy. Podał jej jeden, po czym zdjął z półki tekturową teczkę, którą rzucił na krzesło obok niej. -Dodałem do programu twojej matki dwa nowe ćwiczenia i chciałbym je z tobą omówić. A tymczasem... jak wygląda wasza praca w domu?

- Mama nie lubi tych ćwiczeń i dość dobitnie mi to okazuje. Dysponuję jednak sekretną bronią, która zawsze działa na jej narzekania.

- Co to za broń?

- Ty. - Gdy David przechylił głowę i posłał jej pytające spojrzenie, Val uśmiechnęła się. - Wystarczy powiedzieć, że jeśli zaniedba ćwiczenia, będziesz niezado-

wolony, i cichną wszelkie protesty. Masz na nią naprawdę magiczny wpływ.

Roześmiał się z zakłopotaniem.

- Niemożliwe. Wielu pacjentów otwarcie na mnie narzeka.

- Ale założę się, że wśród narzekających nie ma kobiet.

Ku zaskoczeniu Val, twarz Davida lekko się zaczerwieniła. Jakie to było urocze! Oto mężczyzna, którego naprawdę zakłopotał drobny komplement.

Zamiast odpowiedzieć, David pochylił się i postawił kubek z kawą na skraju biurka. Czyżby chciał ukryć zarumienione policzki?

To było jeszcze bardziej urocze.

Pod wpływem jego ruchu na podłogę opadła luźna kartka, która leżała na wierzchu tekturowej teczki. Oboje z Val pochylili się, żeby ją podnieść i z głośnym trzaskiem zderzyli się głowami.

- Och! - Val cofnęła się i przyłożyła dłoń do czoła.

- Przepraszam. Nic ci nie jest? - David dotknął jej ramienia.

- Mam twardą głowę. Przeżyję to.

- Pokaż czoło.

- Wszystko jest w porządku.

- Mimo wszystko, pokaż mi czoło.

Odsunął jej dłoń, a ciepło jego palców na zimnej skórze Val jakby rykoszetem rozlało falę gorąca po całym jej ciele.

Co się dzieje?

Val popatrzyła mu w oczy. Z bliska dostrzegła jakby płatki złota w jego jaskrawozielonych oczach i drobne kreski po bokach, które świadczyły, że David bardzo często się śmieje. A jego usta aż się prosiły o pocałunek.

*Val, uważaj.*

Z wielkim wysiłkiem opuściła wzrok. Wielki błąd.

Jego obcisła koszulka opinała muskularną klatkę piersiową i imponujące bicepsy, które zauważyła już podczas pierwszego spotkania. Teraz te mięśnie znajdowały się tuż przy jej twarzy.

Val zrobiło się bardzo gorąco.

Czy ktoś nagle włączył ogrzewanie?

- Val, daj mi popatrzeć. - Nie pozwalał jej ponownie przyłożyć dłoni do czoła. - Chyba przyda się trochę lodu.

Znowu popatrzyła mu w oczy. Ich ręce znieruchomiały. Minął zaledwie ułamek sekundy... wystarczył jednak, by Val nabrała podejrzewania, że na ich niespodziewaną bliskość David zareagował podobnie jak ona.

Jej podejrzewanie potwierdziło się, gdy David nagle opuścił rękę i głośno odchrząknął.

W elektryzującej ciszy, która nagle zapadła, Val zaczęła w myślach szukać czegoś... czegokolwiek... co mogłaby teraz powiedzieć. I nic jej nie przychodziło do głowy.

*Do diabła, co się ze mną dzieje?*

„Rezolutna Val”, jak kiedyś pisano o niej w gazetce szkolnej, zawsze i na wszystko miała gotową odpowiedź, nigdy nie brakowało jej słów. W tej chwili zdawało się, że ten przydomek nigdy jej nie dotyczył.

Trochę poprawiła pozycję na krześle i przesunęła za ucho kosmyk włosów, odsłaniając czoło.

- A niech to! - zawołał David. — Masz ogromnego guza. Pozwól, że przyniosę trochę lodu.

- Nic mi nie jest.

- Za chwilę wracam.

David już uniósł się z krzesła, a Val otworzyła usta, żeby zaprotestować energiczniej. Jednak zaraz je zamknęła. Uznała, że krótka chwila samotności pozwoli jej odzyskać kontrolę nad emocjami.

Kiedy mężczyzna zniknął za drzwiami, rozparła się w krzesło i głęboko, głośno westchnęła.

Ależ to było zaskoczenie!

Jasne, David był atrakcyjny, lecz przecież wokół niej od dawna aż się roiło od atrakcyjnych mężczyzn i już dawno temu nauczyła się nie ulegać ich urokowi. Dzisiaj problem polegał raczej na tym, że fizjoterapeuta matki zaatakował ją podstępnie, z całkowitego zaskoczenia.

Chociaż... to wcale nie było takie oczywiste. W jego poczynaniach nie dostrzegła przecież żadnej rozmyślności. Nie mogła go posądzić o to, że specjalnie chciał doprowadzić jej hormony do wrzenia, chociaż właśnie to nastąpiło.

Dlaczego bliski kontakt z nim wywołał u niej tak dramatyczny efekt?

Val zmarszczyła czoło i zaczęła stukać pomalowanymi paznokciami w oparcie krzesła. Czy naprawdę była na to po prostu nieprzygotowana? W końcu zupełnie się nie spodziewała, że będzie musiała bronić swego serca przed kimkolwiek spotkanym w Waszyngtonie - a już na pewno nie przed terapeutą matki. Mężczyzną, który miał żonę i dziecko.

Tak, chyba tak należy ten incydent wyjaśnić. Zbliżył się do niej w chwili i w sytuacji, kiedy się tego zupełnie nie spodziewała.

Ale skąd ta reakcja? Przecież David nie miał urody amanta filmowego. O całe sto osiemdziesiąt stopni odstawa! urodą od ciemnych, ponurych mężczyzn, którzy zawsze ją zachwycali. Poza tym wydawał się czło-

wiekim spokojnym, znającym swoją wartość i swoje miejsce na ziemi, z jasno ukształtowanymi poglądami.

Inaczej mówiąc, był całkowitym przeciwieństwem Val.

Dlaczego więc tak na niego zareagowała?

Na to pytanie nie potrafiła znaleźć odpowiedzi.

Wiedziała jednak, że powinna odzyskać nad sobą kontrolę. Natychmiast.

Mocniej zacisnęła palce na kubku z kawą i upiła spory łyk mocnego, aromatycznego płynu. Potem zaczęła rozmyślać.

*Wszystko będzie dobrze. Skoro już rozpoznałeś problem, będziesz na siebie uważała. W przyszłości w takiej sytuacji - jeśli ponownie się zdarzy - musisz zachowywać chłód, spokój i powściągliwość. I pamiętać, że David jest żonaty, poza twoim zasięgiem. To, co się wydarzyło, należy złożyć na karb jakiejś dziwacznej chemii.*

Jasne.

Wciągnęła powietrze w płuca. Mocno odetchnęła. Jeszcze raz nabrała powietrza.

Już dobrze. No, w każdym razie znacznie lepiej. Wreszcie nad sobą panowała.

A jednak, kiedy odstawiała na biurko kubek z resztką kawy, zauważyła, że jej ręka drży.

Podobnie jak jej serce.

A Val nie potrafiła znaleźć żadnego sposobu, żeby je uspokoić.

Trzymając w dłoni woreczek z lodem, David zatrzymał się przed drzwiami swojego gabinetu. Bardzo chciałby tam teraz nie wchodzić, wiedział jednak, że nie ma takiej możliwości.

Obawiał się, że nie poradzi sobie z impulsem, jaki przebiegł pomiędzy nim a Val - tym bardziej, że nie miał najmniejszego pojęcia, co było przyczyną tego wyładowania.

Przecież nie spowodowała go jej śliczna buzia ani wspaniała figura, ani złociste jak miód włosy, które aż się prosiły, żeby je głaskać - tego był pewien. W ciągu ostatnich kilku lat spotkał wiele pięknych kobiet, które dawały wyraźne sygnały, że są nim zainteresowane, a jednak żadna z nich nie wytrąciła go aż tak mocno z równowagi.

I ten brak równowagi, chwilowa bezradność, niejasność sytuacji wcale mu się nie spodobały. Ani trochę.

Zaczął tracić czucie w palcach i przełożył woreczek z lodem do drugiej ręki. Przecież nawet jako nastoletni chłopak z buzującymi hormonami potrafił trzymać emocje na wodzy i nie oddalać się od tego, w co wierzył. W przeciwieństwie do większości swoich kolegów, nigdy nie dał się ponieść pożądaniu i nigdy nie uczynił nic, czego by później żałował.

A teraz czuł, że Val, jeśli zechce, z łatwością go omota, a później zostawi samego, na dodatek z wyrzutami sumienia.

Ale dlaczego? Pytanie pozostawało bez odpowiedzi.

Znowu przełożył lód z ręki do ręki i przeczesał palcami włosy.

Przecież to nie miało sensu.

Od ostatniego spotkania nawet przez moment o niej nie pomyślał. Jedynym jego problemem było przystosowywanie się do życia w Waszyngtonie i robienie wszystkiego, co możliwe, żeby jak najlepiej zaadaptowała się tutaj również Victoria.

Jednak dzisiaj, podobnie jak podczas pierwszego spotkania, głębokie niebieskie oczy Val jeszcze raz wysysały z niego zdolność jasnego myślenia. A on, podobnie jak pierwszego dnia, wyczuł, że pod fasadą pewności siebie, którą Val prezentowała światu, kryje się kobieta słaba, poszukująca, wystraszona. Niepewna przyszłości. Samotna.

Taka jak on.

Czy to właśnie samotność tak gwałtownie ich do siebie zbliżała?

Być może. W każdym razie, jeśli chodziło tylko

o niego, odpowiedź była twierdząca. Żywiołowa radość życia Victorii i jej miłość bez granic kołysały jego duszę

i nadawały sens życiu, jednak nie mogły zastąpić miłości do kobiety. David miał nadzieję, że pewnego dnia jeszcze taką miłość znajdzie.

Ale jeszcze nie teraz. I nie będzie to Val.

Przecież przyjechała tutaj za ledwie na kilka tygodni, a on nie był zainteresowany krótkim letnim flirtem.

Odchrząknął, nacisnął klawisz, po czym wszedł do gabinetu i podał Val woreczek z lodem.

- Dzięki — powiedziała.

Odbierając lód, obdarzyła go grzecznym, lecz jakby nieobecny uśmiechem. Wyraźnie starała się, żeby ich palce się nie zetknęły.

David był już spokojny. Wszystko wskazywało na to, że oboje postarali się, żeby niespodziewany impuls, jaki przebiegł między nimi, uległ zapomnieniu. Dobrze.

- Nie ma problemu. - David wziął do ręki teczkę i usiadł za biurkiem.

Kiedy wyjaśniał jej istotę zmian w programie terapeutycznym matki, Val przyciskała lód do czoła. Gdy

skończył, podziękowała mu jeszcze raz. Wychodząc z gabinetu, grzecznie podała mu rękę i po chwili zniknęła w holu.

Podnosząc z biurka kartotekę kolejnego pacjenta, David zorientował się, że Val coś po sobie zostawiła.

Był to słaby, kuszący, trochę egzotyczny zapach. Urzekający i ponętny. I trudny do zapomnienia.

Podobnie trudny do zapomnienia, jak ta kobieta.

- Czy mamie smakował ratatuj?

Karen wrzuciła do wózka na zakupy pudełko nisko-tłuszczowych, niskosodowych, pełnoziarnistych krakersów.

- Powiedziała, że da się go jeść. Możesz mi wierzyć, że to wielka pochwała wobec wielu innych komentarzy, z jakimi spotkały się moje wysiłki kulinarne!

- Wspaniale pachniało. Trudno go przyrządzić?

- Łatwizna, możesz mi wierzyć. Zapisałam ci zresztą cały przepis, a także ten na wołowinę smażoną po chińsku. Wspominałam o niej, kiedy pierwszy raz byliśmy na kawie.

Val wyciągnęła z torebki kilka kartek i podała je siostrze.

Przeglądając je, Karen minęła wózkiem półki, na których znajdowały się pudełeczka z ciastkami. Val miała rację. Przepisy nie były skomplikowane, a gotowanie nie powinno być czasochłonne.

- Hmm... to mi wygląda na bardzo zdrowe jedzenie - powiedziała.

- Zdrowe i smaczne. Najlepsza kombinacja - odparła Val.



- Zastanawiam się, czy Kristen będzie chciała to jeść. Ostatnio jest bardzo humorzasta. Zupełnie niedawno w ogóle nie chciała jeść mięsa. Potem nie chciała węglowodanów. Przez kilka tygodni na jej liście dań zakazanych znajdowały się desery. A przecież dziewczyna wcale nie musi zrzucać wagi! Jest chuda jak szczapa.

- Czasami ludzie skupiają uwagę na jedzeniu, bo jest to jedna z niewielu kwestii, które mogą świadomie regulować, gdy tymczasem inne ważne życiowe sprawy wymykają się spod ich kontroli.

- Inne sprawy... Na przykład rozwód rodziców?

Karen chciała, żeby jej pytanie zabrzmiało jak najbardziej nonszalancko. Zadając je, włożyła do koszyka karton brązowego ryżu i jednocześnie spojrzała na kartkę z przepisem na wołowinę po chińsku. Mimo że od rozwodu minęło już półtora roku, nie potrafiła bez emocji rozmawiać o wydarzeniu, które wstrząsnęło całym jej życiem.

- Całkiem możliwe. W pracy każdego dnia mam do czynienia z nastolatkami. Próbują zgrywać bohaterów, a jednak większości z nich bardzo brakuje pewności siebie. Z wielu różnych powodów zachowują się w sposób, jakiego nie da się zaakceptować. I to tylko dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę albo udawać, że doskonale panują nad swoim życiem, gdy tymczasem kiepsko układają się sprawy w rodzinie i nie ma kogo poprosić o pomoc. To właśnie dlatego tak bardzo lubię nauczać aktorstwa. Jeśli sprawię, że młodzi ludzie dadzą upust na scenie chociaż niewielkiej części rozpierającej ich energii, być może nie będą odczuwali potrzeby, żeby w realnym życiu robić takie rzeczy, których później mogliby żałować.

- Jestem pod wrażeniem.

Na ustach Val pojawił się cień uśmiechu.

- Czasami ja też bywam z siebie dumna. - Zatrzymała się przed półkami z drobiem. - Może dodasz do wołowiny po chińsku trochę kurczaka? - zapytała siostrę.

- Tak, owszem. - Po chwili zastanowienia Karen wybrała tackę z piersiami kurczaka. - Jak ci się udało tak dobrze poznać psychologię nastolatków?

- Kwestia doświadczenia. W wielu miejscach byłam, wiele widziałam.

- Ja również, a jednak nie pozostały mi żadne głębokie przemyślenia.

- To dlatego, że do wszystkiego podchodziłaś zbyt racjonalnie.

Karen głośno prychnęła. Gdyby w tej chwili widziała ją matka, z pewnością udzieliłaby jej reprimendy.

- A może wręcz przeciwnie? Val potrząsnęła głową.

- Przykro mi, ale tego nie kupuję. Zawsze zachowywałaś się poprawnie, nie miałaś tendencji do buntowania się i nie sprawiałaś problemów, jak to zwykle robią nastolatki.

- Żartujesz? Czułam się, jakby słowo „konflikt” było moim drugim imieniem. Tyle że wszelkie uczucia po prostu w sobie tłumiałam i postępowałam tak, jak się po mnie spodziewano. Zawsze najbardziej chodziło mi o to, żeby usłyszeć pochwałę od mamy.

- Przegrana sprawa.

Val wzięła z półki kilka kartoników jogurtu, a Karen zaraz poszła w jej ślady.

- Wiem. Od początku nic się nie zmieniło.

- Dlaczego więc w ogóle próbujesz? - Val ruszyła w kierunku kasy.

- Nie wiem. - Karen wzruszyła ramionami, kiedy usłyszała pytanie nurtujące ją już od wielu lat. - Żałuję, że

nie jestem chociaż trochę taka jak ty i jej krytyczne uwagi po mnie nie spływają. W rzeczy samej zawsze mnie boją.

- Mogę zdradzić ci pewien sekret? - Kiedy stanęły w kolejce do kasy, Val pochyliła się ku siostrze i powiedziała jej do ucha konspiracyjnym szeptem: - Mnie te jej uwagi również boją.

Karen nawet nie próbowała skrywać niedowierzania.

- Nie zauważyłam tego.

- Przysięgam. Ale już bardzo dawno temu zrozumiałam, że nie powinnam się przed nią odkrywać. Rozsądniej jest udawać, że jej słowa ani trochę mnie nie stresują.

- Zaczynam coraz bardziej podziwiać twój talent aktorski. - Obdarzywszy Val zazdrosnym spojrzeniem, Karen pchnęła wózek z zakupami. - Dotąd nie miałam pojęcia, że mama potrafi ci zająć za skórę.

- Mama też o tym nie wie. I niech to będzie nasz mały sekret, dobrze?

- Jasne.

Wykładając artykuły na taśmę przed kasą, Karen dokonała w myślach ich pośpiesznego przeglądu. Świeże warzywa, jogurt, chude mięso - odkąd przyjechała Val, minęły zaledwie dwa tygodnie, a tu taka zmiana w wózku. Ale wśród zakupów znalazła się także paczka frytek. Kiedy położyła ją na taśmę, zorientowała się, że Val uważnie ją obserwuje.

- Wiem, że frytki są niezdrowe, jednak trudno jest z nich z dnia na dzień zrezygnować!

- Nie musisz rezygnować ze wszystkiego, co lubisz. Nic ci nie zaszkodzi, pod warunkiem, że będziesz jeść z umiarem. - Val sięgnęła do swojego wózka i spod paczki z kiełkami fasoli wyciągnęła opakowanie orzechów w czekoladzie. - To moja słabość... Ale zjadam ich najwyżej dwadzieścia dziennie.

- Lepiej je dobrze schowaj, bo mama zje ci wszystkie te orzechy w mgnieniu oka.

- Nie martw się. Zawsze chowam je między opakowaniami tofu. Zaufaj mi, mama nigdy tam nie zajrzy.

Karen ogarnęła wesołość. Czy Val zawsze miała takie wspaniałe poczucie humoru, czy wykształciła je w teatrze? W każdym razie, płacąc w kasie za zakupy, a później siadając w kawiarni do tradycyjnej sobotniej kawy z siostrą, Karen przez cały czas uśmiechała się, pełna podziwu dla jej sprytu.

- Zapomniałam już, jak gorąco bywa w Waszyngtonie na początku lata. - Val zaczęła się wachlować serwetką, chociaż wybrały stolik bardzo blisko klimatyzatora. - Dzisiaj chyba zamówię mrożone cappuccino.

- Chyba zrobiliśmy błąd, że nie zmieniliśmy dziś planu i nie zaczęliśmy od kawy. Przy tej pogodzie mięso nie powinno zbyt długo leżeć w bagażniku... Szczególnie drób.

- Masz rację - westchnęła Val. Ale po chwili rozpromieniła się i grożąc siostrze palcem, dodała: - Pamiętaj, żeby powiedzieć mi, czy Kristen chętnie jada to, co przyrządzasz według moich przepisów.

Karen pomieszała kawę, obserwując jak gęsta śmietanka rozpuszcza się w ciemnym płynie, zmieniając jego kolor na jasnobrązowy i dodając mu odrobiny słodczy.

- Wiesz co? - odezwała się. - Myślałam o tym, co powiedziałaś w sklepie. O tym, w jaki sposób można by zapanować nad dziwnymi gustami kulinarnymi mojej córki. Widzisz, to zaczęło się wtedy, gdy rozstałam się z Michaeliem.

- Dzieci zawsze ciężko przeżywają rozwody rodziców.

Upiwszy odrobinę napoju, Karen przez chwilę zasta-

nawiała się, ile może opowiedzieć o swoim rozwodzie siostrze, żeby do końca nie stracić godności. Bo już sam pomysł, żeby mówić o rozpadzie własnego małżeństwa powodował niesmak w jej ustach. Val była jednak bystra, inteligentna. Może mogłaby udzielić jej jakichś rad?

Zrób to, Karen, skorzystaj z szansy. Nie dziel w każdej sprawie włosa na czworo. Po prostu zwierz się swojej siostrze.

Z mocno bijącym sercem jeszcze przez chwilę bawiła się serwetką.

- Problem częściowo polega na tym, że Kristen nigdy nie straciła nadziei, iż kiedyś znowu będziemy razem z Michaeliem.

- Zdaje się, że Michael związał się z jakąś studentką. Chyba Margaret powiedziała o tym Val; z pewnością

o życiu miłosnym Michaela nigdy nie rozmawiała z nią sama Karen.

- Tak, rzeczywiście. Ma na imię Stephanie. Ale kiedy ostatnio we troje poszli na szkolny piknik, Kristen wyczuła, że nad ich związkiem zaczęły gromadzić się ciemne chmury.

- Hmm... Cóż, problem na pewno polega na tym, że Michael za nią nie nadaża. Dziewczyna jest chyba młodsza od niego o dwadzieścia kilka lat?

- Mniej więcej.

- Zawsze lubił młodsze kobiety. Przecież byłaś niemal dzieckiem, kiedy wzięliście ślub.

- Dzieckiem? Miałam dwadzieścia jeden lat.

- Teraz to się wydaje tak niewiele...

- Prawda. - Karen oparła łokieć na stoliku i podłożyła dłoń pod policzek. - To był jeden z bardzo niewielu przypadków, kiedy sprzeciwiłam się mamie. Mówiła mi, że jestem zbyt młoda, żeby wychodzić za mąż i że powin-

nam najpierw skończyć studia. Przepowiedziała mi, że to małżeństwo i tak się rozpadnie.

- I później nie pozwoliła ci zapomnieć o tej przepowiedni.

- Bingo.

- A więc Kristen wciąż tęskni za ojcem?

- Tak. Tęskni bardzo mocno. Myślę jednak, że bardziej tęskni za zwyczajnym życiem rodzinnym.

Val w zamyśleniu wypła łyk frappuccino.

- Gdy życie rodzinne się nie układa, wiele dzieci bywa zadowolonych, kiedy rodzice w końcu się rozejdą.

- My jednak doskonale zachowywaliśmy wobec niej pozory. Myślę, że aż do ostatniej chwili Kristen nie podejrzewała, jak źle się pomiędzy nami dzieje.

Val popatrzyła na siostrę z ukosa.

- Dlaczego odnoszę wrażenie, że tylko ty się poświęcałaś, żeby życie w domu do końca toczyło się tak normalnie, jak to tylko było możliwe?

- Bo ci to podpowiada niezawodny instynkt.

Val uniosła frappuccino, udając, że saltuje Karen.

- Opinię tę łaskawie przyjmuję.

- To nie był pusty komplement, dobrze wiesz. — Karen wbiła spojrzenie w dno filiżanki. Dlaczego nie opowiedzieć jej wszystkiego? Poza tym, kto wie, co już jej nagadała Margaret i jak bardzo ubarwiła swoje opowieści? Teraz Karen miała szansę, żeby przedstawić Val własną wersję rozstania z Michaeliem. - Od dłuższego czasu nie działo się między nami dobrze. Wiedziałam, że Michael jest podenerwowany i nieszczęśliwy, jednak nie rozumiałam dlaczego. Wydawało mi się, że jestem przykładną żoną. Podporządkowywałam się jego decyzjom. Nie obrażałam się na jego protekcyjnalne zachowanie

ani na ataki złego humoru. Przechodziłam do porządku dziennego nad kpinami z mojej wiary. Westchnęła i potrząsnęła głową.

- Chyba myślałam, że tylko absolutne porządkowanie się mu jest sposobem na zyskanie jego zaufania i miłości. Z mamą też popełniałam ten błąd. A przecież ludzie są skonstruowani w taki sposób, że tracą szacunek do popychadeł. Nawet Kristen to zauważyła. Twierdzi, że pozwoliłam, aby oboje skakali mi po głowie.

- Możesz to zmienić.

- Słyszałaś opowieść o starym psie?

- Nie jesteś stara.

- No, jeśli mnie porównywać ze Stephanie...

- Nie. - Val uściśnęła ramię siostry, jakby chcąc podkreślić wagę swojej opinii. - Jesteś dojrzała, ale nie stara. Musisz o tym pamiętać. Poza tym... to chyba nie ty chcesz, żeby Michael wrócił do domu.

Karen znowu opuściła wzrok i dopiła resztkę karmelowej kawy. Była zbyt słodka. A i rozmowa z siostrą stawała się jakby zanadto, hm... deprymująca.

Czekała na jej kolejne słowa.

Val zmrużyła oczy i pochyliła się ku niej.

- Bo tego nie chcesz, prawda?

Karen głęboko westchnęła i ścisnęła serwetkę w twardą kulkę.

- Mnie on do niczego nie jest potrzebny. To Kristen bardzo za nim tęskni, a ja chcę, żeby moja córka była szczęśliwa. Jeżeli Michael zerwie ze Stephanie, wtedy być może...

Val zacisnęła rękę na dłoni Karen. Bardzo mocno.

- I znowu to samo.

- Co?

- Gotowa jesteś zdecydować się na coś, co zadowoli nie ciebie, a tylko kogoś innego.

- Ale ja kocham Kristen, a ona cierpi, odkąd Michael i ja się rozstaliśmy. Kiedy widzę ją nieszczęśliwą, wprost lamie mi się serce.

- I co? Twoje złamane serce wszystko załatwi? Nie rób z siebie męczennicy, Karen. Przynajmniej nie z tego powodu. Kristen jest wystarczająco dorosła, żeby zrozumieć, że czasami jest lepiej, jeśli dwoje ludzi nie będzie na siłę kontynuować wspólnego życia. Rozmawiałaś z nią o problemach, jakie miałaś z Michaelem?

- Nie. Uważałam, że jest zbyt młoda.

- Ale teraz już nie jest.

- Jeśli powiem jej o nim coś złego, zaczną mną pogardzać.

- Może na początku, ale szybko zrozumie. Jeśli Michael znowu zamieszka z tobą, ty nie będziesz szczęśliwa, a Kristen jest wystarczająco dorosła, żebyś nie musiała robić tego wyłącznie dla niej. Przekonasz się, przejrzy na oczy. A ty wreszcie zaczniesz myśleć przede wszystkim o sobie, a nie o zadowalaniu innych.

Słowa siostry brzmiały racjonalnie, logicznie i przekonująco. Ale tam, gdzie chodziło o szczęście Kristen, nie było miejsca na logikę.

- Karen?

Karen upuściła papierową kulę na stolik.

- Myślę, że masz rację - powiedziała. Val jeszcze raz ścisnęła jej dłoń.

- Obiecuj mi jedno, siostrze. Zanim podejmiesz jakąś pochopną decyzję, zadzwonisz do mnie i umówimy się na kawę, dobrze?

- Nigdy nie podejmuję pochopnych decyzji!

- Obiecuj.



Ładunek emocji w głosie Val i troska malująca się na jej twarzy sprawiły, że Karen ścisnęło się gardło. Po wielu długich latach, kiedy prawie ze sobą nie rozmawiały, po latach, w czasie których Val pozostawała dla niej bardziej obcą osobą niż siostrą, zaczynały się rozumieć - i to z powodu zawału ich matki.

Stare porzekadło mówiło prawdę - Bóg często poddaje nas doświadczeniom, które na pierwszy rzut oka wydają się dziwne.

- Dobrze - odparła Karen ochryplym głosem.

- Już lepiej. - Val popatrzyła na zegarek. - A teraz musimy uwolnić te kurczaki, bo jeszcze trochę i usmażą się w bagażnikach.

Wypiła ostatni łyk mrożonej kawy i chciała wstać. Pod wpływem nagłego impulsu Karen położyła dłoń na jej ramieniu.

- Chcę, żebyś wiedziała, Val... Cieszę się, że wróciłaś do domu.

- Jasne, że się cieszysz. Ocaliłam cię przed smoczyką.

- Nie to miałam na myśli. Kpiarski uśmiech Val złagodniał.

- Wiem. Ja czuję to samo. - Przez krótką chwilę jakby się wahała. - Ponieważ, mamy dziś nastrój na szczerą rozmowę, chcę żebyś wiedziała, że bardzo cię podziwiam za opiekę, jaką roztaczałaś nad matką przez te wszystkie lata. Wiem, że zrzucenie jej na ciebie nie było z mojej strony w porządku, jednak nie mogłam zostać w Waszyngtonie... z wielu powodów.

Na przykład?

Niewypowiedziane pytanie zawisło między siostrami. Zamiast na nie odpowiedzieć, Val wstała, zebrała serwetki, plastikowe łyżeczki i naczynia, po czym wyrzuciła je do kosza na śmieci, ustawionego przy drzwiach.

Idąc powoli za nią, Karen zastanawiała się nad ostatnimi słowami siostry. Czy były jakieś inne powody porzucenia przez nią obowiązków rodzinnych, poza zwykłym egoizmem? Czy to możliwe, że motywy wyjazdu Val z rodzinnego miasteczka, miały mniej wspólnego z dążeniem do zrobienia kariery scenicznej, niż Karen dotąd sądziła?

Val nie zamierzała odpowiedzieć jej dzisiaj na te pytania. Tyle że przed nimi było jeszcze całe lato... i mnóstwo wspólnych wypadów do kawiarni. Wiele rozmów w cztery oczy. I jeszcze więcej okazji do szczerych wyznań.

Karen miała nadzieję, że zanim siostra wróci do Chicago, otworzy się przed nią na tyle, by opowiedzieć jej, dlaczego naprawdę wyjechała z "Waszyngtonu niemal przed dwoma dziesięcioleciami.

- Halo, halo? Jest ktoś' w domu? - Val zajrzała do środka przez uchylone okno.

Kristen oderwała wzrok od telewizora. Właśnie oglądała jakiś film na DVD.

- Cześć, ciociu Val! - powiedziała.

Z trudem podniosła się na nogi, wcisnęła kule pod pachy i przykuśtykała przez pokój, żeby otworzyć drzwi.

- Przepraszam, że z mojego powodu musisz wstawać. - Val weszła do środka. - Dlaczego nie włączyłaś klimatyzacji?

- Przyszedł serwisant, właśnie ją reperuje... I nie przejmuj się, że wstawałam. Potrzebuję ćwiczeń, bo zaczynam się czuć jak ślimak. Niech mi tylko zdejmą ten głupi gips, zaraz pobiegnę do sali gimnastycznej. - Zrobiła kwaśną minę i końcówką kuli uderzyła w zagipsowaną nogę.

- Czy mogę cię trochę pocieszyć ciastem z truskawkami? - Val wyciągnęła przed siebie szklaną miskę.

Jej siostrzenica zrobiła rozradowaną minę.

- Coś fantastycznego! I założę się, że bardzo zdrowego.

- Moje ciasto z truskawkami jest tak zdrowe, jak tylko zdrowy może być deser.

Kristen poprowadziła Val do kuchni.

- Jak ci się udało uciec od babci?

- Aktualnie odbywa popołudniową drzemkę.

- Co ty właściwie z nią robisz całymi dniami?

- Babcia mnóstwo czyta i ogląda ciurkiem opery mydlane. Dwa razy dziennie wykonujemy ćwiczenia,

które zalecił jej fizjoterapeuta i od czasu do czasu wywozę ją samochodem na przejażdżkę. Czasami przychodzą do niej goście.

Kristen wyciągnęła z kredensu dwa talerzyki do deseru i postawiła je na stole.

- Chyba powinnam ją odwiedzać trochę częściej.

- Bardzo by się ucieszyła.

- Jasne. Mama bezustannie mi to powtarza. Ale i tak spotykam się z babcią co niedzielę, kiedy zabieramy ją samochodem do kościoła. Tyle że nie przepadam za jej towarzystwem, chyba to rozumiesz? Ona wszystko i wszystkich krytykuje. Nie podobają jej się moje włosy, moje ubrania, mój chłopak i nawet lakier na moich paznokciach. Dosłownie wszystko.

Przekładając ciasto na talerzyki, Val przypomniała sobie, że to samo mówił o teściowej jej ojciec. „Taka już jest”, powtarzał i ciężko wzdychał.

- Jak w ogóle udawało wam się z mamą to wszystko znosić przez tyle lat? - Kristen zaczęła szukać w szufladzie łyżeczek. - Przecież ona już po godzinie doprowadza mnie do szaleństwa. A wy musiałyście przez cały czas mieszkać z nią w jednym domu.

Poszła za Val aż do stolika w salonie, usiadła na krześle i zaczęła się raczyć deserem.

- Ludzie potrafią się przyzwyczaić niemal do wszystkiego.

Niemal.

- Tak? - Kristen posłała jej sceptyczne spojrzenie i znowu zajęła się ciastem. - Kiedy nadszedł czas, żeby pójść do college'u, ani ci jednak było w głowie pozostać w Waszyngtonie. Mama też powinna była stąd wyjechać.

- Gdyby wyjechała, nigdy byś się nie urodziła.

- No i co z tego? - Twarz Kristen nagle spochmur-  
niała. - Życie to i tak parszywa sprawa.

Val nabrała na łyżeczkę porcję ciasta.

- Rozwody są jeszcze bardziej parszywe. -Tak.

- Ale bywają sytuacje, kiedy są najlepszym wyjściem. Zaciśnięte usta  
Kristen zdradziły jej reakcję, zanim się odezwała.

- Ale nie w naszym przypadku. Byliśmy zgodną rodziną.

- Czyżby?

- Co masz na myśli? - Kristen posłała ciotce zaniepokojone spojrzenie.

- Właściwie, jaką wy byliście rodziną? - Val mówiła spokojnym,  
konwersacyjnym tonem. - Oczywiście, mieszkaliście we troje w jednym  
domu, ale co dalej?

- Mieliśmy wspólne sprawy.

- Ach, wyjeżdżaliście na pikniki, wspólnie spędzaliście wakacje i  
razem chodziliście do kościoła. To masz na myśli?

Kristen zaczęła przesuwac ciasto po talerzyku.

- Nie... Ojciec zawsze był zajęty pracą. Nie mieliśmy na to czasu.

- Hmm... Rozumiem w takim razie, że razem oglądaliście filmy w  
telewizji i urządzaście sobie grilla w ogródku. To także jest miłe.

- Tego też nie robiliśmy. - Kristen niepewnie poruszyła się na krześle,  
a na jej czole pojawiły się dwie płytkie zmarszczki. - Tata mówił, że od  
grillowania śmierdzą ubrania. Ale grillowałyśmy i siadałyśmy przed  
telewizorem razem z mamą, kiedy tata pracował, wieczorami albo w  
weekendy.

- Chyba dużo tracił?

- Trochę. Ale bardzo starał się, żeby mi pomagać w odrabianiu lekcji.

- Założę się jednak, że robił wszystko, co było w jego mocy, żeby jak najwięcej czasu spędzać z twoją mamą. Zapraszał ją do restauracji na kolacje albo siadał przy niej pod koniec każdego dnia i przy szklaneczce lemoniady rozmawiali o wszystkim i o niczym.

Zmarszczki na czole Kristen pogłębiły się.

- Tata niewiele rozmawiał z mamą, a jeśli już, to prawie zawsze podnosił głos. Jakby go mama bezustannie denerwowała. - Zjadła truskawkę. - Myślę, że po takich rozmowach była bardzo smutna.

- A teraz jest weselsza?

- Chyba tak. Ale... widzisz, to jest tak jak z babcią. Mama zawsze pozwala innym, żeby ją pouczali. Tacie też na to pozwalała. Gdyby potrafiła obstawać przy swoim zdaniu, tata pewnie by od niej nie odszedł, a i babcia nie zachowywałaby się tak władczo. - Kristen westchnęła, oparła łokieć na stole i ułożyła na dłoni podbródek. - Chciałabym, żeby mama była bardziej taka jak ty. Ty nie pozwalasz, żeby babcia tobą pomiatała. I założę się, że nie pozwoliłabyś na to żadnemu mężczyźnie.

Val zmusiła się, żeby przełknąć ostatni kęs ciasta.

- Czasami ludzie potrzebują mnóstwa czasu, żeby się nauczyć samych siebie. - Val wstała i odebrała od Kristen pusty talerzyk. - Myślę, że mój deser był przebojem dnia.

- Tak, był przewspaniały! Dasz mamie przepis?

- Jasne.

- Już próbowała innych przepisów, które dostała od ciebie. Wczoraj wieczorem jadłyśmy kurczaka po chińsku. .. Doskonały był!

Kiedy Val płukała naczynia, zapadła cisza. Za oknami warknął pies, w holu tykał zegar ścienny, w oddali gwizdnęła lokomotywa jakiegoś pociągu. Zwyczajne odgłosy zwyczajnego dnia.

To uspokajało. A tymczasem wielu ludzi po prostu nie doceniało zwyczajności.

Po dłuższej chwili Kristen zapytała spokojnym głosem:

- Ciociu Val, jak myślisz, czy mama jest szczęśliwsza bez taty?

Val wytarła ręce w ręcznik do naczyń.

- A ty? Jak sądzisz?

- Być może. - Kristen zastukała w stół długimi, pomalowanymi na różowo paznokciami. - I tak nie spędzał z nami wiele czasu. I bardzo rzadko był dla niej miły... Tyle że ja wciąż za nim tęsknię. - Zwiesiła głowę.

- To zrozumiałe. Dlaczego nie robisz nic, żeby częściej się z nim spotykać?

- Zawsze jest zajęty.

- Zaledwie przed chwilą powiedziałaś, że mama powinna być bardziej stanowcza. Dlaczego ty nie chcesz być taka? Przecież możesz powiedzieć ojcu, że chcesz go częściej widywać i wtedy będzie do ciebie przychodził.

- Cóż, rzeczywiście, mogłabym spróbować.

- Spróbuj, to nie zaszkodzi. - Val odwiesiła ręcznik. — Trochę tego deseru zostawiłam dla twojej mamy w lodówce.

Kristen w zamyśleniu przekrzywiła głowę.

- Dobrze.

- Teraz muszę już iść.

Szukając w torebce kluczyków do samochodu, Val poczuła na sobie spojrzenie siostrzenicy.

- Spróbuję jeszcze w tym tygodniu odwiedzić babcię - powiedziała dziewczyna. - I może zadzwonię do taty.

- Doskonały plan. Do zobaczenia! -Tak...

Stanąwszy w progu, Val jeszcze się odwróciła. Kristen, pogrążona w myślach, wciąż siedziała przy stole.

Val kiwnęła głową i wyszła na ulicę, usatysfakcjonowana.

Misja powiodła się.

A więc tak wyglądał Scott, syn Dorothy Walker.

Kiedy odchodząca dyrygentka chóru przedstawiała mniej więcej trzydziestoletniego mężczyznę, który stał trochę z boku, Karen przesunęła się, żeby go lepiej zobaczyć. Wyglądał sympatycznie, miał starannie przystrzyżone brązowe włosy i równie brązowe oczy. Sprawiał wrażenie bezustannie zamyślnego. Miał może z metr osiemdziesiąt pięć. Z pewnością uprawiał jakiś sport. Był ładnie ubrany w starannie wyprasowane spodnie khaki i niebieską luźną koszulę.

Ale nie emanował ani ciepłem, ani pewnością siebie. Kiedy tylko został przedstawiony, wrócił na swoje miejsce w ławce, w cieniu.

Wtedy Karen jeszcze raz mu się przyjrzała. Dziwne. Dorothy twierdziła, że ma za sobą traumatyczny wypadek samochodowy, a tymczasem nie było po nim widać żadnych fizycznych okaleczeń.

Może największym jego problemem były te niewidzialne rany, o których wspominała Dorothy?

Przez pozostałą część próby Karen skupiła się na śpie-



wie, jednak po jej zakończeniu stanęła w kolejce z innymi członkami chóru, żeby osobiście przywitać się z nowym dyrygentem. Wydawało się, że mężczyzna jest obecny w kościele tylko ciałem, natomiast jego myśli błądzą zupełnie gdzieś indziej. Odpowiadał na słowa powitania. Potrząsał dłońmi podchodzących do niego ludzi. We właściwych momentach uśmiechał się.

Ale jego oczy pozostawały smutne. Smutne, odległe, puste, pozbawione nadziei.

Powitawszy się z nim, Karen poszła do samochodu. Wymieniła ze Scottem kilka grzecznych słów, i tyle. Jego zachowanie nic jej o nim nie powiedziało, właściwie zupełnie niczego się nie dowiedziała o tym mężczyźnie. Tym niemniej czuła, że może być w miarę pewna przynajmniej jednego.

Scott nie porzuci stanowiska i będzie przychodził na próby... ale absolutnie mu na tej funkcji nie zależało.

- Tato, mam potargane włosy. David mieszał owsiankę w garnku.

- Zaraz ci pomogę, kochanie. Tylko skończę.

- Rozumiem. - Victoria położyła na stole szczotkę i beret, po czym wspięła się na kuchenne krzesło. - Czy dzisiaj też będę musiała zostać po południu w świetlicy?

To samo pytanie zadawała mu niezmiennie każdego poranka. A on udzielał jej zawsze takiej samej odpowiedzi:

- Tak, kochanie. Tatuś musi chodzić do pracy. Ale przyjadę po ciebie o wpół do czwartej, jak co dzień, i resztę dnia będziemy mieli tylko dla siebie.

Co by zrobił, gdyby nie mógł pracować w dokładnie wyznaczonych godzinach? Wybrawszy karierę, bardzo się

starał, aby tak właśnie się działo. Z drugiej strony, wcześniej nie miał pojęcia, że praca na wyznaczone zmiany okaże się tak wielkim błogosławieństwem.

Kolejny dowód na prawdziwość wersetu 29,11 z Jeremiasza.

- Nie chcę tam iść. - Victoria ze zwieszonymi ramionami miętoszyła dłońmi beret.

Serce mocniej zabiło Davidowi. On też nie chciał, żeby Victoria spędzała czas w świetlicy. Ale nie było innego wyjścia.

Skończył mieszanie owsianki, przelał ją do miski, po czym dodał brązowy cukier i cynamon. Wlał sok do szklanki i postawił przed dziewczynką oba naczynia.

- Jedz, a ja cię uczeszę. Victoria podała mu szczotkę.

- Tylko nie szarp!

- Postaram się.

Zaczął ostrożnie szczotkować jej gęste, falujące włosy. Natalie miała podobne, dopóki nie ścięła ich na krótko: wtedy były łatwiejsze w utrzymaniu, co odpowiadało jej ze względu na intensywną pracę zawodową.

- Masz piękne włosy, kochanie. Takie jak twoja mama.

- Mama była ładna, prawda?

Tęskny ton Victorii sprawił, że Davidowi ścisnęło się gardło.

- Bardzo ładna.

- Szkoda, że lepiej jej nie pamiętam.

- Byłaś bardzo mała, kiedy mama poszła do nieba.

- Kochała mnie?

- Bardzo.

- Chciałabym mieć teraz mamę.

- Ja też bym tego chciał. - David odłożył szczotkę i założył dziewczynce берет na głowę. - No, już gotowe. Teraz tylko dokończ owsiankę.

Wsypanwszy trochę płatków dla siebie - jadł je na sucho - dołączył do córki przy stole.

- Co byś powiedziała, gdybyśmy w ten weekend pojechali razem na piknik?

Oczy Victorii roziskrzyły się.

- Wspaniale! - zawołała.

- Dobrze. Po kościele przeberzemy się, zapakujemy lunch i ruszymy w drogę. Poszukamy przygody.

- Jakiej przygody?

- Pojedziemy w zupełnie nowe miejsce albo będziemy robić rzeczy, których nie robiłaś nigdy dotąd.

Victoria zabawnie zmarszczyła nos.

- Czyli pojedziemy do Waszyngtonu?

- Na przykład. Cisza.

David spróbował ponownie.

- Będzie wesoło, obiecuję. Wciąż cisza.

Czas zmienić temat rozmowy.

- Kiedy dzisiaj wrócimy do domu, zainstaluję tę huśtawkę, którą kupiliśmy na podwórko. Co ty na to?

Dodał do swoich płatków trochę mleka; dzisiaj wydawały mu się bardziej suche niż zwykle.

Dziewczynka wzruszyła lekceważąco ramionami.

Trzymając łyżkę w misce, David uważnie popatrzył na córkę. Co tak nagle stłumiło jej początkowy entuzjazm wobec perspektywy posiadania własnej huśtawki?

- Ostatnio cieszyłaś się, że będziesz miała swoją huśtawkę, prawda?

- Cieszyłam się. - Victoria gmerała łyżką w owsiance. - Ale samotne huśtanie się wcale nie jest takie zabawne.

David odsunął od siebie miskę, ponieważ stracił apetyt. Victoria miała rację.

W sprawie huśtania się. I w ogóle w kwestii samotnego życia.

- Nie rozumiem, dlaczego Val musi jutro wracać do Chicago. Jest tutaj przecież dopiero od trzech tygodni.

Margaret opuściła na podłogę gazetę, którą właśnie czytała.

Karen zignorowała jej słowa, starając się zrozumieć rozchody z książeczki czekowej matki. Już od wielu lat ogarnięcie finansów matki było trudnym zadaniem, a teraz, gdy Margaret notowała jeszcze bardziej niefrasobliwie treść wydawanych czeków, stało się to wprost niemożliwe.

- Mamo, widzę tutaj, że wydałaś sześćdziesiąt dolarów, jednak nie ma ani numeru czeku, ani nazwiska osoby, która dostała ten czek do realizacji.

Margaret ostentacyjnie ciężko westchnęła.

- Pokaż.

Podając jej książeczkę czekową, Karen zauważyła, że pewność w lewej ręce matki znacznie wzrosła. Program fizjoterapii - i troska Val, żeby matka sumiennie wykonywała zalecane ćwiczenia - przynosiły efekty.

Margaret uniosła głowę i popatrzyła na wpis przez okulary dwuogniskowe.

- Och. Chodziło o przycięcie drzewa przed domem.

- I komu kazałaś to zrobić?

- Mężczyźnie, który zapukał do domu i zaoferował swoje usługi. - W słowach Margaret zabrzmiało zniecierpliwienie. - Powiedział mi, że jeśli się go nie przytnie, w czasie burzy drzewo może się przewrócić i zniszczyć dach.

- Jak on się nazywał?

- Nie pamiętam.

- Masz kopię z książeczki?

- A nie ma jej tam?

- Nie.

- Musiała się przykleić do czeku. Teraz robią znacznie gorsze чеки niż kiedyś.

Karen z trudem stłumiła złość.

- Byłoby dobrze, gdybyś albo przechowywała kopie czeków, albo bardziej starannie wypełniała rejestr.

- Staram się. Poza tym nie są to przecież wielkie finanse. Skończyłaś studia, powinnaś o tym wiedzieć. A ja nadal nie rozumiem, dlaczego Val musi tak pośpiesznie wyjechać.

- Przecież mówiła ci, że już wcześniej podpisała kilka kontraktów na letnie sesje fotograficzne. Poza tym chodzi tylko o jeden wieczór.

- Nie obchodzi mnie, na jak długi czas wyjeżdża. Wszystkim robi przez to problemy.

- Lato spędzi z nami, mamó. Dla niej to także problem.

- I tak długo do nas nie przyjeżdżała. Zbyt długo. Zrezygnowana, Karen zamknęła książeczkę czekową.

Później zrobi w niej porządek, kiedy nie będzie taka roz-kojarzona, postanowiła. Poza tym, miała do wyjaśnienia jeszcze jedną rzecz, zanim Val wróci, załatwiwszy swoje

ważne sprawy. Rzecz ta wymagała od niej całkowitej koncentracji.

Jej puls znacznie przyspieszył, gdy zmusiła się do wypowiedzenia słów, które wcześniej przećwiczyła.

- Mamo, dopóki Val nie wróci, chciałabym, żebyś zamieszkała u mnie w pokoju gościnnym.

Margaret popatrzyła na córkę, jakby ta właśnie postradała zmysły.  
-Co?

- Chciałabym, żebyś zamieszkała w naszym pokoju gościnnym. Nie chcę, żeby któraś z was... ty albo Kristen... przebywała w nocy sama, a łatwiej będzie tobie wprowadzić się do nas niż Kristen i mnie przeprowadzić się do ciebie.

- Zapewne łatwiej dla ciebie.

- Poza tym Kristen przez cały dzień będzie w domu -kontynuowała Karen, jakby jej matka niczego nie powiedziała. *Boże, daj mi hartu ducha, żebym wytrzymała.* -Pomoże ci, jeśli będziesz czegoś potrzebowała i zaczniesz przygotowywać obiad.

- Ale ja chcę zostać tutaj. Lepiej się wysypiam we własnym łóżku.

- Przecież mam piękny pokój gościnny. Będzie ci tam wygodnie.

- Nie tak jak we własnym domu.

- Mamo, pomyśl logicznie! Przecież o wiele mniej problemu sprawi przeprowadzenie z bagażami do innego domu jednej osoby niż dwóch. Poza tym jutro będę bardzo zajęta; przygotowujemy zamknięcie drugiego kwartału. No i jest kwestia Kristen. Moja córka wciąż ma problemy z poruszaniem się.

Margaret zmierzyła Karen złym spojrzeniem.

- Miałam zawał. Czy to się nie liczy?

Żołądek Karen ścisnął się - jak zawsze, kiedy Margaret była z niej niezadowolona. Jednak miała już dość ciągłej manipulacji matki. Skoro Val mogła postawić na swoim, ją, Karen, też było na to stać.

- Chodzi mi tylko o najlepsze rozwiązanie, mamó, nie licytujmy się.

- Nie zamierzam nigdzie się przeprowadzać. - Usta Margaret zacisnęły się w upartym grymasie.

Matka zmuszała ją do odkrycia kart, tak jak się tego obawiała.

Ale to nie zadziała. Nie tym razem. Starając się zachować zimną krew, Karen przerzuciła pasek torebki przez ramię.

- W porządku. Zapewne wiesz, co jest dla ciebie najlepsze. - Grymas ust Margaret zmienił kształt. Tymczasem Karen kontynuowała: - W ciągu dnia będę dzwoniła, żeby sprawdzać, co się z tobą dzieje.

Wyraz zaskoczenia, jaki pojawił się na twarzy jej matki, był niemal komiczny.

- Chcesz przez to powiedzieć, że zostawisz mnie tutaj samą? Na całą noc?

- Przecież to właśnie wybrałaś, prawda?

- Karen, jeszcze nigdy nie widziałam, żebyś postępowała tak samolubnie.

To zabolalo.

A jednak, jakby nic się nie stało, Karen zdołała zachować spokój, chociaż była o włos od wybuchu.

- Przykro mi, że tak uważasz. - Schowała w torebce książeczkę czekową matki. - Val powinna wrócić w każdej chwili... Jadę do domu, żeby przygotować obiad.

Przeszła aż do samych drzwi, zanim jej matka odezwała się:

- Myślę, że dam radę przenieść się do ciebie na jedną

noc - powiedziała Margaret; widać było, że wypowiedzenie każdego słowa przychodzi jej z wielkim trudem.

*Dzięki ci, Boże!* Karen zamknęła oczy i wypuściła powietrze, które aż do tej chwili przetrzymywała w płucach.

Kiedy się odwróciła, jej matka miała na twarzy wyraz niezadowolenia. Teraz jednak Karen się tym nie przejmowała. Postawiła na swoim i wykonała logiczny ruch, zamiast poddawać się, by zaspokoić widzimię Margaret. Może był to drobny triumf, ale w tych okolicznościach stanowił wielkie zwycięstwo.

- Cieszę się, że zachowałeś rozsądek.

- A miałam inne wyjście? U ciebie przynajmniej dostanę porządny posiłek zamiast tych dziwactw, które codziennie przygotowuje mi Val.

Nadszedł czas na zagranie kartą atutową.

- W rzeczy samej planuję zrealizować nowy przepis na tofu, który wycięłam z gazety. Już na pierwszy rzut oka wszystko wskazuje na to, że będziemy miały smaczny obiad.

- Tofu? - Zaskoczenie spłaszczyło wyraz twarzy Margaret.

- Tak. Jest bardzo zdrowe. No, ale na razie muszę już iść. Kristen podgrzewa właśnie resztki lasagne z indykiem, którą jadłyśmy na kolację wczoraj wieczorem, i nie chcę się spóźnić. Przepis dostałam od Dorothy Walker. Miłego wieczoru.

Zamknawszy drzwi, zatrzymała się na zewnątrz z ręką na klamce, dając swoim nogom czas, żeby przestały drżeć. To były ciężkie chwile. I straszne. Jeszcze nigdy tak nie rozmawiała z matką; Karen wprost nie poznawała samej siebie.

Ale zwyciężyła.



I, co najlepsze, nie tłamsiły jej poczucie winy, wyrzuty sumienia ani wstyd.

W gruncie rzeczy tylko jedno słowo, zupełnie inne, było w stanie określić obecny stan jej ducha.

Satysfakcja.

- I jak ci poszło z mamą, kiedy przebywałam w Chicago?

Karen upiła łyk frappuccino z odtłuszczonym mlekiem i dopiero wtedy odpowiedziała:

- Moim zdaniem matka uważa, że obie przeciwko niej konspirujemy.

- Jakim cudem coś takiego przyszło jej do głowy?

- Przepytala mnie na temat naszych wspólnych zakupów, dlaczego w ogóle robimy je wspólnie. Stwierdziła, że to bardzo dziwne, że spędzamy dużo czasu razem teraz, skoro niemal unikałyśmy się jako dzieciaki. Potem zapytała mnie, o czym ze sobą rozmawiamy.

- I co jej odpowiedziałas?

- Moja odpowiedź była co najmniej wymijająca.

- Założę się, że to ją zdenerwowało.

- No, w każdym razie sfrustrowało. Nie wyciągnąwszy żadnych informacji ze mnie, zaczęła przepytywać Kristen na temat jej chłopaka. Wie, że za nim nie przepadam i zapewne założyła, że ta rozmowa mnie zdenerwuje.

- I zdenerwowała?

- Nie. Właściwie to nawet stanęłam w jego obronie, co bardzo zdziwiło i matkę, i Kristen. Potem matka przystąpiła do krytyki obiadu.

- A co jadłyście?

- Tofu z mięsem.

Val wybuchnęła śmiechem.

- Szkoda, że mnie tam nie było.

- Spróbowała ustawić Kristen przeciwko mnie na

gruncie jedzenia, ale możesz mi wierzyć, córka stanęła po mojej stronie. Powiedziała, że uważa tofu nie tylko za danie smaczne, ale także zdrowe i wskazane, jeżeli ktoś chce trzymać linię. Mama nigdy nie marnuje szansy przygadania mi, że mam kilka kilogramów za dużo, więc Kristen powiedziała jej także, że dzięki zdrowemu odżywianiu straciłam trzy i pół, i ona sama też by chciała.

- Założę się, że nie zareagowała na to zbyt dobrze.

- Walczyła jak kotka. - Karen upiła łyk kawy. — Oskarżyła Kristen, że jest niegrzeczna, a mnie powiedziała, że powinnam staranniej ją wychowywać.

- Wygrałaś jednak na wszystkich frontach. A przy okazji, to prawda?

- Jaka prawda?

- Z tymi kilogramami.

- Aha. - Było to niewiele, jednak już stanowiło powód do dumy. - Muszę jeszcze zrzucić dziewięć.

- Życzę powodzenia... Przykro mi, że mam złe wieści. Wyrwałabym się z mojego kieratu, gdybym mogła, jednak sesje zdjęciowe stanowią sympatyczne uzupełnienie moich dochodów i nie chcę ich teraz zawalać. Jeśli tak postąpię, agentka umieści mnie na samym końcu listy.

- Na razie nie było żadnego problemu.

- Ale mam wkrótce kolejną sesję, pamiętaj.

- Wiem. Nawet zapisałam termin. - Karen przekrzywiła głowę i na chwilę zacisnęła usta. - Może na ten wieczór przygotuję lasagne z indykiem?

Val znowu się roześmiała i potrząsnęła głową.

- Jesteś złą córką, wiesz?

- Naprawdę?

Bynajmniej nie odczuwała z tego powodu wyrzutów sumienia.

- Martha!

Karen pomachała do kobiety w średnim wieku, którą dostrzegła po przeciwnej stronie parkingu. Usłyszawszy swoje imię, Martha Ramsey zatrzymała się w połowie drogi do śmietnika.

Kiedy zbliżyły się do siebie, serce Karen ciężko zareagowało na widok każdej zmarszczki na twarzy Marthy i jej zwieszonych ramion. Miała niewiele ponad pięćdziesiąt lat, jednak bardzo się postarzała od dnia strasznego wypadku syna. Wciąż jednak znajdowała czas na dekorowanie kapliczki kościelnej świeżymi kwiatami, które zrywała w prowadzonym przez parafię ogródku. Było to i zadziwiające, i motywujące.

Przełożywszy zeszyt z nutami z jednej ręki do drugiej, Karen zatrzymała się przed kobietą.

- Co słyszeć u Stevena?

Martha odstawiła na ziemię wiadro pełne zwiędłych, obumarłych kwiatów. Bił od nich słodkawy smród zgnilizny.

- Cóż, trzyma się mniej więcej tak, jak w tej sytuacji należałoby się spodziewać. Młodemu człowiekowi o ogromnych perspektywach trudno jest w jednej chwili zrezygnować z marzeń. Dzięki, że zapytałaś.

-Otrzepała bluzkę i odchrząknęła. - A jak się miewa twoja matka?

- Z każdym dniem czuje się lepiej.

- Cieszę się. - Kobieta schyliła się i podniosła wiadro. - Wracam do domu. Muszę przygotować Steve'a na wieczór. Uważaj na siebie i pozdrów ode mnie matkę.

- Ty też się trzymaj. Oczywiście, przekażę twoje pozdrowienia.

Zawróciwszy do samochodu, Karen zaczęła szukać w torebce kluczyków. Biorąc pod uwagę, jak szybko pustoszał parking, pozostali członkowie chóru śpieszyli się do domów po próbie tak samo jak ona. Nikt nie chciał przebywać na próbie zbyt długo. I nic dziwnego. Druga próba ze Scottem Walkerem była równie nieprzyjemna jak pierwsza.

Idąc do samochodu, Karen nadal szukała kluczyków. Skoro Scottowi nie zależało na posadzie dyrygenta, dlaczego ją przyjął? Jego monotony i bezbarwny głos, bardzo pośpieszne i pobieżne przeprowadzanie powtórek całego niedzielnego repertuaru i wreszcie kończenie prób przed czasem - wszystko to świadczyło, że nie zależy mu na chórze. Jeśli tak będzie się działo nadal, i tak mała już grupa śpiewaków w niedługim czasie jeszcze bardziej się skurczy. Przecież wszyscy wstąpili do chóru, poszukując relacji koleżeńskich i wzbogacenia duchowego, a nie tarć i nerwów!

Karen próbowała trochę usprawiedliwić dyrygenta, w oparciu o te kilka słów, jakie opowiedział w czasie próby na temat wypadku. Częściowo sparaliżowana ręka musiała zredukować jego marzenia o karierze muzyka. Rozumiała, że jego świat wywrócił się przez to do góry nogami. Podobnie podchodzili do tego inni członkowie chóru. W końcu wszyscy byli uprzejmymi, troskliwymi ludźmi.

Jednak biorąc pod uwagę ich stoicki spokój oraz ciszę, w jakiej pośpiesznie odchodzili do domów po próbie, studnia współczucia bardzo szybko wysychała.

Karen stanęła obok samochodu i zmarszczyła czoło. Po kluczykach ani śladu. Może zostawiła je na stoliku po zakończeniu próby? Możliwe... Przecież wychodząc, jeszcze się zatrzymała, chcąc odebrać swój egzemplarz

hymnu, który chór ćwiczył jeszcze z poprzednią dyrygentką, i który zapominała odebrać już od kilku tygodni.

Z ręką na biodrze zerknęła w kierunku kościoła. Nie widziała jeszcze, żeby Scott z niego wychodził, jednak przed kościołem stał już tylko jeden samochód, zatem z pewnością w środku wciąż przebywała Martha. Jeżeli Scott poszedł już sobie, kiedy obie z Marthą rozmawiały, poprosi tylko Marthę o otwarcie na chwilę kościoła. Ale najpierw sprawdzi, czy Scott nadal jest przy pianinie; nie chciała niepotrzebnie zawracać głowy kobiecie, która z pewnością bardzo śpieszyła się do domu.

Przy odrobinie szczęścia znajdzie Scotta na miejscu, a drzwi do sali prób nadal będą otwarte.

Scott powoli opadł na ławeczkę przed pianinem i głęboko westchnął. Dzisiejszy wieczór był katastrofą.

Było jeszcze gorzej niż przed tygodniem.

Po dzisiejszym dniu powinien po prostu się poddać. Matka i pastor będą rozczarowani, ale co go to obchodziło?

Czy w ogóle coś go obchodziło?

Ułożywszy dłoń na klawiaturze, zaczął grać melodię hymnu, który dzisiaj ćwiczył z chórem. W hymnie chodziło o skrzydła orła i o uwolnienie się od przerażenia, jakie przynosi ze sobą noc.

Szkoda, że miłe słowa zawsze są kłamstwem.

Nikt nie mógł uchronić go przed duszącą ciemnością i niezgłębioną ciemnością, jaka otaczała jego duszę.

Nikt, nawet Bóg.

Nie miał co do tego wątpliwości.

Ponieważ w te mroczne, pełne bezkresnej desperacji godziny, kiedy błagał o litość, o ratunek, o pomoc -o cokolwiek, co tylko zdjęłoby z jego duszy ciężar ciemności - Wszechmogący milczał. Może Bóg istniał, a może nie? Scott był pewien tylko jednego: że został pozostawiony zupełnie sam.

Obracając w lewo i w prawo chorą rękę, zaczął oglądać palce. Czy to możliwe, że lekarz miał rację, gdy mówił, że jego niepełnosprawność częściowo może być spowodowana czynnikami psychologicznymi? Ze jeśli naprawdę zechce całkowicie wyzdrowieć - osiągnie to? Czy istniała chociaż odrobina prawdy we wszystkich opowieściach o wyższości umysłu nad materią?

Zamknawszy oczy, Scott rozpoczął na własny użytek cichą modlitwę.

*Chcę zagrać na tym pianinie. Zagram na tym pianinie. Rozkażę mojemu mózgowi, żeby posłał do lewej ręki właściwe impulsy, a on to polecenie wykona.*

Powtórzywszy tę mantrę kilka razy, przez chwilę kartkował księgę hymnów, aż wreszcie wybrał utwór, który jeszcze niedawno zagrałby z wielką łatwością. Następnie, ułożywszy palce na klawiaturze, spróbował grać.

Lewa ręka odmówiła posłuszeństwa.

Powtórzył mantrę i spróbował jeszcze raz. I jeszcze raz. I jeszcze. Próbował długo, bardzo długo, aż wreszcie ten drobniutki płomyk nadziei, który płonął w jego duszy, zamigotał i zgasł.

Ze łzami w oczach Scott zaczął z całej siły naciskać na klawisze. W pustym kościele rozbrzmiała kakofonia nieskoordynowanych dźwięków. Wreszcie, ciężko oddychając, skrył twarz w dłoniach.

Powinien to przyjąć i zrozumieć. Jego kariera muzyczna była już tylko wspomnieniem. Musiał się zająć czymś innym. Im szybciej, tym lepiej.

Tyle że na dalszą część życia nie miał żadnego pomysłu.

Kiedy do jej uszu dobiegły dziwaczne dźwięki pianina, Karen przystanęła tuż przy wejściu do świątyni. Co się tutaj działo?

Po chwili mocniej uchyliła drzwi i zajrzała do środka. Scott siedział na prawo od wejścia, z łokciami opartymi o klawiaturę, z twarzą w dłoniach.

Niezbyt szczęśliwy moment, żeby mu przeszkadzać.

Jednak szybki rzut oka do środka potwierdził jej przypuszczenie, że kluczyki do samochodu leżą na stoliku, zaledwie dwa kroki od drzwi. Blisko, ale w tej chwili jakby poza zasięgiem. Nie mogła jednak ruszyć się stąd bez nich.

Czy miała szansę porwać je ze stolika tak, żeby Scott tego nie zauważył?

Ostrożnie postąpiła dwa kroki do przodu. Dotknęła kółka z kluczykami, a następnie z przerażeniem spostrzegła, jak jakaś kartka z nutami wyślizguje się z teczki pod jej pachą, i z cichym, lecz wyraźnym plaskiem opada na posadzkę.

Jej spojrzenie powędrowało ku Scottowi. Mężczyzna drgnął i uniósł głowę. Na jego twarzy najpierw pojawiło się zaskoczenie, które natychmiast przerodziło się w złość. Karen poczuła, że ściska się jej żołądek.

- Szpiegujesz mnie?

Źle dobrane słowa.



Dokładnie o to samo oskarżał ją Michael, kiedy wieczorami dzwoniła zaniepokojona do jego biura. Późno wracał wtedy do domu... To było zaledwie kilku miesięcy przed separacją.

Oskarżenie było tak samo nie na miejscu wtedy, jak i teraz - i tak samo obraźliwe.

- Zapomniałam kluczyków - powiedziała Karen. Podniosła je ze stolika i wrzuciła do torebki. Złość na twarzy Scotta częściowo straciła ostrość,

jednak nie był w stanie ukryć zdenerwowania.

- Szkoda, że nie przyszłaś trochę wcześniej. Usłyszałybyś moje żałosne próby zagrania tego. - Znowu przez chwilę próbował grać hymn. - Ta praca to nieporozumienie. Wiedziałem o tym od początku.

W jego słowach było słycać ogromny ból. Karen powoli, ostrożnie podeszła bliżej do niego i po chwili odezwała się łagodnym głosem:

- Powinieneś wiedzieć, że przecież nie jesteśmy Chórem Symfonicznym z St. Louis. Ani nikt po nas, ani my sami po sobie nie oczekujemy perfekcji.

Scott odwrócił się do niej. Oczy miał puste, bez wyrazu.

- Ale ja jestem zawodowym muzykiem i we wszelkich okolicznościach będę dążył do muzycznej perfekcji.

- Perfekcja to standard odnoszący się do wielu dziedzin życia. Bywa receptą na frustrację.

- Tak. Wiele wiem o frustracji. - Scott z hukiem zatrzasnął pokrywę pianina. - I wiem, że w najbliższym czasie się jej nie pozbędę.

- Czy twoja kontuzja jest... nie do wyleczenia?

To osobiste pytanie padło, zanim Karen zdołała ugryźć się w język. Spodziewała się, że Scott usztywni się i odpowie, że to nie jest jej sprawa.

Ku jej zaskoczeniu, udzielił zupełnie innej odpowiedzi:

- Kto to wie?

- Chcesz powiedzieć, że masz szansę na całkowite wyzdrowienie?

- Żaden lekarz tego nie wykluczył.

- To jest chyba dobra wiadomość, co? Scott roześmiał się bez humoru.

- Zależy, jak zdefiniować słowo „dobra”. - Niespodziewanie zerwał się na równe nogi. - Muszę zamknąć kościół.

Karen spróbowała jeszcze znaleźć w sobie jakieś słowa wsparcia, ale bez powodzenia. Poza tym wątpiła, czy jest w stanie powiedzieć cokolwiek, co ukołoby ból Scotta.

Po prostu w milczeniu wyszła z kościoła...

I tylko modliła się w myślach za nieszczęśliwego młodego mężczyznę, który pozostał w środku.

Val zatrzymała samochód na parkingu, zaciągnęła hamulec ręczny i rozejrzała się w prawo i lewo. Mały parking - tak jak się spodziewała - w niedzielny poranek był pusty. To dobrze. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnęła, była zgraja obcych ludzi, obserwujących jej podróż do przeszłości.

Zerknęła na bezchmurne niebo późnego czerwca. Lato nadpłynęło tak spokojnie, jak spokojna była płynąca przez miasto rzeka, a Val jeszcze nie osiągnęła zadowalających rezultatów, nie widziała żadnej poprawy. Sama obecność w Waszyngtonie, w domu rodzinnym, nie okazała się spodziewanym katalizatorem.

Zmiana otoczenia - na jeszcze mniej wygodne łóżko niż to z dzieciństwa, unoszące fizyczny dowód jej mrocznego sekretu - wydawała się logicznie kolejnym krokiem.

Teraz jednak wcale nie była tego pewna.

Ze ściśniętym żołądkiem wpatrywała się w zieleń przed maską samochodu. To, że od jej ostatniej wizyty w tym miejscu minęło aż osiemnaście lat, wydawało się niewiarygodne. Chociaż z drugiej strony... czuła, że wydarzyło się to w poprzednim życiu.

Gdyby wtedy wiedziała to, co wiedziała teraz!

Przełykając gorycz, jaka zgromadziła się na jej języku, Val otworzyła drzwiczki samochodu i wyszła na zewnątrz. Poniżej, aż po odległy horyzont, leniwie wiła się lśniąca rzeka. Jej spokój ostro kontrastował z emocjami, które targały Val.

Zatrzasnęła drzwiczki i zmierzyła spojrzeniem trawiasty pagórek, na którym rozstawiono kilka pustych

teraz stolików piknikowych. Później zapewne park zapełnią liczne rodziny, ale jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, Val od dawna już tutaj nie będzie.

Poza tym pobyt na otwartym terenie nie był jej celem. Zmierzała ku małej grocie, która znajdowała się u podstawy urwiska, tuż nad rzeką. W niedzielny poranek grota mogła być wypełniona jedynie wspomnieniami.

Jej puls przyśpieszył, kiedy złapała za klamkę przy drzwiczkach, ogarnięta nagłą pokusą, żeby z powrotem wsiąść do samochodu i odjechać stąd tak daleko i tak szybko, jak tylko się da. Jednak jej ucieczka trwała już zbyt wiele lat. Nadszedł czas, by ją wreszcie zakończyć i stanąć twarzą w twarz z konsekwencjami dawnych czynów.

Albo przynajmniej uczynić ku temu pierwszy krok.

Nie pozwalając już sobie na żadne wahania, Val podeszła do drzew na skraju pagórka. Na pierwszy rzut oka miejsce na piknik ograniczały po prostu zarośla i gęsto rosnące drzewa. Którędy należało tę granicę przekraczać? Młoda kobieta uważnie przyjrzała się gęstwinie. Nic... nic... o, tam! Udeptany grunt.

Ścieżki wciąż używano.

Odsunąwszy krzaki, Val wstąpiła w półmrok. Ścieżka od razu zrobiła się wygodniejsza. Prawdopodobnie w sobotnie wieczory chodziły tędy grupy nastolatków.

Doszła do miejsca, w którym teren zaczął się obniżać. Jeżyny ocierały się o jej nogi, chwilami boleśnie kłując. Jak dobrze, że ubrała džinsy. Nie mogły jednak pomóc obnażonym ramionom. Kiedy zbliżały się do niej cierniste macki, zwalniała kroku, ostrożnie odsuwając je na bok. Prawdopodobnie ze ścieżki korzystano teraz znacznie rzadziej niż za jej czasów.

Gdy wreszcie wyłoniła się z gąszczu na małej, piaszczystej nadrzecznej plaży, gwałtownie zatrzymała się.

Czy to możliwe, że przeniósł ją tutaj wehikuł czasu?

Miejsce, w którym się znalazła, wyglądało dokładnie tak, jak w dniu, kiedy razem z Coreym i trzema innymi parami zeszła tutaj na piknik, podczas którego zamierzali żegnać lato. Czerniejące szczątki po ognisku otoczone były przez ciężkie polana, wyrzucone na brzeg dzięki bezustannemu ruchowi rzeki. Wszędzie leżały resztki drewna, a plażę zaśmiewały puste puszkę po piwie. Przy polanach, które służyły jako miejsca do siedzenia, widać było w piasku mnóstwo niedopałków, a miejsce na ognisko oddzielała od brzegu rzeki granica z małych kamieni.

Jedyna zmiana, jaka zaszła od jej pierwszej - i ostatniej - wizyty w tym miejscu, tkwiła w samej Val.

Ze ściśniętym gardłem zmusiła się, żeby spojrzeć na pierwszą z półksiężycowych zatoczek, które z obu stron otaczały to miejsce zgromadzeń. Tworzyły odosobnione kąciki, w których młodzi ludzie znikali w parach, wypiwszy swoją porcję alkoholu.

Val i Corey znaleźli się wśród nich.

Zdławiła w sobie odrazę, gdy wydarzenia odległego lata powróciły do jej wyobraźni, niczym stary film, jeden z tych, które ojciec dawno temu kręcił domową kamerą.

— *Widzisz? Mówiłem ci, że wszystko będzie w porządku.* — Corey przybliżył się do niej na grubej kłodzie drewna, na której siedzieli obok siebie, i otworzył trzecią puszkę z piwem.

*Czy naprawdę wszystko było w porządku? Val rozejrzała się dookoła. Młodzież utworzyła już teraz małe grupy. Może chociaż tym razem matka miała rację, ostrzegając ją przed hałaśliwymi spotkaniami młodych ludzi, które się*

tutaj odbywały? Jednak Corey już następnego dnia wyjeżdżał, żeby podjąć studia na pierwszym roku w Northwestern. Nie miała szansy spotkać się z nim aż do Święta Dziękczynienia. Chodzili ze sobą przez całe lato, jak więc mogła mu odmówić, kiedy ją poprosił, żeby wzięła udział w pożegnalnej imprezie, którą organizował? Nie czuła się jednak najlepiej.

— Val. — Trącił ją łokciem i podał jej plastikowy kubek. - Spróbuj tego. Od razu poprawi ci się nastrój.

Zrobiła krzywą minę, spoglądając w słabym świetle ogniska na przezroczysty płyn.

— Co to jest?

— Sok radości. Zaufaj mi, dobrze?

Upiła łyk. Kiedy płyn zaczął palić jej gardło, zakaszła. Wykrzywiła twarz. Corey roześmiał się.

— Im więcej, tym lepiej. Musisz się dobrze bawić. Jakoś zdołała, łyk po łyku, przelknąć całą zawartość

kubka. Nie chciała przecież przez swoje sztywniactwo wprawiać Coreya w zakłopotanie w obecności tylu jego kolegów.

Kiedy wypiła zawartość kubka, poczuła się zrelaksowana i trochę kręciło jej się w głowie. Kilkakrotnie nawet zaciągnęła się jointem, który ktoś jej podał. Zawsze z niechęcią patrzyła na papierosy, ale ten akurat nie był wcale zły. Znowu się zaciągnęła. Nagle zaczęła wyraźnie słyszeć wszystkie prowadzone dookoła rozmowy i odniosła dziwne wrażenie, jakby sama unosiła się w powietrzu.

To wtedy chłopak postawił ją na nogi i zaproponował spacer.

Niezły pomysł. Może świeże powietrze, z dala od kwaśnego dymu, trochę oczyści jej umysł?

Pozwoliła Coreyowi, żeby ją poprowadził wzdłuż

brzegu rzeki, jednak w odległości zaledwie dziesięciu jardów od ogniska wprowadził ją do niewielkiej, osłoniętej zatoczki. Nie wiadomo skąd wytrzasnął koc i rozłożył go na piasku. Usiadł i przyciągnął Val do siebie.

- Jutro wyjeżdżam.

- Wiem. Będę za tobą tęsknić.

- Jak bardzo?

- Bardzo.

Zaczął się od pocałunku... a potem wszystko potoczyło się nie wiadomo jak. Następnym wrażeniem, jakie Val zapamiętała, był moment, w którym oboje leżeli obok siebie, a Corey wyciągał z jej spodenek koszulkę.

W najgłębszych pokładach jej umysłu milion dzwonów zabito na alarm.

- Corey, nie. Nie... ja nie pójdę na całość.

- Nawet dla mnie, maleńka? Kocham cię. A ty mnie nie kochasz?

- Przecież wiesz, że cię kocham. Ale to jest... nie powinniśmy tego robić.

- Dlaczego nie powinniśmy, skoro oboje się kochamy i zamierzamy wziąć ślub?

Mimo ośpienia, spowodowanego marihuaną, Val spróbowała myśleć.

- Ślub?

- Uważasz, że chciałbym cię wziąć, gdybym nie zamierzał się z tobą ożenić? Nie teraz, rzecz jasna, ale kiedy skończymy szkołę.

Val spróbowała ułożyć jakieś zdanie o intymności i małżeństwie. W sytuacji, w jakiej się znalazła, coś jej zupełnie nie pasowało, jednak usta Coreya i jego namiętność pozbawiały ją zdolności racjonalnego myślenia.

- Jesteś tego pewien? - Właściwie chciała powiedzieć zupełnie coś innego.

— *Jestem pewien, że oboje tego chcemy. Takie jest nasze przeznaczenie.*

*Jego dłonie zdawały się dotykać całego jej ciała. Mózg jej jakby zamarł. Nie była w stanie myśleć.*

*I nie myślała.*

*Postąpiła zgodnie z radą Coreya i poddała się przeznaczeniu.*

Przez ciało Val przebiegały drgawki, kiedy wspomnienia sprzed wielu lat zatarły się i zastąpiła je czarna tablica.

Tak wiele błędów. I w imię czego? Już nigdy więcej nie miała zobaczyć Coreya. I chociaż w skrajnej desperacji jednak go odszukała, jego oschłość sprawiła, że w najtrudniejszych dla siebie chwilach pozostała zupełnie sama.

Val przykleknęła na piasku i zanurzyła twarz w dłoniach. Gdyby tylko mogła cofnąć wskazówki zegarów, przeżyć tę noc jeszcze raz, jakże inne mogłoby być jej życie.

Było już jednak za późno. Nie miała żadnych widoków na drugą szansę.

Zaszlochała spazmatycznie. Wspomnienia, które nią targały, były zbyt głębokie, żeby je przyjmować na spokojnie. Zbyt mocno rozdzierały serce. Zbyt mocno bolały.

Musiała stąd odejść, i to szybko.

Zerwawszy się na nogi, pobiegła ku ścieżce, świadoma wplątujących się w jej włosy jeżyn, które boleśnie raniły kolcami dłonie i ramiona. Jednak nie zatrzymywała się, biegła przed siebie tak długo, aż wreszcie wybiegła z cienia i znalazła się na ogrzewanym przez jasne promienie słońca pagórku.

Padła na kolana i ręce, gwałtownie oddychając. Jej



serce łomotało tak gwałtownie, jakby właśnie ukończyła wyczerpujący wyścig na pięćset jardów.

Niewielka cena za znalezienie odpowiedzi w miejscu, w którym wszystko się zaczęło.

Tym bardziej, że gdyby nie dała sobie rady z sobą tutaj, nie miałyby szansy na przetrwanie wizyty w miejscu, w którym historia się skończyła.

- Tato, mogę podejść i z bliska zobaczyć tego motylka?

Podążając wzrokiem ku miejscu, które Victoria wskazywała palcem, David dostrzegł wielkiego motyla, unoszącego się nad połacią koniczyny.

- Jasne. Tylko poruszaj się powoli i nie rób hałasu, bo go przestraszysz i odleci. I nie dotykaj go, dobrze?

- Dlaczego?

- Bo motylki są bardzo kruche.

- Co to znaczy: „kruche”?

- To znaczy, że bardzo łatwo pękają. Przechyliwszy główkę, Victoria uważnie popatrzyła

na ojca.

- Tak jak waza mamusi?

David wyobraził sobie pięknie zdobioną szklaną wazę, którą Natalie przywiozła z podróży biznesowej do Włoch.

Nigdy się tą wazą nie interesował i wcale się nie przejął, gdy podczas rozpakowywania w nowym domu wysunęła mu się z rąk i roztrzaskała na tysiąc kawałków. Teraz jednak, nie wiadomo dlaczego, wspomnienie lśniącego purpurowego szkła na białych kafelkach w nowej kuchni zabolowało go.

Purpurowe szkło przypominało mu krew. Pozbył się tej wizji tak łagodnie, jak potrafił.

- Masz rację. Jak waza mamusi.
- Będę naprawdę uważała.
- To dobrze.

Victoria odbiegła i David obserwował jak zbliża się do motyla o jedwabnych skrzydłach. Kiedy dotarła zbyt blisko, motyl przeniósł się na sąsiedni kwiat i Victoria przystanąła. Po chwili wahania znowu ruszyła w jego kierunku. Scenariusz powtórzył się. I znowu. I jeszcze raz. Taka zabawa odpowiadała dziewczynce i mogła trwać godzinami. Davida to cieszyło; ważne, że jego córeczka była zadowolona.

Rozciągnął się jak długi na kocu, podłożył dłonie pod głowę i skierował twarz ku słońcu. Potrzebował relaksu po trudach przeprowadzki i zamierzał cieszyć się każdą chwilą tego wspaniałego dnia.

Kątem oka zauważył jakiś ruch i leniwie przechylił głowę, a potem niemal zeszywniał. Z lasu wyłoniła się ładna blondynka i przy ostatnim drzewie padła na kolana, podpierając się dłońmi.

David usiadł i uważniej popatrzył na kobietę. Czy po jej ramieniu ciekła krew?

Po krótkiej chwili na moment uniosła głowę, a serce Davida niemal stanęło.

To była Val!

David zerwał się na równe nogi i tylko pośpiesznie zerknął na Victorię. Była odwrócona tyłem do niego i pochylona oglądała motyla, obojętna na wszystko inne. Bez wątpienia jeszcze przez dłuższy czas powinna być bezpieczna i zajęta sobą.

Zerwawszy się biegiem ku Val, David z każdym krokiem doznawał coraz większego wstrząsu. Im był bliżej

niej, rym kobieta sprawiała gorsze wrażenie. Włosy miała zmierzwione i była naprawdę zakrwawiona. Miała długą otwartą ranę, biegnącą od łokcia aż do nadgarstka. Kiedy dotknął jej ręki i poczuł drżenie jej ciała, ścisnął mu się żołądek.

- Val? - zdołał jedynie wycharczeć, więc odezwał się znowu: - Val, co się stało?

Cisza.

Lekko nią potrząsnął.

- Val?

Kobieta powoli uniosła głowę. Miała szklany wzrok, a po jej bladej twarzy bez wątpienia zupełnie niedawno płynęły łzy. Zamrugowała oczyma... jeden raz... drugi... trzeci... Dopiero wtedy zaczęła odzyskiwać ostrość widzenia.

- David?

- Co się stało?

Odgarnęła z twarzy jasne włosy.

- Co... co masz na myśli?

- Wytoczyłaś się z gęstwiny. Twoje ramię krwawi. Drzysz i przecież widzę, że przed chwilą płakałaś.

Val popatrzyła na swoją rękę.

- To tylko zadrapanie, od jeżyn.

David zmrużył oczy. Czy specjalnie lekceważyła jego pytania, czy zachowywała się tak z powodu szoku?

- Val, coś się tutaj stało. Mam zadzwonić po policję?

- Nie. Nic mi nie jest. Ja... wyszłam na wycieczkę i zabłądziłam w lesie. Przez... przez kilka minut bardzo się bałam. To wszystko.

Kłamała.

David zdawał sobie jednak sprawę, że jeśli będzie naciskał, Val całkowicie zamknie się w sobie jak w skorupie.

- Rozumiem. - Nic nie rozumiał, oczywiście, jednak musiał podjąć grę. Przynajmniej na jakiś czas. - Tym niemniej muszę się zająć twoim ramieniem.

- Sama się nim zajmę, kiedy wrócę do domu. - Val spróbowała się uśmiechnąć, zdołała jednak tylko ułożyć usta w dziwaczny grymas. - A co ty tutaj właściwie robisz?

- Przygotowuję się do pikniku. — Roztoczył ręką szeroki krąg.

Kiedy Val popatrzyła ponad jego ramieniem na Victorię, rysy jej twarzy jakby złagodniały. Po chwili znowu opuściła głowę i zaczęła szukać czegoś w kieszeniach dzinsów.

- Przepraszam, że zakłóciłam ci odpoczynek -powiedziała.

Wydostała wreszcie z kieszeni kluczyki od samochodu i mocno zacisnęła na nich dłoń.

- Jesteś w takim stanie, że nie powinnaś prowadzić samochodu.

- Nic mi nie jest, naprawdę.

Spróbowała wyminąć Davida, jednak zatrzymała się, kiedy położył dłoń na jej ramieniu.

- Może po prostu dołączysz do nas? - zaproponował.

Znowu zerknęła na jego córkę.

- Nie, dziękuję. Nie chcę zakłócać sielanki rodzinnej.

- Przecież to tylko Victoria i ja. Val zmarszczyła czoło.

- A gdzie jest twoja żona?

- Natalie umarła dwa lata temu.

- Och! - Oczy Val rozszerzyły się. - Prze... przepraszam. Przykro mi.

- Dzięki. - David stanął obok Val i wskazał na swój koc. - W każdym razie Victoria i ja bardzo się ucieszymy z twojego towarzystwa.

Val odsunęła się.

- Nie... nie, nie powinnam.

Nie mogła oderwać wzroku od koca Koc wzbudzał w niej zdenerwowanie. Dlaczego?

David nie tracił czasu, żeby się nad tym zastanowić. Val powoli się oddalała i zdawał sobie sprawę, że za chwilę ucieknie.

- Właśnie mieliśmy przenieść się do stolika. To chyba wygodniejsze miejsce, nie sądzisz? Mamy na deser ciasto czekoladowe z orzechami - kusił ją.

Miał nadzieję, że ta zachęta nie sprawiała wrażenia wymuszonej. Sam nie przepadał za ciastem. Val jakby zaczęło opuszczać napięcie.

- Ciasto czekoladowe, mówisz? Trudno się oprzeć takiemu zaproszeniu.

- Więc zostań z nami. Mamy go mnóstwo.

W jej oczach pojawiło się niezdecydowanie i Davida ogarnęło zaniepokojenie, że Val jednak nie przyjmie zaproszenia. Tymczasem, ku jego zaskoczeniu, uległa mu.

- Dobrze. Zostanę na kilka minut. David uśmiechnął się szeroko.

- To wspaniale. Pozwól, że wszystko przygotuję. Dopiero kiedy trzepał koc i składał go, Victoria

popatrzyła w jego kierunku. Pomachał do niej, a ona ruszyła biegiem, najwyraźniej bardziej zaintrygowana osobą niespodziewanego gościa niż nieuchwytnego motylka. W miarę, jak się zbliżała, zwalniała kroku i w końcu stanęła obok niego, nieśmiało spoglądając na kobietę.

- Victoria, to jest Val, moja koleżanka. Powiesz jej „dzień dobry”?

- Dzień dobry! - Dziewczynka powtórzyła jego słowa.

- Witaj... Widziałam w taty biurze twoją fotografię, ale na żywo jesteś jeszcze śliczniejsza.

- Ty też jesteś ładna. - Dziewczynka popatrzyła na ramię Val. - Tylko zrobiłaś sobie auka.

- W lesie podrapał mnie wielki cień.

- Musimy się tym zająć.

David wyłożył na stół zawartość koszyka piknikowego, a potem wyciągnął z kieszeni kluczyki od samochodu.

- Sama się tym później zajmę. Zignorował te słowa.

- Zaraz przyniosę z samochodu zestaw do pierwszej pomocy.

- Wozisz coś takiego w samochodzie? - Val posłała Davidowi zdziwione spojrzenie.

- Mam pięcioletnią córkę, stosuję hasło Gwardii Przybrzeżnej: „Zawsze gotowi”!

Val wykrzywiła usta.

- No, dobrze. Kiedy ciebie nie będzie, porozmawiamy sobie z Victorią.

David poszedł do samochodu, a kiedy stanął przed bagażnikiem, zerknął z ukosa na swoją córkę i Val. Rozentuzjasmowana Victoria rozmawiała z Val, która pochylała się ku niej i słuchała jej z uśmiechem na twarzy. David nie słyszał, o czym opowiadała Victoria, ale co jakiś czas w powietrzu unosił się jej śmiech.

Boże, jak brakowało mu tego dźwięku! Zaczynał już podejrzewać, że dziewczynka w St. Louis pozostawiła umiejętność głośnego śmiania się, tak jak pozo-

stawiała tam koleżanki i radość z przeżywania każdego dnia. Od czasu przeprowadzki przez większość dni była cicha, przygaszona. Wielokrotnie budził się w nocy i stwierdzał, że dziewczynka leży obok niego i szeptem narzeka, że ma koszmary i jeśli zaśnie, to tylko przy nim.

Zdarzało to się zbyt często.

Wsunął kluczyk do zamka w bagażniku, podniósł klapę i wyciągnął ze środka zestaw do pierwszej pomocy. Cóż, mieli problemy związane ze zmianą otoczenia. Tego się należało spodziewać. Ale skoro już zamieszkali w małym miasteczku, wkrótce powinni przystosować się do jego rytmu i sprawy na pewno potoczą się lepiej. Oboje musieli przywyknąć do nowego środowiska. Zamienić nowe mieszkanie w prawdziwy dom. Zdobyć nowych znajomych, przyjaciół.

Na przykład Val.

Ta kobieta już przywróciła śmiech do życia Victorii. Sprawiała, że roziskrzyły jej się oczy. Z nim działało się to samo.

Jednak zmarszczył czoło, kiedy ponownie popatrzył w kierunku stołu piknikowego. Za kilka tygodni Val nieuchronnie będzie musiała wyjechać z Waszyngtonu. Zatem on, David, popełni wielki błąd, jeżeli się z nią zbyt mocno zaprzyjaźni, a tym bardziej jeżeli pozwoli zaprzyjaźnić się z Val Victorii. I on, i jego córka, doświadczyli już bólu i rozczarowań, które wystarczą na całe życie. Do Val należało więc podchodzić bardzo ostrożnie. Bez emocji. Jasne, powinien cieszyć się jej towarzystwem, ale jednocześnie szukać bardziej stałych przyjaciół. I przyjaciółek.

Powinni więc zjeść piknikowy lunch, spędzić razem kilka miłych chwil i na tym poprzestać. Nawet jeśli Val

zdawała się szukać nowych znajomości tak samo jak Victoria.

Będzie najbezpieczniej, jeśli w czasie tego przypadkowego spotkania nie padną żadne niepotrzebne słowa. Z żadnej strony.



- Wciąż nie rozumiem, jak mnie do tego namówiłaś. — Karen obdarzyła Val niezadowolonym spojrzeniem.

Jej siostra posłała Karen z krzesła obok szeroki uśmiech. Znajdowały się w salonie fryzjerskim.

- Zaufaj mi. Będziesz zadowolona.

Karen aż drgnęła, kiedy kolejne pasmo jej włosów spadło na podłogę.

- Przecież zawsze nosiłam długie włosy.

- Włosy do ramion to wciąż długie włosy, a każde pasemko to dodatkowe gramy. Nowe uczesanie podkreśli twoje doskonałe kości policzkowe. Mam rację? - Val skierowała to pytanie do kobiety, która z parą nożyczek krzątała się za fotelem Karen.

- Bez wątplenia. - Fryzjerka z wielką energią kontynuowała pracę. — A jeśli wzmocnimy kolor, włosy wydadzą się gęstsze, a fryzura będzie lepiej dopasowana do budowy ciała.

- Widzisz? - Val odchyliła się w fotelu i złączyła dłonie na płaskim brzuchu.

Karen patrzyła, jak kolejne długie pasmo pada na podłogę.

- W tym momencie chyba już nie mam wyboru -zauważyła.

- Rozpoczniesz w tym mieście nowy trend wśród dojrzałych kobiet. Włosy do ramion. Wiele dzieciaków się tak strzyże.

- Ale ja przecież nie jestem dzieciakiem! - Karen popatrzyła na swoje odbicie w lustrze. Musiała przy-

znać, że krótsze włosy lepiej pasowały do jej twarzy. Zmieniały ją jakby w łagodniejszą. Wciąż zachowywały nieładny mysiobrazowy kolor. — Nowa fryzura nawet mi się podoba... Ale co z tego, skoro kolor pozostaje ten sam?

- Może więc zmienisz także i to?

- Nie ma mowy! Jeden wielki krok na ten dzień mi wystarczy.

- Powinnaś jednak wzmocnić ich barwę. Podkreślić kasztanowy kolor. Mam rację? - Val znowu wciągała do rozmowy fryzjerkę.

- Absolutną. To wspaniały pomysł.

- Chyba jednak nie - sprzeciwiła się Karen.

- Dlaczego nie? Jeżeli nie polubisz nowego koloru, zawsze możesz wrócić do starego. No, Karen, śmiało.

- Chyba nie jestem zbyt śmiała, jeśli chodzi o tego typu decyzje. - Kolejny kosmyk włosów spadł na jej kolana i Karen wzięła go do ręki. - One są trochę jakby rude - powiedziała po chwili.

- Kasztanowe - poprawiła ją Val. - To jest o wiele bogatszy kolor. Jeśli go tylko wzmocnimy, zasadniczo barwa twojej fryzury wcale się nie zmieni.

- Sama nie wiem...

Val zdecydowała za siostrę.

- Zrobimy to - powiedziała do fryzjerki. Następnie popatrzyła na Karen, spodziewając się protestu. - Przyjmij ro ode mnie w prezencie urodzinowym.

- Urodziny mam dopiero we wrześniu.

- Wtedy będę już w Chicago. Otrzymasz więc prezent z wyprzedzeniem. Założę się, że go polubisz.

Czy to było możliwe? Tak!

- Dobrze, niech będzie. - Machnęła ręką na fry-

zjerkę, zdecydowana podjąć wyzwanie, mimo że wręcz dygotała z obawy i była prawie pewna, że popełnia błąd. - Słyszałaś, co powiedziała moja siostra? Będziemy farbować włosy.

Godzinę później, kiedy wyszły z salonu fryzjerskiego na słoneczną ulicę, Val cofnęła się o krok i popatrzyła uważnie na Karen. Potrząsnęła głową i wypowiedziała tylko jedno słowo:

- Doskonale!

- Zapewne mocno przesadzasz - zareagowała Karen. A jednak komplement sprawił, że zrobiło się jej ciepło na sercu. - Ale czuję się jakby ładniejsza, inna. Po raz pierwszy w życiu.

- Bo naprawdę jesteś ładna. A będziesz jeszcze ładniejsza, kiedy kupimy tusz do rzęs, błyszczczyk i szminkę.

Val ruszyła w kierunku najbliższej drogerii.

- Poczekaj! - Karen złapała Val za rękę. - A co z naszymi zakupami spożywczymi? I tak jesteśmy już spóźnione. Mama zacznie się zastanawiać, co się z nami dzieje, a Kristen będzie wściekła, że zostawiliśmy ją samą z babcią na tak długo, i to jeszcze w wakacyjny weekend. Rano przypomniała mi, że chce wyjść w kilka miejsc.

- Obie jakoś to przeżyją. Pośpieszmy się. Poza tym obchodzimy przecież Dzień Niepodległości, pamiętasz? Znasz lepszy sposób na uczczenie święta?

Zanim Karen zdążyła odpowiedzieć, Val znalazła w centrum handlowym drogerię.

- Obiecuję ci, nie kupimy nic krzykliwego ani drogiego. Tylko takie środki, które lekko podkreślą barwę twoich włosów.

Lekkie podkreślenie oznaczało długo układany makijaż - przynajmniej według standardów Karen, bo według Val trwało to tylko chwilę.

Godzinę później, kiedy zatrzymały samochód przed domem Margaret, zdenerwowanie wykręcało żołądek Karen. Co na to wszystko powie matka?

Jakby wyczuwając jej zaniepokojenie, Val odezwała się:

- Nie bądź taka onieśmielona. I nie przejmuj się, jeśli matka będzie złośliwa; wyglądasz naprawdę wspaniale. Trzymaj się tej myśli.

Karen próbowała, jednak kiedy obie wchodziły do domu tylnymi drzwiami, była tak bliska ataku paniki, jak nigdy dotąd.

Kristen skoczyła na nogi natychmiast, gdy siostry weszły do kuchni, od dawna gotowa zakończyć przedłużającą się wizytę u babci.

- Już myślałam, że się zgubiłyście, albo... - Głos dziewczyny zamarł, a jej otwarte usta przez chwilę nie poruszały się. - O, cholera!

- Nieźle, co? - Mina Val świadczyła, że jest z siebie bardzo zadowolona.

Margaret była jednak pod znacznie mniejszym wrażeniem.

- Do diabła, co ry z sobą zrobiłaś?

- Mamo, wyglądasz wspaniale!

Jednak na tak, druga na nie. Jednak entuzjazm Kristen był znacznie silniejszy niż posępna mina Margaret.

- Nie sądzisz, że jesteś trochę zbyt stara na taką fryzurę? - Margaret spoglądała na córkę krytycznym spojrzeniem.

- Przecież ona jest młoda! - Val położyła torebkę na stół.

Kristen przykuśtykała, żeby lepiej przyjrzeć się matce. Nowy, lżejszy gips sprawiał, że znacznie łatwiej było jej się poruszać.

- Wspaniale podkreśliłaś rudy odcień włosów! -powiedziała.  
- Kasztanowy - poprawiła ją Val. Margaret zerknęła z ukosa na Karen.  
- Pofarbowałaś włosy? - zdziwiła się.  
- Jak się nazywa kolor tej szminki? - Kristen popatrzyła na usta Karen.  
- Pustynna róża. - Val skrzyżowała ręce na piersiach i oparła się o kredens.

- Jest perfekcyjny! Mamo, dlaczego nie zaczęłaś używać takiej szminki już dawno temu?

- Ponieważ przedtem była wystarczająco rozsądna. -Margaret posłała młodszej córce znaczące spojrzenie.

- Przed czym?

Na z pozoru niewinne pytanie Val Margaret zareagowała groźnym spojrzeniem.

- Masz na nią nie najlepszy wpływ, to chyba jasne. Karen zawsze była rozsądna i zrównoważona. Szanowała swoją matkę. Gotowała jej dobre obiady. Nie była roztrzepana i nie widziała konieczności farbowania włosów ani nakładania na twarz krzykliwego makijażu.

- Zawsze mogę wyjechać.

Zanosilo się na kłótnię i Karen postanowiła szybko zareagować. Eskalacja tej sytuacji nie miała sensu.

- Nikt nie chce, żebyś wyjeżdżała, Val. A kwestia fryzury i makijażu była wyłącznie moim wyborem, mamo. Poza tym to żadna wielka sprawa. Kristen, czy ty i babcia jadłyście już lunch?

- Jeżeli można to nazwać lunchem. - Margaret prychnęła z pogardą.

- Val zostawiła nam fantastyczną sałatkę z fasolki szparagowej. - Kristen wzięła do ręki swój plecak. -Musisz koniecznie wziąć od niej przepis, mamo.

- Nie zapomnę o tym. Wracamy do domu?

- Tak. - Kristen ruszyła już w kierunku drzwi, ale widząc groźnie uniesioną brew matki, cofnęła się i pocałowała Margaret w czoło. - Cześć, babciu.

- Do widzenia, Kristen. Widzimy się w niedzielę w kościele, tak? Mam nadzieję, że nie przyjdzie ci do głowy rozczarować Pana Boga?

Kristen przewróciła oczyma.

- Tak, babciu, na pewno będę w kościele.

- To dobrze. Karen, odbierzesz mnie jak zwykle?

- Oczywiście.

Karen pocałowała Margaret w policzek.

- Wolałam zapytać. Zdaje się, że wszystko dookoła szybko się zmienia.

- Rzeczywiście, mamo. Czy to nie jest wspaniałe? -Val zerknęła z ukosa na Karen.

Popychając Kristen w kierunku drzwi, Karen szepnęła jeszcze Val do ucha:

- Powodzenia.

- O mnie się nie martw.

Lekka odpowiedź nie zaskoczyła Karen. Val zawsze miała wszystko pod kontrolą. Doskonale potrafiła dawać sobie radę z Margaret - i w ogóle ze wszystkim.

Któregoś dnia, jeżeli jeszcze nad sobą popracuje, Karen zapanuje nad swoim życiem tak zdecydowanie, jak Val.

Tymczasem życie Val było w wielkiej rozsypce.

Chodziła po swoim pokoju bez chwili przerwy, od ściany do ściany.

Przeczesawszy palcami wilgotne włosy, popatrzyła

na ustawiony na nocnym stoliku zegar. Jeśli przetrwa jeszcze ze trzy godziny, zacznie świtać. A kiedy świeci słońce, wszystkie problemy zawsze wydają się trochę łatwiejsze.

Kiedy zmęczenie sprawiło wreszcie, że zaczęły się pod nią uginać nogi, usiadła na krześle przy oknie. Mogła winić za swoją bezsenność hałaśliwą klimatyzację, która bez powodzenia próbowała chłodzić ceglany bungalow, ale czy oszukiwanie się miało jakikolwiek sens, skoro doskonale zdawała sobie sprawę z prawdziwej przyczyny? Były nią dobrze znane koszmary, które powróciły do niej ze zdwojoną siłą po wyprawie nad rzekę.

Val oparła się o ścianę i potarła sobie nos. Gdyby chociaż mogła z kimś porozmawiać! Z kimś, kto wysłuchałby jej, nie oceniając i nie próbując udzielać dobrych rad.

Ale podzieliła się z kimś swym sekretem tylko raz, dawno temu. Z jedną osobą. Ten błąd doprowadził do kolejnego, znacznie większego - a potem do odrzucenia. Nie zamierzała podejmować takiego ryzyka po raz drugi.

Pot zgromadził się nad jej brwiami; starła go nerwowym ruchem. Szkoda, że nie nosiła w sobie takiej wiary, jak Karen. Że w przeciwieństwie do niej nie miała żadnych związków z Bogiem; wtedy mogłaby poprosić Wszechmogącego o pomoc. Teraz nie mogła na niego liczyć - dlaczego miałby wspierać kogoś, kto odepchnął Go od siebie już dawno temu?

Przyciągnęła nogi do piersi i oparła podbródek na kolanach. Przynajmniej matka przestała ją zdręzczać, żeby chodziła do kościoła z resztą rodziny. Stoczyły tę walkę lata temu i chociaż ten jeden raz Val zwyciężyła. Teraz bez większego przekonania Margaret próbowała ją namawiać, żeby wróciła do kościoła. Cała jej energia

koncentrowała się na biednej Kristen - dziewczyna nie miała szansy, żeby uciec od obowiązku uczestniczenia w niedzielnych nabożeństwach.

Obecną sytuację Val uważała za dość zabawną. Właściwie to prawie chciała, żeby ktoś ją na siłę zaciągnął do kościoła. Nie spodziewała się, że znajdzie tam rozwiązanie swoich dylematów albo że zazna jakiegoś nagłego objawienia. Jednak inni ludzie znajdowali w wierze ulgę i pocieszenie. Może ona sama poszukiwała ich nie dość intensywnie?

No, cóż, pewnie i tak było na to za późno.

Z ciężkim westchnieniem Val opuściła nogi na podłogę i wstała. Musiała koniecznie szukać snu, nawet jeśli to poszukiwanie miało oznaczać kolejne koszmary, jeszcze wyraźniejsze niż kilka dni temu, dzięki nieopatrznej wizycie nad rzeką. Koszmary, które - jak podejrzewała - staną się jeszcze gorsze, jeżeli odwiedzi kolejne miejsca ze swojej listy.

Nie. Nie powinna myśleć „jeśli je odwiedzi”. Po prostu: kiedy je odwiedzi.

Ponieważ doskonale rozumiała, że nigdy nie zazna spokoju, którego tak pragnęła, jeżeli nie zobaczy tych miejsc.

Już jutro postara się zebrać w sobie i znaleźć dość odwagi, aby wykonać kolejny krok.

Karen wzięła do ręki torebkę, zeszyt z nutami i wsunęła głowę do salonu. Kristen leżała w byle jakiej pozycji na kanapie i gapiła się w telewizor. Jak zwykle.

- Będę w domu koło dziewiątej. Albo wcześniej, jeżeli próba będzie krótsza.



- Dobrze.

Usłyszawszy przygnębiony głos córki, zawahała się.

- Wszystko w porządku? - zapytała.

- Tak. Chyba tak.

Zabrzmiało to niezbyt przekonująco. Podeszła do niej bliżej.

- Sprawiasz wrażenie, jakbyś była przygnębiona.

- Nudzę się.

- A może zadzwonisz do Erin i gdzieś razem pójdziecie?

- Cała banda poszła już do parku wodnego.

- Och. - O kąpieli w basenie nie mogło być mowy jeszcze przez jakieś trzy tygodnie, dopóki Kristen ostatecznie nie pozbędzie się gipsu. - Nie mogłaś iść z nimi i chociaż popatrzeć, jak się bawią?

Kristen posłała matce spojrzenie, które miało znaczyć: „Bądź poważna”.

- Przecież wszyscy po prostu będą się kąpać! Nic tam po mnie.

- Może Gary dotrzymałby ci towarzystwa? Chociaż Karen nie darzyła sympatią długowłosego

młodzieńca, który podobał się Kirsten, nie miała też nic przeciwko temu, żeby towarzyszył jej w większej grupie. Było to na pewno lepsze niż randki z nim we dwoje, których Karen absolutnie nie aprobowała.

- Od dość dawna nie rozmawiam z Garym. — Szczeka Kristen zadrżała i dziewczyna odwróciła twarz od matki.

Ach! Na wyboistej drodze młodzieńczego romansu chyba pojawiła się wielka dziura.

Karen podeszła do córki i przysiadła na skraju kanapy.

- Co się stało?

- A skąd mam wiedzieć? Przecież z tą głupią złamaną nogą nigdzie nie wychodzę przez całe lato. Pewnie Gary spotyka się już z inną dziewczyną.

- A może jest po prostu zajęty? Zdaje się, że ma jakąś pracę na wakacje.

- Tak, ale ma też mnóstwo wolnego czasu. Erin powiedziała mi, że widziała go ostatnio z Paulą.

A więc inna dziewczyna. Gorzej być nie mogło.

Karen zastanawiała się, czy nie powiedzieć córce, że jej obecne zauroczenie i tak przeminie, że na świecie jest mnóstwo chłopaków, że wkrótce pojawi się przy niej ktoś lepszy i bardziej lojalny. Tyle że takie frazesy nie miały szansy dotrzeć do rozgoryczonej nastolatki.

Pochyliła się i pocałowała Kristen w czoło.

- Zawsze pamiętaj, że ja cię kocham.

- Cieszę się, że chociaż ty mi to mówisz.

Karen ścisnęło się gardło, ponieważ jej córka wypowiedziała te słowa przez łzy. Może nie było to najbardziej chrześcijańskie uczucie, ale miała nadzieję, że także Gary poczuje, co to znaczy zostać zdradzonym. I to wkrótce.

- Chcesz, żebym wieczorem została z tobą? - zapytała.

- Nie. Nie ma takiej potrzeby. Obejrzę jakiś film.

- Jeśli wrócę wcześniej, pojedziemy do Pana Franka?

- Może tak.

Niedobrze. Skoro perspektywa wyprawy do popularnej lodziarni nie wzbudziła większego zainteresowania Kristen, musiała naprawdę być w depresji.

Uściskawszy jeszcze raz ramię córki, Karen ruszyła w kierunku drzwi. Nie zamierzała lekceważyć swoich obowiązków w chórze, chciała jednak wrócić z próby na tyle wcześnie, żeby jeszcze gdzieś wyjść z córką - nawet

gdyby musiała *wyjsć* przed zakończeniem. Nic strasznego, jeśli wziąć pod uwagę problemy i postawę na próbach Scotta Walkera.

Wyszła z domu, zamknęła drzwi i skierowała się do samochodu. Jeśli atmosfera w chórze nie poprawi się szybko, ludzie wkrótce przestaną przychodzić na próby i...

- Cześć, Karen.

Zatrzymała się i mimowolnie przyłożyła dłoń do piersi.

- Michael! Przestraszyłeś mnie. Co ty tutaj robisz?

- Zatelefonowała do mnie Kristen i powiedziała, że chciałyby mnie częściej widywać. Postanowiłem złożyć jej niespodziewaną wizytę. Jest w domu?

Ręce włożył do kieszeni spodni. Ruch ten uwypuklił, jak nisko zwisają mu ramiona - jakby był zmęczony i zniechęcony do wszystkiego. Pod jego oczyma widoczne były szare cienie, a czoło przecinały zmarszczki.

Sprawił wrażenie starego człowieka. Karen widziała go takim po raz pierwszy, odkąd go poznała.

- Jest w salonie, ogląda film. Muszę powiedzieć, że zjawileś się w samą porę. Jest zdołowana i czuje się opuszczona przez wszystkich. Z powodu złamanej nogi nie może wychodzić z domu z koleżankami i chyba zostawił ją chłopak... Twoje odwiedziny na pewno poprawią jej nastrój.

Michael pokiwał głową, właściwie bez zainteresowania. Jego myśli wyraźnie koncentrowały się na Karen.

- Chyba schudłaś?

- Trochę.

- I coś zrobiłaś z włosami... Bardzo ładna fryzura.

- Dzięki.

Z niechęcią musiała sama przed sobą przyznać, że komplement Michaela sprawił jej przyjemność.

- Cóż... Zobaczę, co u Kristen.

- Idź. Ja już jestem spóźniona na próbę chóru. Karen znowu skierowała się do samochodu, teraz

zła, że zostawiła go po pracy przed garażem, zamiast wjechać do środka. Michael poszedł za nią i otworzył jej drzwiczki. Wsunęła się do środka, a gdy Michael zamknął samochód, oparł się o dach i wpatrywał się w Karen tak jak wtedy, gdy byli narzeczeństwem. Wówczas od tego spojrzenia pod Karen uginały się nogi.

- Naprawdę dobrze wyglądasz, wiesz o tym? Słyszając jego lekko ochrypy głos, Karen zaczerwieniła się - jak za dawnych dni.

Na miłość boską. Jakie to smutne.

Ten mężczyzna przecież ją oszukiwał. Porzucił ją jak zużyty przedmiot i wymienił na nowszy model. A ona teraz reagowała na jego tanie uwodzicielskie sztuczki.

Wsunęła klucz do stacyjki i odwróciła głowę.

- Jestem już spóźniona, Michael.

- Rozumiem. - Niechętnie oderwał rękę od dachu. -Do zobaczenia.

Nie odpowiedziała mu. Założyła za to okulary przeciwsłoneczne i wycofała samochód z podjazdu. Za nic w świecie nie zamierzała odwracać głowy i spojrzeć na niego jeszcze raz.

A jednak, zła na siebie, poparzyła we wsteczne lusterko. Michael wciąż stał przed garażem, z rękami w kieszeniach, w pozycji, która tak bardzo przywodziła jej na pamięć wspomnienia dawnych dni. Stał tak zawsze, kiedy czekał, aż Karen wyjdzie z mieszkania i pójdzie z nim na kolejną randkę. Teraz wypatrywał za jej samochodem, dopóki nie zniknął mu z oczu.

I co z tego?

Te dni już dawno minęły. Na zawsze. Nigdy więcej randek z Michaeliem. Kochali się, owszem, ale to było bardzo dawno temu.

Czas zmienił Michaela.

Zmienił również Karen.

Dziesięć minut później, kiedy trochę spóźniona dotarła na próbę chóru, Scott akurat robił trzeciemu głosowi zgryźliwy wykład z powodu źle zaśpiewanej nuty.

- Nie, nie, nie! Dwukrotnie już to wam zagrałem. To wcale nie jest takie trudne. Spróbujcie jeszcze raz.

Karen zajęła swoje miejsce i posłała współczujące spojrzenie trzem parafianom, którzy śpiewali trzecim głosem. Tylko jeden z nich znał nuty. Pozostali dwaj ćwiczili jedynie ze słuchu; Marilyn miała dla nich dość cierpliwości i powtarzała z nimi melodię tak długo, dopóki jej nie zapamiętali. A teraz Scott wymagał, żeby poprawnie śpiewali swoją melodię zaledwie po kilku powtórkach.

Trzeci głos podjął jeszcze jedną kiepską próbę.

Po chwili Scott popatrzył na trzech chórzystów złym spojrzeniem.

- Trudno. Nie mamy tyle czasu, żeby bez końca próbować ten fragment. Dopracujecie go sami. Teraz zajmujemy się drugim głosem.

Zagrał melodię jedną ręką na pianinie.

- Zaczynamy.

Kiedy po kilku chwilach Teresa Ramirez zaśpiewała nutę o pół tonu wyższą zamiast niższej, Scott uciszył chór i pomasował skronie.

- Mam nadzieję, że nie muszę wam mówić, jak dalece wasze śpiewanie odbiega od moich oczekiwań. - Jego głos był pełen sarkazmu. - Jeszcze raz.

Pierwszy głos znów zaśpiewał. Po kilku próbach, które Scott zatrzymywał po każdej źle zaśpiewanej nucie, drugi głos był równie sfrustrowany jak trzeci.

- Cóż, zobaczymy, czy lepiej sobie poradzi pierwszy głos. Śpiewacie podstawową melodię, zatem wasze zadanie jest najprostsze.

Zagrał melodię, po czym zaczął dyrygować. Melodia była trudna, nieprzyjemna, ze zmianą tonacji w połowie. Karen i pozostałe chórzystki starały się, jak mogły, jednak także ich śpiew daleki był od doskonałości. Utwór miał zbyt skomplikowaną aranżację dla małego, amatorskiego chóru kościelnego.

W miarę upływu czasu skóra na policzkach Scotta coraz bardziej się napinała, a atmosfera w kościele była równie nieznośna, jak wilgotność powietrza nad Missouri w sierpniu. Karen czuła, jak twardnieją jej mięśnie brzucha, podobnie jak wtedy, gdy Michael bez powodu wpadał we wściekłość, albo gromił ją za jakieś wyimaginowane niedopatrzenie.

- Spróbujmy teraz wszystko połączyć. - Widocznie zniechęcony, Scott powrócił do pierwszych taktów utworu.

Chór starał się, jak mógł, jednak z mizernym efektem; fałszywe nuty wyczuwała nawet Karen. Drugi głos brzmiał jakoś bezbarwnie, a trzeci głos kompletnie się pogubił. Pierwszy głos brzmiał najlepiej, ale nie na tyle dobrze, żeby ratować całość.

W połowie pieśni Scott przerwał próbę i wstał.

- Nazywanie tego, co tutaj wyczyniacie, „muzyką” byłoby nie na miejscu. Nie rozumiem, jak w ogóle może-

cie nazywać się chórem. Zajmijmy się od początku trzecim głosem.

Po tych słowach Scotta coś w Karen jakby pękło. W życiu nasłuchiwała się dosyć pretensji i złośliwych uwag od Michaela, swoim sarkazmem zamęczała ją matka, a i Kristen nie oszczędzała jej, wечно z czegoś niezadowolona. Trwało to od wielu lat i Karen nie zamierzała dobrowolnie poddawać się temu także na próbach chóru. Uznała, że nie będzie siedzieć bezczynnie i słuchać, jak arogancki bęcwał atakuje ją i innych chórzystów bezczelnymi uwagami, mimo że wszyscy starają się śpiewać jak najlepiej. Członkom chóru nikt nie płacił! Śpiewanie w nim kiedyś było dla Karen ogromną przyjemnością, a teraz stawało się zwyczajną udręką.

Uniosła głowę, zebrała swoje rzeczy, wstała i ruszyła główną nawą w kierunku wyjścia z kościoła. Scott w połowie przerwał kolejną tyradę i w kościele zapadła cisza. Wychodząc, Karen czuła na swoich plecach czternaście par oczu; bez wątpienia wszyscy byli zaskoczeni jej demonstracją asertywności.

Ale mimo że jej ręka drżała, kiedy dotykała nią klamki, nie zatrzymała się. Otworzyła drzwi, przeszła przez próg i zatrzasnęła drzwi za sobą.

Nie obejrzała się.

- Scott, to ty?

Zatrzasnąwszy za sobą drzwi, Scott uniósł do czoła drżącą rękę, po czym pomasaował sobie skronie. -Tak.

Dorothy weszła do salonu, spojrzała na syna i natychmiast podeszła do niego trzema długimi krokami.

- Co się stało? Wyglądasz okropnie!

- Cała dzisiejsza próba chóru była jedną wielką katastrofą.

Dorothy ujęła Scotta pod ramię, poprowadziła go do kanapy i zmusiła, żeby usiadł.

- Gdzie są twoje lekarstwa?

- W łazience.

Kobieta na chwilę zniknęła w holu, ale po minucie wróciła z dwiema tabletkami i szklanką pełną wody. Scott połknął obie naraz i obficie popił. Następnie przymknął oczy i oparł głowę o zagłówek kanapy.

Dorothy odebrała mu szklankę i usiadła na krześle naprzeciwko niego.

- Musiało być naprawdę źle - powiedziała.

- Tak. I to od samego początku.

- Kiepsko zatem zacząłeś.

- Ja nie żartuję. Zresztą, kiedy słuchałem tych fałszujących śpiewaków, z każdą chwilą wpadałem w coraz większą złość.

- Na pewno starali się, jak tylko mogli.

- No i co z tego, skoro nic im nie wychodziło?

- Najważniejsze, że się starali. Wiem, że przyzwyczyłeś się do pracy z profesjonalistami, jednak większość



członków naszego chóru przychodzi na próby, bo po prostu lubi śpiewać. Nie mają nic wspólnego ze wspaniałymi chórzystami z Metropolitan Opera. Jeśli narzucisz im zbyt wysokie standardy i będziesz się na nich denerwował, przestaną znajdować w próbach przyjemność i po prostu nie będą się na nich pojawiać.

- Zauważyłem to zjawisko. Jedną osobę już dzisiaj straciłem.

- Co się stało?

- Próbowałem ich nauczyć nowej pieśni i trochę się przy tym... zdenerwowałem. Czuję, jak w głowie szumi mi krew z nerwów, a nie posuwaliśmy się z pracą ani odrobinę do przodu. Myślę, że ten utwór był dla nich... cóż... zbyt trudny. Jedna z chórzystek po prostu wstała i wyszła z kościoła.

- Która?

- Nie wiem. Kobieta z pierwszego głosu.

- Stara czy młoda?

Chociaż Scott starał się wyobrazić sobie postać Karen, nie pamiętał szczegółów. Nic dziwnego - nigdy nie skupiał uwagi na twarzach chórzystów.

- Chyba jedna z młodszych. Miała włosy do ramion, tak rude, że prawie czerwone.

- To musiała być Karen... Ale żeby bez słowa wychodzić z próby? To do niej niepodobne! Zwykle nikomu nie sprawia kłopotów

- Powiedziałem ci już, że byłem wobec nich wszystkich trochę zbyt ostry.

- Och, na pewno, skoro Karen przerwała próbę.

- Zrezygnuję. Z tej mojej pracy nic dobrego nie wyniknie.

Matka odpowiedziała mu po dłuższej chwili ciszy.

- Przecież chór potrzebuje dyrygenta.

- Ale ja raczej nie jestem odpowiednią osobą na to stanowisko.

- Aha. - Dorothy wygodniej usiadła na krześle. -Co więc zamierzasz robić?

- Po prostu będę się objął.

- Przecież objasz się już długie dwa miesiące! W końcu powinieneś pomyśleć o swojej przyszłości.

- Nie ma przede mną żadnej przyszłości - odparł ponurym głosem.

Nie było w nim emocji, poza rozpaczą. Tak właśnie się czuł. Nie miał żadnej nadziei.

- Nonsens. - Po raz pierwszy od powrotu Scotta do domu oczy Dorothy zapalały złością. - Oczywiście, że masz przyszłość. Może nie taką, jaką jeszcze niedawno planowałeś, ale jakąś masz. Sam musisz to zrozumieć i przestać się nad sobą uzalać.

Dorothy pochyliła się ku synowi, skupiona i zdecydowana.

- Wielu ludzi musi w życiu reagować na przeciwności losu. Wielu ludziom życie wywraca się do góry nogami, z różnych powodów. Pamiętasz, jak wspominałam ci o pewnym studencie, Stevenie Ramseyu? Był obiecującą gwiazdą futbolu, ale okropny wypadek na treningu, kilka miesięcy temu, zrobił z niego paralytyka; doznał porażenia poprzecznego. Teraz jest młodym człowiekiem, który musi na nowo ułożyć całe swoje życie. Chodzi już nie tylko o karierę sportową, ale o zwykłe codzienne funkcjonowanie. W porównaniu z Ramseyem twoje kontuzje i rany są naprawdę drobne. Nadal potrafisz samodzielnie wstawać z łóżka. Wciąż samodzielnie jesz, prowadzisz samochód i bez problemu korzystasz z łazienki. A on musi od nowa uczyć się wszystkich podstawowych czynności. - Przybliżyła się jeszcze bar-

dziej do Scotta. Ich twarze niemal się zetknęły. - Jeśli tylko będziesz tego mocno chciał, jeszcze zrobisz karierę muzyczną. A Steven już nigdy nie będzie sportowcem. Pomyśl o tym i dopiero wtedy zacznij się zastanawiać nad swoimi perspektywami. - Umilkła przed ostatecznym atakiem. - Może powinieneś jednak skorzystać z porady lekarza i spotkać się z tym psychologiem?

Krew w głowie Scotta z każdą chwilą szumiała intensywniej. Chciał ostro zareagować na słowa matki, powiedzieć jej, że się myli, a on ma wszelkie prawa, żeby się nad sobą użalać... jednak nie potrafił znaleźć żadnych argumentów, żeby się z nią sprzeczać. Rzeczywiście był zbyt ostry i nieprzyjemny dla chórzystów. Tak, nadszedł już czas, żeby podjąć decyzję, jak będzie żył dalej. Musiał określić dla siebie jakiś cel, jakąś perspektywę.

I być może naprawdę potrzebował pomocy.

Dorothy położyła dłoń na jego ramieniu i złagodziła

ton.

- Przepraszam, jeżeli byłam zbyt ostra, ale chwila tego wymagała.

- To wszystko nadal nie dowodzi, że pasuję na stanowisko dyrygenta chóru.

- Porozmawiaj o tym z wielebnym Richardsem. Może we dwóch uda wam się ustalić, w jaki sposób powinien być prowadzony chór kościelny, dopóki nie znajdzie się stały następca Marilyn. Wiem, że wielebny Richards zawsze słucha mądrych rad i sugestii.

Scott westchnął.

- Cóż, przynajmniej tyle mogę zrobić. Dorothy ścisnęła jego ramię i wstała.

- Przysiadź się do mnie na werandzie. Zrobiłam trochę domowej lemoniady.

- Zaraz przyjdę.

Obserwował, jak matka wychodzi z salonu. Znowu ta metafora lemoniady! „Skoro życie oferuje ci limonki, powinienesz przerabiać je na lemoniadę”. Jeszcze nie odkrył, jak to się robi, ale matka miała rację. Czas, żeby się nauczył.

Poza tym... czekały go przeprosiny. Najpierw wobec całego chóru, a potem specjalne dla jednej z chórzystek.

Drzwi poczekalni otworzyły się i Karen zerknęła ku nim znad kolorowego magazynu, który właśnie przeglądała. Na progu gabinetu fizjoterapeuty stanął płowłosy mężczyzna; w rękach trzymał dwa kubki z kawą. Uważnie zlustrował wzrokiem poczekalnię, po czym odezwał się do recepcjonistki, której twarz widoczna była w okienku:

- Judy, widziałaś córkę pani Montgomery? Odłożywszy na bok magazyn, Karen wstała.

- Przepraszam... to ja jestem córką pani Montgomery.

Ujrzawszy zdziwienie na twarzy mężczyzny, Karen dodała dwa do dwóch. To musiał być David, terapeuta jej matki.

Karen z uśmiechem uzupełniła swoje słowa.

- Jestem jej drugą córką i mam na imię Karen. Val kiepsko się dzisiaj czuje.

Wyraz rozczarowania pojawił się na twarzy Davida jedynie na chwilę, ale wiele jej powiedział.

- Mam nadzieję, że to nic poważnego.

- Po prostu lekkie letnie przeziębienie. Czy z mamą wszystko w porządku?

- Tak. - Mężczyzna popatrzył na dwa kubki z kawą,

które trzymał w dłoniach i zaczerwienił się po szyję. -Napije się pani kawy?

- Nie, dziękuję.

- Margaret wyjdzie do pani za kilka minut. Kiedy zniknął za drzwiami, Karen wróciła na krzesło.

A więc to był David. Fizjoterapeuta, którego Val opisała jako mężczyznę w typie przystojnego faceta z sąsiedztwa. Mówiąc o nim, chyba jednak nie do końca oddała urodę wysokiego, muskularnego i sympatycznego mężczyzny, który swoją osobowością zauroczył Margaret - i zapewne również Val. Rozważając jego zachowanie w czasie tej krótkiej chwili, kiedy stał w drzwiach, Karen uznała, że z pewnością jest on jej siostrą zainteresowany. Co na to Val?

Intrygujące pytanie.

W najbliższe sobotnie przedpołudnie zamierzała uzyskać na nie odpowiedź.

Rozglądając się po uporządkowanym, niezagraconym biurze wilebnego Richardsa, Scott bębnił nerwowo palcami w oparcie krzesła. Źle się czuł w tym pomieszczeniu. Nie przyszedłby tu, gdyby matka nie wzmocniła jego poczucia winy za incydent w czasie ostatniej próby chóru. To z jej powodu był tutaj. Bo przecież to ona kazała mu przyjąć posadę dyrygenta i tylko ona mogła mu wskazać, w jaki sposób się tej posady pozbyć.

Z drugiej strony... miał już trzydzieści osiem lat. Skoro chciał rzucić pracę, sam musiał odbyć z Richardsem tę decydującą rozmowę.

Otworzyły się drzwi i do gabinetu z wielkim pośpiechem wszedł wilebny Richards.

- Przepraszam, że musiał pan czekać. Rura w piwnicy tak nam się rozszczelniła, że zaraz eksploduje, i chociaż fontanna w świątyni mogłaby się ludziom nawet podobać, to raczej nie powinniśmy osiągać takiego efektu w przypadkowy sposób.

Z uśmiechem na twarzy wyciągnął rękę do Scotta. Scott podał mu swoją i odwzajemnił mocny uścisk. Kiedy duchowny usiadł na krześle obok niego, promienie słońca zza okna oświetliły na skroniach siwe pasemka wśród jego brązowych włosów oraz jego miłe, łagodne oczy. W swoim gabinecie wielebny Richards emanował taką samą dobrocią i spokojem jak w niedzielę, kiedy stał przy ołtarzu.

Szczęściarz z niego, pomyślał Scott. To bardzo fajnie czuć spokój i pewność siebie w takim miejscu, jak ten cholerny świat.

- Co mogę dla pana zrobić w tym wspaniałym dniu? - Duchowny nie tracił czasu na niepotrzebne wstępy.

Scott odchrząknął.

- Chciałem porozmawiać o stanowisku dyrygenta chóru.

- Ja także chciałem o tym z panem porozmawiać. Obecnie chór śpiewa doskonale, jak nigdy dotąd. Bardzo mi się podobają nowe pieśni, które pan wprowadził do jego repertuaru.

- Te pieśni chyba nie podobają się jednak chórzystom.

Pastor uśmiechnął się.

- Wszyscy mamy tendencję do stagnacji i nie lubimy się nadmiernie wysilać, prawda? Dyrygent zawsze będzie się stykał z oporem i utyskiwaniami chórzystów.

Zdaniem Scotta, na ostatniej próbie spotkał się raczej z „animozją” niż z „oporem”.

- Rzecz w tym, wielebny, że wątpię, aby moja praca z chórem przyniosła jeszcze cokolwiek dobrego.

Spodziewał się, że pastor wpadnie w złość. Tymczasem wyraz jego twarzy nie zmienił się; nadal był spokojny.

- Dlaczego?

- Z wielu powodów. Zaczniemy od fizycznych. -Scott uniósł do góry lewą rękę. - Moja ręka źle funkcjonuje i nie jestem w stanie poprawnie grać nią na pianinie. Ponadto miewam okropne bóle głowy, które powodują, że się złościę, niecierpliwie i w ogóle jestem trudny do zniesienia. Może ojciec zapytać o to chórzystów. Gwarantuję, że wiele ojciec na ten temat usłyszy. -Zdrową dłoń zacisnął na oparciu krzesła. - No i przede wszystkim: nie jestem człowiekiem wierzącym. Od wielu lat nie chodzę na msze i chociażby z tego powodu nie powinienem się zajmować muzyką kościelną. Wykonuję moją pracę zupełnie bez entuzjazmu. - Westchnął i trochę ściszył głos. - Właściwie wszystko robię bez żadnego entuzjazmu.

Scott lekko pochylił się do przodu, ścisnął dłonie pomiędzy kolanami i zaczął się wpatrywać w skomplikowane wzory dywanu wokół jego butów.

- Prawda jest taka, że od wypadku żyję jakby pod ciemną chmurą. Najchętniej po prostu tkwię w swoim pokoju, za zamkniętymi drzwiami. Wychodzenie na próby chóru to dla mnie prawdziwe wyzwania. Nie mam ochoty stykać się z ludźmi. Szczerze mówiąc, nie mam ochoty żyć. Pracę w chórze przyjąłem tylko dlatego, że nalegała na to moja matka.

Scott poczuł, że wielebny uważnie lustruje go wzrokiem, jednak nie podniósł głowy.

- Może mi pan opowie o swoim wypadku? Kiedy padło to pytanie, Scott wyprostował się,

zwiększając w ten sposób dystans.

- Niewiele z niego pamiętam.

- Nic nie szkodzi. Proszę powiedzieć to, co pan pamięta.

Puls Scotta przyśpieszył. Scott popatrzył przez okno na wielki dąb o szerokiej koronie, stojący na środku trawnika.

- Niechętnie o tym rozmawiam.

- Cofnijmy się więc trochę dalej. Niech mi pan opowie o swojej karierze muzyka.

Żołądek Scotta gwałtownie zareagował. Ten temat był dla niego jeszcze bardziej bolesny.

- Przecież nie robię kariery.

- Chodzi mi o tę sprzed wypadku.

Wielebny Richards nie poddawał się. W sumie można mu było rzucić kilka okruchów i mieć nadzieję, że się wycofa z tej rozmowy.

- Myślałem, że mama mówiła już ojcu. Byłem muzykiem jazzowym.

- Tak wspominała mi. Jak to wyglądało?

Scott zamknął oczy, przypominając sobie momenty, kiedy wszystko w jego życiu było doskonale ułożone, kiedy każdą nutę grał z pasją, uczuciem i zrozumieniem. Kiedy zatracił się w każdej melodii i gdy grając, czuł, że ma do czynienia z czymś znacznie większym i wspanialszym niż on sam. Kiedy porywał za sobą publiczność, ukazując jej potęgę i piękno muzyki. To połączenie i związane z nim emocje były tak wielkie, że często odbierały mu oddech.



- Niewiarygodnie. - Tym jednym słowem Scott podsumował swoje uwielbienie dla tamtych dni.

Przez kilka sekund w gabinecie panowała cisza.

- Rozumiem, że bardzo pan kochał tamto życie. Scott otworzył oczy i popatrzył na pastora, który

wciąż siedział obok niego.

- Nic już temu nie dorówna. Nic. Tamta muzyka porywała moje serce i duszę tak mocno, że nie sposób o tym opowiadać; słowa tego nie oddadzą. Jej piękno warte było każdego wysiłku, jakiego wymagała.

- Muszę uwierzyć, że wysiłek przy jej tworzeniu był ważnym elementem całości.

- Tak. To były długie lata nauki i prób. Niezliczone noce gry w zadymionych klubach jazzowych. Bezustanne podróże. Życie ciężkie, ale mające kiedyś przynieść efekty. Grałem w trio. Właśnie podpisaliśmy kontrakt z poważną wytwórnią płytową. Wkrótce miał o nas usłyszeć cały kraj, a wtedy zaczęlibyśmy funkcjonować na zupełnie innym poziomie. Gralibyśmy w bardziej prestiżowych salach. Pewnie zaczęlibyśmy porządnie zarabiać. To akurat nie było naszym głównym celem, ale sympatycznym bonusem związanym z wykonywaniem ukochanego zawodu.

- Pańska matka powiedziała mi, że tylko pan przeżył ten koszmarny wypadek.

Przez twarz Scotta przebiegł cień bólu. Przez chwilę ciężko oddychał.

- Tak. Z życiem uszedł także kierowca ciężarówki, który zasnął kilka chwil wcześniej, zanim w nas uderzył. Doznał tylko drobnych obrażeń. Ale Joe i Mark, dwaj pozostali muzycy z mojego tria, a także nasz manager, nie przeżyli.

- Zgaduję, że znał ich pan od wielu lat.

- Co najmniej od dziesięciu. Byliśmy jak bracia. -Z trudem wypowiedział ostatnie słowo.

- Inaczej mówiąc, wypadek nie tylko pogrzebał pana karierę. Stracił pan również rodzinę.

- Właściwie nigdy w taki sposób nie myślałem, ale tak, chyba tak właśnie się stało. I nie rozumiem, dlaczego jako jedyny przeżyłem. Co takiego jest we mnie, czego zabrakło moim partnerom? Przecież nie byłem bardziej utalentowany od żadnego z nich, nie byłem od nich pod żadnym względem lepszy. Dlaczego więc ja?

- Bóg miał swój powód.

- Tak ojciec myśli? - Scott roześmiał się gorzko, ponuro. - Byłoby miło, gdyby mi ten powód zdradził.

- Kiedyś to uczyni.

- Nie mam w sobie zbyt wiele cierpliwości.

- Cierpliwość jest cnotą trudno dostępną nawet dla mistrzów.

- Coś takiego! - Scott miał nadzieję, że jego sarkazm nie urazi pastora, którego troska o jego sytuację wydawała się autentyczna. Jednak co osoba duchowna mogła wiedzieć o rozpoczynaniu życia na nowo? O wywróceniu się wszystkiego do góry nogami i o konieczności przewartościowania celów i planów w połowie życia? -Przepraszam. Tak naprawdę nikt nie rozumie mojej sytuacji.

- Och, nie jestem tego pewien. Być może znacznie więcej ludzi, niż się panu wydaje, zdaje sobie sprawę z tego, co pan przechodzi. Poddaje się pan zagrożeniu spowodowanemu tym, że skupia się pan wyłącznie na swoich problemach. W trudnych sytuacjach stajemy się krótkowzroczni i zaczynamy wierzyć, że z całego świata tylko my jesteśmy poddawani trudnym próbom. Człowiek jest jednak z natury silny i potrafi rozpocząć

wszystko od nowa. - Pastor wyprostował się na krześle. -Tak się składa, że jestem jednym z takich ludzi. Scott zmarszczył czoło.

- Nie rozumiem.

- Nie zawsze byłem duchownym. W gruncie rzeczy, to jest moja pierwsza parafia. Większość życia spędziłem w świecie finansów i korporacji. Dodam, że było to całkiem radosne życie.

Scott potrzebował kilka sekund, żeby przetrawić tę informację.

- Ale w głębi serca zawsze chciał ojciec być duchownym, prawda?

- Niekoniecznie. Bardzo pobieżnie komunikowałem się z Bogiem. Posługi duszpasterskiej nie miałem nawet w dalekich planach. Właściwie całe moje życie było dokładnie zaplanowane. Wyznaczyłem sobie drogowskazy na dziesięć lat i zapisałem każdy krok. Wiedziałem, w którym momencie zamierzam być na każdym kolejnym etapie życia. Nie było tam miejsca dla Boga.

- I co się stało?

- Nic równie dramatycznego jak w pańskim przypadku, jednak... W miarę upływu kolejnych dni zaczynałem sobie zdawać sprawę, że ścieżka, którą podążam, może nie być tą, którą przeznaczył dla mnie Bóg. Chociaż na każdym kroku Go odpychałem, On mnie nie odstępował. W końcu powróciłem do Kościoła z nadzieją, że właśnie tutaj znajdę wiele odpowiedzi na nurtujące mnie wątpliwości.

- Znalazł je ojciec?

- Docierały do mnie stopniowo. Ponieważ przez wiele lat byłem przekonany, że moja przyszłość leży w świecie korporacji, musiało minąć sporo czasu, zanim zrozumiałem, że mam przed sobą wiele innych możliwo-

ści. Że być może umiejętności, które nabyłem w zakresie zarządzania ludźmi, planowania, mediacji i komunikacji mogą znaleźć znacznie szersze zastosowanie niż do tej pory. Zacząłem sobie także zdawać sprawę, że życie, które sobie zaplanowałem, miało wiele istotnych minusów. Całymi tygodniami pracowałem bez dnia przerwy, przez co właściwie nie miałem szansy na znalezienie sobie żony, założenie rodziny. Podejrzewam, że gdybym nie zmienił mojego życia, mógłbym się nigdy nie ożenić i pewnie do samej śmierci tęskniłbym do doświadczeń, które w końcu wzbogaciły moje życie i wprowadziły je w nowy wymiar.

Scott popatrzył uważnie na duchownego. Chociaż mężczyzna nie został zmuszony do porzucenia pierwotnych marzeń przez traumatyczne wydarzenia, poddał się potężnemu, frapującemu wezwaniu, by zmienić kurs na taki, który wymagał poważnych poszukiwań we wnętrzu jego duszy i zmieniał wszystkie jego plany.

- Zapewne potrafi więc ojciec zrozumieć, czego właśnie doświadczam.

- Tak jak potrafi to zrozumieć wiele osób, które musiały się w życiu mierzyć z trudnymi wyzwaniem. Jednak przedstawiając panu moją historię, chcę przede wszystkim zasugerować, że wciąż ma pan szansę, żeby kontynuować karierę muzyczną i korzystać z talentu, który pan otrzymał od Boga. Być może muzyka będzie różna od tej, którą uprawiał pan przed wypadkiem i którą tak pan kochał. Na obecnym etapie odbywa pan taką podróż, jaka była moim udziałem, poszukuje pan właściwego kierunku. I znajdzie go pan. W swoim czasie znajdzie pan dla siebie właściwą ścieżkę.

Optymistyczne frazesy brzmiały kojąco, jednak nie były w stanie rozświetlić ciemności w duszy Scotta.

- Bardzo chciałbym być takim optymistą jak ojciec -powiedział. - Jednak w tej chwili czuję się całkowicie zagubiony. I samotny.

Pastor pochylił się ku niemu i dotknął jego ramienia. Patrzył na niego z uwagą i wielkim uczuciem.

- Człowiek nigdy nie jest sam. Nigdy. Może to banał, ale ta historia o odciskach stóp jest bardzo prawdziwa.

Scott przechylił głowę.

- O odciskach stóp?

- Nigdy jej pan nie słyszał?

- Nie.

- To bardzo prosta opowieść o człowieku, który rozzłościł się na Boga, ponieważ w chwilach, kiedy go najbardziej potrzebował, czuł się opuszczony. W odpowiedzi Bóg pokazał mu ścieżkę jego życia w postaci odcisków stóp w piasku na plaży. W wielu miejscach na piasku widniały dwa rzędy odcisków. Jednak w innych, tych które odpowiadały najmroczniejszym chwilom jego życia, ślad stóp był tylko jeden. Mężczyzna powiedział Bogu, że w tych chwilach był on po prostu sam. Odpowiedź Boga była prosta, lecz stanowcza. Nie, mój synu, powiedział. W tych miejscach, w których widzisz tylko jeden ślad, to ja cię niosłem.

Oddech zastygł w płucach Scotta.

Czy tak naprawdę mogło być? Czy Bóg był przy nim w te wszystkie okropne dni, dodawał mu odwagi, siły, pomagał witać każdy kolejny poranek i wspierał go w każdej minucie i w każdej godzinie, w każdej chwili?

Być może.

Ponieważ Scott wątpił, że potrafiłby samodzielnie przetrwać mrok najtrudniejszych dni. Musiała mu pomagać jakaś wyższa siła.

Po dłuższej chwili duchowny przerwał ciszę, odzywając się łagodnym głosem:

- Sądzę, że bardzo się oddaliliśmy od celu pańskiej wizyty. Przyszedł pan rozmawiać o chórze. Pragnę panu powiedzieć, że bardzo chcemy korzystać z pańskiej pomocy, dopóki nie znajdziemy kogoś, kto zdecyduje się na stałe zastąpić Marilyn.

Scott z trudem powrócił do rzeczywistości.

- Nie chciałbym zostawiać parafii bez dyrygenta chóru... Jednak, szczerze mówiąc, uważam, że spaliłem za sobą mosty. Chór zapewne nie będzie chciał już ze mną pracować.

- Wybacz panu, nie mam wątpliwości, wiem, jacy oni są. W końcu co niedzielę wybaczą mi, gdy stoję przed nimi i odprawiając nabożeństwo, co chwilę śpiewam, niesamowicie fałszując. Poza tym słowo „przepraszam” ma o wiele większą siłę, niż pan przypuszcza.

- A co z moją ręką?

- Nie zauważyłem, aby skutki pańskiej kontuzji miały jakiś negatywny wpływ na to, w jaki sposób pan pracuje z chórem. Może jednak zechce pan spróbować ponownie?

Pół godziny wcześniej Scott stanowczo odmówiłby pastorowi. Teraz zawahał się. Z jakiegoś powodu czuł się już mniej samotny. Poczucie beznadziejności zmalało. Odzyskał chęć, żeby spróbować jeszcze raz i jednak wypełnić zobowiązanie, którego się podjął.

- Nie mogę składać obietnic, których realizacja mogłaby trwać przez dłuższy czas.

- Wcale pana o to nie proszę. Ustalmy, że będziemy o tym rozmawiać co tydzień, dobrze?

Skoro pastor tak bardzo chciał z nim współpracować, jak mógł odmówić?

- Dobrze. Wygrał ojciec.

- Mam nadzieję, że na końcu to pan będzie jedynym zwycięzcą. A teraz, czy zechce mi pan wyświadczyć przysługę? Jeżeli znowu będzie pana ogarniać ciemność, zniechęcenie, apatia, proszę do mnie zadzwonić o dowolnej porze. Naprawdę dowolnej. Niech mi pan to obieca. - Wyciągnął z kieszeni wizytówkę i wręczył ją Scottowi. - Tutaj znajdzie pan mój numer do biura i na komórkę.

Scott popatrzył na niewielki kartonik. Jego palce zacisnęły się nagle na tym namacalnym symbolu tego, że ktoś pragnie się nim opiekować i go wspierać. Niespodziewanie poczuł ucisk w gardle i dlatego w odpowiedzi jedynie skinął głową.

- Wiem, że nie uważa się pan za człowieka wierzącego, czy jednak zechce pan posłuchać i naśladować moją postawę, kiedy będę rozmawiał z Bogiem?

Zanim Scott zdążył zareagować, duchowny uklęknął, skłonił głowę i złożył ręce do modlitwy. Scott uczynił to samo, chociaż zupełnie mu obca pozycja zdawała się bardzo niewygodna.

- Ojcze niebieski, proszę Cię o opiekę i wsparcie dla Scotta, który poszukuje dla siebie w życiu nowej drogi. Proszę, pozwól mu odczuwać Twoją nieprzemijającą obecność i rozumieć, że nawet gdy poczuje się całkowicie opuszczony, Ty będziesz przy nim, opiekuńczy, kochający i gotów udzielić mu pomocy. Modłę się także o to, by Twoje uzdrawiające dotknięcie pomogło Scottowi wyleczyć się z ran, żeby znów mógł się w pełni radować muzyką i żeby odzyskał zdolność dzielenia się tą radością z innymi. Amen.

Duchowny wyprostował się i położył dłoń na ramieniu Scotta.

- A teraz niech pan idzie i cieszy się tym pięknym dniem, jakim nas Bóg dzisiaj obdarował. Niech pan spróbuje chociaż przez chwilę zapomnieć o problemach, które zalegają na pańskich barkach tak wielkim ciężarem.

Scott nie wiedział, czy to będzie możliwe, ale kiedy wyszedł z gabinetu wielebnego Richardsa na światło słoneczne, odniósł wrażenie, że jest mu lżej na sercu.

I po raz pierwszy od wypadku zaczął wierzyć, że być może - być może! - ma jednak przed sobą jakąś przyszłość.



- Lepiej się czujesz?

Val uniosła wzrok znad książki, którą właśnie czytała. David stał w progu swojego gabinetu i uśmiechał się do niej.

- Tak, dzięki. Przez kilka dni byłam potężnie przeziębiona.

Właściwie sama dobrze nie wiedziała, co jej dolegało. Lekki katar był tylko pretekstem do pozostawania w łóżku. Tym niemniej krótkie osłabienie sprawiło, że nie zrealizowała kolejnej części swojego planu i nie odwiedziła następnego miejsca, które miało jej przypomnieć o bolesnej przeszłości. Zamierzała się tam jednak wybrać w najbliższą niedzielę, chora lub zdrowa.

- Nie chodzi mi tylko o katar. - David podszedł do niej bliżej.

Zmuszając się, żeby nie urwać z nim kontaktu wzrokowego, Val z trudem przełknęła ślinę. Wiedziała, co David ma na myśli. Chociaż nie wypytywał jej o incydent sprzed dwóch tygodni, kiedy niemal wpadła w jego ramiona, wybiegłszy na polanę spomiędzy drzew, było jasne, że mężczyzna wciąż o tym pamięta.

- Nic mi nie jest.

Starła się mówić przekonującym tonem, jednak ta odpowiedź zabrzmiała kiepsko nawet w jej własnych uszach. Ku uldze Val, David jednak nie naciskał.

- Cieszę się, że to słyszę. Może napijemy się kawy? - Wyciągnął ku niej rękę, w której trzymał papierowy kubek. - Czarna. Taką pijesz, o ile pamiętam.

- Dzięki.

Wzięła do ręki kubek, a David usiadł na krześle obok niej. Bardzo blisko.

Jej puls przyśpieszył. Upijając łyk ciemnego płynu, musiała trzymać kubek obiema rękami.

- Jak tam mama?

- Robi nadzwyczajne postępy. Spodziewam się, że pod koniec lata odzyska sprawność w całej lewej części ciała. To chyba dobra prognoza, bo przecież powiedziała mi, że mniej więcej za miesiąc będziesz musiała wrócić do Chicago.

A więc David wiedział, kiedy Val stąd odjedzie. Co jeszcze zdradziła mu matka? Postanowiła zapytać wprost.

- O czym jeszcze rozmawiasz z nią w czasie terapii?

- Przez większość czasu to ona mówi, a ja słucham. Val przewróciła oczami.

- Wyobrażam to sobie. Wysłuchujesz plotek z bliższej i dalszej okolicy. A chyba ludzie, o których opowiada matka, zupełnie cię nie obchodzą.

- Cóż... jedna z tych osób mnie obchodzi. Usłyszawszy tę cichą i niespodziewaną odpowiedź,

Val utkwiała w jego oczach zaskoczone spojrzenie. Jego przenikliwe oczy także skupiały się na niej. Zmusiła się do uśmiechu, lekko unosząc w górę sztywne kąciki ust; zależało jej, żeby rozmowa odbywała się w lekkiej atmosferze.

- Skoro matka opowiadała o mnie, podejrzewam, że usłyszałeś co najmniej kilka monologów.

- Wiele się dowiedziałem o posiłkach, które przygotowujesz.

- Nie wątpię.

- I o twoim wspaniałym życiu w Chicago.

- Możesz mi zaufać, mama przesadza. Uczę wiedzy o teatrze w szkole średniej. Dorabiam trochę jako modelka. Nie ma w tym nic wspaniałego.

- Dla twojej matki są to same wspaniałości. Chociaż jest przekonana, że mogłaś zrobić jeszcze większą karierę. Co najmniej na Broadwayu.

Val upiła łyk kawy i potrząsnęła głową.

- Mama zawsze miała wielkie złudzenia w kwestii mojego talentu. Z całą pewnością nie jestem materiałem na Broadway.

- A czy kiedykolwiek myślałaś o występach przed wielką publicznością?

- Tak. I przez rok grałam nawet w dobrze obsadzonej sztuce, przy kompletach widzów. Jednak rzeczywistość funkcjonowania w Nowym Jorku okazała się bardzo odległa od moich młodzieńczych fantazji. Być wielką rybą w małym stawie to coś zupełnie innego niż pływać w oceanie w charakterze płotki. Trzeba się skupiać tylko na jednym celu i wyłącznie na sobie, oraz posiadać umiejętność wykorzystania najdrobniejszej szansy, kiedy tylko się ona pojawi. Chyba tego mi właśnie zabrakło.

Zabrakło jej też energii i wiary w siebie; efekt fatalnych wydarzeń tego niezapomnianego lata, kiedy miała siedemnaście lat.

- Lubisz to, co teraz robisz?

- Bardzo. - Na to pytanie mogła odpowiedzieć z całkowitą szczerością.

- Praca z młodymi ludźmi jest interesująca i przynosi mnóstwo satysfakcji.

- A więc tylko to się powinno liczyć. - David założył nogę na nogę. — Margaret opowiadała mi także o swoim kościele i zaproponowała, żebym go odwiedził. Byłem tam z Victorią w miniony weekend. Pomyślałem, że w kościele spotkam ciebie, jednak zapewne wciąż byłaś chora.

Val zaczęła przesuwając polakierowanym paznokciem po krawędzi kubka; widniały na niej ślady szminki.

- Tak, byłam chora. Ale właściwie to prawie wcale nie chodzę już do kościoła.

- A chodziłaś?

- Wiele lat temu.

- I skąd ta odmiana?

David przez cały czas rozmawiał z nią swobodnym tonem, w jego głosie trudno byłoby szukać chociażby śladu oskarżenia, a jednak Val uznała, że rozmowa wchodzi na zbyt osobiste tory. Posłała mu wymowne spojrzenie, w którym ta ocena widoczna była aż nadto wyraźnie.

- Przepraszam - powiedział. Uniósł do góry otwartą dłoń, jakby tym gestem chciał ją udobruchać. - Nie zamierzałem się naprzykrzać. Widzisz, wiara jest ważnym elementem mojego życia i kiedy się dowiaduję o ludziach, którzy od niej odchodzą... zawsze jestem ciekawy powodów. Najtrudniejszych chwil w moim życiu z pewnością bym nie przetrwał, gdybym nie miał Boga u swego boku. - Popatrzył na zegarek i wstał. - Margaret chyba już jest gotowa. Powinienem do niej wrócić.

- Rozsądny plan. To byłoby z twojej strony bardzo niemądre, gdybyś kazał mamie czekać.

Jedna strona jego ust lekko się skrzywiła. Gestem wskazał na pusty kubek Val.

- Mogę go wyrzucić?

- Tak, dzięki.

Kiedy Val podawała mu papierowy kubek po kawie, opuszki ich palców na chwilę się zetknęły. Dotyk był ledwie wyczuwalny, jednak nawet ten minimalny kontakt sprawił, że wzdłuż kręgosłupa Val przebiegł miły dreszcz. Nagle zapragnęła podzielić się z tym mężczyzną wszystkimi swoimi sekretami. Chciałaby wyznać mu wszystko, co wielkim ciężarem leżało jej na sercu i chciałaby, żeby jej słuchał, nie osądzając, i żeby trzymał

ją w ramionach tak długo, aż uleciałoby z niej wszelkie poczucie winy.

Gdy zniknął za drzwiami, Val potrząsnęła głową. Jej pragnienie miało przecież rodowód w młodzieńczych fantazjach. Problemów w taki sposób się nie rozwiązuje. Także o wybaczenie zawsze jest znacznie trudniej.

Nawet jeśli człowiekiem, który miałby wybaczyć, był mężczyzna głęboko wierzący.

- Mamo, nie spóźnisz się przypadkiem na próbę chóru?

Karen wyprostowała się. Ładowała akurat mokre ubrania do suszarki. Kristen stanęła na progu pralni z ciastkiem czekoladowym w jednej ręce i szklanką mleka w drugiej.

- Dzisiaj nie idę na próbę.

- Niemożliwe! Przecież nigdy ich nie opuszczasz.

- Miałam trudny dzień w pracy i jestem zmęczona. Powróciła do przekładania mokrych ubrań z pralki

do suszarki, mając nadzieję, że Kristen już więcej nie będzie o nic pytać. Nie miała nastroju, żeby rozmawiać na temat swojego postanowienia. Nic z tego.

Jej córka weszła do pralni i oparła się biodrem o stół.

- To raczej błahy powód. Ciężka praca nigdy cię nie powstrzymała przed próbami chóru.

Karen zamknęła suszarkę i włączyła ją. Uznała, że skoro nie ma szansy, żeby Kristen dała jej spokój, przeprowadzi całą tę rozmowę do końca.

- Właściwie to zastanawiam się, czy nie odejść stamtąd.

- Żartujesz! - Kristen poszła za nią do kuchni. -Zawsze sądziłam, że uwielbiasz śpiewać w chórze.

- Uwielbiałam. Ale nowy dyrygent jest... bardzo trudny.

- A ja myślałam, że jest niezłym ciachem, jak na faceta w jego wieku.

Karen popatrzyła na córkę z niedowierzaniem. Scott Walker ciachem? Coś takiego!

Chociaż... jego ciemna karnacja i szczupłe ciało mogłyby podzielać na niektóre kobiety.

Szkoda, że ma równie ciemną i ponurą osobowość.

- Nie zastanawiałam się nad tym. Piękno i uroda to rzeczy względne. - Zwinęła ręcznik do naczyń, który wcześniej rzuciła na stół, i umieściła go na półce pod zlewem. -Jednak z tym facetem ciężko się pracuje. Traktuje ludzi z góry i często podnosi głos.

Kristen przestała żuć gumę.

- Krzyczy tak, jak kiedyś tata?

Karen odwróciła się i zacisnęła palce na blacie stołu za plecami.

- Tata nigdy na ciebie nie krzyczał.

- Nie, ale krzyczał na ciebie. Wiele razy.

Słowa prawdy zawisły pomiędzy matką i córką. Karen mocniej zacisnęła palce na blacie. Mimo że robiła wszystko, żeby Kristen nie odczuwała problemów, z jakimi borykało się jej małżeństwo, nie mogła odciąć dziewczyny od nich całkowicie; była zbyt inteligenta.

- Twój tata i ja nigdy nie powinniśmy byli wziąć ślubu, Kristen.

*Ostrożnie, Karen. Tylko nie próbuj zwałać wszystkiego na ojca, którego ta dziewczyna kocha. Niech twoja opinia o Michaelu was nie podzieli.*

- Dlaczego więc za niego wyszłaś?

- Nie wiem. Byłam młoda, a on był starszy ode mnie, atrakcyjny i bardzo czuły. Myślałam, że jest moim darem niebios. Pamiętaj, że dorastałam w tym samym domu, co Val, i w staraniach o zdobycie jak najlepszego mężczyzny nie miałam szansy jej dorównać. Kiedy Val była w pobliżu, chłopcy nawet mnie nie dostrzegali. W tej sytuacji bardzo mi pochlebiło, że twój ojciec zwrócił na mnie uwagę, i chyba dlatego zagubiłam zdolność trzeźwej oceny sytuacji.

- Ale wtedy na pewno go kochałaś. A on kochał ciebie.

Czy jej córka była gotowa na to, żeby usłyszeć prawdę? Val uważała, że tak - i być może miała rację. Może nadszedł czas, żeby jej teorię przetestować?

Wskazała córce krzesło.

- Usiądźmy na chwilę, dobrze?

Po chwili Kristen poszła za przykładem matki i usiadła na błyszczącym dębowym krześle z kompletu kuchennego, z którego we troje z Michaelem zbyt rzadko korzystali jako rodzina, jedząc wspólne posiłki.

- Uczciwie mówiąc, nie jestem pewna, czy miłość odgrywała w naszym związku jakąkolwiek rolę. Byłam zachwycona twoim ojcem i odbierałam jako miłość wiele zupełnie innych emocji. A jeśli chodzi o ojca, chyba podobało mu się, że zawsze pozwalałam mu stawiać na swoim i być w naszym związku przywódcą. Karmiłam jego ego. Jednak już po niedługim czasie ta sytuacja mu się przejadła. Stracił dla mnie szacunek i pojawiły się problemy, które doprowadziły do rozpadu naszego małżeństwa. Na koniec oboje żalowaliśmy błędu, który popełniliśmy.

- A ja myślałam, że małżeństwo zawiera się aż do

końca życia. Dopóki śmierć nas nie rozłączy i tak dalej... Pamiętam słowa wielebnego Richardsa.

- Bo tak powinno być. Ludzie jednak popełniają błędy.

Kristen zacisnęła usta.

- Wyjdiesz za mąż jeszcze raz? - zapytała po chwili.

- Nie wiem. Chociaż jesteśmy z twoim ojcem po rozwodzie, wciąż czuję się mężatką.

- Tata raczej nie miałby oporów przed zawarciem kolejnego małżeństwa.

- Tata i ja mamy skrajnie odmienne poglądy na związek małżeński, kochanie. Mój opiera się na wierze w Boga. To kolejna rzecz, która nas bardzo różniła.

- Tak, wiem. - Kristen zaczęła błędzić pomalowanym paznokciem po widocznym na drewnianym blacie stołu sęku. W tym tygodniu wszystkie paznokcie pomalowała na turkusowe - Pamiętam poranek w Boże Narodzenie, kiedy miałam osiem lat. Tata wyśmiewał się z ciebie, że idziesz do kościoła. Próbowłaś udawać, że nic cię te szyderstwa nie obchodzą, później jednak słyszałam, jak płaczesz w swoim pokoju.

Karen zadrżała.

A więc ten dzień utkwił w pamięci Kristen tak samo, jak w jej własnej.

- Przykro mi, że to słyszałaś. Próbowалаm cię chronić przed tym wszystkim, co się działo pomiędzy mną a Michael'em, ale to był jeden z naszych najgorszych dni.

Był tak zły, że jego wspomnienie wciąż napawało Karen niesmakiem.

- Pamiętam, że ojciec chciał, żebyś przed wyjściem do kościoła przygotowała mu śniadanie. Wściekł się, kiedy tego nie zrobiłaś.

- Tak było.



Karen pamiętała te wydarzenia, jakby miały miejsce zaledwie wczoraj. Michael zazwyczaj pogardliwie tolerował jej wiarę, pomimo swego akademickiego elityzmu, który kazał mu uważać religię za zbyt prostackie panaceum na życiowe problemy. Jednak nie tego dnia. Wtedy dosłownie wpadł w furję. Wrzeszczał na Karen, że jest idiotką i bezsensowną wiarą w Boga rujnuje sobie życie. Oskarżał ją, że jest egoistką, skoro głupie wyjście do kościoła stawia ponad obowiązki wobec rodziny. I przez resztę dnia chodził nadąsany.

Nie było to najlepsze Boże Narodzenie w życiu Karen.

I pewnie też w życiu Kristen.

Ponieważ jej córka milczała, Karen odezwała się:

- Była to jedna z niewielu sytuacji, gdy sprzeciwiłam się jego poleceniom. W tych dniach uważałam, że bierność i poddawanie się Michaelowi mogą uspokajać sytuację i pomagać mi w relacjach z innymi ludźmi, także z twoją babcią. Teraz już wiem, oczywiście, że taka postawa zazwyczaj przynosi niewiele dobrego.

Kristen zakołysała mlekiem w szklance; biały płyn zbliżył się niebezpiecznie do krawędzi naczynia, grożąc wylaniem.

- Uważasz, że gdybyś wtedy zachowywała się inaczej, nadal moglibyście być razem?

- Często się nad tym zastanawiałam, ale raczej nie, nic by to nie dało. Zapewne do ostatecznego starcia doszłoby jeszcze szybciej. Zbyt mocno się różniliśmy.

- Może teraz się zmienił? Wątpliwe.

Zamiast jednak wyartykułować tę opinię, Karen w milczeniu wyciągnęła rękę i odsunęła z policzka Kristen długi kosmyk jasnych włosów.

- Żałuję, że nie jesteśmy już rodziną - z trudem wyszeptała Kristen, a na jej długich rzęsach pojawiły się ślady wilgoci.

- Ja też żałuję. Przykro mi, że twój tata i ja tak wszystko poplątaliśmy. Kristen wzięła do ręki szklanekę.

- Widzisz, przez długi czas zdawało mi się, że zerwaliście z ojcem z twojej winy. - Pociągnęła nosem i otarła dłonią oczy. - W głębi serca jednak wiedziałam, że to nieprawda. Tata jest dobrym ojcem, kiedy znajduje się przy mnie, ale chyba... chyba nie był najlepszym mężem. Bywał wobec ciebie bardzo niemiły. A ja nie chcę, żebyś była nieszczęśliwa.

Jej mała córeczka niewątpliwie dorastała.

W gardle Karen uformowała się twarda gula. Przez ostatnie dwa lata modliła się, żeby jej relacje z córką wreszcie się ustabilizowały, żeby znów stały się sobie tak bliskie, jak w przeszłości. Dzisiejszego wieczoru chyba obie zrobiły w tej sprawie po wielkim kroku do przodu.

Kolejny powód do zadowolenia z tego, że nie poszła na próbę chóru.

Scott zatrzymał się przed kościołem i głęboko odetchnął. Był już spóźniony na próbę kilka minut - celowo. Dzięki temu, kiedy wejdzie do środka, wszyscy będą już siedzieć, a on nie spanikuje w ostatniej chwili i nie zrezygnuje z misji, którą sobie na dzisiaj wyznaczył.

Kiedy chwycił klamkę, serce zaczęło mu bić tak mocno, jak biło zawsze przed ważnym koncertem. Kiedyś przeczytał, że napór adrenaliny jest mechanizmem obronnym, który powoduje wyostanie zmysłów

i zwiększa czujność. Dzięki niemu człowiek jest lepiej wykwapowany do zmagania się z niebezpieczeństwem... albo z wrogiem, który go nienawidzi.

Spojrząwszy na twarze, które skierowały się ku niemu, kiedy wszedł do kościoła, miał teraz do czynienia z tym drugim. Członkowie chóru sprawiali wrażenie, że są jego zajadłymi wrogami.

Kiedy Scott podszedł do pianina, zapadła absolutna cisza. Bardzo starał się uspokoić szalejący puls. Stres mógł wywołać osłabiający go ból głowy, a dzisiejszego wieczoru taka komplikacja była mu najmniej potrzebna. Musiał ją przynajmniej odsunąć w czasie, przynajmniej do chwili, kiedy wypowie słowa przeprosin.

Położył nuty na pianinie i popatrzył na milczący chór. Po raz pierwszy spoglądał na nich, naprawdę wyławiając z gromady pojedyncze twarze i osoby. Widoczne na twarzach emocje były tak rozmaite, jak różni byli członkowie chóru. Z niektórych wprost biła nienawiść; dostrzegł to od razu po wejściu do kościoła. Większość wyrażała jednak niepewność. Nerwowość. Czujność.

Poszukał wzrokiem kobiety, która wyszła z kościoła w trakcie ostatniej próby. Według jego matki miała na imię Karen. Jakie uczucie dostrzeże u niej? Jednak jej miejsce w chórze było puste - niemiła niespodzianka.

Oparł rękę o pianino i przywołując cały zapas odwagi, zaczął mówić:

— Zanim zajmiemy się dzisiaj muzyką, chciałbym powiedzieć kilka słów. Po pierwsze, jak wiecie, jestem tylko tymczasowym dyrygentem, dopóki wielebny Richards nie znajdzie kogoś, kto zechce na stałe objąć tę funkcję po Marilyn. Szczerze mówiąc, nigdy nie uważałem, że jestem dobrym kandydatem na to stanowisko. Nie mam żadnych doświadczeń w kierowaniu chórem

kościelnym. Do tej pory pracowałem jedynie z zawodowymi muzykami, którzy spędzali długie godziny i dni, pracując nad swoim warszatem, szlifując talenty. Dlatego wymagam od moich współpracowników niemalże perfekcji. - Urwał na moment, po czym podjął: - Tym niemniej, w ciągu ostatnich kilku dni zdałem sobie sprawę, że o ile takie oczekiwania mogą być stosowne wobec muzyków zawodowych, są zbyt wysokie, jeśli się je kieruje do ludzi, którzy zbierają się na próbach raz w tygodniu i śpiewają, ponieważ to lubią, i nie oczekują za swój śpiew żadnego wynagrodzenia. Dlatego bardzo przepraszam za to, że w ubiegłym tygodniu byłem wobec was zbyt wymagający i po prostu niemiły... Mój brak grzeczności wynikał także z pewnych problemów zdrowotnych, do których zaliczylibym przede wszystkim przenikliwe bóle głowy, będące jednym z efektów wstrząśnienia mózgu, jakiemu uległem podczas wypadku samochodowego. Jeden z takich ataków bólu dopadł mnie w czasie ostatniej próby. Przykro mi to powiedzieć, ale właśnie z tego powodu po prostu wyładowywałem się na was. Za to także przepraszam. W końcu... chciałbym też powiedzieć, że zdaję sobie sprawę, jak wiele z siebie dajecie, poświęcając kilka godzin w tygodniu, żeby jak najlepiej okraszać swoim śpiewem niedzielne nabożeństwa. Wiem, że macie w życiu mnóstwo indywidualnych problemów i do wszystkich życiowych stresów nie jest wam potrzebny kolejny: trudny dyrygent chóru. Scott odchrząknął.

- Moje przemyślenia sprawiły, że kilka dni temu odbyłem rozmowę z wielebnym Richardsem. Miałem zamiar zrezygnować ze stanowiska dyrygenta. Nie wiem, czy dobrze się stało, jednak wasz kapłan potrafi być bardzo przekonujący, a poza tym w trakcie tej trudnej roz-

mowy uzmysłowił mi kilka ważnych spraw. - Scott ujrzał na twarzach kilka słabych uśmiechów. Empatia. To był pozytywny sygnał. - Sprawiał, że uznałem, iż mógłbym jeszcze przez jakiś czas z wami pozostać. Ostateczna decyzja należy jednak do was.

Wsunął lewą rękę do kieszeni. Chciałby złożyć ją w pięść, jednak sztywnymi palcami zdołał wykonać tylko słaby ruch.

— Chcę powiedzieć, że jest mi przykro z powodu wprowadzenia do naszych prób nadmiernej nerwowości. Obiecuję, że w przyszłości będę się starał, aby uczestnictwo w próbach było dla was przyjemnością. Proszę o wybaczenie mi mojego zachowania i o cierpliwość, ponieważ będę się dopiero uczył, jak być dyrygentem chóru kościelnego. Wiem, że dotąd trudno się wam ze mną pracowało, ale proszę o drugą szansę. Jeżeli sytuacja pomiędzy nami nie ulegnie poprawie, obiecuję, że odejdę. Dacie mi zatem tę szansę?

W trakcie jego przemówienia atmosfera w kościele uległa nieznacznej odmianie. Scott nie powiedziałaby, że stała się przyjazna; to byłoby zbyt proste. Jednak chór chyba zaczął nabierać skłonności do współpracy. Jego członkowie wyraźnie się rozluźnili, jakby wszyscy naraz z ulgą odetchnęli. Kilkoro ludzi nawet pokiwało głowami.

Okazało się, że wielebny Richards miał rację. Chór rzeczywiście składał się osób skłonnych do wybaczenia. Scott wiedział już, że wszyscy są skłonni dać mu drugą szansę.

Wyjątkiem mogła być kobieta, która wyszła z próby. Karen.

- Czy wasze milczenie mogę potraktować jako zgodę? - Scott przesunął wzrokiem po twarzach swoich podopiecznych.

Odpowiedzią chóru był łagodny pomruk, który niewątpliwie stanowił odpowiedź twierdzącą.

Scott podziękował grupie, po czym usiadł przy pianinie. Poczł się tak, jakby z jego ramion ktoś zdjął wielki ciężar. Wiedział jednak, że nie wykonał jeszcze całego zadania. Koniec nastąpi dopiero wtedy, gdy na pustym krześle wśród chórzystów znowu zasiądzie ta osoba, która niedawno je opuściła.

To oznaczało, że Scott miał w perspektywie kolejne przeprosiny.

Kiedy Karen postawiła na stole dwie filiżanki frappuccino i usiadła, Val pochwaliła ją:

- Widzę, że twój program odchudzający przynosi błyskawiczne efekty.

- Tak. - Karen uniosła filiżankę w geście udawanego toastu. - Straciłam już ponad siedem kilogramów i chcę zgubić jeszcze sześć.

- Doskonały wynik! I podoba mi się twoja nowa fryzura.

- Ja też ją polubiłam. Nawet Michael ją zauważył.

- Ciągłe się tutaj kręci? - Val zmarszczyła nos.

- Przychodzi w odwiedziny do Kristen. Ostatnim razem powiedział nawet, że świetnie wyglądam. - Karen oparła łokieć na stole i zamieszała słomką w napoju. - I patrzył na mnie tak, jak kiedyś. Jakbym wciąż była atrakcyjną kobietą. Muszę przyznać, że mi się to spodobało.

Val przymrużyła oczy.

- Ha! — zawołała.

Karen puściła słomkę.

- Co to miało znaczyć?

- Wciąż dajesz się nabierać - wybacz szczerłość - na jego prymitywne zaloty? Po tym, jak cię traktował?

Twarz Karen lekko się zaczerwieniła.

- Sama byłem zaskoczona, uwierz mi. Bo przecież absolutnie nic do niego nie czuję.

- Hmm. - Val postukała pomalowanym paznokciem w blat okrągłego stolika. - Chyba wiem, na czym polega problem. W twoim życiu brakuje romansu.

Karen gwałtownie zakaszłała; odrobina frappuccino wpadła jej do tchawicy.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jestem w stu procentach poważna. Potrzebujesz nowego faceta.

- Przykro mi, ale nic z tego. - Karen gwałtownie potrząsnęła głową i upiła przez słomkę niewielki łyk frappuccino.

- Dlaczego nie?

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale zupełnie niedawno odbyliśmy z Kristen podobną rozmowę. Powiedziałam jej, że owszem, rozwiodłam się w Michaelem, jednak przysięgałam mu. Nie mogę o tym po prostu zapomnieć.

- Ale Michael zapomniał!

- To jego sprawa, nie moja. Jakoś nie dostrzegam, żeby biegały za mną hordy facetów, chcących koniecznie zaprosić mnie na randkę. Nie potrzebuję już mężczyzn; właściwie jestem kobietą spełnioną.

- Dlaczego więc komplement Michaela namieszał ci w głowie?

Karen wzruszyła ramionami.

- Nie wiem.

- Ale ja wiem. Kobiety bardzo lubią, kiedy mężczyźni zwracają na nie uwagę. Poza tym życie u boku mężczyzny niesie dla kobiety wiele korzyści.

- Żyłam już z mężczyzną, dziękuję. Teraz się obejdę.

- Chodzi mi o mężczyznę, który dobrze by cię traktował. Szanowałby cię. Uwielbiał. Zaslugujesz na to, Karen. - Val uważnie się jej przyjrzała.

- Posłuchaj, rozumiem i szanuję twoje poglądy na świętość związku małżeńskiego. Ale nawet Kościół Katolicki, który się krzywi na rozwody i ponowne związki, czasami unieważnia małżeństwa\*, na przykład wtedy, gdy się okaże, że jeden z małżonków nigdy nie miał zamiaru dotrzymać przysięgi. A uważasz, że Michael chociaż przez chwilę traktował poważnie deklarację, że będzie ci wierny?

Karen zmarszczyła czoło. Val mogła mieć rację. Może on już od początku zamierzał ją oszukiwać? A jeśli tak, czy to nie mogło być przyczyną unieważnienia ich związku małżeńskiego?

Być może.

- Widzę, że dałam ci do myślenia...

Bitka śmietana na napoju zaczęła opadać, gdy Karen kilkakrotnie wsunęła w nią słomkę.

- Przyznaję, że perspektywa, którą mi przedstawiłaś, jest warta rozważenia - powiedziała. I po chwili przystąpiła do ataku. - Ale ty też żyjesz sama, prawda? Miewasz jakieś romanse, związki? Zamierzasz wyjść za mąż?

Twarz Val w tej chwili przypominała maskę.

- To jest zupełnie inna sprawa.

- Dlaczego?

- Nie jestem materiałem na żonę.

- Bzdura. - Karen posłała jej drwiące spojrzenie. -

\* Właściwie chodzi o stwierdzenie nieważności małżeństwa (przyp. red.).



Podejrzewam, że w szczególności zgodziłby się ze mną pewien fizjoterapeuta.

Palce Val zacisnęły się na filiżance.

- O czym ty mówisz?

- Tego dnia, kiedy to ja odbierałam mamę z terapii, twój przyjaciel, David, był wielce rozczarowany. Wszedł do poczekalni, żeby porozmawiać z tobą... a tymczasem natknął się na mnie. W obu rękach trzymał po kubku z kawą.

- Zawsze miałaś zanadto bujną wyobraźnię! - Twarz Val lekko się zaróżowiła.

- Ha! To ty miałaś wybujałą wyobraźnię. Ja byłam zawsze rozsądna, prostolinijna i stąpałam po ziemi, a nie w chmurach. I wiem, co zobaczyłam. Rozczarowanie Davida było tak wielkie, że z pewnością nie odnosiło się do niedojścia do skutku spotkania z obojętnie traktowaną koleżanką. On cię lubi... i to bardzo. Więc przestań mi opowiadać bzdury o wybujałej wyobraźni.

Val potrząsnęła głową i powiedziała bezbarwnym głosem:

- Uwierz mi, Karen. Pomiędzy mną a Davidem nigdy nic nie było i nie będzie. - Popatrzyła na zegarek. - Atakujemy sklep spożywczy?

Wstała i skierowała się ku drzwiom. Najwyraźniej chciała w ten sposób zamknąć temat. Ale dlaczego?

Mimo że gryzła ją ciekawość, Karen postanowiła nie drażnić kwestii. Nie chciała narażać na szwank tak dobrze ostatnio rozwijających się relacji z siostrą.

- Dobrze, rozumiem — powiedziała. - Posłuchaj, Val... przepraszam, jeżeli trochę przesadziłam. Chciałam sobie po prostu trochę z ciebie pożartować.

Uśmiech na twarzy siostry wydał się wymuszony.

- Nie ma problemu. Mam grubą skórę, pamiętasz? Odniosę to. -  
Wzięła kubeczek Karen i odeszła w stronę kontuaru.

Chociaż w czasie wędrówki po sklepach starała się poprzez swobodną paplaninę o różnych błahostkach przywrócić dotychczasowe bez troskie relacje z Karen, napięcie, jakie niespodziewanie się między nimi wytworzyło, nie zmałało. Val była spięta aż do chwili powrotu do domu.

Wtedy jej nastrój po raz drugi tego dnia gwałtownie się odmienił.

Już miała przekreślać kluczyk w stacyjce, kiedy na chwilę spojrzała na siedzącą obok niej siostrę.

- Powiedz mi, chcesz, żebym ci dała ten przepis na... W tym momencie znieruchomiała, a jej twarz błyskawicznie pobladła.

Zaskoczona i zaalarmowana, Karen popatrzyła w prawo, przez okno pasażera. Przy sąsiednim samochodzie stał mężczyzna i zapinał pas bezpieczeństwa przy foteliku samochodowym dla niemowlaka. Na siedzenie po drugiej stronie gramoliło się starsze dziecko. W tej rodzinnej scenie nie było nic niezwykłego.

Karen odwróciła głowę i spojrzała na siostrę.

- Co się stało? O co chodzi?

Zamiast jej odpowiedzieć, Val popatrzyła przed siebie, wrzuciła wsteczny bieg i wyjechała z parkingu.

- O nic. Kłamstwo.

Coś zakłóciło spokój Val już po raz drugi tego poranka. Tym razem było to coś bardzo poważnego; jej ręce mocno drżały. Wyglądała na tak wstrząśniętą, że Karen niemal poprosiła ją, żeby się przesiadła i oddała jej kierownicę. Uznała jednak, że robienie sceny mogłoby przynieść więcej złego niż dobrego.

Nie chcąc podjąć ryzyka, Karen w milczeniu zaczęła się zastanawiać nad znaczeniem tego, co przed chwilą widziała. Val niełatwo poddawała się wstrząsom, a więc cokolwiek się właśnie stało, nie mogło być zwyczajnym, błahym przypadkiem. Na czym polegał problem? Tego Karen nie była w stanie sobie wyobrazić.

Gdy odjeżdżały, do ostatniej chwili wypatrywała za samochodem, który jeszcze przed chwilą parkował obok nich. Należał do jakiegoś faceta, który właśnie wsiadał do niego razem z dwojgiem dzieci. Dlaczego ich widok tak wstrząsnął jej siostrą, która słynęła z tego, że zawsze nad sobą doskonale panowała?

Karen nie знаła odpowiedzi na to pytanie.

Pośpieszne spojrzenie na siostrę przekonało ją, że od niej również nie uzyska odpowiedzi.

W ciemnościach wczesnego poranka Val sięgnęła na sam tył szuflady w biurku i ostrożnie wyciągnęła z niej tak dobrze sobie znaną tekturową tuleję. Trzymając ją w obu dłoniach, usiadła na skraju łóżka.

Co za dziwny przypadek. Szanse, że wpadnie na Coreya na parkingu przed sklepem spożywczym, były naprawdę minimalne.

Na to, że zobaczy nie tylko jego, ale też dwójkę dzieci, też.

Jego dzieci.

Val zamknęła oczy i mocniej zacisnęła dłonie na tubie.

W programie tegorocznej wizyty w domu nie miała spotkania z nim. Uznała, że nie potrzebuje tego, żeby uporać się z przeszłością.

Lecz może się myliła? Może powinna wcześniej się dowiedzieć, co się z nim dzieje? Prawdopodobnie jest żonaty. Założył rodzinę. Żyje zwyczajnie, konwencjonalnie. W przeciwieństwie do niej, nie jest więźniem dawnego błędu.

Jak mógł przejść nad wszystkim do porządku dziennego? Jak mógł uznać, że wolno mu prowadzić normalne, uporządkowane życie? Czy ich wspólna, tragiczna decyzja miała dla niego tak niewielkie znaczenie?

Val przycisnęła tuleję do piersi i jeszcze raz zamknęła oczy. Na pytania, które sobie teraz stawiała, nie miała odpowiedzi. Ale wiedziała już, że skoro Corey zdołał wyzwolić się z więzów tragicznej przeszłości, jej także może się to udać.

Jutro pojedzie do St. Louis, do miejsca, gdzie to otrzymała. I jeśli odwaga jej nie opuści, powędruje do ostatniego miejsca. Tego, w którym dokonał się jej brzemienny w skutki wybór.

Pojedzie tam sama, tak jak za pierwszym razem.

Na pewno byłoby to mniej bolesne, gdyby miała kogoś u swego boku!

Pomyślała o Davidzie i jeszcze mocniej zacisnęła oczy. Co za dziwactwo. Przecież prawie go nie знаła, chociaż... Wiedziała już, że jest mężczyzną głębokiej wiary, o dobrym charakterze, prostolinijnym i szczerym. Moralnym. Takim, który nigdy nie zrozumie ani nie wybaczy jej błędu. Kochającym ojcem, który -gdyby znał prawdę - zapewne nie chciałby mieć z Val nic wspólnego.

I nie mogła go za to winić. Po prostu na kogoś takiego nie zasługiwała! Właściwie to nie zasługiwała na nikogo; jej wina była zbyt wielka. Ta wina mogła nie

powstrzymać Coreya przed ułożeniem sobie normalnego życia, jednak jej własne już nigdy nie będzie normalne.

Val wstała i podeszła do okna, żeby spojrzeć w ciemność. Czy mogłaby opowiedzieć swoją historię Karen i zdać się na jej osąd? W ciągu minionych tygodni związały się przecież z siostrą mocniej, niż kiedykolwiek mogła przypuszczać.

Ale Karen też była osobą głęboko wierzącą. I chociaż w teorii zarówno ona, jak i David mogliby wybaczyć jej błędy, czym innym była praktyka życia. Val nie chciała narażać na niebezpieczeństwo nowej przyjaźni z siostrą, nie chciała też poddawać próbie jej silnej wiary.

Co więc jej pozostało? I kto? Tylko Bóg?

Usiadła na parapecie ze zwieszonymi ramionami. Szkoda, że (w przeciwieństwie do siostry) była niewierząca. Szkoda, że nie wierzyła tak, jak David. Powiedział jej kiedyś, że to właśnie wiara pozwoliła mu przetrwać trudne czasy. Ze nawet w najbardziej mrocznych chwilach życia czuł przy sobie obecność Boga. Jaki to musiał być komfort...

Val przesunęła palcami po chropowatej kartonowej tubie. Nagle przyszło jej do głowy radykalne rozwiązanie.

Może powinna po prostu pójść do kościoła i tam poszukać chociażby odrobiny tego komfortu i siły, o jakiej opowiadali David i Karen? W najgorszym przypadku po prostu zmarnuje kilka godzin. W najlepszym - udział w nabożeństwie przyniesie jej choć odrobinę pocieszenia, którego będzie bardzo potrzebowała, żeby przetrwać jutrzejszy dzień.

Musi spróbować wszystkiego.

Scott właśnie kończył przygotowywanie nut na nabożeństwo, kiedy Karen usiadła na swoim miejscu w chórze. Ich spojrzenie spotkały się. Kobieta natychmiast pochyliła głowę i otworzyła zeszyt z pieśniami.

Niezbyt dobry znak, pomyślał, ale przynajmniej przyszła śpiewać na niedzielnym nabożeństwie, mimo że opuściła próbę. A Scott nie zmierzał wypuścić jej z kościoła, zanim nie wypowie słów przeprosin, które jej się należały.

Kiedy rozpoczęły się modlitwy i chór zaintonował hymn inauguracyjny, Scott uważniej przyjrzał się kobiecie o kasztanowych pasemkach we włosach. Cofając się wstecz pamięcią, był zaskoczony, że nie przyjrzał jej się bliżej. W swoim życiu przed wypadkiem z pewnością by to zrobił.

Odrobinę zmienił pozycję, żeby lepiej ją widzieć. Śpiewając, lekko przechyliła głowę i włosy częściowo zasłoniły jej twarz. Jednak nie zakryły ładnie ukształtowanych kości policzkowych i pełnych ust, którymi w trakcie śpiewu płynnie poruszała. Robiła wrażenie osoby pracowitej, systematycznej i poważnej - stanowiła wielki kontrast dla efektownych i ekspresyjnych kobiet, które spotykał w świecie muzyki i które już dawno przestały na niego działać. Wiele z nich emanowało ekstrawagancką, krzykliwą urodą, ta zaś odznaczała się urodą klasyczną, taką która nie ma tendencji do przemijania wraz z wiekiem.

Poza tym... naprawdę potrafiła śpiewać. Kiedy chór kończył śpiewanie pierwszego utworu, bez trudu wyłowił spośród innych głosów jej piękny, czysty sopran.

Natychmiast po zakończeniu hymnu kobieta uniosła głowę i popatrzyła w kierunku Scotta. Jej usta lekko się rozwarły, kiedy zorientowała się, że ją obserwował, a policzki lekko się zaczerwieniły - jakby zaczęła się martwić, że śpiewając, popełniła jakiś błąd. Scott posłał jej lekki uśmiech, mający być wyrazem uznania, a nie napomnieniem, jednak czerwień na policzkach kobiety pogłębiła się. Ponownie opuściła głowę.

Tak, teraz wprowadził ją w zakłopotanie.

Zatem po nabożeństwie będzie ją musiał przeprosić już za dwie rzeczy.

Skierował spojrzenie na ołtarz. Wielebny Richards stanął właśnie przed wiernymi, żeby wygłosić niedzielą naukę. Scott postanowił uważnie jej wysłuchać.

- Przypowieść, którą przeczytaliśmy dzisiaj z Ewangelii według świętego Jana, jest jedną z moich ulubionych, ponieważ jest wymowna i pełna symboli. Oto mężczyzna, który urodził się ślepy. Żyje w ciemności, idąc przez życie po omacku, potykając się i upadając, często gubiąc drogę, bo przecież jej przed sobą nie widzi. Czuje się wyrzutkiem, rozbitkiem życiowym, samotnym i opuszczonym... Lecz do jego życia wkracza Jezus i leczy go. Później, zapytany przez faryzeuszy, co właściwie się wydarzyło, ten do niedawna ślepy człowiek wypowiada cudowne słowa, słowa o ogromnym znaczeniu, mocne, chociaż bardzo proste: „Byłem ślepy, a teraz widzę”.

Duchowny ogarnął wzrokiem całe zgromadzenie.

- Drodzy przyjaciele, Biblia pełna jest przypowieści o ludziach, których życie uległo odmianie po tym, jak na swojej drodze napotkali Jezusa. Znamy dziesiątki przykładów cudownego fizycznego uleczenia chorych. Dziesięciu trędowatych. Mężczyzny o bezwładnej ręce. Teściowej Piotra. Ale wiemy też o uzdrowieniach duszy.

Jedną z najświetniejszych jest przypowieść o cudzołożnicy; piękna, inspirująca historia o przebaczeniu grzesznej kobiecie. Kobiecie, której Jezus nie zgodził się potępić - pokreślił. - Identyczne przesłanie Bóg przekazuje nam w dzisiejszych czasach. Podobnie jak przed dwoma tysiącami lat, jest gotów nam wybaczać. Oświecać nasze ścieżki. Prowadzić nas, jeżeli zgubimy drogę. Dawać nam siłę i nadzieję. Oferuje to wszystko nawet wtedy, gdy o to nie prosimy. Ślepy człowiek nie szukał Boga. Pan sam go znalazł i otworzył mu oczy, rozpraszając ciemność. Ponieważ, jak wcześniej Jezus powiedział w tej samej Ewangelii, „Jestem światłością świata”. Sądzę, że się nie pomylę, jeśli założę, że większość z nas doświadcza w życiu trudności i mroku. To część roli człowieka na tym świecie. Ale podczas tych trudnych prób, proszę was, zawsze pamiętajcie, że Bóg w każdej chwili jest gotów was prowadzić. Wybaczać wam. Oferować nową nadzieję i nowy początek. Módlcie się do Niego. To wcale nie muszą być formalne modlitwy. Po prostu rozmawiajcie z nim w ciszy waszych serc. I, tak jak mężczyzna z dzisiejszej przypowieści, kiedy poddacie się jego nieprzemijającej łasce i miłości, każdy z was też będzie mógł powiedzieć: „Byłem ślepy, a teraz widzę”.

- Pomódlmy się teraz...

Pastor kontynuował, a Scott głęboko nabrał powietrza do płuc i bardzo powoli je wypuścił. Odnosił wrażenie, że dzisiejsze kazanie wielebnego Richardsa było przeznaczone wyłącznie dla niego. On także żył przecież w ciemności, szedł po omacku, potykał się i upadał jak ślepiec z Ewangelii. Nie tylko zgubił drogę - nawet nie wiedział, co jest jego przeznaczeniem. Potrafił myśleć tylko o swoim życiu, które rozplynęło się w mroku



w trakcie kilku strasznych sekund. Nic dziwnego, że się potykał; zamiast do przodu, patrzył za siebie.

A to było okropne. Przyszłość jawiła mu się jako bezkresna czarna otchłań, pusta i niezrozumiała. Być może życie oferowało mu wiele możliwości, on ich jednak nie widział.

Jeśli jednak wielbny Richards miał rację, pomoc była na wyciągnięcie ręki.

Scott nie był przekonany, że prosta rozmowa z Bogiem pchnie jego życie na właściwe tory. Ale skoro pastor, matka i inni ludzie, którzy co tydzień gromadzili się w tym kościele, wierzyli, że modlitwa ma tak wielką moc, gra była warta świeczki.

Val zrobiła pierwsze kroki w kierunku duchownego natychmiast, kiedy zakończył kazanie. Odniosła wrażenie, że słowa homilii przez cały czas kierował specjalnie do niej. Czy były prawdziwe? Czy Bóg naprawdę tak chętnie wybaczał wszystkim, którzy wyrażali skruchę? Czy właśnie dzięki Niemu mogłaby pozostawić za sobą przeszłość i rozpocząć życie od nowa?

Jeśli chodziło o modlitwę, nie pamiętała tekstu żadnej z nich. Mogła więc po prostu rozmawiać z Bogiem? Bez żadnego problemu? Znalezienie słów, w których zawarłaby prośbę o przebaczenie, wydawało się banalnie prostym zadaniem.

Tyle że... to byłoby chyba zbyt proste. Jak to możliwe, że zwyczajne „przepraszam”, nieważne, jak szczerze wypowiedziane, było w stanie uwolnić ją od winy?

Patrząc na to z drugiej strony, rozumiała, że modlitwa jest sprawą istotną dla bardzo wielu ludzi. Na przy-

kład dla Davida - chociaż dzisiaj nie było go w kościele. Albo dla Karen. Nawet Margaret odmawiała modlitwę. Raczej nie miała ona wpływu na stan jej zdrowia, jednak Bóg najwyraźniej słuchał jej matki. Kiedy Val oznajmiła dziś rano, że zamierza z całą rodziną udać się na nabożeństwo, Margaret nadzwyczaj szybko otrząsnęła się z szoku i powiedziała:

- Cóż, wygląda na to, że Bóg jednak wysłuchał moich modlitw.

Mimo wszystko, prośba do Boga o rozgrzeszenie, gdyby mu ją przedstawiła, wydawała się Val stanowczo zbyt śmiała.

Może powinna poprosić Go o siłę w wyprawie ku przeszłości i o to, by ją w tej wyprawie prowadził. Przecież podobnie jak ślepiec szła po omacku ścieżką wśród skał, niepewna każdego kroku, potykając się, upadając, walcząc ze strachem przed wykonaniem każdego kolejnego kroku. Bóg mógłby, podobnie jak w przypowieści o ślepcu, zlitować się nad nią i oświetlić jej drogę.

Oczywiście nie spodziewała się światła, które dotarłoby głęboko do najciemniejszych, najbardziej skrytych zakamarków jej duszy. Jednak nawet kilka jasnych promyków, które rozproszyłyby przynajmniej część cieni, jakie przez ponad siedemnaście długich lat zalegały nad jej życiem, byłoby wspaniałym darem.

- Przepraszam, że przeszkadzam. - Scott podszedł do Karen. Stała pośród innych członków chóru, prowadzących po nabożeństwie swobodne rozmowy. - Karen, miałabyś dla mnie chwilę?

Zaskoczona nagłym pytaniem, Karen przerwała

pogawędkę z Ellen Sullivan i skierowała wzrok na mężczyznę o ciemnych włosach. Do tej pory nie wiedziała nawet, że zna jej imię.

- Tak, naturalnie. Przepraszam cię, Ellen.

- Jasne. Po prostu cieszę się, że dzisiaj jednak przyszedłeś. Pierwszy głos bez ciebie... To byłaby katastrofa. Do zobaczenia - pożegnała ją Ellen.

Gdy kobieta odeszła, Scott uśmiechnął się do Karen nerwowo.

- Brakowało nam cię na próbie.

Poczuła na karku falę gorąca. Miała nadzieję, że nie zaczerwienią jej się policzki.

- Miałam trudny dzień w pracy. No i nie zamierzałam znosić więcej...

Jej głos przycichł i to Scott dokończył zdanie:

- Stresów?

Przypuszczała, że już jest czerwona na twarzy.

- Powinnaś była przyjść. Słyszałam, że sytuacja się poprawiła.

- Mam nadzieję. Przeprosiłem chór za moje niestosowne zachowanie i poprosiłem o drugą szansę.

- Wiem, Ellen mi o wszystkim opowiedziała.

- Cieszę się, jednak przeprosiny z drugiej ręki to za mało. Wiem, że w czasie próby przed dwoma tygodniami bardzo się zdenerwowałaś, chciałem cię więc osobiście przeprosić za moje zachowanie. Mam nadzieję, że jednak nie myślisz o porzuceniu nas.

- Nie... Śpiewam w tym chórze zbyt długo, żeby pod wpływem emocji podejmować pochopne decyzje. W środę przyjdę na próbę.

Scott uśmiechnął się. Tym razem był to prawdziwy uśmiech, szeroki, a nie proste ułożenie warg, jakim obdarzył ją po pieśni, która otwierała nabożeństwo.

Zmiana, jaką ten uśmiech wywołał na jego twarzy, odebrała jej oddech.

Jego ciemne oczy, zazwyczaj ponure i jakby odległe, nagle nabrały ciepła i energii. Rysy na jego twarzy niespodziewanie złagodniały, cieniutkie zmarszczki wokół oczu podpowiedziały Karen, że ten mężczyzna kiedyś śmiał się znacznie częściej niż obecnie. No i te usta... Nie potrafiła oderwać od nich wzroku. Nie były już napięte; stały się miękkie, giętkie, pociągające i...

Ciężko przełknęła ślinę. Odepchnęła od siebie pomysł, żeby powachlować się zeszytem z nutami.

Kristen wspomniała, że to gorący facet, „ciacho”. Nic dziwnego.

- Cieszę się, że zostajesz z nami. Będę miała możliwość poinformowania wielebnego Richardsa, że moje wyjście z próby nie pociągnęło za sobą niczyjej rezygnacji.

- Karen, jesteś gotowa?

Oderwawszy wzrok od Scotta, Karen popatrzyła na matkę. Margaret stała tuż obok, zniecierpliwiona, a za nią Kristen i Val.

- Tak. Rozmawialiśmy chwilę o muzyce. - Powiedziała niemal na bezdechu.

- Rozumiem. Val musi jak najszybciej pojechać do domu. Ma jeszcze dzisiaj jakieś spotkanie. Tylko nie pytaj gdzie, i tak nie powie.

Karen spodziewała się po siostrze jakichś kokieterijnych słów, te jednak nie padły. Val w milczeniu bawiła się paskiem od torebki. Jej policzki były lekko ściągnięte i Karen pomyślała, że pewnie jej siostra znowu nie czuje się najlepiej.

- Młody człowieku, skoro Karen nie dokonała prezentacji, ja to uczynię za nią. Jestem jej matką i nazywam się Margaret Montgomery. To jest moja druga córka, Val,

a to moja wnuczka, Kristen. - Nie dając Scottowi szansy na reakcję, Margaret kontynuowała: - Byłys'my bardzo zadowolone, kiedy usłyszałyśmy, że zdecydował się pan wypełnić lukę po odejściu Marilyn. Nie wiem, dlaczego opuściła naszego biednego wielebnego Richardsa, wiem natomiast, że zesłał nam pana sam Bóg.

Kąciki ust Scotta lekko drgnęły i Karen dostrzegła w jego oczach błysk rozbawienia.

- Muszę przyznać, że nikt wcześniej nie nazwał mnie człowiekiem zesłanym przez Boga - powiedział.

- To określenie doskonale pasuje jednak do sytuacji. Od Dorothy wiem, że jest pan doskonale wykształconym muzykiem. Spodziewam się więc, że zdolności naszego małego chóru rozczarują pana. On nigdy nie osiągnie pańskiego poziomu.

Skierowała wzrok na twarz Karen... i już go od niej nie oderwała. Policzki jej córki płonęły.

- O ile wiem, zbyt wysokie ustawianie poprzeczki może zniechęcić, zamiast pozytywnie motywować - stwierdził Scott. - Wszyscy członkowie chóru starają się śpiewać jak najlepiej, a przecież tylko tego można wymagać od ludzi, prawda?

Zamiast odpowiedzieć Scottowi, Margaret wskazała ręką na Val.

- Powinien pan koniecznie namówić Val, żeby tymczasowo dołączyła do chóru, skoro spędza u nas całe lato. Z całej naszej rodziny to ona ma największy talent wokalny, to naprawdę piękny głos. Brała lekcje u najlepszych! Byłaby dla chóru naprawdę dobrym nabytkiem.

- Zatem cała pani rodzina jest utalentowana - powiedział Scott. - Karen również ma wyjątkowy głos. Słuchałem jej dzisiaj z wielką przyjemnością już wtedy, gdy chór śpiewał hymn inauguracyjny nabożeństwo.

Karen popatrzyła na niego. Cóż, na pewno chciał być po prostu uprzejmy. Przecież to Val miała prawdziwy talent.

Tym niemniej nie potrafiła pojąć, dlaczego szybciej zabiło jej serce.

- Hmm... - Margaret popatrzyła na Scotta ponad oprawkami okularów.  
- Widzę, że jest pan dyplomata.

- Takt i wrażliwość to wielkie przymioty. Wszyscy bezustannie powinniśmy je w sobie kształcić, nie uważa pani? - Scott nie poczekał na odpowiedź Margaret i kontynuował: - W tym przypadku jednak nawet nie starałem się postępować dyplomatycznie. Po prostu powiedziałem prawdę. Może córka odziedziczyła talent po matce?

Z trudem powstrzymując uśmiech, Karen popatrzyła na Val. Chociaż jej twarz wciąż była trochę ściągnięta, można było odnieść wrażenie, że odzyskuje dobre samopoczucie. A Margaret została znieważona w tak subtelny sposób, że nawet nie zauważyła afrontu.

- Kiedy byłam młoda, trochę śpiewałam. - Margaret wydawała się zadowolona, a może raczej lekko wytrącona z równowagi pytaniem Scotta. - Ale to mój mąż miał doskonały tenor. Podejrzewam więc, że talenty wokalne moich córek są spuścizną po nim.

To była dla Karen nowość. Margaret, która zaczęła rozmowę, dyskredytując talent wokalny starszej córki, przyznawała teraz, że obie potrafią ładnie śpiewać. Karen pokręciła głową. Zadziwiające.

- Gotowa? — Val podeszła do Karen i szturchnęła ją. - Tak.

Karen ośmieliła się popatrzeć na Scotta. Na ułamek sekundy ogarnęło ją absurdalne przekonanie, że ten zaraz do niej mrugnie. Nie mrugnął, lecz się uśmiechnął. Jed-

nak błysku w jego oczach na pewno sobie nie wymyśliła - był prawdziwy.

- Mogę zatem się spodziewać, że w środę spotkamy się na próbie? - zapytał Scott.

- Tak - odparła.

- Będę na ciebie czekał.

Odwrócił się i podszedł do pianina. Karen zorientowała się, że Kristen patrzy za nim w zamyśleniu. Val i Margaret zaczęły torować sobie przejście w gromadzie ludzi, kierując się do wyjścia.

- On cię lubi - powiedziała Kristen z figlarnym uśmiechem.

Karen zmarszczyła czoło.

- O czym ty mówisz, do licha?

- Chodzi mi o nowego dyrygenta. On cię lubi.

- Moja droga, chyba ponosi cię wyobraźnia. - Karen starała się mówić obojętnym tonem. - Przecież dzisiaj rozmawiałam z nim po raz pierwszy w życiu.

- No i co z tego? Ludzie komunikują się na wiele sposobów. Czasami słowa są całkowicie zbędne. Widziałaś jego oczy?

- Są bardzo ładne, jednak nie spoglądały wyłącznie na mnie. Scott stara się dostać drugą szansę od wszystkich członków chóru. Zaufaj mi, nie miał żadnego szczególnego powodu, żeby poświęcić mi specjalną uwagę. A teraz chodźmy już. Twoja babcia nie będzie zadowolona, jeżeli będzie musiała czekać przy samochodzie.

Karen zaczęła się odwracać.

- A jednak patrzył na ciebie zupełnie inaczej niż na pozostałych członków chóru. Jak chcesz, możemy zapytać o to ciocię Val.

Kristen ruszyła za babcią i ciotką, jednak Karen złapała ją za ramię.

- Nie! - Na pewno nie była jej teraz potrzebna dyskusja o domniemanych romansach, i to przy matce. - Już ci kiedyś powiedziałam. Nie szukam żadnego... związku.

Oparwszy dłonie na biodrach, Kristen stanęła przed matką.

- Założę się, że Bóg nie chce, żebyś resztę życia spędziła samotnie tylko dlatego, że ty i tata popełniliście błąd.

Po rozmowie z Val na ten sam temat, Karen skłonna była przyjąć podobne stanowisko, nie była jednak jeszcze gotowa rozmawiać o tym z córką.

- Zamykamy temat, Kristen - powiedziała głosem nieznoszącym sprzeciwu. - Chodźmy już.

Chociaż Kristen teraz ustąpiła, Karen była przekonana, że jej córka w niedalekiej przyszłości powróci do tego tematu.

Co do Scotta... Jeżeli Kristen miała rację i jest nią zainteresowany, on także powinien do niego powrócić. Nie mógł przecież odnosić sukcesów w biznesie muzycznym, nie będąc stanowczym i nie dążąc do osiągnięcia założonego celu bez względu na okoliczności. W jego profesji o powodzeniu decydowały spryt i umiejętność przewidywania zachowań innych ludzi.

Co oznaczało po prostu, że Karen powinna mocno się zastanowić, jaki właściwie jest jej status po rozwodzie z Michaeliem.

Nie miała na to wiele czasu.

Val zatrzymała samochód na miejscu parkingowym naprzeciwko małego budynku z cegieł, stojącego po drugiej stronie ulicy. W budynku tym mieściła się kiedyś



Klinika dla Kobiet, znana w całym St. Louis. Teraz na budynku widniała dłuższa, bardziej opisowa nazwa, jednak przychodzące tutaj pacjentki wciąż korzystały z tych samych usług. Przeprowadzano tu testy płodności, przepisywano środki antykoncepcyjne, prowadzono badania USG.

Po chwili, zebrawszy całą odwagę, Val wzięła do ręki tekturową tuleję, która do tej pory leżała na fotelu obok niej, i wyciągnęła z niej papier. Drżącymi palcami rozłożyła go na kierownicy. Niewprawne oko raczej nie miałoby szansy zrozumieć widniejącego na nim zapisu, dokonanego dawno temu, jeszcze starą technologią. Gdyby technicy nie wskazali na nim wyraźnie główki, stóp i rączek, Val sama raczej by ich nie dostrzegła.

Ale chociaż nie mogła dostrzec kształtów swojego dziecka na papierze, ultrasonografia uczyniła je niemal namacalnym. Kiedy pielęgniarka pozwoliła jej słuchać uderzeń jego serca, rosnące w Val maleństwo stało się aż nadto realne. Odgłos życia zapadł jej głęboko w pamięć i prześladował we śnie przez blisko dwie dekady.

Może cała rzecz nie byłaby dla niej aż tak traumatyczna, gdyby nie badanie ultrasonograficzne właśnie, które ukazało jej niezaprzeczalny dowód, że rośnie w niej nowe życie. Corey próbował jej wyperswadować poddanie się temu badaniu i absolutnie nie chciał za nie zapłacić. Zrobiła je i tak, chociaż pochłonęło większość jej letnich zarobków; pieniądze zdobyła jako kelnerka w Harrys Bar and Grill.

Pogłaskała palcami pomarszczony papier. Wówczas nie zastanawiała się nad swoimi motywami, jednak z perspektywy czasu były dla niej aż nadto widoczne. Miała po prostu nadzieję, że pojawi się jakaś kwestia

medyczna, która usprawiedliwi zaproponowane przez Coreya rozwiązanie jej „problemu”.

Ale dziecko rozwijało się świetnie. Było zdrowe i miało przyjść na świat pod koniec maja. W tym roku miałoby - on lub ona - już siedemnaście lat. Na progu dorosłości, z przyszłością rysującą nieograniczone perspektywy...

Jednak tragiczny błąd Val pozbawił dziecko tej przyszłości, zatrzymując serduszek, które teraz biło wyłącznie w jej pamięci.

Drżącymi rękami położyła kartkę na fotelu pasażera i włączyła się do ruchu ulicznego. Przed nią był jeszcze jeden przystanek, wymagający od niej znacznie więcej odwagi.

Przypomniawszy sobie słowa, które dzisiaj rano skierował do wiernych pastor Richards, zaczęła desperacko błagać Boga:

- Panie, wiem, że na żadne wsparcie od Ciebie nie zasługuję. Z pewnością nie zasługuję na przebaczenie. Ale potrzebuję teraz siły i odwagi. Czy mógłbyś pozostać przy mnie przez kilka kolejnych minut? Pomóż mi, Panie, bo nie chciałabym czuć się całkowicie opuszczona. Proszę!

Dotarłszy na miejsce przeznaczenia, Val rozejrzała się. Na przestrzeni lat okolica mocno podupadła, zrobiła się bardzo nieprzyjemna. W normalnych okolicznościach Val zaczęłaby się obawiać o swoje bezpieczeństwo, dzisiaj jednak zupełnie jej to nie obchodziło. Zagrożenie, które tkwiło w niej samej, było znacznie większe niż to, które mogłoby ją spotkać ze strony obcych ludzi.

Zatrzymała samochód przy krawężniku, zaciągnęła ręczny hamulec i uniosła głowę. Popatrzyła na okna trzeciego piętra. Później utkwiała spojrzenie w oknie

tego pokoju, w którym, przy zamkniętych okiennicach, odbyła się cała procedura. Mogła wtedy pójść do poważnej kliniki, jednak bała się, że tam zaczęła jej zadawać za dużo pytań, a potem o wszystkim poinformują rodzinę. Chciała to więc zrobić w miejscu, w którym mogłaby się pojawić anonimowo, i które mogłaby opuścić jako osoba nikomu nieznaną. Jedynym dowodem jej pobytu w takim miejscu miał pozostać wstyd.

To Corey je znalazł. Obawiała się, że będzie obskurne i brudne, lecz chociaż z zewnątrz ceglany budynek wyglądał lichy, wewnątrz było czysto i niemal przyjaźnie. Wypełniła jakąś ankietę, używając fałszywego nazwiska, a potem poproszono ją do pokoju „zabiegowego”. Cały proces nie trwał dłużej niż godzinę. Zapłaciła gotówką, a potem pojechała do Waszyngtonu samochodem, który pożyczyła od przyjaciółki. Czuła się brudna. Skażona, nieczysta. Godzina, jaką po powrocie do domu spędziła pod prysznicem, wcale nie pozwoliła jej poczuć się czystsza.

W końcu zrezygnowała z dłuższej kąpieli. Wpełzła do łóżka, zwinęła się w kłębek i leżała bez ruchu, dopóki matka nie zawołała jej na kolację. Chociaż jak zwykle dziobała jedzenie bez apetytu, tym razem Margaret tego nie komentowała. Zanadto była zajęta omawianiem problemów swojej koleżanki, Alice Martin. Nieletni syn Alice został właśnie zatrzymany przez policję za spożywanie alkoholu.

Val to wykroczenie młodego Martina w ogóle nie ekscytowało; w porównaniu z jej własnym było przecież nieważną drobnostką.

Nikt nigdy nie dowiedział się o jej podróży do St. Louis. Sekret podzielili pomiędzy sobą tylko ona, Corey i Bóg. Nie doświadczyła też żadnych powikłań

zdrowotnych, żadnej fizycznej traury. Dopiero znacznie później, przeczytawszy mnóstwo strasznych opowieści o nielegalnym przerywaniu ciąży i o pacjentkach, które po takich zabiegach doświadczały potężnych infekcji, krwotoków, traciły możliwość zajścia w kolejną ciążę albo umierały, zdała sobie sprawę, jakie miała szczęście, że przemknęła przez całą procedurę bez szwanku.

Rany pozostały tylko na psychice.

Po jej policzku spłynęła łza i Val zamknęła oczy.

*Dobry Boże, tak mi przykroci Gdybym mogła przeżyć wszystko od nowa, postąpiłabym zupełnie inaczej. Urodziłabym dziecko i albo bym je wychowała, albo oddała do adopcji. Nie myślałabym o wstydzie i poniżeniu, ani o gniewie matki. Postąpiłabym właściwie, Paniel Naprawdę!*

Oparła głowę o kierownicę. Zaczęła głośno łkać. Wstrząsnęły nią dreszcze. Po chwili po jej policzkach popłynęły rzeki łez. Zapomniała, gdzie się znajduje.

Dopiero natarczywe pukanie w szybę przywróciło ją rzeczywistości.

Otarłszy dłonią oczy, Val uniosła głowę. Ujrzała jakiegoś mężczyznę, bezmyślnie gapiącego się na nią przez szybę samochodu. Ubrany był w podartą koszulkę z bawełny i brudną czapkę baseballową. Miał dziobatą twarz i z pewnością od wielu dni się nie golił ani się nie kąpał.

Val niemal wpadła w panikę. Mężczyzna jednak zaraz się cofnął. Być może rozmazany na twarzy makijaż przestraszył go tak bardzo, jak ją wystraszyła niechlujna sylwetka obcego. W każdym razie obdartus, rzuciwszy w jej kierunku jeszcze tylko jedno szybkie spojrzenie, pośpiesznie ruszył przed siebie, byle dalej od samochodu.

Porządnie wytarła policzki i przekreśliła klucz w stacyjce. Wiedziała, że powinna stąd jak najszybciej

odjechać. Nie należała do tego miejsca i nie była tutaj bezpieczna.

Drżącą ręką przekręciła kluczyki i wyjechała na ulicę, kierując się ku autostradzie. Najwyższy czas, żeby wrócić do Waszyngtonu i zachowywać się tak samo, jak tego pamiętnego dnia, niemal osiemnaście lat temu.

Udawać, że nic nadzwyczajnego się nie wydarzyło.

— Dobrze, doskonale! Zaśpiewamy ten nowy hymn w niedzielę. Bardzo wszystkim dziękuję.

Ostatnim słowom Scotta towarzyszyły już szelest papierów, szum rozmów i śmiechy. Próba chóru dobiegła końca. W zupełnie innej atmosferze niż poprzednie. Scott dotrzymał słowa: wszystkim okazywał zrozumienie i cierpliwość. Karen była zadowolona.

Kiedy wstała, spod tylnych drzwi pomachał do niej wielebny Richards i zaraz do niej podszedł.

— Cześć, Karen! Co u ciebie?

— Na nic nie mogę narzekać, dziękuję.

— Z Margaret chyba coraz lepiej?

— Tak, rzeczywiście. Val uważnie jej pilnuje.

— Po niedzielnym nabożeństwie spotkałem się z twoją siostrą. Na pewno jej obecność w domu tego lata jest dla ciebie wielkim błogosławieństwem.

— O tak. Desperacko potrzebowałam kogoś do pomocy.

— Mówiąc o potrzebujących pomocy... — Na twarzy wielebnego Richardsa pojawił się smutny uśmiech. — Zastanawiałem się, czy zechciałabyś użyć swoich wielkich zdolności organizatorskich pewnemu specjalnemu projektowi.

— Pomogę z radością. O co chodzi?

— Przypuszczam, że słyszałaś o Domu Nadziei, centrum doradztwa dla niezamężnych, ciężarnych nastolatek?

— Tak. To bardzo pożyteczna instytucja! Cieszę się, że co roku zbieramy pieniądze na jej wsparcie.

- Ja też się cieszę. W tym roku będzie to jednak za mało; w ostatnich tygodniach Dom miał kilka niespodziewanych wydatków i obawiam się, że nie dysponuje wystarczającymi funduszami, żeby dotrzeć do końca roku finansowego we wrześniu. W celu uzupełnienia aktywów zostaliśmy poproszeni o zorganizowanie kolacji charytatywnej, z oprawą muzyczną. Zgodziło się w niej uczestniczyć już kilka chórów kościelnych z najbliższej okolicy... wśród nich nasz, mam nadzieję... a ja potrzebuję przede wszystkim kogoś, kto całe to przedsięwzięcie zorganizuje i przeprowadzi. Pod koniec trzeciego tygodnia sierpnia.

- No, no! - Oczy Karen rozszerzyły się. - Pozostał zaledwie miesiąc.

- Wiem, że czasu jest niewiele. Sądzę, że wielu z naszych parafian podejmie się współpracy, jednak potrzebuję przede wszystkim kogoś solidnego, o silnym charakterze, kto potrafiłaby zarządzać i nadzorować przebieg przygotowań. Jesteś pierwszą osobą, o której w tym kontekście pomyślałem.

Karen posłała mu wesołe spojrzenie.

- Podlizujemy się, wielebny?

- A czy to działa?

- Być może - odparła Karen, zobaczywszy błysk w oczach duchownego.

- To dobrze. Jesteś moim pierwszym i na pewno najlepszym wyborem. Wiem, że jeśli cię o coś poproszę, zawsze wykonasz swoje zadanie doskonale i na czas.

Gdy pastor czekał na jej odpowiedź, Karen pośpiesznie przeanalizowała w myślach wszystkie za i przeciw. Kristen radziła sobie już coraz lepiej. Val panowała nad procesem rehabilitacji matki. W pracy też nie było już

wielkiego urwania głowy. Tak, mogła się podjąć zadania, które stawiał przed nią wielebny Richards.

- Dobrze. Z przyjemnością we wszystkim pomogę -zdecydowała.

- Dziękuję. - Pastor ruchem głowy wskazał Scotta, który właśnie zamykał pianino. - Teraz chciałbym porozmawiać z naszym dyrygentem. Mam nadzieję, że zgodzi się przygotować dla chóru na to uroczyste wydarzenie kilka nowych utworów.

- Może wstąpię do wielebnego w sobotę rano, mniej więcej o dziewiątej, i omówimy szczegóły? - zaproponowała Karen.

- Doskonale. Zatem do zobaczenia.

Karen jeszcze się dobrze nie odwróciła do wyjścia, a już zaczęła układać w myślach listę spraw do załatwienia. Kiedy pojawiał się przed nią problem, jej umysł natychmiast podejmował pracę analityczną. To była chyba kwestia DNA.

Kiedy Scott odwrócił się, odpowiadając na pozdrowienie pastora, ich spojrzenia spotkały się. Lewa połowa mózgu Karen wyłączyła się. Fala miłego ciepła zalała jej serce pod wpływem spojrzenia mężczyzny. Jej puls przyspieszył, pomimo wysiłków, by zachować absolutny spokój.

Karen podejrzewała, że choćby nie wiadomo jak intensywnie analizowała ten specyficzny problem, jego rozwiązanie nigdy nie podda się logicznemu wyjaśnieniu.

Tłumiąc ziewanie, Scott wsunął klucz do zamka w drzwiach kościelnych. Ziewanie zapewne wywołał węgiel ze zbyt mocno spieczonej skóry kurczaków; od



powrotu Scotta do domu matka przywróciła dawną tradycję jadań ich we wtorkowe wieczory. Wprowadziła ją dawno temu, kiedy Scott był jeszcze dzieckiem.

Okazało się, że drzwi są otwarte. Kiedy je pchnął, usłyszał ciche dźwięki pianina.

Coś takiego!

Kto, poza nim, mógł jeszcze grać o tak późnej godzinie?

Po krótkim wahaniu wszedł do środka. Może zdoła znaleźć nuty, po które przyszedł, nie przeszkadzając temu, kto właśnie grał?

Starając się zachowywać jak najciszej, wkroczył do chłodnego wnętrza; miła odmiana po gorącym powietrzu upalnego lata. Przez moment stał w ciszy, bez ruchu, pozwalając oczom przyzwyczać się do półmroku. Teraz już wyraźniej słyszał muzykę pianina. Tyle że... to właściwie nie była muzyka. Dźwięki brzmiały tak, jakby ktoś po prostu bawił się pianinem.

Kiedy zbliżył się do strefy dla chóru, żeby zobaczyć, kto gra, najpierw dostrzegł wózek inwalidzki. Siedział na nim młody człowiek o szerokich ramionach i prawą ręką starał się nieporadnie wystukiwać melodię, niewprawnie akompaniując lewą. Stołek pianisty był odsunięty, żeby nie przeszkadzał.

Scott zawahał się i zwolnił kroku. Czy to był ten chłopak, który odniósł kontuzję na boisku futbolowym? Steven... jakiś tam. Skoro to on, co właściwie tutaj robił?

Kiedy Scott znalazł się w polu widzenia młodego człowieka, ten przestał grać i odepchnął wózek od pianina.

- Przepraszam. Nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest -powiedział.

- Wszystko w porządku, zostań. Przyszedłem tylko po nuty. - Scott wyciągnął do niego rękę. - Nazywam się Scott Walker.

Chłopak mocno uściskał jego dłoń.

- Wiem. Słucham pana muzyki co niedzielę. Nazywam się Steven Ramsey.

- Miło cię poznać. I mów mi po imieniu. Potrafisz grać?

- Nie. — To jedno słowo wypowiedziane zostało z wielkim żalem.

- Odnosiłem wrażenie, że próbujesz łączyć ze sobą pojedyncze nuty i akordy.

Steven musnął palcami klawiaturę.

- Lubię muzykę. Ale... uprawiałem futbol. Żeby zostać dobrym muzykiem, trzeba brać lekcje i mnóstwo ćwiczyć. Nie miałem na to czasu. Poza tym lekcje muzyki z nauczycielem są bardzo drogie. - Steven popatrzył na Scotta. - Założę się, że długo musiałeś się uczyć.

Scott podszedł do stołka i usiadł na jego skraju.

- W college'u moimi przedmiotami kierunkowymi były teoria muzyki i kompozycja. Spędzałem mnóstwo czasu przy fortepianie. Ale instrumenty klawiszowe nie są moją specjalnością.

- A na czym grasz?

- Na początku grałem na klarnecie, ale przez ostatnie dziesięć lat koncentrowałem się na saksofonie.

- Ładnie. Jaką muzykę lubisz?

- Grałem jazz.

- A teraz?

Scott poczuł ucisk w żołądku.

- Teraz nie gram w ogóle. - Uniósłszy lewą rękę, zademonstrował chłopakowi bezwładne palce. - Kilka miesięcy temu miałem wypadek samochodowy.

- Rehabilitacja coś pomoże?

Kiedyś o to samo zapytała go Karen. Teraz odpowiedział Stevenowi tak samo, jak jej.

- Tego nikt nie wie.

- Ale chyba jest jakaś nadzieja? Nadzieja.

Bardzo rzadko używał tego słowa. Było jednak jasne, że powinien mieć jej więcej niż ten młody mężczyzna, którego marzenia zostały przekreślone raz na zawsze. Steven już nigdy nie miał chodzić, a co dopiero grać zawodowo w futbol. Scott miał szansę i nadzieję - nawet jeśli były bardzo słabe.

- Tak. Chyba jest.

- I wciąż możesz grać na pianinie.

- Ale niezbyt dobrze.

Chłopak popatrzył na klawisze i zrobił posępną minę.

- Na pewno lepiej niż ja w futbol.

Ciche słowa Stevena podziałały na Scotta jak uderzenie w podbrzusze.

Zupełnie niedawno matka powiedziała mu, że powinien nakreślić przed sobą jakąś perspektywę. Powinien... Najpierw jednak musiał wygrzebać się z depresji.

Steven miał rację, podobnie jak matka. Przecież mógł jeszcze robić w życiu wiele rzeczy. Może nie tak doskonale jak kiedyś, ale mimo wszystko wciąż miał na to szansę... no i na pewno jakąś przyszłość w swojej dziedzinie, jeżeli tylko będzie chciał, jak mu uzmysłowił wielebny Richards.

Steven nie miał ani nadziei, ani szansy.

- Przykro mi. - Nie wiedział, co jeszcze mógłby powiedzieć.

Nastolatek ponuro wzruszył ramionami.

- Chyba jakoś to przeżyję.

Kiedy Steven zaczął bezmyślnie naciskać na klawisze, w głowie Scotta zaczął kiełkować pomysł.

- Teraz, skoro masz dużo czasu, może bardziej zainteresujesz się muzyką? - zasugerował.

Młody człowiek przestał grać.

- Potrzebowałbym nauczyciela.

- Jaki problem?

- Mam troje rodzeństwa. I mnóstwo rachunków od lekarzy do zapłacenia za ostatnie miesiące. Oboje rodzice pracują, ale...

Młodzieniec nie musiał kończyć zdania; Scott doskonale rozumiał problem, jaki stanowiły pieniądze, a właściwie ich brak.

Rozwiązanie wydawało się oczywiste, tym niemniej Scott zawahał się. Od dnia wypadku unikał wszelkich deklaracji. Zobowiązał się tylko do tymczasowego prowadzenia chóru, a gdyby nie naciski matki, nie podjąłby się nawet tego.

Sytuacja ze Stevenem była jednak inna. Aż go nęciło, żeby mu pomóc. Zainteresował się nim przede wszystkim dlatego, że życie tego młodego człowieka, podobnie jak jego własne, w jednej chwili wywróciło się do góry nogami.

- Coś ci powiem. Nie mam wielkiego doświadczenia w nauczaniu muzyki, ale za to mnóstwo wolnego czasu. Z radością wykorzystam część na nauczanie cię podstaw gry na pianinie.

- Naprawdę? - W oczach chłopaka pojawił się błysk zainteresowania.

- Naprawdę.

Steven zaraz jednak zmarkotniał.

- Ale przecież my nie mamy w domu pianina! Nie miałbym gdzie ćwiczyć...

- Moglibyśmy spotykać się tutaj. Humor Stevena znów się zmienił.

- Myślisz, że wielebny Richards by na to pozwolił?

- Porozmawiam z nim. Znalazłbyś sposób, żeby codziennie przyjeżdżać do kościoła?

- Mam wielu przyjaciół. Zawsze ktoś mnie podwiezie.

Za tabernakulum pojawiła się kobieta w średnim wieku. Niosła wielką wazę z kwiatami. Ujrawszy Scotta, pośpieszyła ku niemu z przepaszającym wyrazem twarzy.

- Za kilka minut nas tu nie będzie - powiedziała. - Nie wiedziałam, że zamierzał pan pracować.

- Nie ma żadnego problemu.

- To moja mama - przedstawił kobietę Steven. Scott wstał i podał jej rękę.

- Miło mi panią poznać, pani Ramsey.

- Mamo, Scott powiedział, że będzie mnie uczyć gry na pianinie.

Radość młodego człowieka sprawiła, że Scottowi zrobiło się lekko na sercu.

- To naprawdę miło z pana strony, panie Walker...

- Scott.

- Scott. Ja mam na imię Martha. Rzecz w tym, że mamy wiele innych wydatków i... - Zrobiła bezradną minę, a w jej oczach Scott dostrzegł wielki żal.

- Ale ja nie chcę żadnych pieniędzy! Oddacie mi tym przysługę. Lekarze chcą, żebym jak najczęściej ćwiczył uszkodzoną rękę. Dzięki ćwiczeniom moje palce powinny stopniowo nabierać sprawności. Systematyczna praca na klawiaturze ze Stevenem po prostu zwiększy moje szanse na wyleczenie.

Kobieta zawahała się.

- Mamo, proszę - odezwał się Steven.

W odpowiedzi na tę cichą, gorącą prośbę, matka dotknęła twarzy chłopaka. Z trudem przełknęła ślinę i posłała Scottowi nieśmiały uśmiech.

- Wiem, że dałoby to Stevenowi wiele radości. Zawsze interesował się muzyką, jednak nie miał czasu, żeby to zainteresowanie rozwijać. Dziękuję ci.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Kolejne słowa Scott skierował do Stevena. - Jak już wspomniałem, porozmawiam z wielebnym Richardsem. Może zaczęlibyśmy już jutro?

- Doskonale! Dzięki.

Scott i Steven podali sobie ręce. Kiedy Scott ujrzał radosne iskierki w oczach chłopaka - iskierki optymizmu, oczekiwania, nadziei - odniósł wrażenie, że wesoly, jasny promień słońca przeszył ciemność jego duszy.

Zdał sobie nagle sprawę z tego, że Steven rzeczywiście dziękuje mu niepotrzebnie.

To on, Scott, powinien dziękować Stevenowi.

- No, ile już schudłaś? - Val uśmiechnęła się do Karen, kiedy ta postawiła na stoliku filiżankę z beztłuszczowym frappuccino.

- Dziewięć, i wciąż chudnę - odparła Karen, zajmą-szy miejsce naprzeciwko siostry.

- Oho... przed tobą jeszcze daleka droga. Ale w tym tempie masz szansę wrócić do swojej właściwej postaci, zanim stąd wyjadę.

- Na razie nie opowiadaj o żadnym wyjeździe. -Karen zmarszczyła nos. - Jakoś się przyzwyczaiłam do twojej obecności. Kiedy odjedziesz, poczuje się samotna.

- Ja również.

Val szybko, jakby z obawą, uścisnęła dłoń siostry. Po powrocie do Chicago na pewno będzie miała wiele powodów do tęsknoty. Nowa przyjaźń z siostrą okazała się niespodziewanym bonusem wizyty w domu.

- Szkoda, że zbliżyłyśmy się dopiero po tylu latach. -Karen upiła łyk frappuccino. - Jak myślisz, dlaczego to trwało tak długo?

- Chyba było wiele powodów. Wyjechałaś do college'u, kiedy miałam piętnaście lat. Ja z kolei uciekłam stąd do szkół, kiedy miałam osiemnaście, miesiąc po twoim ślubie. Wcześniej, dzięki matce, zanadto między sobą rywalizowałyśmy. Swoją rolę odgrywały też hormony, jak sądzę.

- Chyba tak - westchnęła Karen. - Będę za tobą tęsknić.

- Mamy przecież telefony...

- To nie jest to samo.

- Ale przed nami jeszcze całe cztery tygodnie! To nie czas, żeby już sięgać po chusteczki. Porozmawiajmy o czymś weselszym... Na przykład o tym, jak w ostatnią niedzielę pan dyrygent zadrwił sobie z mamy, a ona w ogóle się nie zorientowała. Lubię tego gościa!

- Momentalnie przejrzał ją na wylot, prawda?

- Żebyś wiedziała; to było wspaniałe! Jak się z nim pracuje?

- Dlaczego pytasz? Chciałabyś wstąpić do naszego chóru?

Val usłyszała zaniepokojenie w głosie siostry i pośpiesznie ją uspokoila.

- Nie. Nie mam najmniejszego zamiaru wkraczać na twój grunt.

Karen zmarszczyła brwi i nieświadomie przygryzła dolną wargę.

- Przepraszam... Nic takiego nawet mi nie chodzi po głowie. Oczywiście, jeśli masz ochotę, możesz do nas dołączyć. Tyle że... widzisz, muzyka to jeszcze jedna rzecz, w której jesteś lepsza ode mnie. Mam swoje miejsce w tym chórze, jestem dość ceniona, ale kiedy ty się w nim znajdziesz, od razu zostanę odsunięta na dalszy plan. Mama miała przecież rację. Nie umiem aż tak dobrze śpiewać.

- Pan dyrygent by się z tobą nie zgodził... Ja zresztą też.

- Oboje po prostu chcecie być dla mnie mili. -Karen zbyła komplement machnięciem ręki. - W każdym razie inni bywają zazdrośni i mnie też czasami się to zdarza.

- Witamy wśród ludzi. A jeśli chodzi o chór... Skoro w przyszłym miesiącu mam wyjechać do Chicago, włączanie się do niego nie miałoby sensu, nawet gdybym tego chciała... a przecież nie chcę. Obiecuję, że wszystkie sprawy związane z kościołem pozostawię w twoich kompetentnych rękach.

- Och! Teraz mi o czymś przypomniałaś. - Karen odstawiła kawę i pochyliła się ku siostrze. - Dzisiaj rano spotkałam się z wielbnym Richardsem. Rozmawialiśmy o organizacji charytatywnego wydarzenia w połowie sierpnia, podczas którego chcemy zebrać trochę pieniędzy. Poprosił mnie, żebym koordynowała wszystkie przygotowania.

- Czy nie masz już dość spraw na głowie? Musisz brać na siebie kolejne obowiązki?

- Chodzi o zbożny cel. Dom Nadziei. Nie pamiętam, czy istniał, kiedy byliśmy dziećmi.

Val zaczęła szukać w pamięci, jednak na nic nie natrafiła.



- Nic mi to nie mówi. Co to za miejsce?

- Ośrodek doradztwa dla ciężarnych nastolatek. Oferuje konsultacje medyczne, pomoc przy adopcji i wsparcie psychologiczne jako alternatywę dla aborcji. Problem w tym, że wykorzystali już wszystkie pieniądze na ten rok rozliczeniowy. Niedawno poprosili wielbego Richardsa o zorganizowanie kolacji z oprawą muzyczną, na której można by zbierać pieniądze dla poprawienia ich sytuacji. Ta kolacja odbędzie się kilka dni przed twoim wyjazdem i pomyślałam, że mogłabyś poprowadzić imprezę jako konferansjerka. Wiem, że doskonale byś się w tej roli spisała, Val. Twoje umiejętności i doświadczenie nadałyby temu wieczorowi profesjonalnego blasku.

Karen wciąż mówiła, a Val musiała wykorzystać każdą uncję swych umiejętności aktorskich, żeby zachować kamienną twarz. Siostra prosiła ją o pomoc w zbiórce pieniędzy dla organizacji, która oferowała pomoc - i nadzieję - dziewczętom znajdującym się w takiej samej sytuacji, w jakiej ona sama znalazła się w wieku siedemnastu lat. Co za ironia! Jakież dziwny zbieg okoliczności!

A może... może właśnie nie?

Czy ta oferta nie była dla niej szansą na prawdziwą poprawę? Wspierając organizację pomagającą młodym dziewczętom podjąć lepszą decyzję niż ta, którą sama kiedyś podjęła, mogła przecież uczynić wielki krok do przodu na drodze wiodącej do odpokutowania błędów. Możliwość ta była naprawdę warta rozważenia.

- Co miałabym robić?

- Witac uczestników, prezentować grupy artystyczne, a na zakończenie dziękować ludziom za udział w wieczorze. - Karen wyliczała obowiązki Val na pal-

cach. - To bardzo proste. Mogłabyś to robić nawet przez sen.

Val nie miała żadnych wątpliwości, że z technicznego punktu widzenia da sobie radę. Ale jej emocje... To przecież mogła być zupełnie inna sprawa.

Widząc jej wahanie, Karen odezwała się znowu.

- Wiem, że wrzuciłam to na ciebie nagle i że nie przyjechałaś tutaj na występy. Może to sobie jeszcze prze-myślisz i dasz mi ostateczną odpowiedź za kilka dni?

Val powoli pokiwała głową.

Karen uśmiechnęła się i położyła dłoń na ramieniu siostry.

- Dzięki. Wiem, że to nie będzie dla ciebie nic trudnego, a twoja elokwencja i klasa dodadzą temu wieczorowi trochę blasku, jak już mówiłam.

Chociaż Val chciała oddać jej uśmiech, nie bardzo potrafiła się na to zdobyć. Niezależnie od tego, co myślała Karen, Val wiedziała już, że poprowadzenie takiego wieczoru wcale nie będzie dla niej łatwe, wręcz przeciwnie.

W gruncie rzeczy, jeżeli się zgodzi, być może będzie się musiała zmierzyć z najtrudniejszym zadaniem w życiu.

- *Cześć, Val.*

Kobieta usłyszała Davida i odwróciła się. Kiedy przysłała na nabożeństwo, dostrzegła go w pierwszej ławce w towarzystwie Victorii, ale nie miała pojęcia, w którym momencie to on ją zobaczył. Posłała mu nieśmiały uśmiech.

- *Cześć.* - Po chwili pochyliła się do jasnowłosej dziewczynki, ściskającej jego rękę. - *Cześć, Victoria. Masz ładną sukienkę. I ślicznie jesteś dzisiaj uczesana.*

- *Bo tata wyszczotkował mi włosy. I ani razu nimi nie szarpnął!*

- *Cieszę się.*

- *Dzisiaj idziemy jeszcze do ogrodu zoologicznego. Pójdiesz z nami? Propozycja wyraźnie zaskoczyła Davida, podobnie jak Val.*

- *Wspaniały pomysł! Co ty na to?* - spytał, zanim kobieta zdążyła zareagować na słowa jego córki.

W pierwszej chwili bardzo zapragnęła skorzystać z zaproszenia, jednak zaraz się pohamowała. Czy warto wkraczać na ścieżkę, która wiedzie donikąd?

Zmusiła się do słabego uśmiechu i wydukała odpowiedź.

- *Wydaje mi się, że to randka tatusia i córeczki. Nie chciałabym wam przeszkadzać.*

Ujrawszy rozczarowaną minę Davida, Val przygotowała się, że ponowi propozycję i będzie musiała odmówić mu po raz drugi.

- *Zdziwiłem się, kiedy cię zobaczyłem w kościele.* -

Położył dłoń na jej ramieniu. - Ostatnio chyba mówiłaś, że tutaj nie przychodzisz.

Zrezygnował z zaproszenia. To dobrze.

Tylko... dlaczego poczuła takie rozczarowanie?

— Bo nie przychodzę. - A więc zmiana tematu. -Dzisiejszy dzień jest wyjątkiem.

- Twoja matka powiedziała mi, że byłaś w kościele również w zeszłym tygodniu.

Właściwie nic dziwnego. Jej powrót do kościoła stanowił dla Margaret wielkie wydarzenie, a David był uważnym słuchaczem w czasie zabiegów fizjoterapeutycznych. Cóż, w końcu Val była winna Bogu podziękowania za pomoc w podróży, jaką odbyła w ubiegłym tygodniu.

Poza tym... musiała przyznać, że w kościele czuła się mniej samotna niż zazwyczaj.

Nie udzieliła prostej odpowiedzi.

- Tym niemniej w ostatnią niedzielę wcale cię tu nie widziałam - powiedziała.

— Victoria miała anginę. Zdaje się, że złapała tego samego wirusa, który dopadł i ciebie. Obiecałem jej, że kiedy tylko wydobrzeje, pójdziemy do ogrodu zoologicznego. Oboje będziemy uradowani, jeżeli do nas dołączysz. A jeśli chodzi o randki tatusia z córką, mamy ich aż w nadmiarze. Nie poznaliśmy jeszcze wielu ludzi w okolicy, nie mamy przyjaciół i zapewniam cię, że oboje ucieszymy się z towarzystwa.

A więc, mimo wszystko, temat nie był zamknięty. Najwyraźniej David, chociaż wskazywał Victorię jako autorkę pomysłu, sam bardzo pragnął towarzystwa Val.

Czyż nie byłoby miło spędzić beztroski dzień z przystojnym mężczyzną i dziewczynką, która potrafiła zdobywać serca jednym słonecznym uśmiechem?

Val musiała się jednak oprzeć kuszącej propozycji. Taki niezobowiązujący spacer mógł prowadzić do romansu, a romans - do miłości. Miłość do małżeństwa, małżeństwo do rodzenia dzieci... Tymczasem ona, po tym, co zrobiła, na żadną z tych rzeczy nie zasługiwała!

*Po prostu powiedz nie, Val.*

Spróbowała, jednak słowa zastygły w jej ustach.

Jakby wyczuwając jej niezdecydowanie, David wytoczył jedyny argument, którego niemal nie sposób było odrzucić.

- Nie daj się prosić, Val. Będzie zabawnie. A ty trochę rozjaśnisz dzień małej dziewczynce.

Val zerknęła na Victorię, która miała na twarzy wyraz niewinnej nadziei, zarezerwowany dla bardzo małych istot. Nie było w nim żadnego udawania, żadnej tajemniczości, żadnej skrytości, powątpiewania czy żalu. Żadnych zmartwień, które dotyczyłyby jutrzejszego dnia, żadnych konsekwencji, które później należałoby ponieść. Była po prostu malutką dziewczynką bez mamy, podeksytowaną perspektywą spędzenia dnia w ogrodzie zoologicznym razem z tatą - i być może z miłą panią, która niedawno w parku razem z nią jadła ciasto czekoladowe z orzechami.

Determinacja Val, nakazująca jej nie korzystać z zaproszenia, zaczęła się rozpląwać. No bo jak mogła odmówić dziewczynce o tak pięknych, dużych, zielonych oczach? Zresztą żadne związki nie zacieśniają się przecież w ciągu jednego dnia. Chodziło tylko o miłe popołudnie, które wkrótce wszyscy troje i tak wymażą z pamięci.

Podkreślając kapitulację ciężkim westchnieniem, Val zaprzestała walki.

— Wygrałeś.

Uśmiech, który posłał jej David, ocieplił jego spojrzenie i sprawił, że serce Val zaczęło mięknąć.

- Czy ona idzie z nami, tato?

- Myślę, że idzie.

- Jak wspaniale! - Dziewczynka kilkakrotnie podskoczyła i zaklaskała małutkimi rączkami. - Zjemy też lody w wafelkach?

- To się chyba da załatwić. - David uściśnął ramię Victorii i znowu popatrzył na Val. - Przyjedziemy więc do ciebie około pierwszej, dobrze?

- Doskonale. — Val zajrzała do torebki, szukając kartki papieru. - Napiszę ci adres mamy...

- West Madison numer sześćset czterdzieści siedem. - Dłoń Val zastygła, a David uśmiechnął się szeroko. - Adres widnieje w jej karcie leczenia, a ja mam dobrą pamięć do liczb. Ale jako nowy człowiek w tym mieście, skorzystałbym z kilku wskazówek, jak tam dojechać.

W niecałe dwie minuty Val wyjaśniła mu, jak ma znaleźć dom Margaret. Kiedy odjechał, pomachawszy jej jeszcze na koniec i krzyknąwszy „Do zobaczenia o pierwszej!”, odwróciła się i zobaczyła, że Karen obserwuje ją z zadowolonym wyrazem twarzy.

- To nie jest tak, jak myślisz. - Mimo ciężkiego wysiłku, Val nie była w stanie powstrzymać zaczerwienienia na twarzy. Zaprzeczało jej słowom.

- Na pewno?

- Na pewno. Po prostu idziemy do zoo. To Victoria mnie poprosiła.

- A ja odniosłam wrażenie, że zaproszenie szczególnie spodobało się jej ojcu.

- Oboje dopiero niedawno zamieszkali w tym mieście. Nie znają tu wielu ludzi.

- Inaczej mówiąc, twoja decyzja, żeby iść z nimi na spacer, była aktem miłosierdzia?

- Czymś w tym rodzaju.

- Bardzo miło z twojej strony. - Karen mrugnęła okiem i dała siostrze lekkiego kuksańca. - Ale ja obserwowałam wasze twarze: twoją i jego. Możesz to nazywać, jak chcesz, ale potrafię dostrzec, kiedy dwoje ludzi umawia się na randkę...

- Karen! Val! Jestem gotowa do drogi!

Głos ich matki niespodziewanie wstrząsnął spokojnym powietrzem niedzielnego poranka przed kościołem i Karen zachichotała.

- Masz szczęście. Uratowało cię bicie dzwonu, a właściwie zwykły wrzask. Chodź, później o wszystkim porozmawiamy.

Lepiej nie, pomyślała Val. Nie chciała rozmawiać o swoich uczuciach wobec Davida.

I już teraz zaczynała dochodzić do przekonania, że przyjęcie zaproszenia do ogrodu zoologicznego było z jej strony wielkim błędem.

Na dźwięk dzwonka przy drzwiach Karen naburmuszyła się. Wspaniale. Wczoraj spędziła dwie godziny z i tak już szczegółowo zaplanowanej soboty na spotkaniu z wielebnym Richardsem, omawiając przygotowania do imprezy dobroczynnej na rzecz Domu Nadziei. Teraz z kolei niedzielne popołudnie zakłócał jakiś niespodziewany gość -a ona przecież musiała załadować kolejną pralkę ubrań Margaret, na które ta ostatnia niecierpliwie czekała.

Rzuciła brudne rzeczy na kuchenny stół i poszła do holu. Ktokolwiek stał za drzwiami, musiał się liczyć z tym, że jego wizyta u Karen nie potrwa zbyt długo.

Wysłuchiwanie narzekań matki, że nie dostarczyła jej wypranych i wyprasowanych rzeczy na czas, nie mogło dzisiaj wchodzić w grę.

Stanąwszy przed drzwiami, poprawiła ręką fryzurę, wyjrzała przez judasza i zmarszczyła czoło.

Na Boga, co tutaj robił Michael?

Potrząsnęła głową i odciągnęła zasuwę. Jeżeli szukał Kristen, to nie miał szczęścia. Teraz, gdy była wreszcie bardziej mobilna, jej życie towarzyskie znowu nabrało rumieńców.

Otworzyła drzwi i natychmiast przekazała mu złe wiadomości.

- Przykro mi, Michael. Kristen już wczoraj wyszła na całą noc, a dzisiaj, z tego co wiem, zostanie jeszcze ze znajomymi na ognisku. Wróci do domu dopiero późnym wieczorem.

Ku jej zaskoczeniu, te słowa nie zbiły jej byłego męża z tropu.

- Cóż, wiedziałem, że trochę ryzykuję, ale akurat wybrałem się na przejażdżkę i pomyślałem, że jeśli Kristen będzie w domu, zabiorę ją do Pana Franka.

- Powiem jej, że byłeś. - Karen zaczęła zamykać drzwi.

Wyciągnął rękę, powstrzymując ją.

- A może poczęstowałaabyś mnie filiżanką kawy, co? Karen zmrużyła oczy. Niby od kiedy odbywali towarzyskie rozmowy w czasie jego wizyt?

- Kawy?

Posłał jej słaby uśmiech i wsunął dłonie do kieszeni wyprasowanych na kancik spodni.

- Tak. Rozumiesz, chodzi o ten czarny płyn, pełen kofeiny. Czasami pijaliśmy go razem, zazwyczaj do śniadania.



Co za dziwactwo. Michael najwyraźniej sobie z niej kpił. Jakiż inny miałby powód, żeby teraz przypominać intymny poranny rytuał, który dzielili wyłącznie na początku małżeństwa?

Ponieważ długo nie odpowiadała, wyciągnął jedną rękę z kieszeni i przeczesał palcami włosy. Jego dłoń lekko drżała. Karen oderwała od niej wzrok i skupiła się na twarzy. Drobne zmarszczki na policzkach Michaela i pobladła cera też były czymś nowym.

- Źle się czujesz? - zapytała.

- Właściwie niezbyt dobrze. Chciałem ci o wszystkim opowiedzieć przy kawie.

Karen zawahała się. Nie miała czasu na takie rozmowy... Jednak Michael jechał do niej dość daleko. *Nie bądź naiwna, kobieto.* Właśnie.

Otworzyła usta, jednak Michael odezwał się pierwszy.

- Proszę.

Zamknęła usta. O kurczę. Mogłaby policzyć na palcach jednej ręki sytuacje, w których Michael użył tego słowa, kiedy byli małżeństwem.

Doskonale. Posłucha go, byle nie za długo.

Otworzyła szeroko drzwi i wymownie popatrzyła na zegarek.

- Mam tylko kilka minut.

- Docenię każdą z nich.

Michael minął Karen i skierował się do kuchni.

Karen poszła za nim. Przesunęła pranie na stole, żeby zrobić na nim dość miejsca na dwie filiżanki. Michael sam zaczął przygotowywać kawę, znowu ją zaskakując; kiedy mieszkali razem jako mąż i żona, tę czynność zawsze pozostawiał dla niej.

Złożyła ręce na piersiach i obserwowała go. Po chwili Michael posłał jej skruszone spojrzenie.

- Przez ostatnich kilka miesięcy wiele się nauczyłem - powiedział.

*Chcesz przez to powiedzieć, że twoja nowa pani, w przeciwieństwie do mnie, nie służy ci jak niewolnica?*

Zacisnąwszy usta, Karen pozostawiła tę myśl dla siebie. Wyciągnęła za to z szafki dwie filiżanki i śmietankę, po czym usiadła przy stole. Kiedy kawa zaczęła płynąć w kawiarence, Michael także usiadł.

Po kilkunastu sekundach ciszy Karen zaczęła się niecierpliwić. Ciekawe, jak trudno będzie mu wydusić z siebie, że sprawy pomiędzy nim a Stephanie wcale nie układają się najlepiej? Na pewno właśnie o to mu chodziło. Nie miała zielonego pojęcia, na jakiej podstawie Michael sądził, że w jakikolwiek sposób obejdzie to Karen.

Chcąc przerwać ciszę, odpowiedziała mu temat, którego - wszystko na to wskazywało - sam nie potrafił rozpocząć.

- Jak się ma twój związek ze Stephanie? Michael przez chwilę bawił się pustą filiżanką.

- Niezbyt dobrze.

Jeżeli spodziewał się wyrazów współczucia, to źle trafił. Jej miłosierdzie tak daleko nie sięgało.

Ponieważ cisza znowu nieprzyjemnie się przeciągała, Michael odchrząknął.

- Chociaż przyznaję to bardzo niechętnie, nasz związek był pomyłką od samego początku - powiedział. - Za bardzo się od siebie różniliśmy. - Otarł dłonią twarz. - Żeby długo nie mówić: rozstaliśmy się jakieś trzy tygodnie temu. Stephanie spotyka się już z kimś innym, młodszym ode mnie.

A więc Michael został porzucony dla kogoś młodszego. Ha! Zatem istniała jednak jakaś sprawiedliwość! Karen z trudem ukryła swoje zadowolenie.

- Rzecz w tym, że nigdy nie powinienem był od ciebie odchodzić - kontynuował, wpatrując się w naczynie. - Nie wiem, dlaczego chciałem zmienić swoje życie. Jakich nowości w nim szukałem? Może właśnie to należy nazywać kryzysem wieku średniego? Jakakolwiek była moja motywacja, popełniłem błąd.

Karen wpatrywała się teraz w niego, a w jej głowie zaczęły kiełkować podejrzenia. Przecież po tym wszystkim, co się stało, Michael nie mógłby tak po prostu sugerować, że chce wrócić!

Czyżby?

Lekko przechyliła głowę i posłała mu ostrożne spojrzenie.

- Mam jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia, a ta rozmowa raczej nie ma sensu.

Michael pochylił się i popatrzył uważnie na Karen.

- A może ma? Dawniej dobrze nam było ze sobą. Moglibyśmy spróbować jeszcze raz?

Niewiarygodne.

W arogancki - jak zwykle! - sposób zamierzał wrócić tanecznym krokiem do jej życia, tak jakby nic się nie stało, i znowu tańczyć z nią w rytm takiej muzyki, jaką sam będzie chciał grać.

Tyle że melodia już dawno się zmieniła.

- To się nie uda, Michael.

- Posłuchaj, wiem, że popełniłem wiele błędów. Ale to ty zawsze mówiłaś o wybaczeniu, skrusze i nadstawianiu drugiego policzka. Masz teraz doskonałą okazję, żeby sprawdzić, jak to działa. Naprawdę strasznie cię przepraszam, Karen! Moglibyśmy wszystko ponaprawiać, jeżeli

tylko byśmy się porządnie do tego przyłożyli. Dlaczego nie mamy dać sobie drugiej szansy?

Karen mocniej zacisnęła dłoń na swojej filizance.

- Cieszę się, że jest ci przykro z powodu przeszłości, ale prawda jest taka, że to, jak wyglądał nasz związek, odpowiadało jedynie tobie. Gotowałam dla ciebie, prałam ci, nosiłam twoje ubrania do czyszczenia. W tym związku nie było nawet cienia partnerstwa! Byłeś „wodzirejem”, podejmowałeś wszystkie decyzje, a ja im ulegałam. To był mój błąd. Zapłaciłam za niego po twoim odejściu: musiałam ułożyć sobie na nowo całe życie, a przede wszystkim przetrwać te pierwsze, najtrudniejsze chwile. No i co? Wygrałam, udało mi się. Teraz, możesz mi uwierzyć albo nie, ale lubię moje nowe życie. Nauczyłam się zdecydowanie stąpać po ziemi i twardo walczyć o własne sprawy. Nie potrzebuję niczego, co ty mógłbyś i chciałbyś mi obecnie zaoferować.

Wyraz niedowierzania pojawił się na twarzy Michaela; jakby przyszło mu do głowy, że ktoś obcy zarządzał w tej chwili ciałem i mową Karen.

- Karen, którą znam, nigdy w taki sposób do mnie nie mówiła.

- Powinieneś był mi uwierzyć na słowo. Zmieniłam się.

- Nie wierzysz już w przysięgę „dopóki śmierć nas nie rozłączy”?

- Wierzę w nią, ale tylko wtedy, gdy obie strony wypowiadają ją z identycznymi intencjami. Przysięga nie oznacza, że mam obowiązek tkwić w niezdrowym związku. Albo znosić niewierność.

Michael poczerwieniał na twarzy.

- Przeprosiłem cię za to.

- A ja odparłam, że się z tego cieszę. Przypuszczam, że mogłabym ci wybaczyć jedną przygodę pozamałżeńską, owszem. Ale skąd miałabym wiedzieć, że nie będzie ich więcej? Albo że nie było ich już wcześniej?

Te ostatnie słowa wypowiedziała raczej bezmyślnie, ale gdy czerwień na jego twarzy przerodziła się w purpurę, zalała ją fala niedowierzania.

- Bo były inne, prawda? - zawołała.

- Posłuchaj, przecież jestem tylko człowiekiem. -Do głosu Michaela wkradło się zdenerwowanie. - Kilka razy rzeczywiście zainteresowałem się innymi kobietami. To się zdarza. Tacy są mężczyźni.

A więc Stephanie nie była pierwsza, coś takiego! Michael zbłądził zatem więcej niż raz.

Val miała rację. Jego słowa „tacy są mężczyźni” mówiły właściwie wszystko. Michael ożenił się z nią, nie mając najmniejszego zamiaru dochowywać przysięgi wierności.

Ich małżeństwo od samego początku było szopką.

A jeśli chodzi o jego przekonanie, że zachowywał się jak każdy normalny mężczyzna - nie miała najmniejszego zamiaru tego kupować. Nie wszyscy mężczyźni bywali niewierni. Wielu miało honor i postępowało uczciwie. Byli prawdomówni i rzetelni. Może i popełniali błędy, ale nie łamali obietnic. I słów przysięgi.

Z jakiegoś powodu oczyma wyobraźni zobaczyła Scotta. Właściwie go nie знаła, a jednak była pewna, że zawsze mogłaby liczyć na dane przez niego słowo. Chociażby na podstawie tego, w jaki sposób wybrnął z nieprzyjemnej sytuacji, którą wywołał w chórze. Wiedziała, że coś podobnego nigdy w przyszłości już mu się nie przydarzy.

- Poznałaś kogoś, prawda?

Słowa Michaela przywołały Karen do rzeczywistości. Były mąż miał czelność przybrać minę pokrzywdzonego, jakby to jemu działo się teraz coś złego.

- W reakcji na twoją Stephanie i Bóg wie jakie inne kochanki? Nie, Michael, nikogo nie poznałam, z nikim się nie spotykam. Ale to nie znaczy, że mam zamiar wrócić do tego, co było dawniej.

— Teraz mogłoby być inaczej.

- Nic z tego.

— Może jednak zechcesz spróbować chociażby dla Kristen? Przecież ona bardzo chce, żebyśmy znowu byli razem.

Michael jak nikt inny potrafił uderzać w jej czuły punkt.

Karen wiedziała jednak coś, o czym Michael nie miał pojęcia. Nawet Kristen już na nim niespecjalnie zależało. Ich córka rozumiała i wiedziała znacznie więcej o robakach, jakie toczyły ich małżeństwo, niż oboje dotąd podejrzewali. Opierając się na rozmowie, którą odbyła niedawno ze swoją córką przy tym samym stole -także na jej słowach, że Michael był lepszym ojcem niż mężem - Karen rozumiała już, że chociaż Kristen miała nadzieję na ponowne zejście się rodziców, przede wszystkim pragnęła, żeby jej matka była szczęśliwa.

Sztuczka Michaela nie mogła więc zadziałać. Już nigdy.

Karen potrząsnęła głową.

— Nie. To już koniec.

Przez kilka sekund były mąż spoglądał na nią badawczym wzrokiem. Później opadły mu ramiona, jakby się przygarbił. Oparł dłonie na stole i wstał.

- Cóż, chyba nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.
- Chyba nie.
- Powiedz Kristen, że tu byłem, dobrze?
- Nie ma sprawy.
- Sam znajdę drogę do drzwi.

Wyszedł z kuchni, a Karen nawet się nie poruszyła. Usłyszała, jak drzwi frontowe się otwierają, a potem zatrząskują. Dopiero po kilku minutach ożył silnik samochodu. Nasłuchiwała jeszcze, jak auto oddala się, po czym oderwała dłonie od naczynia. Nie wypili kawy. Jej filiżanka wciąż była pusta.

Ale jej życie z całą pewnością puste nie było i zapewne już nigdy nie będzie. W końcu przejęła kontrolę nad swoją przyszłością. Zaczęła ufać swoim własnym osądom. Zdecydowanie bronić tego, w co wierzyła. Nawet uchyliła lekko drzwi miłości.

Czuła się z tym wspaniale.

- Chyba masz nową przyjaciółkę - westchnął David. Val polizała rożek lodowy i odwróciła się na ławce,

aby popatrzeć, jak Victoria przygląda się małym psom preriowym.

- Jest urocza. I ma szczęście, że jej ojciec urządza takie spacery. Wielu mężczyzn stawia rodziny na drugim miejscu, przede wszystkim zajmując się karierą. To bardzo źle, nie sądzisz?

Ponieważ jej towarzysz przez dłuższą chwilę nie odpowiadał, Val zerknęła na niego. Marszczył czoło, zamyślony.

- W naszej rodzinie mieliśmy zgoła odmienną sytuację: to Natalie była mocno zorientowana na karierę.

Jego słowa dały Val doskonałą sposobność do zapytania o żonę.

- Co takiego robiła?

- Zajmowała się marketingiem w firmie, która sprzedawała swoje wyroby na całym świecie. Ponieważ ja mogłem elastycznie układać sobie czas pracy i nie musiałem podróżować ani brać nadgodzin, wykonywałem większość czynności rodzicielskich związanych z małym dzieckiem. Lubiłem to. Zawsze byłem przekonany, że wychowywanie jest najważniejszym zajęciem na świecie.

Tej opinii najwyraźniej nie podzielała jego żona. Choć David nie powiedział o Natalie nic negatywnego, Val wyczuła, że ich różne filozofie w kwestii wychowywania Victorii stały się źródłem jego rozczarowania... i zapewne przyczyną wielu sporów pomiędzy małżonkami.



- Twoja żona była chyba naprawdę bardzo zajęta... i wiele czasu przebywała poza domem - odezwała się Val tonem, który miał zabrzmieć jak najbardziej zdawkowo i neutralnie.

Za nic w świecie nie zamierzała okazać wścibstwa.

- Tak właśnie było - potwierdził David. - Rodzinę założyliśmy z opóźnieniem, jeszcze później zdecydowaliśmy się na dziecko, bo długo mieliśmy nadzieję, że jej ścieżka zawodowa w końcu się wyklaruje i będzie mogła trochę zwolnić... Ale stało się zupełnie inaczej. W miarę, jak obejmowała nowe, wyższe stanowiska, miała więcej obowiązków, jej życie nabierało jeszcze intensywniejszego tempa i nerwowości. Praktycznie nie miała chwili spokoju, żeby zajmować się dzieckiem. Nawet zaraz po porodzie. Machnąłem na to ręką i pozwoliłem Natalie pójść do pracy cztery tygodnie po narodzinach Victorii.

Popatrzył na resztki swojego loda. Biały krem opadł niemal na samo dno wafelkowego rożka. Mocno obłożył rożek serwetką i ujął go od spodu.

- Natalie zawsze wymagała od siebie bardzo wiele. Często jej powtarzałem, że powinna zwolnić, cieszyć się zapachem kwiatów, bo przecież życie jest bardzo krótkie i należy się nim nacieszyć. Jednak ani ona, ani ja, nie mieliśmy pojęcia, jak krótkie okaże się ono dla Natalie...

Val zmięła w dłoni serwetkę, w którą owinięty był jej własny rożek z lodami.

- Czy to był wypadek? - zapytała.

- Nie. Nie w takim sensie, jaki masz na myśli. Kiedy braliśmy ślub, Natalie znajdowała się na granicy choroby cukrzycowej, a po urodzeniu Victorii jej stan się pogorszył. Doszło do tego, że musiała sprawdzać poziom cukru we krwi kilka razy dziennie i w miarę koniecz-

ności podawać sobie zastrzyki. Dwa lata temu, w czasie lotu międzykontynentalnego, poziom cukru w jej krwi zaczął szaleć. Prawdopodobnie związane to było ze zmianą czasu... Zapomniała w porę zbadać krew, pogubiła się w porach dnia... Już nigdy się tego nie dowiemy. W połowie drogi nad Pacyfikiem wpadła w szok cukrzycowy. Na pokładzie samolotu był lekarz i ratował ją, jak mógł w tych okolicznościach, ale kiedy doszło do zatrzymania akcji serca... - David nagle ochryplł i zamilkł. Głośno przełknął ślinę.

- Przykro mi. - Idąc za głosem serca, Val położyła rękę na dłoni Davida. Jednocześnie zerknęła ku Victo-rii. - Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jakie to było trudne dla was obojga.

— Tak... - odparł David, wciąż ochryplym głosem. Po chwili odchrząknął. - Teraz to wiara podtrzymuje mnie na duchu. Ale Victoria była zbyt mała, żeby znaleźć w niej pocieszenie, chyba nawet trudno jej było pojąć, co się wydarzyło. Dzieci potrafią jednak wyczuć, kiedy dzieje się coś złego, dlatego przez kilka dni po śmierci Natalie nie potrafiłem jej zmusić do zjedzenia więcej niż kilku kęsów. Przez wiele tygodni budziła się w nocy i płakała. Miała jednak tylko trzy latka, a dzieci w tym wieku szybko dochodzą do równowagi. Trauma blednie... razem ze wszystkim innym, niestety. Victoria w ogóle nie pamięta matki. Bywa, że pokazuję jej fotografie i opowiadam o Natalie, ale dla niej są to tylko historyjki, które mają z rzeczywistością tyle wspólnego, co wszystkie bajki. Victoria świadoma jest jedynie tego, że w przeciwieństwie do swoich koleżanek, nie ma mamusi.

David popatrzył na dłoń Val, spoczywającą na jego własnej. Szybko ją cofnęła, udając, że musi sprawdzić coś w torebce.

- Wiesz co? Chyba winien ci jestem przeprosiny -powiedział, obracając się w jej kierunku.

- Dlaczego?

- Obiecałem ci wesoły dzień, a tylko wprowadziłem cię w przygnębienie.

- Wcale nie jestem przygnębiona. Po prostu... Współczuję ci tylko wszystkiego, co przeszedłeś.

- To prawie to samo. Zmieńmy temat. Opowiedz mi coś o sobie.

Jeżeli David myślał, że tym pytaniem poprawi Val nastrój, był w wielkim błędzie.

- Moja osoba to nudny temat - odpowiedziała lekkim tonem, mimo że nagle zrobiło się jej na sercu bardzo ciężko.

- Według twojej matki jest wręcz przeciwnie. Bezustannie mi cię wychwala.

- Wychwala? Moja mama? - Val popatrzyła na Davida sceptycznie. - Chyba żartujesz, co?

Uniósł rękę jak do przysięgi.

- Słowo harcerza. Usłyszałem już mnóstwo pochlebnych opowieści o tobie i o twojej siostrze.

- Jesteś pewien, że mówimy o tej samej Margaret Montgomery? Kiedy Karen i ja dorastałyśmy, jedynie nas krytykowała. Obie czułyśmy się, jakbyśmy wszystko robiły źle, i obu się nam zdawało, że matka faworyzuje tę drugą.

- Interesujące. - David wytarł chusteczką wargę z lepkiej plamki po lodzie.

Miał ładne usta.

- Margaret jest bardzo pewna siebie. - David położył rękę na oparciu ławki. Jego dłoń znalazła się w odległości kilku cali od ramienia Val. - I zauważyłem, że potrafi być niezłą manipulantką. Nie słyszałem jednak

od niej wielu narzekań na wasz temat. Jej niezadowolenie dotyczyło tylko jedzenia. Ale nawet uwagi na jego temat prawie się skończyły, kiedy zacząłem prawić jej komplementy z racji utraty wagi. Czy wasz ojciec był równie krytyczny wobec ciebie i Karen?

- Nie. - Val oderwała spojrzenie od jego ust. — Był czuły i zawsze nas wspierał. Przy nim czułyśmy się nadzwyczajnie! Jego bezwarunkowe oddanie kompensowało nam braki miłości rodzicielskiej ze strony mamy. Przysięgłam sobie nawet, że jeśli kiedyś będę miała dzieci, będę go naśladować najlepiej, jak tylko się da...

- Ale co się stało?

Val lekko przechyliła głowę.

- Co masz na myśli?

- O ile mi wiadomo, nigdy nie wyszłaś za mąż ani nie masz dzieci.

W końcu musiał o to zapytać. Popatrzyła na swoje paznokcie i z jednego z nich starła lepką plamkę.

- Cały czas jestem zbyt zajęta i na jedno, i na drugie.

- Absurd. Widzę, jak świetnie rozumiesz się z Victorią i jakim ona darzy cię zaufaniem. Byłabyś świetną mamą.

Przywołując wszystkie swoje umiejętności aktorskie, Val zdołała nie zabarwić swojego głosu żadną emocją.

- Macierzyństwo nie jest dla mnie.

- Dlaczego nie?

- Przypadkiem zgadzam się z tym, co mówiłaś wcześniej na temat uwagi, jaką należy poświęcać małemu dziecku. Jego wychowywanie to zajęcie na pełen etat, a ja zbyt jestem przywiązana do mojej pracy, żeby z niej zrezygnować.

- Nie zamierzałem dowodzić, że kobieta, która pra-

gnie mieć rodzinę, nieodwołalnie musi poświęcić karierę. Uważam, że istnieją sposoby, żeby te kwestie łączyć. Kluczem jest ustalenie perspektyw i priorytetów.

- Znalezienie w tym wszystkim równowagi jest wielkim wyzwaniem. Ja wolę nie próbować. - Val wrzuciła brudną serwetkę do kosza na śmieci, który stał przy ławce, i posłała Davidowi bardzo szeroki, ale raczej sztuczny uśmiech. - Powiedz mi, co od przeprowadzki do Waszyngtonu robisz w swoim wolnym czasie.

Jeśli nagle zmiana tematu sprawiła go w zakłopotanie, nie dał tego po sobie poznać.

- Na razie jedynie sprzątam i zarządzam dom, no i pomagam Victorii w zaaklimatyzowaniu się, myślę jednak, że wkrótce zacznę też poważną działalność w kościele.

- Jaką działalność? - To powinien być bezpieczny temat; w końcu Val nie miała z kościołem żadnych powiązań.

- Zamierzamy sponsorować imprezę charytatywną na rzecz Domu Nadziei. Zdaje się, że całe przedsięwzięcie koordynuje twoja siostra. Może wiesz coś więcej na ten temat?

I to by było na tyle, jeśli chodzi o bezpieczne tematy.

- Karen coś mi wspominała.

- Zdaje się, że to działalność w dobrej sprawie. Nie wyobrażam sobie niczego bardziej godnego wspierania niż życie niewinnych dzieciątek. Ruch dla życia zawsze był bliski mojemu sercu.

Val poczuła się, jak dno odpadło od jej żołądka.

- Obawiam się jednak, że niewiele mogę wnieść do tegorocznej imprezy dobroczynnej. O moim talencie artystycznym lepiej nie wspominać. - David posłał jej przepaszający uśmiech. - Na przedstawieniach w col-

lege'u obsługiwałem jednak oświetlenie i dźwięk; ta praca za kulisami bardzo mi się podobała. Pomyślałem, że mógłbym zaoferować Karen pomoc mniej więcej w takim charakterze.

- Jestem pewna, że twoje doświadczenie się przyda. - Val bawiła się paskiem przy torebce. - Co to ja chciałam... Ach. Karen poprosiła mnie, żebym była konferansjerką podczas tej imprezy.

- No proszę! Też tam będziesz?

- Nie wiem. Powiedziałam Karen, że rozważę jej propozycję.

- Przecież to wspaniały pomysł! Z twoim doświadczeniem. .. Na pewno wniesiesz do tego wydarzenia coś naprawdę specjalnego.

Val unikała jego spojrzenia pod pretekstem, że obserwuje Victorię. Tak, rzeczywiście mogła wnieść do imprezy coś specjalnego. Lecz coś zupełnie innego, niż miał na myśli David.

Całkowicie odmiennego.

W chwili, gdy wesoły śmiech dziewczynki przenikał jej umysł - przypominając Val o wszystkim, czego nie mogła już mieć - jeszcze bardziej żałowała, że poddała się pokusie i przyjęła zaproszenie Davida do spędzenia popołudnia w towarzystwie ojca i córki.

- W zoo było dzisiaj bardzo fajnie, tatusiu. David właśnie ułożył Victorię do snu, po czym pocałował ją w czoło.

- Cieszę się, kochanie.

- Ty też się dobrze bawiłeś?

Nie tak dobrze, jak by chciał. Zdołał jednak się uśmiechnąć.

- Trudno jest nie bawić się dobrze w zoo.

- Tak. — Victoria przytuliła się do swojej lalki, pluszowej Anny. —  
Myślisz, że Val też było wesoło?

Nie bardzo. Wyraźnie zmarkotniała po krótkiej rozmowie na ławce. Właściwie to oboje zmarkotnieli niemal w tym samym czasie. Davidowi rozmowa o Natalie przypomniawsza o wszystkim, co utracił... i o tym, jak bardzo Victoria potrzebuje mamy. Ta myśl nie wywoływała w nim wielkiego entuzjazmu, aż do dnia, w którym w jego życie wkroczyła właśnie Val. Ale jej dzisiejsze słowa, że kariera jest najważniejsza... to były złe wieści. Cóż, sam je wywołał, rozpytuując Val o jej życie.

Dlaczego tak gwałtownie zmienił jej się nastrój? Nie miał najmniejszego pojęcia.

- Tatusiu? - Victoria pociągnęła go za rękaw.

- Myślę, że Val bardzo dobrze się bawiła, kiedy razem wyśmiewałyście się z tej durnej małpy, która próbowała nas przedrzeźniać.

Victoria zachichotała.

- To było bardzo zabawne. I podobała mi się przejażdżka karuzelą, razem z Val. - Nagle dziewczynka spoważniała. - Jak myślisz, będziemy mogli jeszcze gdzieś razem pójść?

To było trudne pytanie.

- Nie wiem. Val pozostanie w mieście jeszcze tylko kilka tygodni. Pamiętaj, że ona mieszka w Chicago.

- Czy to jest bardzo daleko?

- Dość daleko. Żeby tam dotrzeć, trzeba jechać przez całe popołudnie.

Victoria posmutniała.

- To niedobrze. Val naprawdę jest bardzo miła... Rzeczywiście. Na tyle miła, że sam chciałby spędzić

z nią jeszcze kilka popołudni. Jedna albo dwie wspólne wycieczki nie przywiązałyby Victorii zanadto do tej kobiety, a przecież on sam również bardzo polubił jej towarzystwo.

Aż do rozmowy na ławeczce był pewien, że Val przyjmie kolejne zaproszenie. Mogła sobie być aktorką, ale przecież jej uśmiechy były szczerze, no i strasznie polubiła Victorię. Widać to było choćby wtedy, gdy od czasu do czasu głaskała dziewczynkę po głowie, poprawiając jej jasne włosy, zmierzwione przez wiatr.

Ale po tej krótkiej rozmowie nagle spoważniała, ucichła. Ich pożegnanie było grzeczne... i nic więcej.

David pochylił się nad Victorią i jeszcze raz ją pocałował.

- Na świecie jest mnóstwo miłych ludzi. Spotkamy ich jeszcze wielu.

- Ale na pewno nikt nie będzie tak miły, jak Val. Bez wątpienia.

Wstał, podszedł do drzwi i przystanął jeszcze przy włączniku światła.

- Dobranoc.

- Branoc, tatusiu. - Victoria wsunęła się głębiej pod kołdrę i zamknęła oczy.

David wyłączył światło w pokoju i poszedł do kuchni. Zastanawiał się, co teraz robić. Może rozpakuje kilka kolejnych kartonów? Albo naprawi tę szufladę w spiżarni, która wciąż się nie domykała? Albo założy wreszcie wentylator sufitowy, który kurierzy przywieźli kilka dni temu? Lista obowiązków domowych wydawała się nie mieć końca.

Wreszcie jednak tylko wziął z lodówki puszkę wody



sodowej i poszedł na werandę, żeby pomyśleć jeszcze o Val.

Wiele już o niej wiedział, ale kiedy układał tę wiedzę w myślach, poszczególne fakty zupełnie do siebie nie pasowały.

Usiadł na krześle i zaczął sobie przypominać wszystkie informacje, jakie miał na temat Val. Nie najlepiej rozumiała się z matką. W młodym wieku wyjechała uczyć się w college'u i już nie wróciła do domu. Była singielką i twierdziła, że takie życie doskonale jej odpowiada. Twierdziła także, że nie chce mieć dzieci.

Jednak co innego mówiły jej oczy, kiedy patrzyła na Victorię. Widać w nich było tęsknotę. Czułość. I uczucie, które David skłonny był oceniać jako żal. Tak jakby to, czego Val pragnęła najbardziej w życiu, znajdowało się już poza jej zasięgiem.

Upił łyk wody i skrzyżował przed sobą nogi w kostkach. To wszystko nie miało sensu. Val była młodą kobietą, atrakcyjną, inteligentną i pełną różnych uczuć. Mogła mieć dziesiątki mężczyzn! I była na tyle zaradna, że z pewnością potrafiłaby połączyć pracę zawodową z małżeństwem i macierzyństwem.

Dlaczego zrezygnowała z posiadania rodziny? Czy powstrzymywały ją przed tym jakieś doświadczenia z przeszłości?

Być może...

Przy dzisiejszym pożegnaniu usłyszał w jej słowach znacznie więcej, niż chciała powiedzieć. Wyczuł, że chociaż ich ścieżki znowu się skrzyżują w centrum rehabilitacyjnym, Val zamknęła przed nim drzwi i postawiła znak „Zakaz przejścia”.

Znów przytknął do ust puszkę z wodą. Może powinien być jej wdzięczny, że się wycofała? Przecież nie

potrzebował kolejnego skomplikowanego związku, a Val była osobą niezwykle skomplikowaną. Sekrety, jakie w sobie kryła, wydarzenia z przeszłości, z którymi się zmagala, mogły stać się źródłem problemów dla nich obojga. David powinien się zachować rozsądnie. Należało to letnie spotkanie sklasyfikować jako krótkie i przypadkowe, chociaż miłe, i żyć dalej, jakby nic się nie stało.

Cieężko westchnął, wstał i zdusił w ręce pustą puszkę po wodzie. Tak, ten plan brzmiał dobrze. Logicznie. Poprawnie.

Jednak jego serce i umysł go nie przyjmowały. I nie miał pojęcia, co w nim zwycięży - rozsadek? A może jednak uczucie?

— Hmm... dobrze. Myślę, że wykonujecie to już niemal poprawnie. Te dwa utwory powinny być ozdobą wieczoru dobroczynnego, i to dzięki waszej ciężkiej pracy. Do zobaczenia w niedzielę!

Scott zakończył próbę i zebrał swoje nuty, po czym spojrzał na Karen. Rozmawiała akurat z Teresą Ramirez. Nie zamierzał puścić jej do domu, dopóki nie podzieli się z nią pomysłem, który chodził mu po głowie, odkąd zorientował się, że Karen śpiewa pięknym sopranem lirycznym.

Nie spodziewał się, że czeka go łatwe zadanie. Obserwował ją, jak stara się współpracować z resztą chóru i nie wyróżniać swoim głosem. Po spotkaniu z jej wiecznie niezadowoloną matką i piękną, przebojową siostrą, już lepiej rozumiał, dlaczego Karen nie ufa swojemu talentowi wokalnemu. Zapewne w wielu innych kwestiach brakowało jej pewności siebie.

Ten kompleks niższości był jednak zupełnie nieuzasadniony.

Kiedy Teresa wyszła z kościoła, Karen zaczęła wkładać nuty do swojej torby na zakupy. Nadeszła jego chwila.

Szybko podszedł do niej z najlepszym uśmiechem, na jaki potrafił się zdobyć.

— Mogłabyś porozmawiać ze mną o nadchodzącej imprezie? - zapytał.

Gwałtownie uniosła głowę i posłała mu zaskoczone spojrzenie.

— Jasne.

Miała cudownie piękne, brązowe oczy. Takie łagodne, ciepłe... zapraszające. I miękkie, wydatne usta.

*Spokojnie, Walker, opanuj się. Tutaj nie chodzi o twoje uczucia, ale o to, żeby ta kobieta odzyskała trochę pewności siebie.*

Scott przełknął ślinę i usiadł obok Karen.

- Zacząłem pracę ze Stevenem Ramseyem. Ćwiczymy na pianinie. Któregoś wieczoru, kiedy przyszedłem do kościoła, on akurat tu był. Powiedział, że bardzo się interesuje muzyką. Mieliśmy zaledwie kilka lekcji, ale i tak nie mam wątpliwości, że Steven dysponuje wielkim talentem. Jak sądzisz, moglibyśmy włączyć jego występ do programu? Podniosłoby to jego samoocenę, no i pewnie zyskałby impuls do dalszej pracy. Uważam, że w tej chwili jest już gotowy, żeby zagrać ze dwa w miarę proste utwory.

Karen uniosła brwi w zdziwieniu.

- Udzielasz Stevenowi lekcji gry na pianinie?

- To żadna wielka sprawa. Mam aż za dużo wolnego czasu.

- Oczywiście, że włączymy jego występ do programu! Skoro odkryłeś sposób, żeby mógł odzyskać sens życia, oddałeś ogromną przysługę Stevenowi i jego rodzinie. To wielki gest z twojej strony.

Scott poczuł, jak ciepło rozlewa mu się po karku.

- Korzystają obie strony... Ale nie tylko o tym chciałem z tobą porozmawiać. Zauważyłaś, że jeden z utworów, nad którymi pracujemy na wieczór dobroczynny, ma solowy fragment dla sopranu?

- Tak. Dokładnie ten. - Karen wzięła do ręki kartę z nutami. - Ale przecież ominęliśmy ten fragment!

- Chciałbym jednak, żebyś to ty go zaśpiewała. Przez dłuższą chwilę Karen wpatrywała się w Scotta w zupełnej ciszy.

- Słucham? - wyjąkała wreszcie

- Chciałbym, żebyś właśnie ty zaśpiewała solowy fragment utworu - powtórzył cierpliwie Scott.

- Ale... Zupełnie sama? -Tak.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Oczywiście, że mówię zupełnie poważnie! Słucham cię już od dłuższego czasu. Masz uroczy głos o jakości tonalnej, która do tego fragmentu pasuje wręcz doskonale. Twój głos jest czysty, jasny i eteryczny... - umilkł.

Znowu zapadła cisza. Karen wpatrywała się w Scotta z wyrazem niedowierzania i zaskoczenia.

- Nie potrafiłabym zaśpiewać solo przed pięcioma ludźmi, a co dopiero przed pięciuset, których się spodziewamy tego wieczoru.

- Dlaczego nie?

-Ja nie... Ja nigdy... - Zaczęła gnieść kartki z nutami. Po chwili nabrała głęboko powietrza i odetchnęła. - Posłuchaj, potrafię trzymać melodię i lubię śpiewać w grupie. Ale śpiew solowy... Po prostu bym nie potrafiła!

- Mogę nad tym z tobą popracować. Będiesz ćwiczyć tylko przy mnie, jeśli zechcesz, dopóki się nie poczujesz na tyle pewna, żeby śpiewać przed innymi ludźmi.

Karen ułożyła usta w grymas.

- Takie ćwiczenia mogłyby zabrać znacznie więcej czasu, niż go mamy. Może nawet całe lata.

- Przynajmniej spróbujmy. Jeśli się wycofasz, wyeliminujemy ten fragment, jak dzisiaj w czasie próby. -Widząc wahanie w oczach Karen, Scott wstał. - Powiem ci coś. Moglibyśmy przećwiczyć ten fragment teraz. Nikt poza nami nie będzie słyszał. Sprawdźmy, czy ten solowy fragment leży w zakresie twoich możliwości głosowych.

- Teraz?

- Parafrazując cytując z *Być królem*, teraz to dobry czas. Chyba, że masz akurat jakieś inne zobowiązania?

Karen znowu się zawahała.

- Muszę trochę popracować nad papierami, które zabrałam z biura, ale...

Scott widział, że Karen ma wielką ochotę na tę próbę i postanowił to wykorzystać.

- Śmiało, Karen. Bywa, że największe sukcesy przychodzą zupełnie niespodziewanie.

Mocniej zacisnęła palce na nutach.

- Tak, ale podobnie jest z porażkami.

- W tym przypadku porażka nie wchodzi w grę. W biznesie muzycznym spędziłem całe życie i uwierz mi, potrafię ocenić oraz docenić talent, kiedy mam z nim do czynienia.

Policzki Karen lekko się zaróżowiły.

- Doceniam twoje słowa, jednak talent to jedna rzecz, a pewność siebie to coś zupełnie innego.

- Mojej pewności wystarczy za nas dwoje. Spróbujmy, dobrze? Zaufaj mi...

Wyciągnął do niej rękę. Całą swoją postawą wyrażał nadzieję, że przyjmie ofertę, z korzyścią dla nich obojga.

Popatrzywszy na wyprostowane palce Scotta, Karen przygryzła dolną wargę. Przycisnęła karty z nutami do piersi. Próbowała uspokoić motylki, które niespodziewanie zaczęły fruwać jej w brzuchu.

Oczywiście, Scott miał rację. Ryzyko i zysk zawsze szły w parze. Nie podejmując prób, nie można było odnosić sukcesów. A tymczasem Scott podpowiadał jej

bardzo korzystną strategię: w każdej chwili mogła się wycofać, jeżeli próba pójdzie nie po jej myśli. Co więc miała do stracenia?

Lekko uniosła głowę i dłonią dotknęła ręki mężczyzny. Jego długie, wąskie palce uściśniły ją zachęcająco. Po chwili została obdarzona zabójczo wspaniałym uśmiechem. Takim, który odmieniał twarz Scotta i za każdym razem sprawiał, że jej serce zaczynało bić szybciej. Niepewnie podeszła do pianina.

Ale to tylko dawały o sobie znać nerwy, zwykłe, proste nerwy. Bo cóż innego?

Odpędziła od siebie myśl o całkiem innej możliwości.

- No nie wiem, Scott...

- Powoli, spokojnie. - Scott usiadł przy pianinie i otworzył nuty. - Nie stresuj się. Postaraj się tylko, żeby z twoich ust płynęły piękne dźwięki.

Otworzyła swoje nuty; kartki drżały w jej rękach. Kiedy Scott zaczął grać, jej oddech jakby oszalał. Gdy dotarł do miejsca, w którym powinna zaśpiewać, miała gardło tak ściśnięte, że nie była w stanie wydobyć z niego żadnego dźwięku.

Zaczerwieniła się, zakłopotana, i odłożyła nuty na pianino.

- Nie potrafię - powiedziała z trudem.

Scott odpowiedział jej spokojnym, ale pewnym głosem:

- Owszem, potrafisz.

- Chciałabym, jednak nic z tego. - Z żalem potrząsnęła głową. - Nie mogę.

- W porządku. Będziemy próbowali razem, dopóki nie poczujesz się pewnie.

Zanim zdołała odpowiedzieć, Scott znów zaczął grać wstęp, nie zamierzając po raz kolejny słuchać jej odmow-

nej odpowiedzi. Karen tymczasem wciągnęła powietrze i spróbowała się uspokoić. Dobrze, jeśli Scott zaśpiewa razem z nią, może da radę wydobyć głos... Ale sama, solo? Nigdy tego nie zrobi! Zaczęła sobie wyobrażać, co powie matka, kiedy się dowie, że jej starsza córka choćby pomyślała o solowym występie w kościele.

Scott zagrał ostatnie akordy wstępu, posłał jej zachęcający uśmiech i zaczął śpiewać melodię miłym barytonem. Karen postarała się zaśpiewać razem z nim, jednak jej głos drżał i w ogóle nie łapał wysokich tonów. Dobrze jednak do końca.

Scott zakończył melodię na pianinie i odwrócił się do niej.

- Widzisz? A jednak zaśpiewałaś.

- Rzeczywiście... Ale to było przecież okropne! Lewa strona jego ust wygięła się w uśmiechu.

- Trochę przesadzasz. Pierwszy raz zawsze wypada kiepsko, czy ktoś śpiewa, czy gra na instrumencie. Spróbujmy jeszcze raz.

Ponownie zagrał wstęp i jeszcze raz zaśpiewał utwór razem z Karen. Tym razem jej głos był trochę mocniejszy i nie miała aż tak ogromnych trudności z zaśpiewaniem najwyższych dźwięków.

- Lepiej. - Scott kiwnął głową z zadowoleniem. - Jeszcze raz.

Powtórzyli utwór jeszcze sześć razy. Za ostatnim razem Scott w połowie przestał grać. Karen popatrzyła na niego ze strachem, jej głos zadrżał, ale Scott posłał jej silne spojrzenie.

- Nie przestawaj. Posłuchała go.

Kiedy ucichła ostatnia nuta melodii, Scott odwrócił



się do Karen, oparłszy dłoń o znajdującą się nad klawiaturą półkę na nuty.

- Powiedziałbym, że zrobiłaś dzisiaj spore postępy. Na kolejnej próbie będzie jeszcze lepiej. W przyszłym tygodniu spróbujemy razem z chórem.

Odrobina euforii, która wkradła się do głowy Karen, natychmiast wyparowała.

- Wciąż nie jestem pewna, czy potrafiłabym śpiewać w obecności innych ludzi.

Scott przez chwilę przyglądał się Karen.

- Hmm... Będzie ci łatwiej, jeżeli spróbujemy nadal ćwiczyć to tylko we dwoje?

- Nie chciałabym się narzucać.

- Będę tutaj w sobotę rano ze Stevenem. Gdybyś przyszła około dziesiątej, moglibyśmy jeszcze przećwiczyć ten utwór, kiedy skończę pracę z chłopakiem.

- Jesteś pewien, że tego chcesz?

- Jestem pewien.

Gdy usłyszała stanowczy ton - i zobaczyła zdecydowanie w oczach Scotta - jej tętno znowu przyspieszyło.

- Dobrze. Dziękuję ci. Myślę, że to mi trochę pomoże - odparła. I zaraz powróciła do swoich wątpliwości. -Ale nie jestem gotowa, żeby się do czegokolwiek zobowiązywać. Śpiewanie razem z tobą albo z chórem to coś zupełnie innego niż solowy występ przed dużą widownią.

- Tak, oczywiście. Ale z mojego doświadczenia wynika, że jeśli ktoś dużo ćwiczy, przeskok do prawdziwego występu nie jest wcale tak wielki, jak ci się wydaje.

- Ponieważ w mojej rodzinie jedyną osobą, która ma doświadczenie w występach przed widownią jest Val, muszę ci uwierzyć na słowo.

- Tak jest naprawdę, możesz mi zaufać. *Zaufać.*

Słowo to obijało się po jej głowie, gdy składała nuty, mówiła „dobranoc” i szła do samochodu.

Chociaż spotkała Scotta zaledwie przed kilkoma tygodniami, chociaż dużo wcześniej została zdradzona przez mężczyznę, którego - tak jej się wówczas zdawało -znała na tyle, by wyjść za niego za mąż, Karen naprawdę ufała Scottowi.

- Jak było na próbie?

Scott przestał grzebać w lodówce i odwrócił się do matki, która stała w progu.

- Dobrze. Przygotowywaliśmy urwory na wieczór dobroczynny. Zostało trochę mięsa z jarzynami z wczorajszej kolacji?

- Tak. Jesteś głodny? - W jej głosie można było usłyszeć zaskoczenie... i nadzieję.

- Jak wilk.

Napięte rysy Dorothy lekko złagodniały.

- Myślę, że mamy też ziemniaki - powiedziała. Weszła do kuchni i odsunęła Scotta od lodówki. - Mam je podgrzać?

- Byłbym wdzięczny. - Wyciągnął z szafy szklanę i podszedł do zlewozmywaka. - Czy w okolicy jest jakiś oddział YMCA\*?

\* YMCA (ang. *The Young Mens Christian Association* - Związek Chrześcijańskiej Młodzieży Męskiej) - międzynarodowa ekumeniczna organizacja propagująca program oparty na wartościach chrześcijańskich. Jej głównym celem jest wspieranie harmonijnego rozwoju fizycznego, umysłowego i duchowego (przyp. red.).

- Tak, niedaleko kościoła. Dlaczego pytasz?

- Myślę, że mógłbym do nich dołączyć. Powinienem wrócić do systematycznych ćwiczeń fizycznych. Kiedy jeździliśmy w długie trasy, zawsze tego pilnowałem, ale po wypadku... W każdym razie przyszedł na nie czas.

Dorothy ustawiła porcję jedzenia w kuchence mikrofalowej, włączyła ją, po czym oparła się o stół.

- Jak ci idzie ze Stevenem?

- Lepiej, niż się spodziewałem. On ma wielki potencjał.

- Jego matka powiedziała mi, że twoja propozycja, żeby udzielać mu lekcji, była odpowiedzią na jej modlitwy.

- Modliła się, żeby Steven zaczął grać na pianinie? -Scott odkręcił kran.

- Nie. Modliła się, żeby zdarzyło się coś takiego, co sprawi, że chłopak znów nabierze chęci do życia. Coś, co da mu nadzieję. - Umilkła na chwilę, a na jej rwarzy pojawił się wyraz zatroskania. - Wiesz, że niedługo po wypadku próbował popełnić samobójstwo...?

Scott był w szoku.

- Nie. Nic o tym nie wiedziałem.

- Według Marthy doszedł do wniosku, że jego życie się skończyło. W każdym razie skończyło się dla niego wszystko, poza byle jakim fizycznym funkcjonowaniem. Taki rodzaj czarnej desperacji popycha ludzi do niewiarygodnych rzeczy.

Tak, to była prawda.

Scott spojrział na szklanę z wodą, którą trzymał w ręce. Była do połowy pełna. Albo w połowie pusta, zależnie od perspektywy patrzącego. Scott rozumiał punkt widzenia Stevena, sam był przecież w podobnej sytuacji. Jednak krok po kroku ciemność wokół niego

zaczęła się rozpraszać. Chociaż wciąż nie wiedział, co przyniesie mu przyszłość, mroczna próżnia, która kiedyś dominowała w jej wizjach, ustępowała miejsca coraz jaśniejszej perspektywie.

- W każdym razie twoje lekcje stały się dla Stevena punktem zwrotnym. - Dorothy podeszła do lodówki i wyciągnęła z niej miskę pełną surówki z białej kapusty. - Wychodzi więc na to, że z twojego wypadku wynikło już coś pozytywnego. Może nie dla ciebie, ale dla kogoś innego. Gdybyś nie przyjechał do Waszyngtonu, kto wie, co stałoby się ze Stevenem?

- To trochę przypomina stary film z Jimmym Stewartem. - Scott upił łyk wody. - Ten, w którym Jimmy dowiadyuje się, jak wyglądałoby jego miasto, gdyby się nigdy nie urodził. Film opowiada, na ile spraw ma wpływ jedna osoba i o tym, jak bardzo powiązane są drogi życiowe różnych ludzi.

- *Cudowne życie...*

- Tak, to ten film. Tyle że w tym filmie katalizatorem dobra był anioł.

- Rzeczywiście, Clarence. Ale ludzie też mogą być źródłem wielkiego dobra. Czyniąc cuda, Bóg często posługuje się ludźmi.

Mikrofalówka zapiszczała i Dorothy podeszła do niej, żeby wyciągnąć talerz. Tymczasem Scott zastanowił się nad jej słowami. Nigdy nie myślał poważnie o cudach. Słowo to kojarzyło mu się przeważnie z niewiarygodnymi uzdrowieniami albo z tragediami, których unikano w ostatniej chwili. Uważał, że wszystkie te wydarzenia były raczej wynikiem zbiegu przypadków niż efektem celowego działania sił nadprzyrodzonych.

A jednak cuda wcale nie musiały występować w charakterze niewytłumaczalnych a efektownych zdarzeń.

Cudem mógł przecież być także młody mężczyzna, który znów znalazł w życiu nadzieję. Albo zraniony muzyk, poszukujący drogi wyjścia z ciemności.

Zajął miejsce przy stole, a matka postawiła przed nim jedzenie. Zabawne. Uznała, że on tchnął nadzieję w Stevena, a przecież ich spotkanie zadziało obopólnym uzdrowieniem. Pomagając młodemu człowiekowi znaleźć dalszą drogę w życiu, Scott znajdował taką drogę także dla siebie. A pomagając Karen w budowaniu pewności siebie, sprawiał, że on sam spoglądał w przyszłość z większą pewnością i optymizmem.

Gdy zanurzał widelec w porcji mięsa i ziemniaków, poczuł że ogarnia go lekkość, a jego serce napęła się nadzieją.

Może cuda otaczały go każdego dnia? A on, tak jak mężczyzna, o którym wielebny Richards opowiadał w czasie nabożeństwa, był zbyt ślepy, żeby je dostrzec?

Karen umieściła nuty w dużej torbie naramiennej i ścisnęła w dłoni kluczyki do samochodu.

- Na pewno nie chcesz jechać ze mną? - zwróciła się do Kristen. - To zajmie tylko dwadzieścia minut, a potem będziemy mogli zrobić sobie przystanek u Pana Franka.

Jej córka wypila do końca mleko ze szklanki i wykrzywiła twarz w niechętnym grymasie.

- Już ci mówiłam, mamo. Nie zamierzam iść do kościoła w sobotę!

Karen brakowało już amunicji. Pochlebstwa, wywoływanie poczucia winy, przekupstwo - na Kristen nic nie działało.

Nie było wyjścia; musiała wyłożyć karty na stół. Przycisnąwszy nuty mocno do piersi, zdobyła się wreszcie na stanowczy krok.

- Posłuchaj... Naprawdę zależy mi, żebyś dzisiaj ze mną pojechała. Potrzebuję kogoś, kto by mnie wsparł i byłby ze mną zupełnie szczerzy.

Kristen przerwała płukanie szklanki i przechyliła głowę.

- W jakiej sprawie? - zapytała.

- Scott... to znaczy pan Walker... poprosił mnie, żebym zaśpiewała partię solową w czasie wieczoru dobroczynnego.

Oczy jej córki rozszerzyły się, a z kolei żołądek Karen się ścisnął.

- Wiem, że to był błąd. Zadzwońię do niego i powiem mu, że...

- Nie! - Kristen odstawiała szklankę na zlewozmywak, nagle zafascynowana tematem. - Moim zdaniem to wspaniały pomysł! Po prostu jestem zdziwiona, że się zgodziłaś.

- Nie zgodziłam się. Jeszcze nie i prawdopodobnie wycofam się z tego pomysłu. Absolutnie nie jestem materiałem na solistkę.

- Ależ jesteś! Czasami słucham, jak śpiewasz w domu, kiedy ci się wydaje, że żaden dźwięk do mnie nie dociera. Powinnaś przyjąć tę propozycję.

- Sama nie wiem... - Karen powoli wypuściła powietrze z płuc. - Wyobrażasz sobie, jak zareaguje twoja babcia?

Kristen przewróciła oczami.

- Jej się jeszcze nigdy nic nie podobało. Cokolwiek zrobisz, i tak jej nie zadowolisz. Mówiłaś o tym cioci Val?

- Nie, tylko tobie. Poza tym... nigdy przy nikim jeszcze nie śpiewałam, słuchał mnie tylko Scott. I właśnie dlatego chcę, żebyś dzisiaj pojechała ze mną do kościoła. Miałabym szansę przekonać się, jak reaguję, kiedy słucha mnie ktoś jeszcze.

- Nie ma sprawy. Ze znajomymi mogę się spotkać dopiero po lunchu. Cieszę się, że przynajmniej próbujesz!

- Zobaczymy, jak będzie.

W czasie krótkiej przejażdżki do kościoła Kristen zarzucała jeszcze matkę mnóstwem pytań, jednak kiedy samochód zaparkował przed wejściem i obie z niego wysiadły, dziewczyna nagle umilkła.

- Posłuchaj - powiedziała do matki.

Obie zaczęły nasłuchiwać. W powietrzu unosiły się przytłumione dźwięki prostego, klasycznego utworu fortepianowego.

- Czyż to nie jest śliczne? - Kristen ruszyła do drzwi kościoła.

Utwór wydawał się Karen znany, jednak nie potrafiła sobie przypomnieć jego tytułu.

- Tak. - Karen ruszyła za córką. - Wyobraź sobie tylko, jak wspaniale pan Walker musiał grać, zanim uległ wypadkowi.

Kiedy jednak weszły do kościoła, Karen natychmiast dostrzegła, że to nie Scott gra na pianinie. Stał za Steve-nem, uważnie wsłuchując się w grę chłopaka.

Karen i Kristen stały przy drzwiach, dopóki Steven nie skończył, po czym nagrodziły go entuzjastycznymi oklaskami.

- Wspaniale! Wiedziałałam, że Scott udziela ci lekcji, nie miałam jednak pojęcia, że robisz tak szybkie postępy. - Podeszedłszy do mężczyzn, Karen uśmiechnęła się.

- To było nadzwyczajne - wsparła ją Kristen. Steven odwrócił wzrok i poprawił nuty na półeczce.

- To był tylko kawałek dla początkującego pianisty. Scott położył dłoń na ramieniu młodego człowieka.

- Już wkrótce będziesz grał lepiej ode mnie. Nigdy nie miałem takiego naturalnego talentu do gry na klawiszach, jak ty.

Widząc, że skóra na twarzy Stevena robi się bardzo czerwona, Karen postanowiła go poratować, zmieniając temat.

- Przeprowadziłam Kristen. Będzie dzisiaj udawała moją publiczność.

- Doskonały pomysł. Mam nadzieję, Kristen, że przekonasz mamę do solowego występu. - Scott obdarzył dziewczynę szerokim uśmiechem. - Obawiam się, że siła mojej perswazji może nie wystarczyć.



- Już jej mówiłam, że nie ma prawa się z tego wykręcać.

- Naciskaj dalej. - Scott mrugnął do niej konspiracyjnie. - Steven, zobaczymy się we wtorek. Masz transport do domu?

- Mama zatrzyma się przy kościele, wracając ze sklepu. Niedługo powinna tu być.

- Rozumiem. Zatem proszę o wybaczenie, ale Karen i ja mamy jeszcze trochę pracy.

Steven odjechał wózkiem od pianina i kiedy oboje wycofali się w głąb kościoła, Scott skupił się na Karen:

- Bałem się, że stchórzysz i nie przyjdiesz. Najwyraźniej z niej drwił, jednak oczy miał poważne.

Karen odrobinę uniosła głowę, starając się, aby nie rozproszył jej widok paska do dżinsów, opinającego szczupłe biodra Scotta, ani imponujących bicepsów pod rękawami czarnego golfu.

- Powiedziałam przecież, że przyjdę, a zawsze dotrzymuję danego słowa.

- Wierzę.

Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią badawczo, po czym sięgnął po nuty i umieścił je na podstawce nad klawiaturą pianina. Ustawił we właściwym miejscu stołek, usiadł na nim i rzucił pyranie:

- Gotowa?

- Nie, ale skoro już tutaj jestem, przynajmniej spróbuję. Zechcesz... Czy mógłbyś na początku śpiewać razem ze mną?

- Jasne. Ale najpierw, dla rozgrzewki, kilka razy przećwiczmy game.

Zaczęli od ćwiczeń wokalnych, a Karen - pomimo obecności Kristen i Stevena - nie była już ani trochę tak nerwowa, jak za pierwszym razem, kiedy śpiewała solo.

Kiedy przebrzmiała ostatnia nuta ćwiczeń, Scott z zadowoleniem pokiwał głową.

- Bardzo ładnie. A teraz spróbuj sama.

Karen trochę się zdenerwowała, ale kiedy zerknęła ku Kristen i Stevenowi, stwierdziła, że są pogrążeni w rozmowie i w ogóle nie zwracają na nią uwagi.

Żadna z nich publiczność.

Przez następnych kilka minut Scott kilkakrotnie powtarzał utwór solowy, a Karen włączała się ze śpiewem w odpowiednim momencie. Przy każdej kolejnej interpretacji jej głos był coraz mocniejszy i bardziej pewny. Scott zaczął jej podpowiadać, jak poprawić pewne szczegóły wykonania i wkrótce zapomniała o nerwach, koncentrując się na jego instrukcjach.

- W porządku. Wykonajmy to jeszcze raz; staraj się skupić na tym wszystkim, o czym rozmawialiśmy. -Scott ustawił nuty na pierwszej stronie.

Kiedy zaczął grać, Karen zamknęła oczy, pozwalając, żeby muzyka przeniknęła jej duszę i umysł. Kiedy rozpoczęła śpiewać, w jej głosie zabrzmiało wszystko to, co chciał wydobyć Scott.

Po ostatnich dźwiękach utworu w kościele zapadła cisza. Nagle rozległy się oklaski. Karen otworzyła oczy i zobaczyła, że Kristen, Steven i Scott wpatrują się w nią z szerokimi uśmiechami na twarzach.

- O kurczę, mamó! Nie miałam pojęcia, że potrafisz *tak* śpiewać! - Kristen przytuliła się do niej.

- Ja również, pani Butler. — Steven zjawił się na wózku zaraz za jej córką. - Znacznie częściej powinna pani brać partie solowe.

Pochwały młodych ludzi były bardzo miłe, jednak Karen znacznie bardziej zależało na opinii Scotta. Popatrzyła na niego, gromadząc w sobie całą odwagę. Życz-

liwy uśmiech powiedział jej wszystko, czego chciała się dowiedzieć, lecz szczęścia dopełniły jego słowa:

- Całkowicie zgadzam się z przedmówcami. Karen nie musiała mu odpowiadać, bo do kościoła

weszła Martha Ramsey. W trakcie wymiany zdawkowych uprzejmości jej serce biło jednak mocno i radośnie.

Dopiero kiedy Martha i Steven zniknęli za drzwiami i odezwała się do niej Kristen, Karen spłynęła na ziemię.

- Mam nadzieję, że pójdziemy do Pana Franka? -zapytała.

- A kto to jest pan Frank? - Scott zamknął pianino.

- Przebywa pan w Waszyngtonie całe lato i nie był pan jeszcze u Pana Franka?! - Kristen popatrzyła na niego zdziwionymi oczami.

- Nie. Kto to taki?

- U Pana Franka sprzedają najlepsze lody na świecie! Mamo, pan Walker powinien pojechać tam z nami!

Serce Karen znowu zabiło szybciej.

- Już i tak zabrałam mu zbyt dużo czasu. Przecież ćwiczyliśmy przez ponad czterdzieści minut.

- Szczerze powiedziawszy, nie mam żadnych istotnych planów na resztę dnia. - Scott oparł się o pianino i wsunął rękę do kieszeni.

- Cudownie! Chodźmy! - Kristen złapała matkę za rękę i pociągnęła ku drzwiom.

- Dajcie mi minutkę na zamknięcie kościoła i idę z wami. Oczywiście, Karen, o ile nie będziesz miała nic przeciwko temu.

Kristen nie pozwoliła jej odpowiedzieć.

- Oczywiście, że nie będzie miała nic przeciwko. -Córka mocniej ścisnęła ramię matki. - Wszyscy chodzą dzisiaj do Pana Franka. To przecież żadna randka, ani nic w tym rodzaju.

Karen posłała córce zniecierpliwione spojrzenie, ta jednak ją zignorowała.

Bardzo się starając, żeby nie sprawiać wrażenia wytrąconej z równowagi, wreszcie sama odpowiedziała Scottowi na pytanie:

- Będzie nam miło, jeśli pójdziesz z nami. Lodziarnia Pana Franka jest bez wątpienia miejscem godnym poznania.

- Wspaniale. Za minutkę spotkamy się na parkingu. Karen odczekała, aż wyjdą na zewnątrz, i dopiero wtedy zaatakowała córkę.

- Co to za głupoty z tą randką? Kristen zrobiła niewinną minę.

- Przepraszam. Czy wprowadziłam cię w zakłopotanie?

- To nie ma nic wspólnego z zakłopotaniem. -W każdym razie niewiele. - Wiesz, że się nie umawiam na randki i nie chcę, żeby Scott myślał, że jest inaczej.

- A dlaczego tak cię obchodzi to, co on myśli? Nadusiła przycisk pilota, otwierając samochód.

- Dlatego.

- Dlatego, że go lubisz?

- Nie mam zamiaru na ten temat dyskutować. -Karen wsiadła do samochodu.

Kristen po chwili usiadła przy niej na fotelu pasażera.

- Powinnaś się uspokoić, mamo - powiedziała. Przez chwilę obserwowała, jak Scott wychodzi z kościoła i idzie w kierunku swojego samochodu. - Kurczę, ten facet to fajne ciacho, mimo że stary.

Stary?

Karen zmierzyła wzrokiem zgrabną, muskularną sylwetkę Scotta.

Jaki on znowu stary?

Nie odezwała się już do córki, za to włączyła silnik samochodu i kiedy wyjechała na ulicę, zmieniła temat rozmowy.

- Zdaje się, że polubiliście się ze Stevenem?

- Tak. - Kristen usiadła wygodniej w fotelu. -W szkole nigdy dużo ze sobą nie rozmawialiśmy. Jest starszy ode mnie i zawsze był bohaterem całej szkoły, doskonałym sportowcem. Nie moja półka, rozumiesz? Ale jest w porządku. Ma poukładane w głowie i jest bardzo dojrzały. Można z nim porozmawiać o życiu, o tym, co jest w nim ważne i tak dalej.

Umilkła, a Karen ukradkiem na nią zerknęła. Dostrzegła zadumę na jej twarzy.

- Chłopak jest przywiązany do wózka i to jest dla niego naprawdę trudne. Ale mówi, że Bóg widocznie wyznaczył go do czegoś innego, nie do grania w piłkę. To fantastyczna postawa. - Kristen zawahała się. Przez chwilę bawiła się sprzączką do pasa bezpieczeństwa. -Zaprosił mnie do kina.

- A co ty na to?

- Powiedziałam mu, że nie pozwalasz mi umawiać się na randki.

- Pozwoliłabym ci iść do kina ze Stevenem. To dobry chłopak.

Kristen popatrzyła na matkę krzywo.

- A Gary nie jest dobry? *Aha! Uważaj, Karen, uważaj.*

- Chodzi o to, że Ramseyów znam przez całe życie i uważam ich wszystkich za bardzo wartościowych ludzi. A Garyego nie znam prawie wcale. - Jednak wystarczająco, żeby podejrzewać go o nieczne zamiary wobec Kristen, pomyślała. - Chcesz iść z nim do kina?

Szczęśliwie, jej córka porzuciła temat Gary'ego.

- Właściwie to nie wiem. Może i chcę... ale tak naprawdę to nie wiem, jak się odnosić do chłopaka, który... który jeździ na wózku inwalidzkim.

- To jest taki sam chłopak, jak przed wypadkiem, pod każdym względem. Jestem pewna, że chciałby być traktowany tak, jakby był zupełnie zdrowy.

- No ale na przykład kto miałby kupić popcorn? Zwykle robią to chłopcy, a przecież z wózka nie sposób obsłużyć automatu. Poza tym... co miałabym zrobić, gdyby chciał, rozumiesz, skorzystać z toalety? To krępujące...

- Oczywiście, szczególnie dla niego. Będzie się musiał nauczyć wszystkiego od nowa. Ale wiesz co? Ludzie to potrafią, walczą, przystosowują się do nowych sytuacji. Czasami metodą prób i błędów. Najważniejsze, żeby nie traktowali prób pokonywania niedogodności w kategoriach życia i śmierci. W niezręcznych sytuacjach trzeba im okazywać zrozumienie, czasami o tym rozmawiać. Zwykła rozmowa zazwyczaj może naprawdę wiele zdziałać.

- Czy to znaczy, że twoim zdaniem powinnam z nim pójść do tego kina?

- To już zależy od ciebie, kochanie. Idź, jeżeli polubiłaś towarzystwo Stevena, jednak z tego zrezygnuj, jeżeli miałabyś to zrobić tylko dlatego, że mu współczujesz. Taka postawa nie przyniesie niczego dobrego.

- Jeszcze się nad tym zastanowię.

Przez resztę drogi Kristen milczała, jednak kiedy wjechali na parking przed lodziarnią Pana Franka, natychmiast się rozchmurzyła. Wskoczyła z samochodu i wskazała Scottowi miejsce do zaparkowania dla jego

samochodu. Dochodziła jedenasta, a u Pana Franka były już tłumy gości.

— Polecam panu lody z wiórkami czekoladowymi, ale i tak wszystkie inne też są bardzo dobre - powiedziała Kristen do Scotta, kiedy ten dołączył do kobiet.

- Skorzystam z rekomendacji. Karen, a ty jakie bierzesz?

Zaczął wyciągać portfel z kieszeni, jednak kobieta go powstrzymała.

— Poczekaj. Ponieważ przyjechałeś tu po raz pierwszy, jesteś naszym gościem. Mógłbyś jednak znaleźć jakieś wolne miejsca, chociaż szanse są marne.

Omiotła wzrokiem niewielką kawiarenkę na wolnym powietrzu. Wszystkie ławki były zajęte.

— Postaram się.

Zanim Karen i Kristen w wolno posuwającej się kolejce dotarły do kasy, dziewczyna zdążyła przywitać się z kilkorgiem kolegów i koleżanek, którzy również przybyli późnym przedpołudniem do tego popularnego miejsca.

- Mogę iść pogadać z Erin? - zapytała dziewczyna.

- Tak, ale pamiętaj, że długo tutaj nie zostaniemy. Muszę zabrać się za pielenie ogródka, zanim pojedę na zakupy z Val.

- Dobrze. Pomachaj mi, kiedy będziesz już chciała jechać.

Kristen podeszła do przyjaciół ze szkoły, a Karen z dwoma lodami zaczęła szukać Scotta. Wkrótce go zobaczyła. Ku jej zaskoczeniu, znalazł zupełnie wolną ławeczkę.

— Nie wierzę, że mamy miejsca! Tutaj jest zawsze pełno ludzi.

- Mógłbym to przypisać dobrej karmie, ale i tak wkrótce odkryjesz prawdę.

Wskazał ręką na drewnianą deskę ławki za plecami. W trzeciej części pokryta była żywicą.

Karen uniosła głowę i od razu dostrzegła przyczynę. Nad ławką ułamała się potężna gałąź.

- Próbowałem ją czyścić, ale tylko pobrudziłem sobie palce. Będziemy jakoś musieli zmieścić się na tym niewielkim czystym fragmencie.

Karen zlustrowała ławkę wzrokiem pełnym wątpliwości. Dwa miesiące i dziesięć kilogramów temu z pewnością nie zmieściłaby się razem ze Scottem na miejscu, które wskazał. Teraz nie miałyby z tym większego problemu, jednak gdyby usiedli oboje, ich uda musiałyby się zetknąć. Nie bardzo jej to pasowało.

Scott przechylił głowę, wyciągnął rękę i popatrzył na Karen pytającym wzrokiem.

- Zdążę posmakować, zanim się stopi?

- Ach! Przepraszam. - Karen wyciągnęła w jego kierunku rękę z wafelkiem, na którym osadzone były lodowe kulki.

Scott odebrał wafelek, przez chwilę się wahał, po czym przesunął się do skraju ławki tak daleko, jak tylko mógł, żeby z niej nie spaść.

- Dołączysz do mnie?

Cudownie. Zauważył jej zakłopotanie.

Powiedziawszy sobie w myślach, że nie ma powodu, żeby zachowywać się jak spłoszona nastolatka, Karen przysiadła na ławce, starając się zachować jak największą odległość od Scotta. Jeżeli jednak nie chciała wrócić do domu z plamami po żywicy na spodniach, musiała i tak znaleźć się w niekomfortowej odległości od niego. Na tyle blisko, by poczuć wyraźny piżmowy zapach jego



wody po goleniu. By zobaczyć plamkę czekolady nad jego ustami, która pojawiła się, kiedy ugryzł kawałek wafelka. By zauważyć drobne złociste punkciki w jego ciemnobrązowych oczach.

- To jest przepyszne! - zachwycił się Scott, jednak znacznie bardziej zainteresowany był Karen niż smakołykiem. - Kristen ma doskonałe pomysły.

Czy mówił o smaku lodów, czy też o pomyśle dziewczyny, żeby wybrać się na nie we troje? Z wyrazu jego twarzy trudno było to wywnioskować, ale Karen dla własnego spokoju założyła, że chodzi mu o lody.

- Bardzo lubi lodziarnię Pana Franka. Jej ojciec i ja zabieraliśmy ją tutaj. Teraz, kiedy spotykają się we dwoje, też tutaj przychodzą.

Zmarszczyła czoło i wbiła wzrok w rożek z lodem. Trochę naciągnęła prawdę. Michael rzadko towarzyszył jej i Kristen w wyprawach do Pana Franka. Czy wspomnianie byłego męża stanowiło z jej strony minimalny odruch obronny? Sposób na przytrzymanie Scotta w odpowiedniej odległości i odżegnanie się - przynajmniej na razie - od jakiegokolwiek romansu?

- Moja mama mówiła, że się rozwiodłaś. Przykro mi.

Polizała lód, mając nadzieję, że zimny krem jak zwykle podzielała na nią kojąco. Ale kiedy słodki melanz topił się na jej języku, zamiast spokoju poczuła gorzkość.

Cisza przedłużała się i w końcu Scott przemówił ponownie:

- Chyba nie powinienem poruszać tego tematu. Przepraszam.

- Nic się nie stało. Separacja i rozwód to przykre sprawy. I bardzo bolesne, nawet po półtora roku. Ale doceniam twoje zrozumienie.

- Istnieje szansa, że wrócić do siebie?

- Nie.

- Rozumiem, że pewne rany już się nie zagoją. Jego łagodny, współczujący ton wzbudzał zaufanie

i uspokajał Karen. Poczwała, że temu mężczyźnie mogłaby powierzyć każdy sekret, a on zawsze zareaguje ze zrozumieniem i serdecznością.

Czy jednak otworzyłaby się przed nim na tyle, żeby opowiedzieć o swoim rozwodzie? I o niewierności Michaela?

Zmarszczyła czoło i znowu zajęła się słodkim lodem. Szczera rozmowa na takie tematy zawsze sprawiała ból i poniżała osobę pokrzywdzoną. A jednak coś pchało Karen ku temu, żeby opowiedzieć Scottowi o swoim rozwodzie więcej, niż dotąd powiedziała komukolwiek innemu. Wyjaśnić mu, jak bardzo zdruzgotała ją zdrada męża. Pragnęła, żeby to Scott utwierdził ją w decyzji, by nie przyjąć ręki Michaela, oferującej zgodę i zapomnienie złych chwil.

A może w ogóle nie będzie chciał słuchać jej wynurzeń? Może nagle nabierze dystansu, kiedy Karen się przed nim otworzy?

Z drugiej strony... ostatnio kilkakrotnie podejmowała ryzyko w innych sprawach - i ani razu tego nie żałowała.

Dlaczego więc teraz miała się powstrzymać?

Kiedy Karen wpatrywała się w topniejący lód, Scott zastanawiał się nad następnym krokiem. Odbierał tę kobietę jako osobę bardzo skrytą, która niechętnie przyjmuje zbyt osobiste pytania. A jednak chciał wiedzieć, co

wydarzyło się w jej życiu. Pragnął się przekonać, co za idiota porzucił taką silną i czułą kobietę dla przygody ze studentką.

Bo Karen była silna, czy sobie z tego zdawała sprawę, czy nie. Według jego matki od wielu lat dźwigała na swoich barkach ciężar kaprysów i niezadowolenia Margaret. Kiedy rzucił ją mąż, poszła do pracy, a obecnie sama wychowywała nastoletnią córkę. To wymagało siły, charakteru i determinacji.

Wciąż próbował znaleźć jak najbardziej dyplomatyczny sposób na zadanie jej osobistych pytań, gdy niespodziewanie to Karen, cichym głosem, rozpoczęła dramatyczną opowieść.

- Mój mąż i ja od początku do siebie nie pasowaliśmy.

Scott nie chciał, żeby na tym się skończyło. Zapytał więc:

- Dlaczego?

Kilka kropel topiącego się deseru lodowego spadło na ziemię.

- Był ode mnie znacznie starszy, a mnie pochlebiał sam fakt, że zwrócił na mnie uwagę. Poznałeś już Val. Wyobraź sobie, jak ciężko mi było dorastać w jej cieniu. Miała wielu przyjaciół i była prześliczna. A mnie chłopcy w ogóle nie zauważali! No i kiedy zaczął się mną ineresować Michael, było to dla mnie coś wielkiego, ogromnie mi schlebiało, oszalałam na jego punkcie. Lecz to nie wystarczyło do trwałego małżeństwa. Szczególnie gdy... kiedy Michael zbłądził. I to niejedyn raz, jak się dowiedziałam zupełnie niedawno.

Zbyt mocno ścisnęła dłońią rożek lodowy i wafelek pękł z cichym trzaskiem. Odłożyła go na brudny fragment ławki i położyła dłonie na kolanach.

Scott popatrzył na jej profil. Słońce ładnie oświetlało kasztanowe pasemka jej włosów, lekko opadające na wysokie kości policzkowe. Jednak to samo słońce było też dla niej bezlitosne, uwypuklając cienie pod oczyma i zmarszczki w ich kącikach - jak podejrzewał Scott, świadectwa stresu, zmęczenia i napięcia, a nie wieku.

Nagle poczuł ogromną ochotę, żeby spuścić lanie facetowi, który tak skrzywdził Karen.

Zmarszczył czoło. To było dziwne uczucie, zważywszy, że od zawsze czuł odrazę wobec wszelkich form przemocy.

Karen zerknęła na niego, jakoby go ponaglając, żeby coś powiedział.

- Trudno jest wybaczyć taką zdradę. Rowki zmarszczek na jego czole pogłębiły się.

- Wciąż się z tym zmagam - kontynuowała Karen. - On niedawno mnie przeprosił. Zaproponował, żebyśmy spróbowali jeszcze raz. - Lekko uniosła głowę. - W końcu pewnie dojdzie do tego, że mu wybaczę, jednak to wcale nie będzie znaczyć, że zechcę jeszcze raz pakować się w to wszystko. Wolę zostać sama, niż wrócić do związku, w którym nigdy nie będę równorzędnym partnerem.

- A może powinnaś wyjść za mąż jeszcze raz? - Scott, obserwując Karen, bawił się patykiem do lodów.

- Nie wiem. Uważam, że przysięga, którą złożyłam przed Bogiem, obowiązuje mnie do końca życia, niezależnie od zachowania Michaela. Ostatnio pytałam o to w modlitwie... Odpowiedź jest chyba jasna.

- Nie wierzę, żeby Bóg chciał, abyś została sama do końca życia.

- Niektórzy ludzie żyją w samotności. - Popatrzyła na Scotta. - Przecież ty się nigdy nie ożeniłeś, prawda? Znaczy... nie masz nic przeciwko temu, że pytam?

- Nie, nie mam. - Dziwne, ale o swoim życiu osobistym nigdy dotąd nie rozmawiał z nikim, poza członkami rodziny. - Rzeczywiście, nie ożeniłem się. Przeważnie znajdowałem się w drodze z jednego koncertu na drugi i nie miałem czasu na nic poza muzyką. Jednak teraz, gdy los oderwał mnie od takiego życia, nie sądzę, żebym potrafił do niego powrócić. Nigdy więcej nie będę nomadem.

- Co więc będziesz robić?

- Dobre pytanie. Sam chciałbym poznać na nie odpowiedź. - Scott uniósł lewą rękę i próbował energicznie poruszać palcami. - Wiele zależy od tego.

- A jak przebiega rehabilitacja?

- Cóż, odnoszę wrażenie, że jest trochę lepiej. Ale postęp jest tak powolny, że tylko ja go zauważam.

- A przecież mimo tej ułomności wykonujesz wspaniałą pracę jako kierownik chóru. I okazało się, że potrafisz też być nauczycielem muzyki.

- Jednak moim głównym instrumentem był saksofon, a mają pasję - występy na scenie.

- W przyszłości będziesz jeszcze mógł do nich wrócić. Musisz tylko być cierpliwy.

- Wielebny Richards udzielił mi takiej samej rady. Jednak cierpliwość nie jest moją zaletą.

- Przesadzasz. W ostatnim czasie jesteś bardzo cierpliwy, pracując z miernym chórem. A szczególnie z jedną chórzystką.

Scott popatrzył prosto w oczy Karen.

- W tym konkretnym przypadku bycie cierpliwym nie sprawia mi żadnych trudności.

- Rety, mam, muszę wracać do domu i się przebrać! Kristen pojawiła się przy nich niespodziewanie.

Karen oblizwała usta i popatrzyła na zegarek.

- Rzeczywiście! Nie miałam pojęcia, że czas tak szybko leci. Musimy już iść.

Kristen popatrzyła na pusty wafelek Scotta.

- Smakował panu lód?

- Był nadzwyczajny. Myślę, że odtąd znacznie częściej będę odwiedzał Pana Franka.

- Jest pan więc zadowolony, że przyjechał tu z nami?

- Bardziej niż zadowolony. - Zerknął na Karen, a jej policzki ślicznie się zaczerwieniły.

- To fajnie. Mamo, idziemy?

Nie czekając na odpowiedź, Kristen ruszyła do samochodu.

- Cóż, obowiązki wzywają. - Karen wstała z ławki i chciała pójść za córką.

- Tak. Mnie również. Czas na rehabilitację. Do zobaczenia jutro w kościele. - Scott odebrał od Karen papierową chusteczkę. — Ja to wyrzucę.

- Dzięki. Cóż... do jutra.

Scott pozostał jeszcze chwilę na miejscu, gdy Karen poszła do samochodu. Skręcając na parking, pomachała mu, a potem stracił ją z oczu.

Kiedy wsiadał do swojego auta i zapinał pas bezpieczeństwa, był już niemal pewien, że sopranistka o kasztanowych włosach nieprędko zniknie z jego myśli.

A to mogło być niebezpieczne, ponieważ kobieta o nie do końca sprecyzowanych poglądach na temat własnego stanu cywilnego - za to bardzo szybko zdobywająca jego serce - mogła być receptą na... wielką katastrofę.

- Mam dla ciebie trochę dobrych wiadomości. Karen popatrzyła na Val. Czekają właśnie w kolejce

w kafeterii, żeby złożyć swoje cotygodniowe zamówienia.

- Mama robi już takie postępy, że David ograniczył sesje terapeutyczne i teraz mają się odbywać tylko raz w tygodniu. Zanim wyjadę, jej rehabilitacja powinna się zakończyć.

- Rzeczywiście, dobra wiadomość. Karen zamówiła mrożoną herbatę.

- Dlaczego nie frappuccino? - zdziwiła się Val.

- Nie mogę sobie zanadto folgować. Dogodziłam sobie dziś przed południem lodami u Pana Franka.

Nie była to pełna prawda. Prawie nie tknęła swojej porcji lodów, jednak jej żołądek jeszcze się nie uspokoił po emocjach, jakich zaznała, siedząc obok Scotta na poplamionej ławce.

- Poszłaś do Pana Franka przed lunchem? No, to rzeczywiście nie było zbyt mądre.

- Szczerze mówiąc, można by tę wizytę uznać za łapówkę dla Kristen.

- Karen spróbowała uspokoić niespodziewanie szybkie bicie serca. — Potrzebowałam publiczności i doszłam do wniosku, że jeśli zabiorę ją do Pana Franka, własna córka zechce mi wcześniej poświęcić ze dwadzieścia minut.

- No, teraz jestem zaintrygowana. Do czego potrzebowałaś publiczności?

Karen postarała się, żeby jej głos zabrzmiał nonszalancko.

- Scott, dyrygent chóru, poprosił mnie, żebym zaśpiewała partię solową utworu, który chór wykona w czasie wieczoru dobroczynnego. Jest przekonany, że dobrze mi to wyjdzie, postanowiłam więc spróbować. Dzisiaj chciałam jednak poznać też opinię Kristen.

Jej siostra szeroko otworzyła usta ze zdziwienia.

- Do diabła, co on takiego zrobił, że cię do tego przekonał?

- Jeszcze mu niczego nie obiecałam. Zarezerwowałam sobie prawo do zmiany zdania nawet w ostatniej chwili.

- Uważam, że nie masz się nad czym zastanawiać. Napięcie zaczęło opuszczać Karen.

- Kristen powiedziała mi, że właśnie tak zareagujesz.

- Cóż, moja siostrzenica jest bardzo bystra. Kiedy usiadły z napojami przy małym stoliku,

Karen przez chwilę bawiła się długą słomką, po czym westchnęła.

- Ale pewnie mama pomyśli, że oszalałam.

- Daj sobie spokój z mamą!

- To samo powiedziała Kristen. Łatwiej jest jednak coś powiedzieć niż zrobić. Jeśli występ mi się nie uda, będę musiała słuchać jej „a nie mówiłam?” przez długie miesiące. A może nawet lata.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, że Scott chciałby cię wplątywać w przegraną sprawę. Nie uważasz?

- Na pewno nie chce mnie ośmieszyć, w to nie wątpię. Moim zdaniem jest przekonany, że dam sobie radę. Problem leży jednak we mnie. Poziom mojej pewności siebie jest tak niski, że...

- Chcesz posłuchać mojej rady? Zaufaj osądom Scotta i przestań się martwić, co sobie o tobie pomyślą



inni ludzie. A tak przy okazji... zauważyłaś, że od kilku dni nasza mama jest bardzo spokojna i cicha?

- Od środy z nią nie rozmawiałam, jednak ona i spokój to dwie ogromne sprzeczności. Co się dzieje?

- Nie wiem. Powiedziała mi, że chciałyby pójść jutro na cmentarz, a właściwie to chce, żebyśmy poszły tam wszystkie trzy. Chyba chodzi o jakiś rytuał związany z rocznicą urodzin taty. Jak myślisz?

- Nic z tych rzeczy. Chodziłam razem z nią na grób ojca w rocznicę jego śmierci, jednak nigdy mnie nie prosiła, żebym towarzyszyła jej w dniu jego urodzin.

- Interesujące. - Val postukała palcami o blat stolika. Na chwilę się zamyśliła. - Popatrz, kiedy we wtorek wracałyśmy z terapii, kazała mi się zatrzymać w sklepie Walmartu. Powiedziałam, że sama kupię jej, co tylko zechce, a ona na to, że musi to zrobić sama. Dla taty. Masz pojęcie, o co jej chodziło?

Robiło się coraz ciekawiej.

- Nic mi nie przychodzi do głowy.

- Hmm... Ustaliłam z nią, że pojedziemy na cmentarz jutro wieczorem, po kolacji. Pójdiesz z nami?

- Jasne. - Karen oparła brodę na dłoni. - Jestem bardzo ciekawa, co jej chodzi po głowie.

Val ciężko westchnęła.

- Znasz ją... Obie ją znamy... Pewnie do ostatniej chwili się nie dowiemy.

Zatrzymawszy samochód przed cmentarzem, Karen otaksowała wzrokiem suchą, spieczoną trawę. Chociaż była już siódma wieczorem, temperatura sięgała trzydzie-

stu pięciu stopni Celsjusza, było też nieprawdopodobnie wilgotno. Nie poruszał się żaden listek na drzewie, a mały cmentarz pozbawiony był jakiegokolwiek osłony przed niemiłosiernie prażącym słońcem.

- Mamo, jest bardzo duszno. W taki gorący dzień w ogóle nie powinnaś wychodzić z domu.

- Bywały już gorsze dni. - Margaret chwyciła wewnętrzną klamkę i otworzyła drzwi samochodu.

Karen popatrzyła ponad jej ramieniem na Val, która uniosła ręce w geście „co ja właściwie mogę zrobić?”.

- Mamo, poczekaj chwilę, zaraz cię wyprowadzimy. Margaret poczekała, aż Val i Karen znajdą się po jej

stronie auta. Z ich pomocą stanęła zaraz na betonowym podjeździe i po chwili weszła na wysuszoną trawę. Val chciała jej podać laskę, ale pokręciła głową.

- Już jej nie potrzebuję. David powiedział, że mogę chodzić bez niej.

- Ale na nierównym gruncie jeszcze ci się przyda. -Karen odebrała laskę od siostry.

Teraz, kiedy matka twardo zmierzała ku niezależności w poruszaniu się, ostatnią rzeczą, jakiej potrzebowały siostry, był jakiś drobny wypadek - chociażby naciągnięcie ścięgna czy pęknięcie kostki.

- W razie czego przytrzymam się was, dziewczęta. Nic mi się nie stanie.

Margaret złapała ramię Karen, jednak nie mogła już chwycić Val, ponieważ przeszkadzała jej torba z Walmartu.

- Przytrzymam ją - powiedziała Val i wyciągnęła rękę.

Po krótkim wahaniu Margaret oddała torbę i chwyciła córkę za ramię. Skinęła głową, patrząc lekko w prawo.

- To tam.

- Wiem, mamó.

Trzy kobiety powoli ruszyły w kierunku dobrze im znanego grobu. Karen mocno przytrzymała matkę. Ile samotnych wypraw odbyła do tego miejsca w pierwszych latach po śmierci ojca? Kontynuowała je, chociaż coraz rzadziej, nawet wtedy, kiedy rozpoczęła samodzielne życie, które szybko stało się nerwowe i gorączkowe.

Kiedy dotarły do prostego nagrobka, na którym zapisano tylko imię i nazwisko ojca oraz datę jego śmierci, gardło Karen ścisnęło się. Po tylu latach wciąż za nim tęskniła. Jednak przecież przeniósł się z tego świata w znacznie bardziej przyjemne miejsce. Wierzyła w to całym sercem i całą duszą. Zasługiwał na tę przeprowadzkę; jego życia u boku Margaret na pewno nie można było nazwać przyjemnym.

Jakby czytając w jej myślach, Margaret odezwała się głosem, który według jej kategorii był cichy i spokojny:

- Wasz ojciec nie miał łatwego życia, ale bardzo was kochał. Mnie również, zapewne znacznie mocniej, niż na to zasługiwałam.

Karen szeroko otworzyła oczy i wymieniła spojrzenia z Val. Od kiedy ich matka przyznawała się do popełnionych win?

- Podaj mi torbę, Val. - Margaret wyciągnęła rękę.

Val w ciszy wykonała polecenie. Mimo że Margaret lewą ręką poruszała już całkiem sprawnie, z trudem zaczęła otwierać przewiazaną skórzanym rzemieniem torbę.

- Może ci pomogę? - Karen podeszła bliżej matki.

- Nie, dam sobie radę.

Po chwili rzemień ustąpił i Margaret sięgnęła do środka torby. Wyciągnęła z niej paczkę lukrecji i kapelusz rodem z safari; przycisnęła wszystko do piersi i jeszcze

bardziej zbliżyła się do kamienia nagrobnego. Oparła na nim dłoń, po czym pochyliła się i położyła paczkę oraz kapelusz na kamieniu. Następnie wyprostowała się i przystanęła w milczeniu. Co, do ciężkiej cholery?..

Przez kręgosłup Karen przebiegł dreszcz obawy i popatrzyła na Val. Zaskoczenie na twarzy siostry było równie wielkie jak jej własna reakcja na dziwaczne zachowanie matki.

Jednak kiedy Margaret popatrzyła na córki, jej oczy były spokojne i klarowne.

- Nie, nie postradałam zmysłów. Chociaż pewnie obie odniosłyście takie wrażenie. - Wyciągnęła z kieszeni chusteczkę i zaczęła przecierać nią twarz. - Dzień jest naprawdę upalny, bez dwóch zdań. Jak zawsze, kiedy wasz ojciec miał urodziny...

Schowała chusteczkę z powrotem do kieszeni sukienki, znowu oparła się o nagrobek i gestem wskazała na rzeczy, które położyła na grobie.

- Nie wątpię, że się zastanawiacie, co to takiego i dlaczego chciałam tu dzisiaj przyjść.

Karen nie odpowiedziała jej. Milczała również Val.

- Oczywiście, że się zastanawiacie - kontynuowała Margaret, jakby w ogóle nie spodziewała się po córkach żadnej reakcji. - To długa historia, zaczniemy więc od tego. - Wskazała na słodycze i kapelusz na grobie. - Co roku pytałam waszego ojca, co chce dostać na urodziny, i zawsze odpowiadał tak samo: „Co powiedziałaabyś na lukrecje, Maggie? Albo kapelusz safari? Zawsze o tym marzyłem”. - Kanciaste rysy jej twarzy złagodniały. — Wiecie, czasami mówił do mnie „Maggie”. Był jedyną osobą na świecie, która tak się do mnie zwracała.

Po kilku sekundach zakaszła i odchrząknęła.

- W każdym razie moja odpowiedź na jego prośby zawsze była taka sama. Mówiłam: „Lukrecje zniszczą ci zęby, Bill. I na co ci kapelusz safari? Jak będziesz w nim wyglądał?”. A on na to: „Maggie, kochanie, te zęby przetrwają znacznie dłużej ode mnie. A gdybym miał kapelusz safari, to ścinając trawę, mógłbym udawać, że poluję na słonie w dzikiej Afryce”.

Margaret potrząsnęła głową. Jej oczy emanowały rzadkim u niej ciepłem i uczuciem.

- Wasz ojciec bywał bardzo zabawny, wiecie? - Kilka sekund upłynęło w ciszy i kiedy po chwili Margaret kontynuowała, w jej słowach słychać było żal. - Nigdy mu nie kupiłam lukrecji ani tego kapelusza. Uważałam, że słodycze mu szkodzą, a pomysł, żeby nosił kapelusz safari, uznałam za niepoważny.

Znowu przez chwilę patrzyła na prezenty, które przyniosła na grób, a potem odezwała się zamyślonym głosem:

- Pewnej nocy miałam szczególny sen. Rzadko mi się coś śni, jeszcze rzadziej zapamiętuję sny, jednak ten jeden szczególnie utkwił mi w głowie. Widziałam w nim waszego ojca, siedzącego na starej, zardzewiałej kosiarce, którą tak kochał. Jadł lukrecje, miał na głowie kapelusz safari i wyglądał na szczęśliwego. W pewnej chwili odezwał się do mnie: „To bardzo ważne, aby dawać ludziom rzeczy, na których im zależy, Maggie. Wciąż masz na to czas”.

Znowu wyciągnęła chusteczkę i wytarła czoło.

- Rozważałam te słowa przez długi czas. Początkowo uważałam, że Bill ma na myśli tylko słodycze i ten śmieszny kapelusz. Później jednak zrozumiałam, że miał na myśli coś innego. Chciał mnie nakłonić, żebym opowiedziała wam historię, dzięki której zrozumiałybyście, dlaczego jestem taka, jaka jestem. Dlaczego mam skłon-

ność do odpychania ludzi od siebie, szczególnie tych najbliższych.  
Schowała chusteczkę do kieszeni.

- Wiem, że nie byłam najlepszą matką ani najlepszą żoną. Dziękuję Bogu za każdy dzień, w którym Bill widział miłość w moim sercu, mimo że jej w żaden sposób nie okazywałam, i że zechciał mnie poślubić taką, jaka byłam. Jego oddanie dla mnie było najwspanialszym błogosławieństwem, jakiego kiedykolwiek zaznałam. Wy, dziewczęta, jesteście kolejnym błogosławieństwem mojego życia.

Zamilkła i znowu położyła dłoń na nagrobku.

- Naprawdę nie wiem, czy ten sen był wiadomością od waszego ojca, czy wołaniem mojego sumienia, jednak po długich rozważaniach postanowiłam, że wam opowiem... Niełatwo jest mi do tego wracać, nawet po wielu latach, nie zamierzam jednak niczego upiększać ani roztrząsać na wszystkie strony. Kiedy miałam jedenaście lat, molestował mnie mój ulubiony wujek. Brat mojej matki. Mężczyzna, którego kochałam, któremu wierzyłam i którego podziwiałam... To się zdarzyło trzykrotnie. Nigdy nikomu o tym nie powiedziałam, byłam zbyt zakłopotana i zawstydzona. Odnosiłam wrażenie, że byłam winna temu, co się stało.

Przełknęła ślinę i mocniej zacisnęła dłoń na płycie nagrobnej.

- Do tego czasu byłam wesołym, szczęśliwym dzieckiem. Ale później zamknęłam się w sobie. Nikomu nie ufałam i odpychałam od siebie tych ludzi, których powinnam kochać najmocniej. Tylko w taki sposób potrafiłam się bronić przed spodziewaną krzywdą. Wciąż bałam się, że moje zaufanie zostanie pogwałcone, że znowu ktoś zrobi mi...

Teraz Margaret przez chwilę głaskała nagrobek.

- Prawdę mówiąc nie wiem, jak to się stało, że wasz ojciec zakochał się we mnie. Dlaczego ze mną wytrwał. Ale bardzo mu jestem wdzięczna, że tak się stało. Przy nim nauczyłam się opuszczać moją tarczę. Pewnego dnia opowiedziałam mu tę historię i zrozumiał. Potrafił widzieć we mnie kobietę, którą mogłam się stać i którą od czasu do czasu byłam, ale tylko przy nim. Mocno wpojone przyzwyczajenia cofają się jednak z trudem i kiedy was urodziłam, całkowicie powróciłam do dawnego sposobu bycia. Nie z wyboru, oczywiście. Po prostu nic nie mogłam na to poradzić. Zaczęłam robić wszystko, żeby was od siebie odpychać... I wciąż w ten sposób postępuję. Również w stosunku do innych ludzi. Ale teraz przynajmniej wiecie dlaczego.

Margaret skupiła wzrok na leżących na grobie prezentach.

- Kiedy w ostatnich dniach rozmawiałam z Bogiem, zdałam sobie sprawę, że gdyby zawał mnie zabił, zostawiłabym na ziemi niedokończone sprawy. Wiem, że to głupie, ale chciałam przynieść te rzeczy Billowi i powiedzieć wam, co się ze mną stało, wierząc, że może dzięki temu zrozumiecie, dlaczego nie byłam taką matką, jaką powinnam być... I jaką, niestety, na tym etapie życia już zapewne nigdy nie będę.

Popatrzyła na córki.

- Wiem, że zrozumienie niczego nie zmieni, jednak być może znajdziecie chociaż sens w moim postępowaniu. Tym bardziej, jeśli wam powiem, że zawsze was kochałam, chociaż tego nie okazywałam. Jeśli chodzi o wybaczenie, pozostawiam to Bogu.

W ciszy, która nastąpiła po tym wyznaniu, jej dolna warga zaczęła się trząść.

- Jestem już gotowa, żeby odejść. I nie chcę już nigdy rozmawiać na ten temat.

Karen próbowała przetrwać zaskakującą opowieść matki, a tymczasem Margaret westchnęła i posłała Val speszony spójrzanie.

— Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby odebrało ci mowę - powiedziała. Następnie zwróciła się do Karen: -Będziemy tutaj stały przez cały wieczór? Jest nieznośnie gorąco, a poza tym latają już komary i zaraz zjedzą mnie żywcem.

Karen ujęła matkę pod ramię. Siostra dołączyła do nich z drugiej strony.

W czasie powolnej drogi powrotnej do samochodu trzy kobiety milczały.

Kiedy Karen usiadła za kierownicą, jej drżące ręce z trudem wsunęły kluczyki do stacyjki.

Co za dziwny wieczór.

Kiedy włączyła silnik i odjechała sprzed cmentarza, jej gardło ścisnęło się. Dzisiaj zobaczyła twarz matki, jakiej dotąd nie знаła i jakiej zapewne nie zobaczy nigdy więcej. I nabrała zrozumienia dla wydarzeń, które ukształtowały jej osobowość. Zapewne żądła, które tkwiło w niej, boleśnie przypominając o słowach i czynach matki przez te wszystkie lata, nie usuną wydarzenia tego jednego dnia. Nie poprawią też w znaczący sposób ich wzajemnych relacji, jednak z pewnością pomogą jej w zrozumieniu, że bezustanna krytyka ze strony matki właściwie nie była spowodowana zachowaniem Karen, lecz krzywdą i zdradą, jakiej matka zaznała w dzieciństwie ze strony człowieka, którego kochała i któremu ufała. Jej przyczyną był strach Margaret, która po tym wydarzeniu już nigdy nikomu nie pozwoliła się do siebie zbliżyć.



Karen popatrzyła na twarz Val, odbitą we wstecznym lusterku. Jakby wyczuwając intencje siostry, Val nie unikała jej spojrzenia. W jej oczach Karen dostrzegła to samo, co tkwiło w jej własnym sercu.

Było to zrozumienie, które łagodziło pamięć trudnych relacji pomiędzy matką a córką.

I wdzięczność za ostatni prezent, który obie otrzymały od ojca.

- Karen, mogłabyś do mnie podejść? Usłyszawszy w słuchawce wezwanie szefa, Karen

popatrzyła na swoje biurko, zarzucone startami papierów. Jeszcze tego brakowało - kolejnego polecenia od szefa w trakcie prac nad dopinaniem miesięcznego budżetu departamentu.

Tłumiąc westchnienie, odpowiedziała:

- Zaraz będę.

Odłożyła słuchawkę telefonu na widełki, wpisała do komputera jeszcze kilka liczb, po czym wzięła do ręki notes i długopis.

Harold Simmons siedział za biurkiem. Jak zwykle, promienie słońca, przebijające przez szyby wielkiego okna za jego plecami, odbijały się w jego łysinie, przywodząc Karen na myśl srebrne refleksy na błyszczącej stalowej kuli, którą jej ojciec ustawił kiedyś w ogrodzie różanym.

Jednak pod czujnym wzrokiem szefa wspomnienia te natychmiast ją opuściły - uleciały w dał równie szybko, jak przestraszony jeleń, którego przed kilkoma laty dostrzegła na poboczu drogi.

Jeszcze zanim przekroczyła próg, Harold Simmons

zaczął wyrzucać z siebie polecenia z prędkością karabinu maszynowego.

- Otrzymaliśmy zgodę na uruchomienie w naszym oddziale kolejnego etatu. Chodzi o stanowisko młodszego analityka finansowego. Zależy mi, żeby przygotowała pani opis niezbędnych na tym stanowisku kwalifikacji oraz listę wymagań wobec osoby, która je zajmie, a także zaproponowała mi kilka nazwisk naszych pracowników do rozważenia. Jak najszybciej.

„Jak najszybciej”, czyli do końca dnia pracy. A więc w ciągu dwóch godzin. To oznaczało, że będzie musiała zostać po godzinach, żeby dokończyć zmagania z budżetem.

Nadzieje Karen na spokojny wieczór w domu wyparowały.

- Dobrze, zaraz się tym zajmę.

Wróciwszy do swojego biurka, odłożyła na bok dokumenty dotyczące budżetu i skupiła się na zleconym jej przez Harolda zadaniu. Na szczęście pracowała tutaj już wystarczająco długo, by mieć kontakty w departamentach zasobów ludzkich, kompensacji i zarządzania; to stamtąd musiała teraz wydobyć potrzebne informacje.

Dziesięć minut przed piątą jej raport był już kompletny.

Wydrukowawszy opis stanowiska, jeszcze raz zerknęła na listę potencjalnych kandydatów do jego objęcia. Kiwnęła głową z satysfakcją, zebrała dokumenty, podniosła się z krzesła i... nagle zamarła.

Chwileczkę.

Przecież ona sama mogłaby objąć tę funkcję, prawda? Jasne.

Przecież знаła doskonale całą firmę i branżę. Poza tym, od kiedy osiem miesięcy temu awansowała na sta-

nowisko asystenta do spraw administracyjnych, przejęła odpowiedzialność za wiele znaczących kwestii związanych z konstruowaniem budżetu i analizami finansowymi.

Tak, to było stanowisko dla niej. Gdyby je objęła, awansowałaby w hierarchii zawodowej, a to przyniosłoby jej wiele dodatkowych korzyści, nie licząc wyższego wynagrodzenia.

Czy miała jednak dość śmiałości, aby złożyć swoją aplikację?

Wróciła za biurko.

Jeszcze kilka tygodni temu odpowiadałaby na to pytanie przeczeniem, i to bez zastanowienia. Ale dzięki Val i Scottowi, którzy namawiali ją do coraz bardziej śmiałych poczynań, zaczęła stopniowo odzyskiwać kontrolę nad swoim życiem. Uczyła się, że jej celem nie może być wyłącznie dążenie do zadowalania innych ludzi ani bezustanne poszukiwanie pochwał za to, co robi. Ze powinna sięgać wyżej, niż dotąd marzyła.

Kilka dni wcześniej Scott powiedział jej, że wielkie sukcesy osiągają tylko ci ludzie, którzy ośmielają się po nie sięgać.

Szybko otworzyła w komputerze listę z nazwiskami, po czym dopisała do niej swoje nazwisko. Zawahała się... Po chwili przeniosła to nazwisko na szczyt listy. Wreszcie wydrukowała dokument.

Pięć minut później weszła do gabinetu i oddała szefowi cały przygotowany materiał. Nie musiała koniecznie dostać tej pracy, jednak nigdy nie będzie miała do siebie pretensji, że przynajmniej nie spróbowała.

Zresztą i tak wykonała wielki krok naprzód.

Bębniąc palcami o kierownicę, Karen popatrzyła na zegarek. Czekwała na skrzyżowaniu na zmianę świateł. Zanim przygotuje obiad, Kristen niemal umrze z głodu, ale cóż mogła na to poradzić? Szef nie dbał o to, że jego dodatkowy projekt zachwiał całym dzisiejszym planem pracy Karen; pracę nad budżetem i tak musiała skończyć. Musiała także dotrzymać obietnicy, którą dała wielebnemu Richardsowi i po drodze do domu odebrać z kościoła projekt ulotki z programem wieczoru dobroczynnego.

Modląc się, żeby w poniedziałkowy wieczór na poboczach nie czaili się gorliwi policjanci z drogówki, mocno naciskała pedał gazu i kilka skrzyżowań przejechała na żółtym świetle.

Zajechawszy na parking przed kościołem, szybko złapała za torebkę i niemal pobiegła w kierunku drzwi. Kiedy się znalazła tuż przed nimi, zaczęła szukać wzrokiem koperty, którą duchowny obiecał dla niej zostawić w drzwiach, gdyby się spóźniła.

Nic.

Może oparł ją o mur za donicą z przerośniętymi petuniami, chroniąc ją przed deszczem, który zapowiadały ciemne chmury na niebie?

Podbiegła po schodach do drzwi i wtedy usłyszała zduszony, lecz wyraźny dźwięk saksofonu; docierał do niej przez wąską szparę w ciężkich dębowych drzwiach kościoła. Karen natychmiast przystanęła.

To musiał być Scott.

Zapomniawszy o sprawie, którą miała do załatwienia, podeszła bliżej i lekko uchyliła drzwi. Scott grał jakiś utwór bluesowy, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

Melodia tak mocno tętniła emocjami, że wzdłuż kręgosłupa Karen przebiegł krótki dreszczyk. Choć Scott kilkakrotnie zagrał złe nuty, melodia była naprawdę mocna, pełna bólu, rozpacz i cierpienia. Karen odniosła wrażenie, że niemal czyta jego pamiętnik.

Kiedy ucichły ostatnie dźwięki, uspokoiła oddech i mocniej pchnęła drzwi. Do kościoła wdarły się promienie zachodzącego słońca i jasno oświetliły mężczyznę, stojącego w sanktuarium. W kościele uniosła się złota poświata.

Karen zdołała wypowiedzieć tylko:

- O kurczę.

Scott powoli opuścił saksofon.

- Nie wiedziałem, że mam publiczność.

W przeciwieństwie do pierwszego razu, gdy weszła bez ostrzeżenia do kościoła i słuchała, jak Scott gra na pianinie, tym razem ani się nie złościł, ani jej niczego nie wyrzucał. Zdawał się trochę... wstrząśnięty.

- Nie wiedziałam, że jeszcze grywasz na saksofonie.

- To był pierwszy raz od czasu... od wypadku. I szło mi raczej kiepsko.

- Tak, kilkakrotnie zafałszowałeś, jeśli o to ci chodzi, ale siła tej muzyki... sposób, w jaki grasz... emocje... -Karen potrząsnęła głową. Brakowało jej słów. - Posiadasz nieprawdopodobny dar.

Scott poczerwieniał, gdy niemal z uwielbieniem lekko głąskał lśniący mosiężny instrument.

- Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś wezmę go do ręki.

- Więc dlaczego jednak to zrobiłeś?

- Z powodu tego, co wydarzyło się wczoraj po nabożeństwie. Zostałem w kościele, żeby trochę poćwiczyć, ale wkrótce zjawił się Steven i poprosił mnie, żebym

mu pomógł we fragmencie utworu, który przygotowuje na wieczór dobroczynny. To bardzo trudny moment i zamiast pokazać mu, jak powinien układać palce na klawiaturze, postanowiłem najpierw wykonać ten utwór samodzielnie. Grając, zdałem sobie sprawę... - głos trochę mu ochryplł i Scott odchrząknął. - No i stwierdziłem, że moje palce pracują nadspodziewanie dobrze. Oczywiście, nie perfekcyjnie, ale ich stan poprawił się na tyle, że postanowiłem odkurzyć mój saksofon.

Popatrzył na lewą dłoń i przełknął ślinę, poruszając jabłkiem Adama. Mijały sekundy, a ciszę zakłócały jedynie odległe grzmoty. Karen postanowiła wyjść z kościoła. Nie przeszkadzać Scottowi. Postępować ostrożnie.

Ale zanim zdołała swoje postanowienie wcielić w czyn, Scott dotknął ręką jej dłoni i popatrzył jej w oczy.

Wstrzymała oddech.

Nagle zaczęło pomiędzy nimi pulsować coś równie ważnego i silnego, jak muzyka, którą zaledwie przed chwilą grał Scott.

Wyciągnął swobodną rękę w jej kierunku, a pod nią ugięły się kolana.

- Karen, ja...

- Scott? To ty?

To bez wątpienia był głos wielebnego Richardsa. Karen westchnęła i cofnęła się o krok, a Scott natychmiast puścił jej dłoń. Kiedy odwrócił się ku drzwiom, które właśnie otworzył duchowny, zauważyła jeszcze w jego oczach błysk rozczarowania.

- Tak, to ja. - Jego głos był chropowaty i suchy. Wielebny Richards wszedł do kościoła i skierował się ku Scottowi i Karen.

- Zauważyłem światło. Nie wiedziałem, że dzisiaj

tu będziesz... Karen, przyniosłem dla ciebie materiały. Mam nadzieję, że nie czekałaś zbyt długo.

- Nie - zapewniła. Jej głos zabrzmiał skrzekliwie i cicho. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz: -Dopiero co przyszedłem.

- Wspaniale. Miałem przyjść wcześniej, ale miałem urwanie głowy w biurze parafialnym. - Wręczając Karen kopertę, zwrócił się do Scotta: - Co cię tu sprowadza w poniedziałkowy wieczór?

- Ja... cóż, trochę ćwiczyłem. Duchowny uśmiechnął się.

- Tylko żebyś nie przesadził. Aż tak dużo ci nie płacimy. - Popatrzył na zegarek i potrząsnął głową. -Znowu się spóźnię na kolację. Dzięki Bogu, mam wyrozumiałą żonę! Do zobaczenia w niedzielę.

Kiedy ruszył do wyjścia, Karen natychmiast poszła w jego ślady.

- Ja też muszę już iść - powiedziała. - Kristen czeka na kolację, a ona nie jest aż tak cierpliwa jak pańska żona, pastorze.

Stanąwszy na progu, pastor zawołał jeszcze do Scotta:

- Wychodząc, zamknij kościół na klucz, dobrze?

- Oczywiście.

Karen nie chciała już odwracać głowy - ale się przed tym nie powstrzymała.

Scott stał w tym samym miejscu, w którym go zostawiła, i patrzył na nią.

Nagle przegięł ją jakby impuls elektryczny, który z pewnością nie miał nic wspólnego z przedburzowym powietrzem, zwiastującym wyładowania.

Scott zrobił krok w jej kierunku.

Z gwałtownie bijącym sercem, Karen wyszła z koś-

ciola, potknęła się na schodach, a potem niemal pobiegła do samochodu.

Kiedy wsunęła się na fotel za kierownicą, jedna rzecz stała się dla niej jasna.

W perfekcyjnym świecie mogłaby odłożyć decyzję o wniknięciu się w romans, dopóki życie trochę nie zwolni i nie da jej czasu na myślenie.

Ale jej świat po prostu nie był perfekcyjny. Zaczynało w nim brakować czasu.



Starając się nie słyszeć rozmów ludzi przebywających razem z nią w poczekalni centrum terapii, Val próbowała czytać thriller, który ostatnio zbierał niezwykle entuzjastyczne recenzje. Wszystkie z pewnością były zasłużone. Książka miała wartką akcję, starannie zarysowane, wyraziste postaci i doskonale skonstruowaną intrygę.

A jednak fabuła nie wzbudzała jej zainteresowania z powodu dramatu, który rozgrywał się w jej własnym życiu.

Z westchnieniem rezygnacji zamknęła w końcu książkę i oparła głowę o ścianę. Za niecałe trzy tygodnie miała wrócić do Chicago, a tymczasem jej walka o odkupienie duszy wciąż nie zakończyła się sukcesem.

Tym niemniej podróż w rodzinne strony przyniosła kilka pozytywnych rezultatów. Wraz z Karen stały się siostrami-przyjaciółkami, jakimi za młodych lat nigdy nie były, a niespodziewane wyznanie Margaret wyjaśniło im - o ile nie usprawiedliwiło - powody oschłości, z jaką traktowała córki przez wiele lat.

Jeśli zaś chodziło o Davida...

Zamknęła oczy.

Jak miała postępować z mężczyzną, który kusił ją, żeby złamała wszystkie zasady dotyczące związków, których trzymała się przez osiemnaście lat?

Wiedziała, że musi znaleźć w sobie siłę, która pozwoli jej postąpić właściwie. I próbowała tego. Bardzo intensywnie. Być może taktyka unikania go była tchórzostwem, jednak w mniejszym lub większym stopniu sprawdzała się. Źle, że Margaret kazała jej dzisiaj pozo-

stać w tej poczekalni na wypadek, gdyby sesja terapeutyczna zakończyła się wcześniej. Gdyby nie to, wyszłaby stąd i wróciła akurat na czas, żeby odebrać matkę, tak jak to już robiła kilka razy.

Drzwi gabinetu zabiegowego otworzyły się. Val uniosła głowę i w progu ujrzała Davida. W rękach trzymał papierowe kubki z kawą.

Jeden z nich wyciągnął w kierunku Val.

- Dasz się skusić? Co za pytanie.

Nie czekając na jej reakcję, wyszedł do poczekalni i usiadł na krześle obok niej. Nie licząc starszego mężczyzny, który pochłonięty był jakimś tekstem w magazynie wędkarskim, byli w pomieszczeniu tylko we dwoje.

- Ostatnio mało cię widuję. - David podał Val jeden z kubków.

- Byłam w kościele.

- Ale zniknęłaś, zanim zdołałem się z tobą przywitać. A w czasie terapii matki gdzieś wychodzisz.

- Jestem zajęta. - Upiła łyk kawy, parząc wargi.

- Victoria pyta o ciebie.

Val zmusiła się, żeby popatrzeć Davidowi w oczy.

- Za trzy tygodnie stąd wyjadę. Lepiej, jeśli nie będę jej widywała. Mogłaby się do mnie przywiązać, a przecież życie przyniosło jej już wiele rozczarowań.

- Przypuszczałem, że tak właśnie myślisz. I zgadzam się z tobą: dla ludzi w każdym wieku utrata kogoś, kogo się lubi i ceni, bywa bardzo trudna. - Teraz David upił łyk kawy, bardzo powoli. - Słyszałem, że w miejscowej szkole średniej ogłoszono konkurs na nauczyciela literatury i języka angielskiego. Ktoś z twoimi kwalifikacjami doskonale by pasował na to stanowisko.

Minęła długa sekunda, zanim do Val dotarło znaczenie jego słów.  
Kiedy to się stało, serce Val zaczęło bić nierównym rytmem.

*Nie. Niemożliwe.*

David chciał, żeby tutaj została. Żeby zaczęła nowe życie w Waszyngtonie, razem z nim i z Victorią.

Przypomniała sobie, że musi oddychać i ujęła kubek z kawą w obie ręce. Od dnia, kiedy wyjechała stąd do college'u, ani razu nie rozważała możliwości powrotu i ponownego zamieszkania w tym miejscu. Sama myśl o tym napawała ją wstrętem.

A teraz mężczyzna, z którym zaprzyjaźniła się dzięki siostrze, prezentował przed nią kuszącą wizję przyszłości, która od dawien dawna wydawała się dla niej niedostępna.

Tyle że przecież z Davidem nie było dla niej żadnej przyszłości. Był miłym i dobrym człowiekiem i z pewnością nigdy by jej nie wybaczył tego, co zrobiła. Tym bardziej, że tak bardzo wspierał każdą formę życia, że tak mocno zaangażował się w działalność dobroczynną na rzecz ratowania nienarodzonych dzieci.

Musiała się z tym pogodzić.

Pozostanie w Waszyngtonie nie wchodziło w grę tak samo, jak nie wchodziło w grę wtedy, gdy wyjeżdżała do college'u.

David przerwał przedłużającą się ciszę.

- Victoria byłaby szczęśliwa, gdybyś została. Ja również.

Val potrząsnęła głową, starając się pohamować łzy.

- To by się nie udało.

- Skąd wiesz, skoro nie zechcesz spróbować?

- Uwierz mi. Wiem.

Otworzyły się jakieś drzwi i starszy mężczyzna, którego teraz wezwwała terapeutka, odłożył na stolik kolorowy magazyn wędkarski. Kiedy mężczyzna wszedł do gabinetu, David odstawił kubek, delikatnie wyjął ten tkwiący w rękach Val i - zanim zdała sobie sprawę, co zamierza - ujął jej chłodne palce swoją ciepłą, dużą dłonią.

Przebiegł ją gorący dreszcz.

*Odejdź! Już, teraz, dopóki nie jest za późno!*

Ale nie ruszyła się.

- Val... Już chyba zrozumiałaś, że uważam cię za nadzwyczajną kobietę. - Jego głos i wyraz twarzy były poważne jak nigdy dotąd. - I wiem, że też czujesz, że coś się między nami dzieje, widywałem to na twojej twarzy. Wiem też, że są sprawy, przez które będziemy musieli przebrnąć, jeżeli się ze sobą zwiążemy. Zaufaj mi, męczyłem się z tą myślą przez wiele bezsennych nocy i doszedłem do wniosku, że powinniśmy spróbować...

- David, ja... Uniósł rękę.

- Pozwól mi dokończyć, dobrze? Nie jestem dobrym mówcą, przychodzi mi to z pewną trudnością...

Val zamknęła usta.

- Wiem, że nie wróciłaś tego lata do domu, żeby szukać miłości. Ja też nie przyjechałem do Waszyngtonu w tym celu, ale czasami los bywa przekorny. Czasami bywa tak, że wtedy, gdy się tego najmniej spodziewasz, ktoś wkracza w twoje życie i je całkowicie odmienia, albo wręcz staje się jego częścią. Nie wiem, czy tak będzie z nami, ale chcę się przekonać. Zrób mi tę uprzejmość i pomyśl o pozostaniu tutaj, o nowej pracy w szkole,

i podejmij ostateczną decyzję dopiero wtedy, kiedy gruntownie wszystko przemyślisz.

*Nie igraj ani z jego, ani ze swoją nadzieją. Po prostu powiedz nie. Skończ to już teraz.*

A jednak, kiedy Val otworzyła usta, popłynęły z nich zupełnie inne słowa.

- Chyba... chyba się nad tym zastanowię. - Zachowała na szczęście dość przytomności umysłu, żeby zastrzec: - Ale niczego nie obiecuję.

- Na razie to wystarczy. - David uśmiechnął się i ucisnął jej dłoń. - Margaret chyba już kończy. Muszę do niej wrócić.

Wstał i zaskoczył ją ponownie, składając na jej czole delikatny pocałunek.

- Do zobaczenia - wyszeptał. I wyszedł.

Pozostawił jednak za sobą ten szept oraz coś, czego Val nie odczuwała już od bardzo dawna i czego tak bardzo pragnęła.

Nadzieję.

Czy jednak miała prawo jej ulec?

Kiedy Karen weszła do gabinetu Harolda Simmonsa, ten akurat oglądał sobie paznokcie.

- Proszę mi powiedzieć, dlaczego sądzi pani, że lepiej nadaje się na to stanowisko niż pozostałe osoby z listy?

Zamrugnęła oczami, starając się ukryć zaskoczenie. Opis stanowiska i listę potencjalnych kandydatów dała mu przecież zaledwie dwa dni temu. Szef nigdy dotąd nie reagował tak szybko na informacje, które od niej otrzymywał.

— Zdaje się, że moje pytanie panią zdziwiło. - Zmierzył ją jednym z tych budzących trwogę spojrzeń, jakie zwykle rezerwował dla swoich managerów.

W porządku. Już wiele razy widziała tę jego gierkę. Zaczynał od rzucenia niespodziewanego i podchwytliwego pytania. Uważnie obserwował, jakie wrażenie wywołuje nim na swojej ofierze. Ci, którzy nie wytrzymywali presji, którym odbierało mowę albo zaczęli się jąkać, czerwienieli, nie mieli szansy na zrobienie kariery.

Ale Karen nie zamierzała dzielić losu tych ludzi.

Usiadła na jednym z krzeseł przed jego biurkiem i założyła nogę na nogę. Przyjęła postawę otwartą, a nie obronną.

— Zaskoczona jestem raczej terminem rozmowy, a nie samym pytaniem. Mój raport otrzymał pan w poniedziałek wieczorem, a przecież cały wczorajszy dzień był pan w delegacji.

- W świecie biznesu sprawy czasami toczą się bardzo szybko, a będą się toczyć jeszcze szybciej dla osoby, która obejmie nowe stanowisko. Poszukuję kogoś sprawnego, kto da sobie radę z wieloma bardzo odmiennymi obowiązkami.

- W takim razie doskonale pasuję. - Karen zaczerpnęła tchu. - Ukończyłam ekonomię ze specjalizacją w finansach. Na obecnym stanowisku zajmuję się budżetem naszego departamentu. Jak pan wie, nie tylko dodaję i odejmuję, ale też planuję i przeprowadzam analizy, że nie wspomnę o comiesięcznym spinaniu wydatków i dochodów. Oprócz tego realizuję mnóstwo innych zadań. Nigdy nie zawałam żadnego terminu, w pracy jestem sprawna i dokładna. — Przerwała na moment, po czym podjęła: - A jeśli chodzi o dawanie sobie rady

z różnymi, odmiennymi obowiązkami... Moje życie osobiste jest doskonałym przykładem na to, że potrafię sobie z nimi dawać radę. Poza pracą, która często wymaga pozostawania w biurze po godzinach, samotnie wychowuję nastoletnią córkę. Aktywnie działam w kościele, od wielu lat opiekuję się niedołęzniejącą matką. Właściwie, jeżeli chodzi o różnorodność realizowanych obowiązków, jestem ekspertem.

Zapadła cisza. Harold Simmons analizował jej odpowiedź, a Karen wstrzymała oddech. Zaprezentowała mu swoje kwalifikacje i umiejętności pewnym, zdecydowanym głosem, nie chełpiąc się, w niczym nie przesadzając. Prawdę mówiąc, tym tonem i pewnością zaskoczyła nawet samą siebie.

Kiedy szef po chwili spojrzał na nią, ujrzała w jego oczach błysk, jaki pojawiał się w nich bardzo rzadko; był to błysk podziwu.

Po chwili pochylił się nad biurkiem i przysunął do siebie jakieś papiery; znak, że spotkanie dobiegło końca.

- Poproszę o streszczenie tego wszystkiego na piśmie. Później jeszcze raz porozmawiamy.

Dopiero kiedy Karen usiadła za swoim biurkiem, zdała sobie sprawę, że trzęsą jej się nogi.

W głębi duszy czuła się jednak bardzo silna.

Szkoda, że Val tego nie widziała. Nie znała swojej starszej siostry z tej strony i pewnie byłaby z niej dumna.

- Dobrze. Popracujmy nad drugim utworem, który wykonamy na wieczorze dobroczynnym. Poprosiłem Karen, żeby śpiewała jego fragment solowy. Karen, za pierwszym razem będę śpiewał razem z tobą.

Fala paniki zalała ją, kiedy pozostali chórzys'ci posłali jej zaciekawione spojrzenia. Ostatnia próba ze Scottem przebiegła dobrze, po jej zakończeniu doszła więc do wniosku, że jest gotowa na solowy debiut przed chórem.

Ale teraz nie była już tego taka pewna. Strach zapchał jej gardło i nagle zwątpiła, czy zdoła wydusić z siebie jakikolwiek odgłos, poza niezrozumiałym charkotem.

- Gotowa, Karen?

Popatrzyła na Scotta, który wzrokiem dodawał jej odwagi, a przekaz, który do niej kierował, był jasny:

*Dasz radę. Zresztą, przez cały czas będę śpiewał z tobą, aż nie poczujesz, że możesz to robić sama.*

Karen głęboko westchnęła i lekko skinęła głową.

Pierwsza wspólna próba była bardzo niedoskonała. Druga - trochę lepsza. Kiedy w trakcie trzeciej Scott nagle urwał śpiew, głos Karen lekko osłabł, jednak kontynuowała. I z każdą kolejną powtórką jej śpiew był mocniejszy.

Wreszcie Scott zamknął nuty i wstał.

- Wspaniale - powiedział. Badawczym wzrokiem otaksował cały chór, ale na dłużej spojrzenie zatrzymał na Karen. - Myślę, że ten fragment wywrze na widzach spore wrażenie. Do zobaczenia w niedzielę i... wracajcie do domu ostrożnie. Jeżeli deszcz nadal będzie padał tak mocno, przyjdzie nam zbudować arkę.

Jego ostatnie słowa wywołały ogólną wesołość. Rozległ się szelest papieru, gdy chórzys'ci zaczęli składać nuty, zbierając się do odejścia. Kilkoro z nich zatrzymało się jeszcze, obsypując Karen komplementami. Kiedy kościół opustoszał, wręcz pływała w morzu pochwał.

- Widzisz? Mówiłem ci, że jesteś dobra.



Usłyszawszy słowa Scotta, Karen odwróciła się. Stał oparty o pianino, nogi miał skrzyżowane, a ramiona złożone na piersiach.

- Chyba naprawdę nie jestem taka najgorsza. Zamiast odpowiedzieć, Scott włożył ręce do kieszeni i ruszył w jej kierunku.

- Niewiele potrzeba, żeby cię uszczęśliwić, co? Kilka komplementów i już kwitniesz.

- Właściwie nie chodzi tylko o to. Dzisiaj w pracy dostałam awans.

Bardzo chciała komuś o tym opowiedzieć już od chwili, gdy o piątej po południu Harold Simmons wezwał ją do gabinetu. Jednak Kristen przebywała w St. Louis - miała spędzić noc u ojca - a Val nie odbierała komórki.

- Nic zatem dziwnego, że wyglądasz na szczęśliwą. Coś mi się wydaje, że powinniśmy uczcić twoje sukcesy. Zaprosiłbym cię do Pana Franka, jednak pogoda nie sprzyja spędzaniu czasu na poplamionej żywicą ławeczce. Może zjedlibyśmy deser w tej restauracyjce nad rzeką, niedaleko dworca kolejowego?

Karen знаła tę restaurację. Chodziło się tam uczcić specjalne okazje, więc nie bywała w niej zbyt często. Ale jeśli jej dzisiejszy sukces zawodowy i debiut solowy nie były taką okazją, to co mogłoby nią być?

- Byłoby miło. Dziękuję. Uśmiech Scotta stał się szerszy.

- Doskonale. Możemy pojechać moim samochodem.

Sama ze Scottem w jego samochodzie. W czasie potężnej burzy. Odizolowani od świata, a dookoła nich naelektryzowane powietrze.

Nie najlepszy pomysł.

Musiała jeszcze wiele przemyśleć przed podjęciem tego typu ryzyka.

- Widzisz, z restauracji będę miała blisko do domu, a straciłabym mnóstwo czasu, gdybyśmy potem wracali pod kościół, żebym mogła odebrać mój samochód — mówiła obojętnym tonem. - Może po prostu tam się spotkamy?

Scott przystał na to, kiwając głową.

- W takim razie do zobaczenia w restauracji. Piętnaście minut później, gdy pośród deszczu wybiegała z samochodu, już czekał na nią w restauracji.

- Co za deszczysko! - Złożyła i otrząsnęła parasol.

- Z pewnością nie zakłóci nam przyjęcia. - Scott ujął Karen pod ramię i poprowadził ją za hostessą pomiędzy stoliki.

Jego dotyk był łagodny i grzeczny, nic ponadto, a jednak wzdłuż kręgosłupa Karen przetoczył się miły dreszczyk.

Kiedy zajęli miejsca przy oświetlonym świecami stoliku, pojawiła się kelnerka, żeby przyjąć ich zamówienie. Scott zaczął przeglądać menu.

- Na co masz ochotę?

- Mają tutaj fantastyczny placek z nadzieniem z zielonych jabłek, z cudownym sosem. Jest przepyszny i ma mnóstwo kalorii... jednak dzisiaj nie będę się nimi przejmowała!

- Nie wyglądasz na kobietę, która musi dbać o linię i kropka - zauważył zdziwiony.

- Właśnie dlatego, że o nią dbam, czasami z wielkim wysiłkiem - pokiwała głową.

Chociaż dzisiaj dawno już zapomniane frytki oraz desery, które porzuciła, nie wywoływały u niej tęsknoty,

a ofiara złożona na rzecz odzyskania szczupłej sylwetki wcale nie wydawała się wielka.

- Poprosimy dwie porcje placka z zielonymi jabłkami - zamówił Scott i oddał menu.

- Dobry wybór. Ten placek to nasza specjalność - pochwaliła kelnerka.  
- Muszę jednak państwa uprzedzić, że placki pieczemy dopiero po przyjęciu zamówienia; trzeba na nie czekać mniej więcej trzydzieści minut.

Scott popatrzył na Karen.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu...

- Ależ, odpowiada mi to.

Kiedy kelnerka poszła do kuchni, Karen potrząsnęła głową.

- Jutro rano pewnie słono zapłacę za to wieczorne zapomnienie - powiedziała. - Ale zasady są po to, żeby je łamać, prawda?

- Często rzucasz sobie ostrzeżenia, które potem lekceważysz?

- Wcale nie, jestem na to zbyt praktyczna i ułożona. Ale od czasu do czasu owszem, przydaje mi się trochę szaleństwa.

Usta Scotta lekko zadrżały.

- Późne pójście do łóżka i opychanie się deserem to przecież nic szalonego.

- Dla mnie tak.

Scott lekko przechylił głowę, obserwując Karen.

- Chcesz powiedzieć, że prowadzisz nudne życie pod ochronnym kloszem?

- Raczej bardzo spokojne, to jest lepsze słowo.

- A ponieważ jesteś bardzo spokojna, ludzie wchodzą ci na głowę, prawda?

- Lepiej nie uważaj mnie za kogoś takiego, bo możesz się pomylić.

Miło było to usłyszeć.

Karen oparła łokcie na stole i splotła palce obu rąk.

- Już taka nie jestem. Ale przez większość życia decyzje, które podejmowałam, miały na celu głównie zadowalanie innych. Matki, męża, córki, przyjaciół, znajomych... Nauczyłam się już jednak, że pomiędzy egoizmem a szacunkiem dla siebie przebiega cienka linia. Dopiero po wielu latach zrozumiałam, że moja wartość wcale się nie opiera na zdolności do zaspokajania oczekiwań innych ludzi.

- Całkiem zdrowa postawa. Pochwalisz się, o jaki awans chodzi?

Opowiedziała mu szczegółowo, co chwilę odpowiadając na jakieś krótkie pytanie, a kiedy skończyła, potrząsnęła głową.

- Szczerze mówiąc, wciąż jestem w szoku. Aż nie wierzę w to, co się stało.

- Dlaczego?

- Nie wiedziałam, że mam w sobie aż tyle... asertywności. Tego lata nauczyłam się jednak wiele od Val. Ona od zawsze jest pewna siebie i nigdy nie pozwala, żeby inni ludzie dyktowali jej, jak się powinna zachowywać. Szkoda, że nie poszłam za jej przykładem już dawno.

- Osobiście bardzo lubię takie kobiety, które wiedzą, czego chcą i uparcie dążą do osiągnięcia tego czegoś.

Ujrawszy na ustach Scotta powoli rozkwitający, czuły uśmiech, Karen zmieniła temat.

- Cały czas rozmawiamy o mnie. Powiedz mi teraz coś o sobie. Jak ci idzie nauka ze Stevenem?

Scott podjął temat i wciąż rozmawiali o jego uczniu, kiedy przy stoliku zjawiała się kelnerka z deserem.

- To wygląda wspaniale. - Scott popatrzył na placek i natychmiast chwycił łyżeczkę.

- Bo jest wspaniałe. - Karen zaczęła jeść. - Zastanawiałeś się już, dokąd stąd wyjedziesz? Pewnie teraz, gdy znowu grasz na saksofonie, jeszcze bardziej będzie ci się śpieszyć?

- Możesz mi wierzyć albo nie, ale poważnie się zastanawiam nad pozostaniem w Waszyngtonie.

Łyżeczka Karen zastygła w połowie drogi do ust.

- Mówisz serio?

- A dlaczego nie? To bardzo miłe miasteczko, a pobliskie St. Louis jest doskonałym miejscem, żeby od czasu do czasu zagrać jakiś większy koncert. Odkryłem też, że lubię nauczać. W Waszyngtonie na pewno jest dość pracy dla mnie. A co ty o tym myślisz?

Karen opuściła łyżeczkę na talerzyk i przez chwilę udawała, że zdrapuje z niego kawałek ciasta.

Przecież to nie była już rozmowa tylko i wyłącznie o tym, gdzie Scott będzie wkrótce mieszkał.

On właśnie ją pytał, czy powinien tutaj zostać, ale jednocześnie pytał ją o to, czy jej na tym zależy.

A zależało.

Mówiło jej o tym serce, nawet jeśli umysł jeszcze się z tym nie pogodził.

Jej puls przyśpieszył, gdy popatrzyła Scottowi w oczy.

- To wygląda na bardzo rozsądny plan. Wytrzymał jej wzrok, po czym uśmiechnął się do

niej w taki sposób, że zrobiło jej się bardzo gorąco, od głowy po palce u nóg.

- A zatem bardzo poważnie się nad nim zastanowię. Później ich rozmowa przeszła na mniej osobiste

tematy, a rozstanie - kiedy Scott odprowadził Karen do samochodu - było po prostu przyjacielskie... i nic więcej.

Ale kiedy w pachnącym, wyflukanym przez deszcz powietrzu powiedzieli sobie „dobranoc”, kiedy Scott

delikatnie uściskał jej dłoń - pod gwiazdami, które spoglądały na nich spomiędzy rzednących chmur - Karen wiedziała już, że tego wieczoru wiele się zmieniło.

Dzień, który rozpoczął się bardzo zwyczajnie, kończył się czymś zupełnie nadzwyczajnym - o czym kilka krótkich tygodni temu nie śmiała nawet marzyć.

- Cześć, mamó, jestem w domu! - wesoło zawołała Kristen.

Karen wytarła dłonie w ręcznik do naczyń i poszła do holu. Dziewczyna bez wątpienia dobrze się bawiła w czasie dwudniowych odwiedzin u ojca w St. Louis. Jej dobry nastrój wynikał także z faktu, że u jego boku nie było już Stephanie.

Ku zaskoczeniu Karen, za Kristen do domu wkroczył Michael.

- Mogę to zabrać, tato. Znowu jestem w pełni sprawna. - Potrząsnęła nogą, na której nie było już gipsu i pochyliła się po torbę podróżną. - Dzięki ci jeszcze raz. - Stanęła na palcach i pocałowała ojca w policzek.

- Wkrótce do ciebie zadzwonię, kochanie, i umówimy się na kolejne spotkanie, jeszcze przed początkiem szkoły. - Uścisnął ją mocniej niż zwykle.

- Świetnie. - Kristen podbiegła do Karen i także ją pocałowała w policzek. - Jakies nowosci?

- Eric i Steven dzwonili dzisiaj rano, bo nie odbierałaś komórki.

Kristen skrzywiła się.

- Bateria mi siadła. Wieczorem zapomniałam jej naładować.

- Cóż, obaj bardzo chcieli z tobą rozmawiać. Zostawiłam ci w pokoju wiadomość na kartce. Zjesz coś na kolację?

- Nie. Po drodze do domu wstąpiliśmy jeszcze na hamburgera. Do zobaczenia, tato. — Pomachała mu i zniknęła w głębi domu.

Patrząc za nią, Karen uśmiechnęła się.

- Zdaje się, że dobrze się z tobą bawiła.

- Tak. Dziewczyna jest chodzącą energią, bez dwóch zdań. Niemal mnie wykończyła.

Odwróciwszy się, Karen uważniej popatrzyła na Michaela. Rzeczywiście wyglądał na zmęczonego. Pod oczami miał ciemne pręgi, a w ich kąciakach liczne drobne zmarszczki. Bez wątpienia stracił na wadze. Szyte na miarę ubranie, w którym zawsze świetnie wyglądał, teraz zdawało się dla niego za luźne.

Odejście Stephanie musiało go wiele kosztować.

Michael wsunął ręce do kieszeni.

- Może wypijemy tę kawę, której nie dane nam było nawet zacząć podczas mojej ostatniej wizyty?

Karen skrzyżowała ramiona na piersiach.

- To by nie miało sensu. Skończyliśmy już tę dyskusję.

- Chodzi mi o coś zupełnie innego, dotyczącego Kristen.

Usłyszawszy w jego głosie poważny ton, Karen zmarszczyła czoło i popatrzyła na zegarek.

- Za niecałą godzinę mam spotkanie w kościele.

- Aż tyle czasu na pewno nie będziemy potrzebować. Nie miała dzisiaj w planach *tete-a-tete* z byłym mężem, ale skoro rzecz dotyczyła Kristen...

- Dobrze. Nastawię wodę na kawę.

- Nie tutaj. Spotkajmy się w najbliższym lokalu. Stamtąd od razu pojedziesz do kościoła. Wolałbym, żeby nikt naszej rozmowy nie słyszał.

— Wymownie skinął głową w kierunku pokoju Kristen.

Karen poczuła dreszcz zaniepokojenia.

- Co się stało?

- Porozmawiajmy o tym przy kawie.



Miała ochotę go naciskać, jednak mocno zaciśnięte usta Michaela podpowiedziały jej, że byłoby to bezowocne.

- Dobrze. Spotkamy się w barze na rogu. Na pewno jeszcze go pamiętasz.

W ciągu dziesięciu minut, jakich potrzebowała, żeby znaleźć torebkę, uczesać się i dojechać do baru, zaniepokojenie Karen rosło. Co takiego Michael zamierzał jej powiedzieć na temat Kristen? Przyjechawszy do domu, dziewczyna wydawała się szczęśliwa i beztroska; co mogło wzbudzić niepokój jej ojca?

Usiadłszy naprzeciwko niego przy stoliku, nie miała nastroju na pogawędkę. Od razu rzuciła pytanie:

- O co ci chodzi, Michael?

- Tydzień temu dostałem... złe wiadomości. - Były mąż popchnął jeden kubek z gorącą kawą w kierunku Karen, a drugi mocno chwycił obiema dłońmi. - Chyba nie potrafię sam powiedzieć o tym Kristen i uważam, że powinniśmy oznajmić jej to razem.

- Ale o czym?

- Mam raka trzustki - odezwał się po chwili. — Zaawansowanego i nienadającego się już do operacji.

Karen wbiła wzrok w Michaela. Mijały długie sekundy, a ona w milczeniu trawiła właśnie usłyszaną wiadomość, zupełnie nieświadoma szmeru prowadzonych przez innych klientów baru rozmów.

Michael umierał?

Nie. Wciąż to do niej nie docierało.

- Czy to jest... pewne?

- W stu procentach. Potwierdziło to dwóch lekarzy, niezależnie od siebie.

Karen głęboko westchnęła. Próbowała oswoić się z tym, co w końcu do niej dotarło.

- Przykro mi. - Te proste słowa wypowiedziała z wielkim trudem.

- Tak. Mnie również. - Michael roześmiał się krótkim, ponurym śmiechem. - Kiedy sobie przypomnę, ile czasu spędziłem na siłowni i w hali sportowej, starając się utrzymywać w zdrowiu i dobrej kondycji— Ech... - Przetarł dłonią twarz. - Ale martwię się przede wszystkim o Kristen.

Kristen.

Karen ścisnęło się gardło.

- Będzie zdruzgotana.

- Właśnie dlatego chciałem porozmawiać najpierw z tobą. Chciałem, żebyśmy uzgodnili, w jaki sposób powiedzieć o mojej chorobie naszej córce.

- Ja... Teraz po prostu nie wiem. Będę musiała się nad tym zastanowić.

- Nie masz na to za dużo czasu, Karen. Lekarze dają mi najwyżej sześć miesięcy życia. W najlepszym wypadku - podkreślił.

Karen przełknęła ślinę.

- To się dzieje tak szybko? -Tak.

- Naprawdę nie ma dla ciebie lekarstwa?

- Nie ma takiego, które przedłużyłoby mi życie o jakikolwiek wart wzmianki czas. Tak długo, jak tylko będę w stanie, poprowadzę jeszcze niezależne życie, spodziewam się jednak, że na koniec będę musiał się przenieść do hospicjum.

Hospicjum. Michael.

Ta myśl była jeszcze trudniejsza do zaakceptowania niż wiadomość o jego chorobie. Wiedząc, że ściśle

przestrzega diety i uprawia sporty, aż dotąd Karen spodziewała się, że jej były mąż dożyje przynajmniej osiemdziesięciu lat, tak jak jego ojciec.

- Taka prognoza sprawia, że będę chciał cię poprosić o przysługę - kontynuował. - Nie musisz odpowiadać mi już dzisiaj. Jeśli chcesz, pomódl się, żeby Bóg wskazał ci właściwą drogę, jednak proszę, rozważ starannie moją propozycję.

Michael upił łyk kawy. Odrobina czarnego płynu wylała się. Używając obu rąk, ostrożnie odstawił kubek na stół.

- W gruncie rzeczy zostałem z tym zupełnie sam. Jak wiesz, nie mam właściwie rodziny, nikogo, kto pomógłby mi przejść przez chorobę. Jedynie w Kalifornii mieszka jakiś mój daleki kuzyn, ale nie utrzymujemy ze sobą kontaktów. Potrzebuję kogoś, kto przypilnowałby moich spraw, kiedy sam już nie będę w stanie podejmować decyzji. Kogoś, kogo nie zdominuje współczucie, kto w trakcie moich ostatnich dni będzie w stanie działać w sposób praktyczny. - Na chwilę urwał. - Kogoś takiego jak ty.

Karen szeroko otworzyła usta z niedowierzania. Po tym wszystkim, co się pomiędzy nimi wydarzyło, Michael prosił ją o podjęcie się tak trudnego obowiązku? Ze wszystkimi konsekwencjami i wymaganiami? Co on właściwie myślał?

Tym niemniej... Przecież ona sama bardzo często rozmawiała z Kristen o znaczeniu współczucia. Czy udzielając pomocy ojcu swojej córki w godzinie jego najcięższej próby, nie zademonstruje jej w sposób praktyczny, nie pokaże na własnym przykładzie, że jest do takiego współczucia zdolna? I może jej gotowość do

udzielenia Michaelowi pomocy sprawi, że córka łatwiej przejdzie przez to, co z całą pewnością będzie skrajnie traumatycznym przeżyciem?

- Nie oczekuję, że odpowiesz mi dzisiaj. - Michael pochylił się nad stołem. - Proszę tylko, żebyś to rozważyła. Proszę - powtórzył.

Karen zacisnęła dłonie na kubku z kawą; ciepłe ścianki naczynia trochę rozgrzewały jej zimne dłonie.

- Dobrze. Zastanowię się.

Jego napięcie w widoczny sposób zelżało, rysy twarzy trochę złagodniały.

- Dziękuję. - Przesunął kubek na bok i położył dłonie na stole. - Chcę też, żebyś wiedziała, że dużo rozmyślałem o naszej ostatniej rozmowie i o naszym małżeństwie. Miałaś rację. Przykro mi, że nigdy nie traktowałem cię po partnersku. Przykro mi też, że wyśmiewałem się z twojej religii. Szczerze powiem, że teraz zazdroszczę ci twojej wiary. Pewność, że jakaś siła steruje naszym życiem i wiedzie nas ku wyższym celom, niż jesteśmy sobie w stanie wyobrazić, musi być bardzo kojąca i na pewno poprawia samopoczucie. Wiem, że to tylko słowa, wiem, że jest już za późno, ale chcę ci powiedzieć, że naprawdę bardzo żałuję wszystkich moich błędów.

- Doceniam te słowa. Za dzień lub dwa odpowiem na twoją prośbę.

- Dzięki. - Michael popatrzył na zegarek, dopił ostatni łyk kawy i powiedział: - Idź już. Musisz być w kościele. Ja zapłacę za kawę.

Skinąwszy głową, Karen wstała i wyszła z baru. Lekko się zatoczyła.

Michael umierał - i chciał, żeby to ona była przy nim w chorobie i... do końca, aż do śmierci.

Kto chciał, mógłby to nazwać egoizmem, Karen jednak skłaniała się ku temu, żeby mu odmówić.

Musiała jednak pamiętać o Kristen. Rozwód rodziców był dla niej bardzo trudnym przeżyciem, jednak Michael wciąż pozostawał częścią jej życia. Teraz w perspektywie widniała ostateczna separacja rodziców i pewność, że świat Kristen jeszcze raz wywróci się do góry nogami. Niezależnie od własnych uczuć, Karen musiała pamiętać, że jej decyzja będzie miała też wpływ na córkę.

Ponieważ - choć pamięta o słowach Scotta, że w każdym postępowaniu powinna uwzględniać przede wszystkim własne dobro i własne interesy - tym razem na pierwszym planie musiała postawić uczucia Kristen.

Wiadomość o chorobie Michaela Karen zatrzymała dla siebie aż do sobotniego spotkania z Val. Kiedy podzieliła się z nią tą wiadomością, zaskoczenie i niedowierzanie siostry było podobne do jej własnej reakcji.

- Ale przecież... Ile on ma lat? Pięćdziesiąt jeden? To przecież za mało, żeby umierać. Nie jestem największą sympatyczką Michaela, ale to jest okropne... podłe.

- Wiem. - Ekspres do kawy nieprzyjemnie głośno zaterkotał za kontuarem, sprawiając, że żołądek podszedł Karen do gardła.

- Kristen już wie?

- Nie. W czwartek wieczorem rozmawiałam z Micha-elem o tym, jak jej to powiedzieć. Postanowiliśmy, że jeszcze przez kilka dni się nad tym zastanowimy.

- To będzie cholernie trudne, tak czy siak.

Słowa „cholernie trudne” pasowały również do kolejnej sprawy, którą Karen musiała z kimś omówić.

- Poprosił mnie też o przysługę.

- Może namawiał cię, żebyś do niego wróciła? - Val zmrużyła oczy. - Ostatnie życzenie umierającego człowieka i tak dalej.

- Ostatnie życzenie... Ale nie w takim sensie, jaki masz na myśli. Michael jest samotnym człowiekiem i poprosił mnie, żebym zajęła się jego sprawami, kiedy... kiedy on już nie będzie w stanie.

Val parsknęła śmiechem i potrząsnęła głową.

- Ma facet tupet, to muszę mu przyznać. Karen zacisnęła palce na filiżance.

- Sęk w tym, że skłonna jestem się zgodzić. Jej siostra szeroko otworzyła oczy.

- Chyba nie mówisz poważnie?

- Jestem śmiertelnie poważna.

- Ale dlaczego? Po tym, co ci zrobił, nic mu już nie jesteś winna.

- Być może nie, ale Kristen go kocha i najbliższe miesiące będą dla niej wystarczająco trudne. Zapewne jej pomogę, jeśli odłożę na bok animozje i sama dam jej przykład chrześcijańskiej miłości i miłosierdzia. Pokażę, że przyjąłam przeprosiny jej ojca i mu wybaczyłam.

- A wybaczyłaś?

- Przyjąłam jego przeprosiny. Jeśli chodzi o przebaczenie, wciąż nad tym pracuję i chyba kiedyś do tego dojdę.

Przez kilka sekund Val uważnie jej się przyglądała. Po chwili pokręciła głową.

- Mogę tylko powiedzieć, że jesteś o wiele lepszą osobą, niż ja sama bym się okazała w takich samych okolicznościach.

- A co ty byś zrobiła?

- Powiedziałałabym facetowi, żeby się odpieprzył. Przepraszam, nie chcę wychodzić na osobę bez serca. Jednak Michael nie zasługuje ani na twoje współczucie, ani na poświęcenia, które wkrótce okażą się nieuniknione.

- Wiesz, tak na to patrząc... Ludzie też nie zasługiwali na przyjście Chrystusa i jego męczeńską śmierć. A on jednak poświęcił się dla nas w imię bezinteresownej miłości. Jest wzorem, który próbuję naśladować.

- Trudno zbić taki argument. - Val pochyliła się nad stolikiem. - Posłuchaj, rób to, co będziesz uważała za stosowne. I nie przejmuj się, co będą o tym myśleli inni ludzie. Porozmawiaj z wielebnym Richardsem, jeśli uznasz, że to ci trochę pomoże. Sprawia wrażenie człowieka, który ma głowę na karku.

- Bo taki jest. I w sumie podsunęłaś mi dobry pomysł. - Karen upiła łyk kawy. - A skoro już wspominamy o kościele... Cieszę się, że zaczęłaś chodzić na nasze nabożeństwa.

Val machnęła lekceważąco ręką.

- W niedzielne poranki nie mam nic lepszego do roboty.

- I to jest jedyny powód, dla którego przychodzisz do kościoła? - zdziwiła się Karen.

Jej siostra starła ze stolika małą kropelkę kawy.

- Jest może jeszcze jeden albo dwa inne powody.

- Hmm... - Karen odchyliła się na krześle i zaczęła udawać, że się zastanawia. - David jest już członkiem naszej parafii. Czy to może być jeden z powodów?

- Byłoby głupio, gdybym przychodziła do kościoła tylko po to, żeby sobie popatrzeć na mężczyznę, prawda?

- Unikasz odpowiedzi. -Aha.

Karen szeroko się uśmiechnęła.

- Cóż, niezależnie od powodu, Bóg na pewno się cieszy, że dołączyłaś do Jego trzody.

- Kiedy z powrotem znajdę się Chicago, prawdopodobnie wrócę do dawnego stylu życia.

- Nie jestem tego taka pewna. Uważaj, żebyś się nie zdziwiła. Może wizyta w Waszyngtonie wpłynie na ciebie mocniej, niż teraz myślisz.

Nad stolikiem na krótko zapadła napięta cisza, której źródła Karen nie potrafiła zidentyfikować. Trwała zaledwie moment, bo Val zaraz wzięła do ręki filiżankę z kawą i skierowała rozmowę na postępy w rehabilitacji matki. Karen czuła jednak, że komentarze na temat powrotu siostry do Chicago bynajmniej po niej nie spłynęły.

Coś działo się z jej siostrą.

Choroba matki była zapewne katalizatorem powrotu do domu marnotrawnej córki, jednak w przyjeździe Val do Waszyngtonu Karen dostrzegała jeszcze coś innego. Tego lata jej młodsza siostra kilkakrotnie zniknęła gdzieś bez słowa wyjaśnienia i powracała do domu mocno wstrząśnięta. Ucinała wszelkie dyskusje na temat swojego życia miłosnego. Znowu zaczęła chodzić do kościoła.

Dlaczego?

Karen nie miała pojęcia.

Przypuszczała natomiast, że jeśli ich rozwijająca się przyjaźń w ciągu najbliższych dwóch tygodni nie przyniesie wyjaśnienia jej zachowania, Val powróci do Chicago i tajemnica pozostanie nierozwiązana.

Krople potu wystąpiły na czoło Karen, kiedy przechodziła przez trawnik, kierując się do biura parafialnego.



Otarła je końcówkami palców. Zadziwiająco. Była siódma wieczorem i słońce chowało się już za wysokimi drzewami, jednak w powietrzu wciąż utrzymywała się temperatura właściwa wczesnym popołudniom.

Potrząsnęła głową. Zapowiadał się długi, gorący sierpień.

Kiedy stanęła we framudze drzwi frontowych, poczuła na karku powiew lekkiej, ciepłej bryzy. Trochę lepiej, wciąż jednak było jej gorąco.

Ku jej zdziwieniu, drzwi do biura otworzyły się i sam wielebny Richards wychylił głowę na korytarz.

- Widziałem, jak przechodziłaś przez trawnik. Szukasz ucieczki przed gorącem?

- Zwracam projekt ulotki na wieczór dobroczynny. Musimy jak najszybciej ją wydrukować i rozesłać do parafii, które będą uczestniczyły w imprezie. - Karen pomachała szarą kopertą.

- Wejdz do środka.

Karen posłuchała duchownego i położyła kopertę na biurku.

- Nie spodziewałam się, że w sobotni wieczór zastanę kogoś w biurze. Zamierzałam jedynie wrzucić to do skrzynki na listy.

- A ja przyszedłem tutaj, żeby jeszcze trochę popracować nad jutrzejszym kazaniem. Cóż, w moim domu zbiera się dzisiaj stowarzyszenie kobiet.

- Aha. Wygląda na to, że nie tylko ja uciekam przed zgiełkiem.

- Trafiony, zatopiony. Jak się miewa rwoja mama?

- Z każdym dniem lepiej.

- A Kristen?

Przypomniawszy sobie sugestię Val, Karen zmarszczyła czoło.

- Wyglądasz jak kobieta, której coś leży na sercu. Chcesz się z tego zwierzyć komuś, kto darzy cię przyjaźnią?

Karen posłała wielebnemu Richardsowi niepewny uśmiech.

- Zdaje się, że wielebny pracuje nad kazaniem.

- Prawdopodobnie lepsze już nie będzie.

- Cóż... jeśli więc ojciec ma trochę czasu... Duchowny wskazał kobiecie krzesło.

- Stowarzyszenie kobiet będzie obradować jeszcze co najmniej przez dwie godziny. Mamy mnóstwo czasu.

- W takim razie... — Karen usiadła. - Chodzi o Michaela.

Wielebny Richards przycupnął obok niej.

- Kolejne problemy?

- Nie takie, o jakich rozmawialiśmy wcześniej. Dzięki Bogu, że korzystała z rad duchownego w tych

trudnych miesiącach poprzedzających rozwód. Znał jej sytuację, mogła więc od razu przejść do ostatniego rozdziału, opowiedzieć mu o przeprosinach i prośbie Michaela.

Kiedy skończyła, pastor pochylił się i ścisnął dłonie kolanami.

- Odnoszę wrażenie, że mocno i w odpowiedzialny sposób zastanawiasz się nad tą sytuacją.

- Bo tak jest. Również dużo się modlę. Zdaję sobie sprawę, że skrucha Michaela może wynikać z prostego faktu, że mnie teraz potrzebuje, jednak czuję, że jego wyrzuty sumienia są prawdziwe. Sumienie nakłania mnie, żeby zapomnieć o tym, co było złe i okazać Michaelowi miłosierdzie, chociażby ze względu na Kristen, chciałabym jednak wysłuchać rady wielebnego.

- Skoro rozmawiałaś już z Bogiem, mnie nie potrzebujesz.

- Ojca głos łatwiej usłyszeć. Duchowny uśmiechnął się.

- Już mi to mówiono. Zgadza się z tobą, że czasami trudno jest wyłowić z chaosu głos Boga, nawet pastorowi. - Po chwili przybrał bardziej poważny wyraz twarzy. — Zrobiłaś jednak wszystko to, co powinnaś była zrobić. Modliłaś się, starannie rozważałaś prośbę Michaela i dojrzałaś do decyzji, która zdaje się właściwa. Nie zrobię dla ciebie niczego, czego ty już byś nie uczyniła, mogę jednak powiedzieć, że podziwiam twoją wspaniałomyślność i współczucie dla Michaela. Jestem pewien, że Bóg z zadowoleniem patrzy na twoją pełną miłosierdzia postawę i miłość bliźniego.

Ucisk w gardle Karen trochę zelżał.

- Dziękuję.

- Jeśli chcesz, możemy przez chwilę pomodlić się wspólnie.

- Bardzo o to proszę - wyszeptała z wdzięcznością. Duchowny skłonił głowę, a Karen powtarzała w ciszy

jego głośną modlitwę:

- Panie, prosimy Cię, żebyś poprowadził Twoją córkę na trudnej drodze. Daj jej łaskę i siłę, których będzie potrzebowała w nadchodzących miesiącach. Obdarz ją mądrością i umiejętnością podejmowania trafnych decyzji i pobłogosław ją, gdyż podąża za Twoim przykładem, który nam dałeś, kiedy zstąpiłeś na ziemię, żeby nas zbawić i nam służyć. Amen.

Po chwili duchowny dotknął jej dłoni.

- Niech Bóg będzie z tobą, siostró. Będę pamiętał o tobie w moich modlitwach.

Kiedy wyszła z kościoła i zobaczyła, że niebo, jeszcze przed chwilą błękitne, przybrało odcień ponurej szarości, zdała sobie sprawę, że w najbliższym czasie będzie potrzebowała wielu modlitw, nie tylko walebnego Richardsa.

- Val! Możemy chwilę porozmawiać?

Młoda kobieta popatrzyła przez ramię na Karen, która po zakończeniu nabożeństwa wciąż zbierała nuty.

- Jasne. Poczekaj sekundkę. - Powróciła do rozmowy z Kristen. - Wybierz dzień, a zjemy razem lunch, zanim wyjadę do Chicago.

- Doskonale.

Val jeszcze ją uścisnęła i podeszła do siostry.

- Co się dzieje?

- Wielebny Richards poprosił mnie, żebym przejrzała program wieczoru dobroczynnego. - Karen ruchem głowy wskazała na złożoną kartkę papieru, która leżała przed nią. - Muszę do niego dopisać twoje nazwisko, skoro weźmiesz w nim udział. Już się zdecydowałam, w jaki sposób poprowadzisz konferansjerkę?

Nie. Val po prostu czekała na wskazówki, których jeszcze od nikogo nie otrzymała.

- Powiedz mi w skrócie, co powinnam robić. — W najlepszym wypadku taktyka wyczekiwania da jej jeszcze jakieś sześćdziesiąt sekund.

Wskazując po kolei poszczególne punkty programu, Karen zaczęła je omawiać:

- Powitasz i przedstawiś wszystkich wykonawców, którzy są na liście. Dla każdego z nich będziesz miała dobre słowo. Rozumiesz - dziękujemy za przyjazd, doceniamy wsparcie i tak dalej. To bardzo łatwe.

Zadanie rzeczywiście wyglądało na proste i niewinne. No i samo przedsięwzięcie sprawiało wrażenie

jak najbardziej godnego wsparcia. Val była przekonana, że da sobie radę.

- Dobrze. Możesz na mnie liczyć. — Pochyliła się nad kartką i skupiła się na programie artystycznym. Na kartce wypisano wszystkie chóry, które miały wystąpić tego wieczoru. - Popatrz tutaj - powiedziała do siostry. - „Karen Butler, śpiew solowy”.

Karen zmarszczyła nos.

- Tak, być może wystąpię. Ale nie zdziw się, jeśli w ostatniej chwili zrezygnuję; zastrzegłam sobie taką możliwość. Wciąż przeraża mnie myśl o solowym występie przed setkami ludzi.

- Kto będzie śpiewał przed setkami ludzi?

Kiedy przy siostrach stanęła Margaret, Val tylko przelotnie zerknęła na skonsternowaną twarz Karen i wypaliła:

- Scott poprosił Karen, żeby zaśpiewała partię solową na wieczorze dobroczynnym. Właśnie czytałyśmy jej nazwisko na projekcie programu.

Ku jej wielkiemu zaskoczeniu, matka tylko zacisnęła usta, jakby w ten sposób fizycznie chciała się zmusić się do zaniechania jakiegoś obraźliwego komentarza.

Zerknęła na Karen, która uniosła brwi. Powściągliwość Margaret mogła mieć krótkie nogi, jednak była wdzięczna matce, że tym razem zwyciężyła w niej ta lepsza strona natury. Naprawdę nie chciała, żeby teraz, gdy do występu pozostało tak niewiele czasu, ktokolwiek brał się za podmi-nowywanie jej - i tak słabiutkiej - pewności siebie.

Kiedy Margaret odeszła, żeby porozmawiać z przyjaciółkami, Karen podeszła bliżej Val.

- Przynajmniej próbuje zachowywać się przyzwoicie. W takich chwilach człowiek wierzy, że wszystko na świecie jest możliwe.

Val zaczęła szukać w torebce kluczyków do samochodu.

*Gdyby to tylko była prawda.*

Jej pobyt w Waszyngtonie dobiegał końca. Nie licząc na żaden cud, nabierała coraz większego przekonania, że poszukiwanie odkupienia - właściwy cel jej podróży do domu - nie dało żadnego rezultatu.

Z miseczką biszkoptów w ręce i bolącym sercem, Karen stanęła przed tylnymi drzwiami.

Kristen siedziała skulona na wiklinowym krześle na werandzie, rękami obejmując kolana, i niewidzącym wzrokiem wpatrywała się w daleką przestrzeń. Przez dwa dni, które minęły od przekazania jej przez rodziców złych wiadomości, Kristen ignorowała przyjaciół, prawie nie tykała jedzenia i bardzo zbladła. Karen nie widziała jej płaczącej, jednak sądząc po napuchniętych oczach córki, mogła mieć pewność, że mnóstwo łez wylała za zamkniętymi drzwiami swojego pokoju.

Otworzyła przesuwane drzwi.

- Zainteresujesz się skromnym deserem? Upiekłam biszkopty według przepisu Val.

Nawet z profilu twarz Kristen wyglądała mizernie.

- Nie jestem głodna.

Po krótkim wahaniu Karen postawiła miskę na stoliku i oparła się o poręcz werandy. Jak dotąd Kristen, mimo jej prób, nie podejmowała z matką żadnej rozmowy. Karen nie zamierzała się jednak zniechęcać.

- Mogę posiedzieć przy tobie kilka minut? Wieczór jest bardzo przyjemny.

Jedyną odpowiedzią Kristen było wzruszenie ramionami.

Karen usiadła na krześle obok córki. Wieczór był dość chłodny jak na sierpień, a leniwe cykady cykały, dając chóralny podkład pod śpiew ptaków, powoli poszukujących miejsc na nocleg. Na bezchmurnym niebie powoli krążył samotny jastrząb, pozwalając wiatrowi, żeby unosił go coraz wyżej i wyżej. Błogi spokój sprawił, że Karen na krótką chwilę zapomniała o traumie, jaką przeżywała jej córka. Zaraz jednak powróciła do rzeczywistości.

- Steven mówi, że rezygnacja to najtrudniejsza rzecz, z jaką kiedykolwiek musiał się zmierzyć - powiedziała cicho.

Karen odwróciła głowę. Jej córka patrzyła wprost przed siebie, w kierunku rozciągających się za niskim płotem nieużytków, pod koniec dnia coraz bardziej pograżających się w mroku.

- Rezygnacja? Z czego?

- Z marzeń. Ze jeszcze kiedykolwiek będzie mógł używać nóg. Ze będzie wiódł normalne życie. Uważa, że śmierć jest bardzo podobna dla najbliższych tych ludzi, którzy odchodzą z naszego świata. Muszą zrezygnować z przebywania z nimi i uczyć się życia, w którym już nic nigdy nie będzie takie samo.

Karen poczuła, że gardło jej się ściska.

- Ma rację.

Wierzchem dłoni Kristen starła z policzka łzę.

- Nie wiem, jak to będzie. Jak mam z niego zrezygnować? Nie chcę, żeby tatuś umarł. - Jej głos załamał się przy tym ostatnim słowie.

- Wiem, kochanie.

- Co ten Bóg właściwie sobie myśli? Tata ma dopiero pięćdziesiąt jeden lat!

- Nie każdemu dane jest długie życie. Musimy jednak ufać, że Bóg przez cały czas realizuje swój plan.



- Tak? - Opór przed takim rozumowaniem wyostrzył rysy twarzy Kristen. - To jest wstrętne i jestem za to wściekła na Boga. Zresztą... już Mu o tym powiedziałam.

- Jestem pewna, że cię usłyszał.

Po krótkiej chwili wyraz nieposłuszeństwa opuścił twarz Kristen, a dziewczyna bezradnie opuściła rękę.

- Ale to i tak niczego nie zmieni.

- Nie. I masz prawo się złościć.

- To samo mówił Steven. Powiedział mi, że na początku też był wściekły, na wszystkich i na wszystko.

- To normalna reakcja kogoś, kogo życie traktuje w sposób, jego zdaniem, bardzo niesprawiedliwy.

- Ale to jest niesprawiedliwe.

- Według naszych kategorii. Lecz przecież każdy z nas pewnego dnia musi umrzeć. Bóg po prostu wzywa nas do siebie w różnych chwilach. Myślę, że twój ojciec zaakceptował już to, co nieuniknione, i spokojnie patrzy w przyszłość. Jego największą troską jesteś ty i fakt, że zostaniesz bez niego. Bardzo boi się twojej reakcji na jego śmierć, ponieważ bardzo cię kocha.

- Ja też go kocham. - Tęsknota w słowach córki ujęła Karen za serce. - Żałuję, że w żaden sposób nie mogę mu pomóc.

- Ależ istnieje na to sposób. Możesz być silna. Twój tata musi wiedzieć, że po jego śmierci będziesz potrafiła normalnie żyć. Postaraj się pomóc mu w zrozumieniu, że tak bardzo, jak go kochasz i równie mocno, jak będziesz za nim tęsknić, postarasz się żyć pełnym, szczęśliwym życiem młodej dziewczyny. On właśnie tego dla ciebie pragnie.

Kolejna łza potoczyła się po policzku Kristen.

- Chwilami myślę, że już nigdy nie będę szczęśliwa.

Czułam się okropnie, kiedy od siebie odchodziliście, ale teraz jest mi jeszcze gorzej. To takie... ostateczne.

Walcząc z własnymi łzami, Karen wstała i pochyliła się nad Kristen. Ujęła zimne ręce córki w swoje dłonie.

- Jedno mogę ci obiecać. Po pewnym czasie znowu będziesz szczęśliwa. Do tego czasu będę wciąż przy tobie. Zawsze, kiedy będziesz chciała porozmawiać albo chociaż się do mnie przytulić, możesz na mnie liczyć. Przejdziemy przez ten trudny okres razem, dobrze?

Dolna warga Kristen nagle zadrżała. Dziewczyna pochyliła się i zarzuciła matce ramiona na szyję.

- Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła - wyszeptała z trudem.

Karen ze ściśniętym gardłem głaskała jasne, długie włosy córki.

Jeszcze przez kilka sekund Kristen przyciskała się mocno do matki. Po chwili mocno pociągnęła nosem i cofnęła się.

- A jeśli... jeśli tobie też się coś złego przydarzy? Karen bardzo chciała zapewnić dziewczynę, że będzie

przy niej zawsze, jednak nie mogła złożyć tej obietnicy. Kristen już się przekonała, że życie potrafi szybko weryfikować podobne słowa. Bezpieczny świat potrafi przecież przewrócić się do góry nogami w ciągu jednego dnia, bez żadnego ostrzeżenia.

Stała wyprostowana przed córką i odezwała się, starannie dobierając słowa:

- Mam nadzieję, że będę przy tobie jeszcze przez wiele lat. Jednak cokolwiek się stanie, zawsze musimy pamiętać, że chociaż wszystko stale się zmienia, a ludzie umierają, miłość Boga zawsze jest taka sama. Wierząc w niego, żaden człowiek nigdy nie pozostaje sam.

Milczenie Kristen podpowiedziało Karen, że te sło-

wa jej nie przekonały. W wieku piętnastu lat - wierząc w Boga nieśmiałą wiarą, która jeszcze nie zapuściła w jej sercu głębokich, trwałych korzeni - trudno jej było zrozumieć, że definicje i rodzaje samotności bywają bardzo zróżnicowane. Samotność fizyczna nie była najgorszą spośród nich, jak przekonało Karen chociażby życie z Michaeliem. Była to dla niej lekcja, jakiej - miała nadzieję - jej córka nigdy nie będzie musiała odbierać.

Ponieważ słowa nie mogły dać Kristen ukojenia, jakiego teraz potrzebowała, Karen po prostu znów ją uścisnęła i skierowała do Boga cichą modlitwą:

*Panie, obiecałam Kristen, że przejdziemy przez to wszystko razem, potrzeba nam jednak Twojego przewodnictwa i wsparcia. Bądź przy nas i pozwól nam czuć Twoją niezawodną obecność w czasie ostatniej podróży Michaela. Wspieraj nas i umacniaj w wierze w najtrudniejszych chwilach. A kiedy ten trudny czas przeminie, proszę, pozwól Kristen otrząsnąć się z traumy i wieść dobre, szczęśliwe życie.*

- Hej, urocza damo! Co za miła niespodzianka! -Scott akurat zamknął na klucz drzwi kościoła i pomachał do Karen przez parking.

Usłyszawszy jego słowa, odwróciła się, zdziwiona i lekko zaczerwieniona. Scott miał nadzieję, że jej zaróżowione policzki są też dowodem zadowolenia z niespodziewanego spotkania.

- Co tutaj robisz? - Karen odwróciła się w jego kierunku; dzieliły ich teraz tylko otwarte drzwi samochodu.

- Steven i ja spotkaliśmy się na dodatkowej lekcji. Zwiększyliśmy intensywność ćwiczeń, bo wieczór

dobroczynny" zbliża się wielkimi krokami. A co ciebie sprowadza do kościoła we wczesne czwartkowe popołudnie?

- Miałam zostawić ostateczną wersję programu. -Aha... zadziałała ręka przeznaczenia. - Scott

zamknął oczy i przyłożył palce do skroni, udając, że się konsultuje z jakimś niewidzialnym medium. - W twojej najbliższej przyszłości widzę wizytę u Pana Franka.

Karen uśmiechnęła się, jednak potrząsnęła przecząco głową.

- Dzisiaj nie mogę. Niedługo ma mnie odwiedzić Michael; musimy razem przejrzeć trochę dokumentów.

- Michael? Twój były mąż? - Scott zmarszczył czoło i wsunął ręce do kieszeni. Jej słowa zabrzmiały w jego uszach trochę zbyt łagodnie; wciąż przecież pamiętał, co mu opowiadała o swoim małżeństwie. - Wy dwoje raczej... Hmm... przepraszam. - Urwał. Przeczesał palcami włosy. - To nie moja sprawa.

- Nie wracamy do siebie, jeśli to miałeś na myśli. Napięcie w jednej chwili opuściło Scotta. Westchnął z ulgą.

- A co się dzieje?

Oczy Karen jakby pociemniały. Zauważył w nich wielkie zmartwienie.

- On umiera. Jest chory na raka trzustki. Nie ma żadnej rodziny, dlatego poprosił mnie, żebym podejmowała za niego wszystkie decyzje, kiedy on już nie będzie w stanie. Dlatego muszę się zagłębić w niektóre jego sprawy.

Scott odniósł wrażenie, jakby nagle spadły na niego dwie bomby. Ta druga zaskoczyła go bardziej niż pierwsza.

- Zgodziłaś się mu pomóc?

- Uznałam, że tak będzie najlepiej dla Kristen. Prze-

żywa bardzo ciężkie chwile i pewnie byłoby jej znacznie trudniej, gdyby wiedziała, że jej umierający ojciec musi sobie w ostatnich chwilach radzić zupełnie sam. Nie był najlepszym mężem, nie zawsze był dobrym ojcem, ale Kristen go kocha. Poza tym... tak powinnam postąpić, jako osoba wierząca.

Scott jeszcze raz głęboko odetchnął i potrząsnął głową.

- Nigdy w życiu nie byłem świadkiem większej empatii.

Karen posłała mu cierpkie spojrzenie.

- To nie jest żadna empatia! Robię to wyłącznie dla Kristen. Gdybym miała tak postępować tylko ze względu na niego, musiałabym najpierw dotrzeć do samego dna studni, w której znajdowałoby się moje współczucie dla Michaela.

- To już jest całkowicie zrozumiałe. Ile czasu mu pozostało?

- Sześć miesięcy, w najlepszym przypadku.

Albo w najgorszym. Obserwowanie umierającego człowieka na pewno będzie dla niej strasznym przeżyciem - nawet jeśli nie żywiła już do niego żadnych poważnych uczuć.

- Na pewno wiesz, w co się pakujesz?

- Nie. Nigdy nie musiałam sobie radzić z podobną sytuacją, ale wiem, że nie będzie mi łatwo. Po prostu będę postępowała najlepiej, jak się tylko da, i postaram się jak najlepiej sobie poradzić.

*Sama.*

Nie wypowiedziała tego słowa, jednak mocno odbiło się echem w jej sercu.

A Scott chciał ją zapewnić, że wcale nie jest skazana na samotność.

Powoli wyciągnął rękę i przyłożył dłoń do jej policzka.

- Wątpię, czy na twoim miejscu byłbym chociażby w połowie tak wspaniałomyślny. Nie zazdroszczę ci tego, co cię czeka. Szanuję jednak twoją decyzję i jeśli tylko zwrócisz się do mnie o pomoc, będę do dyspozycji. W każdej sprawie.

Pod powiekami Karen pojawiły się łzy. Położyła rękę na dłoni Scotta.

- Dzięki.

Puls Scotta gwałtownie przyśpieszył, kiedy poczuł jej dotyk. Mężczyzna odchrząknął.

- Bądź dzielna.

- Czy zaproszenie do Pana Franka będzie aktualne również jutro? - zapytała Karen.

Posłała mu słaby uśmiech i opuściła rękę. Natychmiast zatęsknił za jej ciepłem.

- Jutro i zawsze. W każdej chwili.

Zaprzagnął zostać przy niej już teraz. Chciał natychmiast wyciągnąć rękę i przytulić tę wspaniałą kobietę do siebie.

A jednak cofnął się o krok, uniósł rękę, pogłaskał ją po włosach na pożegnanie i odszedł do swojego samochodu.

Kiedy się odwrócił, wciąż stała w tym miejscu, w którym ją pożegnał. Jedną dłoń zaciskała na drzwiach samochodu, drugą trzymała na szyi. Wyglądała na równie wstrząśniętą jak Scott - i równie pragnącą towarzystwa kogoś najbliższego. Tęsknota w jej oczach powiedziała mu, że pragnie go przytulić do siebie równie mocno, jak on pragnie jej.

Jednak w tej chwili miała dość trudnych spraw na głowie i musiała sobie oszczędzić kolejnych życiowych

komplikacji. Szczególnie tak intensywnych i nieposkromionych jak...  
miłość.

Ich dzień nadchodził wielkimi krokami, Scott był tego pewien.

Miał jednak przeczucie, że jego samodyscyplina i cierpliwość zostaną  
wcześniej wystawione na ogromną próbę.

Karen przystanęła na prowizorycznej scenie przed frontem głównej nawy i ogarnęła spojrzeniem wielką grupę ludzi, którzy zasiadali przodem do niej. Próba z czterema chórami, które miały wziąć udział w wieczorze dobroczynnym, oraz z solistami - a więc również z nią - przebiegała bez zakłóceń. Wszystkie bilety na występ były już wyprzedane. Należało przewidywać, że Dom Nadziei uzyska nawet więcej funduszy niż trzeba, żeby pokonać kryzys finansowy.

Ciężka praca się opłacała.

Karen jeszcze raz omiotła wzrokiem kościoła, spoglądając szczególnie ku tylnym drzwiom. Na miejscu wciąż nie było Val. Prawdopodobnie powodem jej nieobecności był przedłużający się wieczorek brydżowy Margaret. W każdym razie, jeśli jej siostra nie zakończy wkrótce swoich obowiązków przy matce, a była dzisiaj kierownicą Margaret, nie będzie już czasu na przeciwienie jej udziału w wieczorze dobroczynnym.

Zresztą, Val była profesjonalistką. Karen nie miała wątpliwości, że nawet bez próby doskonale da sobie radę.

Karen poprawiła mikrofon i uśmiechnęła się do zgromadzonych.

- Pragnę wam podziękować za uczestnictwo w naszym przedsięwzięciu i za wasz ogromny wysiłek. Dziękuję za wielkie zaangażowanie w próbę; jestem przekonana, że wspólnie zaprezentujemy wspaniały program. Bardzo proszę, bądźcie tu wszyscy jutro o siódmej wieczorem. Zgromadzimy się w sali katechetycznej. Jeśli ktoś ma do mnie jakieś pytania, chętnie na nie odpo-



wiem. Pozostanę w kościele jeszcze przez kilkanaście minut. Jeśli nie ma pytań, życzę wszystkim doskonałego występu jutro!

Kiedy zeszła ze sceny, natychmiast podeszła do niej Melanie Thomas. Dyrektorka Domu Nadziei promieniała zadowoleniem.

- Jestem pod wrażeniem! Ten wieczór to dla nas niewiarygodne wsparcie! Na początku nie miałam pojęcia, że przyjmie aż taką skalę...

- Niewiarygodne, prawda?

- Właśnie. - Melanie wyciągnęła z torebki kartkę papieru. - Wiem, że to niemal ostatnia chwila, jednak otrzymałam ten tekst dopiero wczoraj i pomyślałam, że będzie wspaniale, jeżeli konferansjerka przeczyta go na zakończenie wieczoru.

Sięgając po kartkę, Karen kątem oka wychwyciła blond fryzurę za ostatnimi rzędami ławek.

- Skoro mowa o konferansjerce, właśnie się pojawiła. Przepraszam na chwilę.

Pośpieszyła w kierunku siostry. Mijając stanowisko techników, zawołała do Davida:

- Mógłbyś zostać chwilę dłużej? Właśnie przyszła Val, a chciałabym jeszcze przećwiczyć jej rolę, sprawdzić dźwięk i oświetlenie. To nie powinno potrwać dłużej niż kilka minut.

- Nie ma problemu, Victorią zajmuje się moja sąsiadka. Uprzedziłem, że mogę dzisiaj wrócić dość późno.

Pomachawszy mu ręką w podziękowaniu, Karen dotarła do siostry.

- Przepraszam za spóźnienie. - Val była wyraźnie rozdrażniona. Ciężko westchnęła. - Nie miałam pojęcia, że wieczorki brydżowe mamy trwają tak długo. -

Omiotła wzrokiem pustoszejący kościół. - Zdaje się, że straciłam próbę.

- David wciąż czeka, żeby mimo wszystko przećwiczyć twój udział. Szybko się z tym uporamy.

- Nie chciałabym nikogo tu trzymać zbyt długo. Czytałam już wszystko, co mam powiedzieć. Na szczęście nie ma tego wiele.

- Właśnie. Zaczniemy natychmiast, kiedy będziesz gotowa.

Val skinęła głową, położyła torebkę na jakieś krzesło i podeszła do sceny.

Karen chciała ruszyć za siostrą, jednak dostrzegła, że zbliża się do niej Scott. Nie zdążyła porozmawiać z nim po próbie swojego występu i chociaż miała nadzieję, że wypadła dobrze, pragnęła to usłyszeć z jego ust.

Jego pokrzepiający uśmiech powiedział wszystko, zanim jeszcze Scott się odezwał.

- Byłaś wspaniała.

- Jeśli to prawda, to wyłącznie dzięki tobie. Bez twojego wsparcia i wiary, nigdy bym się nie przemogła, żeby stanąć przed publicznością i śpiewać solo. Prawdziwy test przejdę jednak dopiero jutro.

- Jestem pewien, że wszystko pójdzie znakomicie.

- Chciałabym podzielać twoją pewność. Scott położył dłoń na jej ramieniu.

- Naprawdę, będzie dobrze. - Jeszcze na chwilę zatrzymał rękę na jej ramieniu, po czym opuścił ją. -A poza tym, co u ciebie?

- Jestem bardzo zajęta i nie spodziewam się, żebym w najbliższym czasie mogła trochę zwolnić. W przyszłym tygodniu, kiedy wyjedzie Val, będę musiała przejąć od niej wszystkie obowiązki związane z opieką nad mamą.

- Pamiętaj o mojej ofercie. Jestem gotów pomagać ci we wszystkim, w każdej chwili.

Serce Karen przepełniła wdzięczność. Co takiego zrobiła, że zasłużyła na tego opiekuńczego, mądrego mężczyznę?

- Pamiętam, oczywiście. Dziękuję.

Podjechał do nich na wózku Steven i Scott się odwrócił.

- A oto i gwiazda wieczoru - powiedział. Nastolatek wykrzywił twarz.

- Popelniłem kilka błędów.

- Jedynie takie, które zauważyliśmy tylko ty i ja.

- Grałeś doskonale, Steve. - Karen dotknęła jego ramienia, dodając mu otuchy. - Cieszę się, że mamy w programie także utwór na pianino.

Scott popatrzył na zegarek, a potem na Karen.

- Obiecałem Stevenowi, że zawiozę go do domu... A ty spróbuj chociaż trochę odpocząć przed występem.

- Marne szanse. Cały jutrzejszy dzień mam zajęty, a w napiętym programie znajduje się także ostatnia sobotnia kawka z Val; w żadnym razie nie zamierzam z niej zrezygnować. - Usłyszała, że Val zaczęła czytać swoje wystąpienie i skinęła ręką w kierunku sceny. - Jeśli już mowa o mojej siostrze...

- Wiem, obowiązki wzywają. - Scott mocno uściskał jej dłoń. - Do zobaczenia jutro.

Karen obserwowała, jak mężczyzna i chłopak oddalają się ku drzwiom, a następnie dołączyła do Melanie i obie przez chwilę przysłuchiwały się Val.

- Co o tym myślisz? - Melanie wskazała na kartkę, którą Karen trzymała w ręce.

- Przepraszam, jeszcze nie miałam czasu, żeby to przeczytać. - Usiadła na krześle obok dyrektorki Domu

Nadziei i szybko przebiegła wzrokiem napisany na maszynie dokument. - O kurczę, masz rację. To mocny tekst. Będzie doskonałym podsumowaniem wieczoru. Skąd go masz?

- Od dyrektora podobnego ośrodka z Kansas City. Przysłała go dla niego była podopieczna, która wybrała, niestety, złe rozwiązanie. Chciała, żeby cały personel placówki wiedział, jak bardzo żałuje, że poddała się presji i przerwała ciążę. Później wysłała ośrodkowi nawet sporą dotację finansową.

- Poproszę Val, żeby przeczytała ten tekst na sam koniec próby.

Ułożyła kartkę na kolanach i słuchała, jak jej siostra wypowiada do mikrofonu teksty konferansjerki. Tak jak się spodziewała, jej opanowanie i pewność siebie pozwalały zakładać, że rola Val doda blasku programowi artystycznemu.

Znając jej profesjonalne podejście do pracy, Karen nie miała wątpliwości, że pięknie przeczyta wzruszające wyznanie, którego tekst przyniosła Melanie.

Val złożyła papiery, osłoniła dłonią oczy, unikając oślepiającego blasku reflektorów, i popatrzyła na Karen.

- Jak wypadłam? - zapytała.

- Perfekcyjnie. Jesteś ucieleśnieniem profesjonalizmu. - Karen wstała i podeszła do sceny. - Dyrektorka Domu Nadziei pomyślała, że cały wieczór wypadnie jeszcze bardziej efektownie, jeśli na sam koniec przeczytasz pewien dodatkowy tekst. Przepraszam, że wręczam ci to w ostatniej chwili, ale właśnie go od niej otrzymałam.

Mogłabyś teraz go przećwiczyć? Przed jutrzejszym wieczorem dopiszemy jeszcze do niego krótki wstęp.

- Jasne. - Val odebrała od Karen kartkę i znowu stanęła za mikrofonem. Cieszyła się, bo cała próba poszła jej gładko, o wiele sprawniej, niż się spodziewała. - David, mamy jeszcze jeden tekst do przećwiczenia.

- Jasne - rozległ się głos Davida. - Niczego nie wyłączę, dopóki nie skończysz.

Val położyła kartkę na podeście, popatrzyła na jego tytuł i niemal przestała oddychać.

„List do mojego nienarodzonego dziecka”.

Mijały sekundy, a Val jedynie wpatrywała się w tekst. Co to miało znaczyć? Przecież zgodziła się powiedzieć wszystkim „Dobry wieczór” i „Dobranoc” oraz przedstawiać uczestników programu artystycznego. Nikt dotąd jej nie powiedział, że będzie musiała także przeczytać jakiś osobisty dokument.

- Val, zacznij, kiedy będziesz gotowa. Usłyszawszy ponaglenie Karen, nabrała powietrze

w płuca. Zaczęła walczyć o odzyskanie nad sobą kontroli.

*Udawaj, że to jest tylko fragment scenariusza. Udawaj, że to jest fragment sztuki teatralnej, niemający żadnych podstaw w rzeczywistości i żadnego związku z twoim życiem. Pozostań spokojna, wyważona, obiektywna. Bądź profesjonalistką. Przecież jesteś aktorką, a to jest tylko jeszcze jedna rola\*

Musiała użyć całego swojego przygotowania zawodowego, żeby wreszcie rozpocząć płynne czytanie.

- „Moje najdroższe dziecko: żałuję, że nie mogę ci dzisiaj opowiedzieć tego wszystkiego, co mi leży na sercu. Żałuję, że nie mogę cię ukołysać w ramionach, szeptać do twojego ucha, głaskać cię po puszystych,

jedwabnych włosach i czuć silnych uderzeń twojego serca, przycisnąwszy cię do mojej piersi. To już nigdy nie nastąpi. Ciebie nie ma, a mnie pozostały tylko żal, poczucie winy i ból. Nie ma dnia, żebym o tobie nie myślała. Każdego ranka budzę się z próżną nadzieją, że puste miejsce w moim sercu znowu się zapełni. Każdego wieczoru kładę się do łóżka z modlitwą na ustach -modlitwą o miłosierdzie i wybaczenie".

Jej głos załamał się na ostatnim słowie i musiała odchrząknąć.

- „Dzisiaj jest mi szczególnie ciężko. Mija czwarty rok od dnia, w którym powinienesz być się narodzić i zastanawiam się, w jaki sposób świętowalibyśmy twoje czwarte urodziny, gdybym cię nie okradła z daru życia, który otrzymałeś od Stwórcy. Pewnie postawiłabym przed tobą tort z pięcioma świeczkami: cztery oznaczałyby twój wiek, a piąta - czas, który spędziłeś w moim brzuchu. Otrzymałbyś też prezenty, owinięte w kolorowy papier i przewiązane lśniącymi kokardami... Potem oboje poszlibyśmy na piknik. Gonilibyśmy motylki, zbieralibyśmy kwiaty, leżelibyśmy na plecach na zielonej trawie i wpatrywalibyśmy się w chmury. To takie proste i takie cenne. Pamiętałabym przez całe życie, jak dorastałeś, jak stawałeś się pięknym, młodym człowiekiem i jak zaczynałeś wpływać na bieg wydarzeń w naszym świecie".

Skończywszy, Val zacisnęła dłonie na brzegach pulpitu. Udało jej się, dała radę - czuła się jednak, jakby ktoś wcisnął się do jej serca i kazał głośno odczytać emocje oraz myśli, które nosiła w sobie przez niemal osiemnaście lat.

- Val! Tekst jest jeszcze na odwrocie! Jeszcze więcej?

*Boże, proszę, nie!*

Drżącymi palcami obróciła kartkę. Zapisane na niej słowa zamazały się przed nią i musiała kilkakrotnie zamrużyć oczami, zanim odzyskała ostrość widzenia.

Nie mogła dalej czytać.

-Val?

Kolejne siostrzane ponaglenie. Zaciśnęła zęby.

*Po prostu zrób to. Dalej! Dzięki temu jutro będziesz lepiej przygotowana. W tej chwili twoje problemy wynikają tylko z tego, że zostałam zaskoczona.*

Znowu zaczęła czytać, bardzo powoli.

- „Jednak nigdy nie było żadnych urodzin. Ani świeczek urodzinowych. Szczególnie tej, która oznaczałaby czas, jaki spędziłeś w moim brzuchu. Zniszczyłam przyszłość, którą dla ciebie zaplanował Bóg. Ukradłam ci życie prawie na samym jego początku. Trwało tak krótko. Chociaż nie mogę cię teraz zobaczyć ani trzymać w ramionach, ani głaskać cię po policzku, wiem, że przez krótki czas byłeś ze mną, skulony blisko mojego serca, rosłeś i rozwijałeś się, i czekałeś na dzień narodzin, który nigdy nie nastąpił... Och, moje drogie dziecko, tak mi przykro! Gdybym dzisiaj mogła decydować jeszcze raz, ja... .

Głos Val załamał się, słowa stały się niewyraźne, a po policzkach kobiety potoczyły się łzy, którym towarzyszył bezgłośny płacz.

Jeszcze raz spróbowała odzyskać nad sobą kontrolę, jednak bez skutku. Czuła, że jej serce się rozpada i po chwili nie była już w stanie wypowiedzieć ani słowa.

Niepewnym krokiem odeszła od mikrofonu i z trudem zbliżyła się do schodów prowadzących ze sceny na posadzkę kościoła. Na pierwszym stopniu zachwiała się,

jednak - z wielkim trudem - zachowała równowagę. Zeszła w dół, oślepiona toczącymi się po jej policzkach długimi strugami łez.

Musiała stąd jak najszybciej wyjść.

Natychmiast.

Była w połowie drogi do drzwi, kiedy Karen złapała ją za rękę.

- Val, co jest? Co się stało?! Gwałtownie przystanęła.

- Nie... Nie mogę.

Wyrwała rękę z uścisku Karen, chcąc uciec... jednak natychmiast na jej drodze pojawił się David.

- Co się dzieje? - Posłał Karen zatrwożone spojrzenie, ale zaraz całą uwagę skupił na Val. Chwycił ją za ramiona. - Val, o co chodzi?

- Ja... Nie czuję się najlepiej. - Wyrwała się także jemu. - Muszę pójść do domu.

- Zawiozę cię.

- Nie! - Potrząsnęła głową i popatrzyła w kierunku drzwi. - Dam sobie radę.

Kłamstwo jeszcze dźwięczało w powietrzu, kiedy wyrwała się z rąk Davida i wybiegła z kościoła.

David włączył światła postojowe i zatrzymał samochód w parku nad rzeką. Nie w tym parku, w którym razem z Victorią i Val jedli lunch, gdy Val nagle wynurzyła się spomiędzy drzew, wstrząśnięta i rozdygotana. Dzisiaj pojechał za nią do głównego parku w mieście. Tego, w którym nad samą rzeką stały drewniane ławki.

Znajdowały się stanowczo zbyt blisko nurtu.

Po gwałtownej ucieczce Val z kościoła wcale nie



musiał słuchać panicznych próśb Karen, żeby wsiąść do samochodu i za nią pojechać. Przecież żaden mężczyzna nie opuszcza w najtrudniejszych chwilach kobiety, na której mu zależy.

Wyłączył silnik i otworzył drzwi samochodu. Patrzył, jak Val zbliża się do rzeki. Gotów był wyskoczyć do dziewczyny na pierwszy znak, że nie zamierza po prostu usiąść na ławce. A mogła wymyślić coś naprawdę desperackiego, jeśli brać pod uwagę ból, pustkę i trwogę, które widoczne były w jej oczach.

David odczuł lekką ulgę, kiedy Val jednak usiadła, ze zwieszonymi ramionami i opuszczoną głową. Wciąż jednak, na wszelki wypadek, trzymał drzwi samochodu otwarte. Zresztą... i tak zamierzał wkrótce do niej podejść.

Na razie postanowił dać jej czas, żeby mogła trochę zapanować nad emocjami.

Zacisnął dłonie na kierownicy. On też musiał się zmierzyć z trudną prawdą.

Kobieta, która zdobyła jego serce, znalazła się kiedyś w kłopotach i żeby się z nich wydobyć, wybrała prostą drogę. Wybrała wygodę, tłumiąc głos sumienia.

Gdy naga, okrutna prawda do niego dotarła, aż ścisnęła mu żołądek.

Nie mógł zaakceptować jej wyboru, niezależnie od tego, jak bardzo mu zależało na Val. Jej decyzja był całkowicie sprzeczna z jego niezachwianą wiarą w świętość życia.

Tym niemniej przypominał sobie ból, bezradność i żal w oczach młodej kobiety.

Może ten wybór wcale nie był dla niej łatwy?

I może kosztował ją później całe lata bezustannej udręki, poczucia winy, żalu?

Nagle Val wstała, a David poczuł gwałtowny przyływ adrenaliny. Kiedy Val zrobiła krok w kierunku rzeki, wyskoczył z samochodu i zatrzymał się dopiero tuż przy niej.

- Val? - Bardzo chciał, żeby jego głos zabrzmiał spokojnie, jednak wydobył z siebie tylko ochryple, niezrozumiałe słowo.

Gwałtownie odwróciła ku niemu głowę. Drżała. W jej oczach nie było już tego dzikiego zagubienia, które tak mocno go przestraszyło w kościele. Wcześniejsze wzburzenie zastąpiły pustka i tępa rezygnacja. Policzki Val były bardzo blade, jeśli nie liczyć strumieni stanowiących pamiątkę po niedawnych łzach i rozmazanym makijażu.

David wyciągnął do niej rękę.

- Usiądźmy na chwilę.

Spojrzała na jego dłoń, jednak nie ruszyła się.

- Val, usiądźmy.

- Na pewno nie masz ochoty, żeby siadać obok mnie - odpowiedziała mu żalonym szeptem.

- A właśnie, że mam.

Potrząsnęła głową. Ogrom smutku na jej twarzy sprawiał mu ogromny ból.

- Uwierz mi, nie chcesz tego. Najlepiej będzie, jeśli teraz stąd pójdziesz i o mnie zapomnisz.

Wciąż trzymał wyciągniętą rękę.

- Zapomnienie nie wchodzi w grę, a na pewno nie odejdę w chwili, gdy ktoś, na kim mi zależy, zmaga się z wielkim bólem. Daj mi rękę. Proszę.

Popatrzyła na nią. Zawahała się.

*Proszę Cię, Boże, niech ona mi zaufa. Daj jej odwagę, aby podzieliła się ze mną swoim bólem, a mnie daj siłę, żebym jej wysłuchał i nie potępiał, abym osąd tej kobiety pozostawił tylko Tobie.*

Powoli, z wahaniem, Val chwyciła jego dłoń.

Kiedy ich palce się splotły, David poprowadził ją do ławki. Usiedli i natychmiast objął zrezygnowaną, przygarbioną kobietę ramieniem.

Minęło kilka minut. Przez ten czas ciszę przerwał na chwilę jedynie odległy gwizd lokomotywy przejeżdżającego pociągu.

Wreszcie Val odezwała się. Jej spojrzenie było utkwione w niespokojnym nurcie rzeki.

- Pewnie zastanawiasz się, co się ze mną stało? Pogłaskał kciukiem wierzch jej dłoni.

- Usunęłaś ciążę. - Bardzo się starał, aby w jego głosie nie wyczuła nawet śladu oceny, potępienia. - Przypuszczam, że dawno temu.

Val zacisnęła oczy, jednak po jej policzku popłynęła kolejna łza. David starł ją opuszką palca.

- Skoro się tego domyśliłeś, dlaczego tutaj jesteś?

- Bo mi na tobie zależy.

- Mimo tego, co zrobiłam?

Pytanie było proste, jednak odpowiedź - skomplikowana.

- Val... Jeśli zapytasz mnie, czy pochwalam aborcję, odpowiedź będzie przecząca. Moje stanowisko w tej kwestii uformowało się dawno temu, po śmierci mojej pięcioletniej siostry, która zmarła na białaczkę. Miałem wtedy osiem lat i doskonale pamiętam, jak wstrząśnięta była cała moja rodzina. Rodzice chcieli mieć więcej dzieci, ale żadne już im się nie urodziło. Myśleli o adopcji, jednak jej koszt znacznie przekraczał możliwości finansowe rodziny robotniczej, choć w tym kraju przecież rocznie ponad milion dzieci trafia do nowych rodziców.

Przełknął ślinę. Takie statystyki zawsze budziły w nim niesmak.

- W każdym razie... Kiedy dorosłem, zacząłem aktywnie działać w ruchu na rzecz ochrony życia poczętego. Wciąż robię wszystko, co w mojej mocy, żeby bronić prawa poczętych dzieci do narodzin. To dlatego tak chętnie zaangażowałem się w organizację wieczoru na rzecz Domu Nadziei.

Val próbowała oswobodzić rękę, jednak mocno ją trzymał.

- Val, popatrz na mnie.

- Nie mogę.

- Proszę.

Powoli, z obawą, jednak odwróciła głowę.

- Zależy mi na tobie. Bardzo. - Zanim wypowiedział kolejne słowa, odczekał chwilę, żeby do Val dotarło znaczenie tego, co zadeklarował przed chwilą. - I z tego powodu chcę być szczery. Prawda jest taka, że nigdy nie zmienię mojej opinii na temat aborcji. Ale ludzie są tylko ludźmi. Popełniają błędy. Ulegają naciskom. Nie moją rolą jest osądzanie tego, co robią inni. To, co zrobiłaś, pozostaje do wyjaśnienia pomiędzy tobą a Bogiem. Wiem tylko, że za swoją decyzję zapłaciłaś już wysoką cenę. Jestem tego pewien, widząc twój żal, ból, rozpacz...

W oczach Val pojawił się nagle promyk nadziei.

- Czy to znaczy, że... że wcale mnie nie nienawidzisz?

- Ani mi to w głowie. Popatrzyła badawczo na jego twarz.

- Nie... nie spodziewałam się. Chciałbyś... - Na chwilę jakby głos uwiązł jej w gardle, ale zaraz kontynuowała: - Chciałbyś wiedzieć, co się stało?

- Bardzo bym chciał, o ile zechcesz mi wszystko opowiedzieć.

Val skinęła głową i znowu utkwiała spojrzenie w nurcie ciemnej rzeki.

David słuchał w milczeniu, kiedy łamiącym się głosem opowiadała mu swoją historię. Właściwie spodziewał się czegoś takiego.

Niemal przy samym końcu tak bardzo ściszyła głos, że musiał mocno się ku niej pochylić, żeby słyszeć ostatnie słowa.

- Wciąż mam wydruk z badania ultrasonograficznego. Wyraźnie na nim widać prawidłowo rozwijające się dziecko. Mojego syna lub córkę... W tym roku dziecko miałoby już siedemnaście lat. Byłoby w tym samym wieku, w jakim ja byłam, kiedy... kiedy odebrałam mu życie.

David pogłaskał jej dłoń. Wszystko już było dla niego jasne.

- Teraz chyba wiem, dlaczego przyjechałaś tego lata w rodzinne strony. Próboweś znaleźć tu wybaczenie dla samej siebie?

- Częściowo tak.

Opowiedziała mu, co robiła, żeby odzyskać spokój. Usłyszał o jej wyprawie nad rzekę, do centrum medycznego i kliniki, w której dokonała aborcji.

David wiedział już, dlaczego tak często widział w jej oczach strach osoby bezustannie prześladowanej. Jej życie było koszmarem. Bezustannie napotykała na swej drodze demony z przeszłości.

I była samotna, tak bardzo, bardzo samotna.

- To wymagało wielkiej odwagi, Val - powiedział w końcu.

- Nie - odparła natychmiast mocnym i zdecydowanym głosem. - Wszystkim, co robiłam, kierowała raczej desperacja, a nie odwaga. Jednak nic nie przynosiło efek-

tów, jakich pragnęłam. Spróbowałam nawet wrócić do kościoła. To także nic nie dało. - Z trudem powstrzymywała się od płaczu. - Tego lata chociaż jedna osoba na tym wszystkim skorzystała. Moja mama w pełni odzyskała zdrowie.

- Może musisz dać sobie jeszcze więcej czasu?

- Miałam go dość przez osiemnaście lat. - Zwiesiła bezwładnie ramiona. - Ta podróż do domu była moją ostatnią nadzieją. Obawiam się, że kiedy wrócę do Chicago, znowu będę musiała żyć sama, z przytłaczającym poczuciem winy, tak jak już żyję od tylu lat.

W tej jednej chwili prawda o Val uderzyła go niczym potężny cios pięścią w brzuch.

Val uważała, że nie zasługuje na to, by mieć męża ani dzieci. Odpokutowywała swój błąd, decydując się na samotność, odmawiając sobie tego wszystkiego, czego jej serce najbardziej pragnęło. To wyjaśniało smutek, skryty w jej oczach za tęsknotą, kiedy patrzyła na niego i na Victorię. Nie zamierzała pozostać w Waszyngtonie, nie zamierzała starać się tutaj o posadę nauczycielki, ponieważ odbywała dożywotni wyrok, na który sama siebie skazała. Jej decyzja nie miała nic wspólnego z karierą. David wiedział już, że powszechnie panująca opinia o Val, iż wyżej ceni błyskotliwe życie zawodowe niż życie rodzinne i po prostu dlatego nie chce zakładać własnej rodziny, jest z gruntu fałszywa.

Pogłaskał ją po plecach, żałując, że nie jest w stanie złagodzić jej bólu.

- Może już dość tej udręki? - odezwał się po chwili łagodnym głosem.

Val popatrzyła na niego i zmarszczyła czoło.

- Co masz na myśli?

- Może już dosyć wycierpiałaś z powodu błędów sprzed osiemnastu lat? Może nadszedł czas, żebyś je sobie wybaczyła i pozwoliła Bogu, żeby ci również wybaczył?

Potrząsnęła głową, zanim David skończył mówić.

- Nie zasługuję na przebaczenie.

- Przebaczenie nie jest czymś nieosiągalnym. Jeśli naprawdę będziesz żałować swojego ciężkiego grzechu i uwierzysz w bezwarunkową miłość Boga, uzyskasz je.

Val zrobiła sceptyczną minę.

- Nie jestem pewna, czy wierzę w bezwarunkową miłość.

David na chwilę popatrzył jej w oczy. Chciał, żeby jego wzrok odpowiedział Val, co mu leży na sercu.

- Uwierz mi... Taka miłość bywa rzadkością, ale istnieje. Mogę ci coś zasugerować?

Val nabrała powietrza w płuca i powoli je wypuściła. Otarła z policzka łzy i przyzwalająco pokiwała głową.

- Może porozmawiałabyś z wielbnym Richardsem?

- Wątpię, czy taka rozmowa w jakikolwiek sposób by mi pomogła. - Przy ostatnim słowie jej głos załamał się.

David odrobinę przysunął się do niej i ujął jej dłoń w swoje ręce.

- Chciałbym, żebyś jednak spróbowała. Ponieważ, będę z tobą szczery, zależy mi na tym, żebyś znalazła odkupienie, żebyś odzyskała zdolność do dalszego życia w spokoju i zgodzie z samą sobą. Chcę tego, bo jestem egoistą. - Dał jej chwilę, żeby zrozumiała znaczenie tych słów.

- Jeśli uciekniesz do Chicago, niczego to w twoim życiu nie rozwiąże. A posada nauczycielki w tutejszej szkole średniej wciąż czeka.

Wpatrując się w jej twarz, David wstrzymał oddech.

Modlił się teraz po cichu, żeby Val wystarczyło odwagi na podjęcie tego ostatniego kroku. W końcu powoli pokiwała głową.

- Dobrze. Porozmawiam z wielebnym Richardsem. *Dzięki Ci, Boże!*

- Wiem, że nie będziesz tego żałowała. - David spojrzął na zegarek. Bardzo pragnął nie mieć już tego wieczoru żadnych kolejnych zobowiązań. Ale przecież czekała na niego córka. - Muszę odebrać Victorię od sąsiadki. Dasz sobie radę za kierownicą?

-Tak.

Czy na pewno?

Być może. Jej głos był już silniejszy i sprawiała wrażenie, że panuje nad sobą. Zapewne spokojnie dotrze do domu.

Nie musiała jednak jechać zupełnie sama.

- Będę jechał za tobą.

- Nie musisz. Dam sobie radę.

- Być może. Ale lepiej dzisiaj zasnąć, jeśli będę wiedział, że na pewno jesteś w domu, zdrowa i cała. Poza tym obiecałem twojej siostrze, że cię dopilnuję. Jeżeli nie zobaczę na własne oczy, że zatrzymujesz samochód na podjeździe przed domem, złamię słowo, które jej dałem.

David wstał i wyciągnął rękę. Val przyjęła pomoc.

W ciszy ruszyli do swoich samochodów. Kiedy się zatrzymali, David posłuchał głosu swojego serca i przytulił kobietę do siebie; objął ją czułym, kojącym uściskiem.

Stali w ten sposób przez całą minutę. Policzek Val spoczywał na jego ramieniu, jej delikatne włosy głaskały jego podbródek. W jego ramionach czuła się dobrze,



jakby w nich właśnie znalazła przeznaczone sobie miejsce. Na zawsze.

A kiedy w końcu wsiedli do samochodów, David pojął, że słowa „na zawsze” są tymi, które określą jego związek z tą kobietą.

Na dobre i na złe.

- Dzień dobry, Val. Napijesz się kawy? - Wchodząc do biura, wielebny Richards uniósł w górę swój własny kubek w zachęcającym geście.

Val słabo się uśmiechnęła.

- Nie, dziękuję. Chyba już przekroczyłam dozwoloną dawkę kofeiny na dziś.

Pastor usiadł obok niej.

- Wiem, że sam powinienem ograniczać ilość pitej kawy, ale w poprzednim, korporacyjnym życiu, tak się do niej przyzwyczailem, że teraz nie potrafię sobie jej odmawiać.

To było dla niej coś nowego.

- Pastor pracował w realnym świecie?

- Wolałbym uważać ten świat — stojąc na środku gabinetu, zatoczył ręką koło - za realny. A przynajmniej za ten najważniejszy dla każdego człowieka.

Val zrobiło się gorąco. *Spokojnie, dziewczyno. Bądź dyplomatką.*

- Przepraszam. Chyba jednak niewłaściwie sformułowałam pytanie.

Pastor roześmiał się.

- Nie ma problemu. Ludzie często nazywają realnym właśnie moje poprzednie życie i już ich tego nie oduczę. Ale żeby ci odpowiedzieć: wstąpiłem do stanu duchownego znacznie później niż większość pastorów. Przyjąłem święcenia zaledwie kilka lat temu.

Stał więc przed nią duchowny, który zdążył doskonale poznać wyzwania i pokusy świeckiego świata.

Może rozmowa z nim nie będzie jednak tak trudna, jak się tego spodziewała?

- Co zatem mogę dla ciebie dzisiaj zrobić? - Wielebny Richards postawił kubek z kawą na bocznym stoliku i całą swoją uwagę skierował na Val.

Skrzyżowała nogi i splótła dłonie na kolanie.

- Wkrótce będę musiała wrócić do Chicago i mam kilka... spraw... których nie potrafię rozwiązać samodzielnie.

Duchowny lekko przechylił głowę, słysząc wahanie w jej głosie.

- Na pewno tą sprawą nie jest zdrowie twojej matki. Wydaje mi się, że z każdym dniem czuje się lepiej.

- Rzeczywiście. W dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach odzyskała władzę w lewej połowie ciała. David uważa, że to wielkie osiągnięcie... Jest jej terapeutą.

- A tak, David Phelps. To bardzo miły gentleman i ma czarującą córeczkę. Cieszę się, że dołączyli do naszej parafii; są dla nas wspaniałym nabytkiem. Cieszę się także z tego, że i ty powróciłaś do kościoła. Twoja matka wspomniała kiedyś ze smutkiem, że na jakiś czas oddaliłaś się od Boga. Czy powinienem przyjąć, że twój powrót związany jest ze wspomnianymi przez ciebie kwestiami, których nie potrafisz samodzielnie rozwiązać?

- Tak. To mi jednak w niczym nie pomogło.

- W każdym razie uczęszczanie do kościoła to dobra rzecz, sama w sobie. Jednak fizyczna obecność w kościele nigdy nie będzie miała wielkiego znaczenia, jeżeli będziemy po prostu siadać w ławce i czekać, aż Bóg się do nas odezwie. Spróbowałaś z nim rozmawiać?

- Tak. Kierowałam do niego nieudolne modlitwy.

- W modlitwach chodzi o szczerłość, a nie o doskonałość techniczną. Dobra modlitwa jest jak rozmowa z najdroższym przyjacielem. Z wiarą i otwarciem eksponujemy w niej wszystko, co nam leży na sercu.

- Do rozmowy potrzeba jednak dwojga. A nawet, jeśli Bóg mówi coś do mnie, ja tego nigdy nie słyszę.

- Bo słuchanie Boga może przybierać różne formy, chociaż przede wszystkim wymaga wielkiej koncentracji. Jego głos często jest zaledwie szeptem w naszej duszy.

- A więc nawet nie potrafię dobrze słuchać. - Val westchnęła. — Skoro jednak nie potrafię usłyszeć głosu Boga, może wielebny zechce wskazać mi dalszą drogę, udzielić wskazówek na dalsze życie?

- Zrobię, co w mojej mocy.

Wielebny Richards zamilkł i obserwował, jak Val bawi się paskiem swojej torebki. Nie zamierzał jej popędzać ani zadawać pytań. Wiedział, że kobieta, która do niego przyszła, musi podjąć trudną rozmowę w swoim własnym tempie. Nic dziwnego, że kochali go wszyscy parafianie.

A Val bała się rozpocząć, chociaż zdawała sobie sprawę, że zwlekanie wcale nie ułatwi jej rozmowy z pastorem. Doszła do wniosku, że nie warto czekać z jej rozpoczęciem w nieskończoność.

- Przypuszczam, że wielebny wie, że zgodziłam się wystąpić na dzisiejszym wieczorze dobroczynnym w charakterze konferansjerki.

- Tak. Wszyscy bardzo to doceniamy.

- Tylko że... Właściwie to chciałabym się z tego wycofać.

Wykręciła palce rąk i czekała na reakcję pastora. Powinien być zaskoczony albo zdenerwowany. Nie spodziewała się pochwały za rezygnację w ostatniej chwili.

Tymczasem wielebny Richards zapytał ją bardzo spokojnie:

- A to dlaczego?

Kostki na jej palcach zbieleły. Po chwili oderwała od siebie obie dłonie.

- Wczoraj wieczorem miałam problem z odczytaniem tekstu, który powinnam zaprezentować na sam koniec wieczoru. Dodano go w ostatniej chwili.

- Chodzi o list do nienarodzonego dziecka? Zmarszczyła czoło.

- Pastor o tym wie?

- Tak. Dyrektorka Domu Nadziei przefaksowała mi wczoraj ten list, żebym go zaaprobował. Jest mocny, bardzo poruszający. Potrafię sobie wyobrazić, że trudno jest przeczytać go na głos.

- Bardzo trudno. Szczególnie mnie. - Val zmusiła się, żeby utrzymać kontakt wzrokowy z pastorem, pomimo pokusy, żeby ze wstydem wbić wzrok w podłogę. - Ponieważ mogłabym być jego autorką.

Wzrok wielebnego Richardsa nagle stał się bardzo łagodny.

- Przepraszam.

Takiej reakcji się nie spodziewała. Poczula, że ma ściśnięte gardło i z wielkim trudem wypowiedziała kolejne słowa:

- Ja też przepraszam.

Duchowny pochylił się ku niej i złożył dłonie. W jego twarzy dostrzegła tylko współczucie i dobroć.

- Opowiedz mi o tym - zachęcił ją.

I opowiedziała. Niczego nie ukryła, nie oszczędzała się. Przyjmowała pełną odpowiedzialność za wszystkie swoje poczynania.

- Nawet motywy mojego przyjazdu tego lata

w rodzinne strony nie były całkowicie altruistyczne. -Pomasowała skronie, gdyż z każdą chwilą coraz mocniej bolała ją głowa; żyły pulsowały. - Zgodziłam się pomagać mamie, jednak bardzo chciałam też zamknąć w końcu ten okropny rozdział mojego życia. Chciałam się pozbyć poczucia winy, bólu i ciężaru, który przytłaczał mnie przez te wszystkie lata.

Wyjaśniła pastorowi, jakie w tym celu podjęła kroki. Zakończyła bezradnym westchnieniem.

- I tak nic mi to nie pomogło. Wręcz przeciwnie, czuję się teraz gorzej niż wtedy, gdy tu przyjeżdżałam. A życie przyniosło mi kolejną komplikację. — Zrobiła skruszoną minę. - Ale się pastor musi nasłuchać, prawda?

Wielebny posłał jej uspokajający uśmiech.

- Gdybym nie chciał pomagać ludziom w rozwiązywaniu ich problemów, trzymałbym się z daleka od stanu duchownego. Cóż to za komplikacja?

- Chodzi o Davida. Poprosił mnie, żebym została tutaj na stałe i postarała się o posadę nauczycielki języka angielskiego w tutejszej szkole średniej. David uważa, że my... że mógłby się pomiędzy nami rozwinąć poważny związek.

- A ty, co o tym myślisz?

- Uważam, że to... możliwe.

- W czym więc problem? Westchnęła.

- Moja tragiczna decyzja sprzed lat i hmm, mroczna historia mojego życia nie zasługują na szczęśliwe zakończenie. Ja sama nie zasługuję na szczęście, a David na żonę z tak zagmatwaną przeszłością.

Duchowny wyprostował się na krześle.

- Zajmijmy się najpierw tą zagmatwaną przeszłością. Uważam, że przez te wszystkie lata poszukiwałaś

przebaczenia. Albo rozgrzeszenia. Ich źródło może być tylko jedno. We współczesnym społeczeństwie wiele słyszymy o wzajemnym wybaczeniu ludziom przez ludzi. Tymczasem prawdziwe wybaczenie pochodzi wyłącznie od Boga; fakt, że znowu przychodzisz do kościoła, mówi mi, że obecnie poszukujesz wybaczenia we właściwym miejscu. Pozwól, że zadam ci pytanie. Gdybyś dzisiaj stanęła przed identyczną próbą jeszcze raz, podjęłabyś inną decyzję niż wówczas?

- Bez chwili wahania.

- Zatem twój wieloletni ból i poczucie winy nie poszły na marne. Dorostaś, dojrzałaś i w rezultacie tego, co przeszłaś, stałaś się lepszą osobą, bardziej wrażliwą. A przecież kiedy zwracamy się do Boga skruszeni i świadomi zła, które popełniliśmy, on zawsze wita nas z radością i wybacza.

- Tak powiedział David.

- Wiedziałem, że to mądry mężczyzna. Poza wybaczeniem uzyskujemy od Boga także drugą życiową szansę. Nie zawsze mamy możliwość naprawienia wcześniejszego błędu, ale zawsze możemy czerpać z niego naukę i kontynuować życie jako lepsi ludzie. Możemy cieszyć się przyszłością, którą Bóg nam oferuje, i żyć pełnią życia, zamiast marnować rozpościerające się przed nami szanse z powodu przekonania, że nie jesteśmy ich godni. I tutaj następuje szczęśliwe zakończenie, o którym wspomniałaś przed kilkoma minutami.

- Od dawna uważałam, że szczęśliwe zakończenia ponurych historii są przeznaczone wyłącznie dla innych ludzi, ale nie dla mnie. Ewentualnie można sobie o nich poczytać w książkach.

Wielebny Richards pochylił się ku Val z poważną miną.

- Zapewniam cię, że zdarzają się one w prawdziwym życiu. Widuję je codziennie. Prawda jest taka, że gdybyśmy otrzymywali w życiu tylko to, na co naprawdę zasługujemy, większość z nas żyłaby w workach pokutnych i bezustannie posypywałaby głowy popiołem. A przecież jesteśmy tylko ludźmi! Wszyscy popełniamy błędy.

- Ale niektórzy popełniają większe, inni mniejsze.

- Prawda. Jednak Bóg nas wszystkich kocha po równo, pomimo naszych wad. To dlatego wysłał do nas swojego Syna, który pokazał nam siłę zbawczej miłości. A Jego największą nadzieją dla każdego z nas jest szczęśliwe zakończenie, zarówno w wieczności, jak i tutaj, na ziemi. Bóg nie chce, żebyśmy przez całe życie ponosili karę za grzechy. Pragnie, żebyśmy przedstawiali Mu nasze błędy i niedopatrzienia, i żebyśmy wiedzieli, że zawsze jest gotów nas wspierać i, jeśli to potrzebne, wybaczać nam. Opiekuje się nami i zarazem chce, żeby każdy z nas dbał o innych. Jednym z przejawów takiej postawy człowieka jest piękne małżeństwo. Wydaje mi się, że Bóg nawołuje cię do małżeństwa szczególnie intensywnie.

Wpatrując się w szczerą twarz duchownego, Val potrzebowała dłuższej chwili, żeby słowa, które wypowiedział, do niej dotarły.

I jeszcze kilku sekund, żeby zrozumieć jego przekaz, pełen przeznaczonej wyłącznie dla niej nadziei.

I jeszcze kilku, żeby ten przekaz zaakceptować.

Ale kiedy ten proces się zakończył, kiedy przemowa wielbego Richardsa zapadła głęboko w jej duszę, wydarzyło się coś nadzwyczajnego.

Druzgoczące poczucie winy, które nosiła w sobie przez niemal osiemnaście lat, jakby się stopiło, pozostawiając na swoim miejscu słodką ulgę. Wyzwolenie. Wolność.



Odniosła wrażenie, że nawet oddychanie przychodzi jej teraz z większą łatwością.

Popatrzyła na duchownego jak przez mgłę. Zaciśnęła dłoń na jego rękach.

- Dziękuję - powiedziała.

Uśmiech, którym ją obdarzył, był jak balsam na jej poturbowane serce.

- To nie mnie powinnaś dziękować. Ja jestem jedynie skromnym posłańcem, który ci przyniósł wiadomość. Porozmawiamy przez chwilę z nadawcą tej wiadomości?

Gdy skinęła potakująco, duchowny skłonił głowę.

- Panie, dziękujemy Ci za Twoją wielką dobroć i wspaniałomyślność, i Twój wspaniały dar wybaczenia. Nie ustawaj w obdarzaniu nas Twoją uzdrawiającą łaską, abyśmy mogli wędrować przez ten świat ze świadomością, że zawsze jesteś obok nas, nawet wtedy, kiedy na Twoją miłość zasługujemy najmniej. Daj nam siłę, abyśmy potrafili podążać za Twoim przykładem i żyć zgodnie z Twoimi wskazówkami. Wspieraj nas, kiedy upadamy. Mów do nas, kiedy potrzebujemy przewodnika. I pozwól nam zawsze pamiętać przepiękne słowa Mateusza, abyśmy nigdy nie tracili serca i nie czuli się samotni: „Przyjdźcie do mnie, którzy jesteście utrudzeni i uciemiężeni, a ja was pokrzepię”... Dzisiaj prosimy Cię, Panie, o specjalne błogosławieństwo i wsparcie dla Val, która pragnie porzucić przeszłość i z nadzieją spogląda ku dniu jutrzejszemu, który dla niej przygotowałaś. Pozwól jej zawsze cieszyć się Twoją niewzruszoną miłością i opieką i obdarz ją przyszłością pełną nadziei. Amen.

Kiedy modlitwa dobiegła końca, Val głęboko odetchnęła. Poczucie wielkiego spokoju zastąpiło cierpienie w jej duszy. Po raz pierwszy od dnia, w którym popeł-

niła tragiczny błąd, przyszłość wydała się jej obiecująca i pełna szczęścia. Nie mogła się doczekać, kiedy rozpocznie swoją podróż ku szczęściu.

Ale przed rozpoczęciem tej podróży miała jeszcze dzisiaj kilka spraw do załatwienia.

— Ja stawiam. To jest w końcu nasza ostatnia sobotnia kawa. - Karen otworzyła portfel i podała sprzedawcy kartę kredytową.

-Nie musisz... - Val wciąż szukała portfela w torebce.

Karen położyła dłoń na jej ramieniu.

- Pozwól mi jednak zapłacić. Bardzo się cieszę, że nie odwołałaś naszego spotkania.

Po krótkim wahaniu Val skapitulowała.

- Dobrze. Dzięki. - Wzięła do ręki swoje frappuc-cino i wskazała na mały stolik w rogu sali. - Tam będzie dobrze?

— Doskonale.

Podążając za siostrą przez zatłoczoną kawiarenkę, Karen obrzuciła ją badawczym spojrzeniem. Wyglądała nieźle, jeśli wziąć pod uwagę jej emocjonalne załamanie i roztrzęsiony głos w słuchawce telefonicznej dzisiaj rano. Sprawiała wrażenie zmęczonej - ale było to jakby zmęczenie maratończyka, który właśnie przebiegł linię mety. Jakby właśnie dokonała się w niej wielka zmiana, jakby skutecznie stawiała czoła wielkiemu wyzwaniu.

Po wczorajszym wieczorze Karen mniej więcej wiedziała już, co to było za wyzwanie.

Siostry usiadły przy stoliku naprzeciwko siebie. Val miała wiele do powiedzenia i chciała mówić; Karen

doskonale to czuta i była gotowa jej wysłuchać, lecz zarazem bardzo się bała.

Co, jeśli ta rozmowa zagrozi ich nowym, kruchym wzajemnym relacjom, które z trudem budowały w trakcie tego lata? Tym, które - ku radości Karen - rozwijały się i kwitły, dając jej wreszcie prawdziwą siostrę, której tak naprawdę nigdy nie miała?

Jednak ignorowanie problemu nie mogło przecież doprowadzić do jego rozwiązania. Jeśli Val zamierzała wszystko wyznaczyć, musiała jej wysłuchać. Tak powinny się zachowywać siostry - i przyjaciółki.

Głęboko odetchnęła i przerwała przedłużającą się ciszę.

- Kiedy odjedziesz, moje soboty nie będą już takie same - powiedziała.

- Może się okazać, że to nie jest nasza ostatnia sobotnia kawa - odparła Val. Przez chwilę bawiła się łyżeczką. - Zastanawiam się nad pozostaniem w Waszyngtonie.

Karen nie dowierzała własnym uszom. Czegoś takiego się nie spodziewała.

- Mówisz poważnie?

- Tak. - Val posłała jej uśmiech, który wydawał się trochę wymuszony. - Pomyślałam, że będziesz szczęśliwa, jeśli zyskasz na stałe pomocnika do opieki nad matką.

- Zamierzasz tu zostać z powodu mamy? - Tego Karen też się nie spodziewała.

I nie chciała wierzyć, że to właśnie z powodu matki Val rozważa tak gwałtowną zmianę w swoim życiu.

- Częściowo. Ale bardziej ze względu na ciebie, Kristen, Davida i Victorię.

Val mocniej ścisnęła plastikowy kubeczek. Kawa przelała się i kilka kropel płynu spadło na stolik. Val pospieszenie starła się zetrzeć je chusteczką.

Ścisnęła w dłoni mokry papierek i kontynuowała powściągliwie:

- Chcę tu pozostać także dlatego, że mam już dość uciekania.

*Uwaga!*

Karen zachowywała jednak spokój.

- Co przez to rozumiesz?

- Wyjechałam z Waszyngtonu z konkretnego powodu. Zbyt wiele przypominało mi tutaj o moich błędach. - Odsunęła kubek na bok i zacisnęła ręce na stole. - Pamiętasz trochę z tego lata, kiedy miałam siedemnaście lat i byłam w ostatniej klasie szkoły średniej?

- Nie. Spotykałam się wtedy z Michael'em i wszystko, poza moim tak zwanym romans'em, pamiętam z tamtego czasu jak przez mgłę. Poza tym dużo czasu spędzałam w pracy. Raczej rzadko się widywałyśmy. Ty albo pracowałeś w barze, albo biegałeś po okolicy z paczką znajomych. A wiosną byłam już po ślubie. Dlaczego pytasz?

- W tym czasie wydarzyło się coś, co na zawsze zmieniło moje życie. To właśnie z tego powodu załamalam się wczoraj na próbie. Dlatego przez tyle lat uciekałam.

A więc podejrzenia, które męczyły Karen przez większość nocy, były prawdziwe?

Z wielkim wysiłkiem zachowywała kamienny spokój.

- Chcesz mi powiedzieć, że przeszłaś aborcję?

- Tak. — Val wypowiedziała to słowo szeptem. -I bardzo tego żałuję, od następnego dnia po zabiegu aż po dzień dzisiejszy.

Pamiętając jej wczorajsze zachowanie, Karen nie miała co do tego wątpliwości. I chociaż wybór Val sprawiał jej wielki ból, serce starszej siostry zareagowało falą współczucia. Osiemnaście lat bezustannego poczucia

winy, żalu i samooskarżeń musiało być dla Val strasznym okresem.

- Chcesz mi o tym powiedzieć?

- Tak. Jeżeli mamy pozostać przyjaciółkami, nie chcę, żeby utrzymywały się między nami jakieś sekrety. Bądź jednak pewna, że zrozumie cię, jeżeli nie zaakceptujesz tego, co teraz powiem.

Karen słuchała, jak Val relacjonuje swoją historię, aż po poranną rozmowę, którą dzisiejszego ranka odbyła z wielbnym Richardsem. Bardzo się starała, żeby przyjmować jej słowa z otwartym umysłem i równie otwartym sercem. Pragnęła rozumieć ją i jej współczuć. Pamiętała, że nie do niej, lecz do Boga, należy osądzenie tego, co uczyniła Val.

- Więc... teraz już wiesz. - Val otarła z zewnętrznych ścianek kubka wilgoć, która powstała w wyniku dotyku jej spoconych dłoni. - Nareszcie czuję, że zamykam pewien rozdział i wracam do domu, żeby znaleźć nową drogę i rozpocząć nowe życie. Może to i dziwnie brzmi, ale to nowe życie chciałabym rozpocząć w starym, dobrze mi znanym Waszyngtonie.

Karen ujęła jej dłoń i mocno ją ścisnęła.

- Nawet nie potrafię sobie wyobrazić, jak było ci strasznie i jak okropnie się czułaś, ukrywając swój sekret przez te wszystkie lata.

Val uważnie spojrzała na twarz siostry.

- A więc nie nienawidzisz mnie za to, co zrobiłam? Nienawidzić jej? Nigdy! Karen bała się jednak, że

wybory Val, sprzeczne ze wszystkim, w co wierzyła ona sama, mogą wbić pomiędzy nią a siostrę klin.

Bóg jednak odpowiedział na modlitwy Karen, błogosławiąc ją empatią i łaską, których potrzebowała, aby obdarzyć siostrę współczuciem, jakiego nauczała jej wiara.

- Ani mi się śni.

- Tak samo wczoraj wieczorem powiedział mi David.

- Wiedziałam, że to dobry człowiek. - Karen wygodniej usiadła na krześle. - Ale... mówiąc o Davi-dzie, wspomniałaś, że on i Victoria są wśród powodów, dla których chcesz tutaj zostać...?

- Nie myślałam, że cię to ucieszy. - Na ustach Val pojawił się lekki uśmiech. - David poprosił mnie, żebym podjęła starania o zatrudnienie w tutejszej szkole średniej jako nauczycielka języka angielskiego. Uważa, że my dwoje moglibyśmy... być dobrą parą.

- A co ty o tym sądzisz?

- Zgadza się z nim. Karen uśmiechnęła się.

- Wierzę, że będziesz szczęśliwa, Val.

- Dzięki... Teraz muszę cię jednak poprosić o przysługę. Muszę jeszcze coś zrobić i chciałabym, żebyście ty i David poszli w tym celu razem ze mną.

Gdy Val wyjaśniła, na czym polega jej prośba, Karen poczuła, że pod jej powiekami zbierają się łzy. Kiedy młodsza siostra skończyła, wyciągnęła ku niej rękę i mocno ścisnęła jej dłoń.

- Możesz na mnie liczyć.

Val zamrugnęła oczami i oddała jej uścisk.

- Dziękuję ci.

Przez długą chwilę siedziały w milczeniu, z połączonymi rękami i sercami. Wreszcie Karen popatrzyła na zegarek.

- Z niechęcią o tym mówię, ale musimy jeszcze zrobić zakupy i przygotować się do wieczoru.

- Masz rację. - Val szybko dopiła frappuccino, zajrzała do torebki i wyciągnęła z niej kartkę papieru. -Ponieważ mama myśli, że już wkrótce wyjadę, zrobiła listę

tego, co chciałyby jeść w przyszłym tygodniu na kolację. Na samym szczycie listy jest ratatuj, uwierzyłybyś? Karen potrząsnęła głową.

- I kto powiedział, że cuda się nie zdarzają? Kąciki ust Val uniosły się w lekkim uśmiechu.

- Już nigdy więcej nie będę wątpić.

Zdaniem Karen, wieczór dobroczynny odniósł pełny sukces. Dom Nadziei odzyskał dodatnie saldo w rachunkach. Steven fantastycznie zagrał na pianinie. Zadowolenie przyniósł Karen także jej solowy występ, a Val na samym końcu przeczytała list z takim uczuciem i namiętnością, że w kościele nie było osoby, której nie napłynęłyby łzy do oczu.

Po zakończeniu programu artystycznego Karen przyjmowała zasłużone gratulacje, a siostra, córka i matka stanęły w rzędzie jej wielbicieli. Gdy tłum przy niej trochę się rozrzedził, Kristen podeszła do Karen i mocno ją uściskała.

- To było imponujące, mamo! - zawołała.

- Potwierdzam! - poparła ją Val.

Margaret popatrzyła na Karen ponad oprawkami okularów.

- Muszę powiedzieć, że mnie zaskoczyłaś.

Słowa te w ustach matki można było uznać za odpowiednik nagrody Grammy. Karen objęła ją czule.

- Dzięki, mamo.

- Dołączam do gratulacji. - Scott, który właśnie do nich doszedł, obdarzył Karen pełnym podziwu uśmiechem.

Val spojrzała na Scotta, a potem znów na siostrę.

- Pojedziecie z nami do domu?

- Nie. -Tak.

Po tych równoczesnych - i sprzecznych - odpowiedziach, Karen zmierzyła dyrygenta wzrokiem.

- Rozumiem, że odpowiedź jest negatywna. - Val złapała matkę pod ramię. - Chodźcie ze mną, dziewczyny - powiedziała do niej i do Kristen. - Trzy osoby to miła kompania, ale piątka to już tłum.

Gdy Val, jej matka i Kristen zaczęły odchodzić, Karen oparła dłonie na biodrach i zawołała za nimi:

- Hej! Jak mam właściwie wrócić do domu?

- Do usług. - Scott wykonał przed nią żartobliwy, przesadny ukłon. - Jednak najpierw musimy uczcić twój debiut.

- A w jaki sposób?

- Zaproponowałbym wizytę u Pana Franka. Doskonale. Tam będzie znacznie bezpieczniej niż

w jakimś romantycznym miejscu nad rzeką.

- Kupuję to.

- W takim razie tylko pozbieram nuty i spotkamy się przy wyjściu.

Karen przeszła pomiędzy ławkami, odbierając po drodze kolejne pochwały, jednak jej spojrzenie bezustannie kierowało się w stronę Scotta. I chociaż wszystkie komplementy, które słyszała, były bardzo miłe, doskonale wiedziała, że tylko po części odpowiadają one za radość, która przepełniała jej serce.

Scott, który trzymał już swoją porcję lodów, dostrzegł ławkę, którą właśnie zwolniła jakaś starsza para.



- Szybciej! Biegnijmy! - Złapał Karen za rękę i oboje ruszyli pędem w stronę ławki, zaledwie o sekundę wyprzedzając parę nastolatków.

Po drodze Scott upuścił kluczyki do samochodu. Karen ze śmiechem usiadła obok niego.

- Widzę, że szybko nauczyłeś się, jak walczyć o miejsca u Pana Franka.

- Kto się waha, nigdy nie wygra.

Schylił się i podniósł z ziemi kluczyki, a Karen głos uwiązł w gardle. Kiedy Scott się wyprostował, dotknęła jego dłoni.

- Odzyskałeś już prawie całkowitą sprawność w tej ręce! Kiedy to się stało?

Popatrzył na jej palce, spoczywające na jego dłoni, a kiedy uniósł głowę, w jego oczach igrały jasne płomyki.

- To się dzieje stopniowo.

Spoglądał na Karen przez długą chwilę, a jej serce jakby zapomniało, że przez cały czas powinno bić równomiernie.

Bezpieczny Pan Frank? Co za pomyłka!

Scott pochylił się ku niej, skupiając teraz wzrok na jej ustach. Było jasne, do czego zmierza.

Karen pragnęła go całować równie gorąco, jak on ją. Ale jeszcze nie teraz.

Przywołując się do porządku, położyła dłoń na piersiach. .. i próbowała ignorować potężne uderzenia serca, które czuła pod palcami.

- Scott... nie mogę. Jeszcze nie nadszedł czas. Mam teraz tak wiele problemów... Jeżeli dojdzie do nich jeszcze jeden, obawiam się, że całe życie mi się rozsypie. Nie chcę tego ryzykować.

Scott wstrzymał oddech. Cofnął się. Popatrzył na swoją porcję lodów.

- Przepraszam. Kiedy jestem przy tobie, z trudem panuję nad emocjami. - Uśmiechnął się smutno. - W każdym razie nie masz teraz wątpliwości, co czuję.

Czy powinna zaryzykować i ujawnić mu własne uczucia? A co będzie, jeśli Scott je zbagatelizuje, podobnie jak to uczynił Michael?

Ale przecież on nie był Michaeliem. Ani odrobinę go nie przypominał, w niczym.

Karen przyszło do głowy, że może nadszedł już czas, aby poszła za przykładem Val i aby także ona uwolniła się od więzów przeszłości.

Nabrała powietrze w płuca, zebrała całą swoją odwagę i powiedziała głośno to, co jej leżało na sercu:

- Czuję to samo, co ty. Jesteś nadzwyczajnym mężczyzną i każdego dnia dziękuję Bogu, że stałeś się częścią mojego życia.

Czułość wygładziła jego rysy. Wyciągnął drżącą rękę, by dotknąć twarzy Karen.

- Czy to oznacza, że po... że później... że zechcesz zacieśnić nasz związek?

- Tak. I kiedy nadejdzie czas, będę chciała zaoferować ci wszystko to, na co w pełni zasługujesz.

- A zatem muszę jeszcze być cierpliwy. Szczerze mówiąc, cierpliwość nie jest moją najlepszą cechą, jednak się postaram. - Scott wyprostował się i zaczął mieszać łyżeczką w kubeczku z lodem, tworząc w słodkiej i zimnej masie wierzchołki i doliny. - Wiesz, ja nawet nie do końca potrafię pojąć, dlaczego zgodziłaś się pomagać byłemu mężowi po tym wszystkim, co ci zrobił. Podziwiam jednak siłę twoich zasad i zdecydowanie, żeby dotrzymać danej raz przysięgi. Nie wspomnę już o uwielbieniu, jakim darzę twoje opiekuńcze i współ-

czujące serce. Cóż, kobieta o takich cechach warta jest tego, żeby na nią czekać.

Z trudem przełknawszy ślinę, Karen potrząsnęła jego ręką.

- Dziękuję ci.

- To ja jestem ci wdzięczny. Ale porozmawiajmy teraz o dzisiejszym wieczorze!

Zboczyli na lżejsze, mniej osobiste tematy. Kiedy zjedli lody, Scott odwiózł Karen do domu. Odprowadziwszy ją pod same drzwi, po prostu uścisnął jej ramię, chociaż bez wątpienia pragnął więcej - Karen wyczytała to w jego błyszczących ogniem oczach. Uszanował jednak jej życzenie, okazując cierpliwość, której - jak sam twierdził - prawie nie miał.

Kiedy patrzyła za nim, jak odjeżdża, wdzięczność zalała jej serce za niespodziewane prezenty, które przyniosło jej mające się wkrótce zakończyć lato. Odzyskała siostrę, która przez długi czas była dla niej niemal obcą osobą. Wzmocniła związek z córką. Ujęła w swoje ręce własną karierę zawodową. Poprawiły się jej relacje z matką i otrzymała drugą szansę na miłość.

Nagle przypomniała sobie słowa Val o cudach, wypowiedziane tego poranka. W przeciwieństwie do siostry, zawsze w nie wierzyła, chociaż nigdy nie doświadczyła żadnego.

Uświadomiła sobie, że w ciągu minionych kilku miesięcy jednak była świadkiem kilku cudów. Dostrzegła je w zachowaniu Val, Scotta i swoim własnym. Była dziwnie przekonana, że w najbliższych latach słowo „cud” będzie jej się kojarzyło z tym wspaniałym latem, kiedy tak wiele ludzkich losów zmieniło się na lepsze.

Val stała na skarpie nad rzeką, a delikatny wiatr owiewał jej twarz. Wspaniały widok na drugi brzeg był takim, jaki pamiętała z wielu swoich odwiedzin, które składała w tym miejscu, zanim jeszcze wyjechała do college'u.

W oddali szeroka rzeka zwężała się w wąski, srebrny strumyk. W coraz krótsze i chłodniejsze letnie dni szachownica pól przybierała różne odcienie złota i zieleni. W samo południe słońce świeciło ciepłym blaskiem, jasno oświetlając piękny krajobraz, jednak już się nie naprzykrzało nieznośnie gorącymi promieniami.

Podobnie jak dawniej, rozciągająca się przed Val panorama dodawała jej otuchy. To miejsce, oferujące jasny widok aż po daleki horyzont, zawsze wydawało się jej przyczółkiem nadziei. Dowodem na istnienie lepszego jutra. I na istnienie Boga.

Było więc idealne, aby właśnie tutaj wykonała ostatni krok w podróży ku przeszłości i pierwszy w stronę przyszłości.

Popatrzyła na Karen, która stała po lewej stronie obok niej, trzymając w ręce żółtą różę. Jej oczy emanowały miłością, wsparciem i zachętą.

Po jej prawej stronie stał David z małym rydlem w ręce. Biła od niego taka radość i dobroć, że Val z trudem powstrzymywała łzy.

*Dziękuję Ci, Boże, za to, że posłałeś tego cudownego mężczyznę do mojego życia. Dziękuję Ci również za wszelkie błogosławieństwa, jakimi mnie obdarzyłeś tego lata. Proszę, bądź ze mną również w chwili, w której zamykam poprzedni rozdział mojego życia.*

Val trzymała w dłoniach prostą tekturową tuleję. Potrzebowała niemal osiemnastu lat, żeby ją wyciągnąć z mrocznego miejsca, w którym była ukryta. By ją wydobyć na światło dzienne. By przeanalizować swoje błędy i znaleźć odkupienie, którego przez tak długi czas poszukiwała.

Teraz mogła pogrzebać tę tubę na zawsze.

Na skinienie Val, David uklęknął i zaczął kopać w miękkiej ziemi. Wkrótce wykopał niewielki rów -szeroki na cztery cale, długi na dwanaście i głęboki na sześć. Kiedy skończył, wyprostował się i odszedł na bok.

Val jeszcze przez długą chwilę stała w miejscu, kołysząc w dłoniach tuleję. Wreszcie zamknęła oczy i w całkowitym milczeniu zaczęła przemawiać jedynie sercem.

*Moje drogie dziecko. Proszę cię, wybacz mi. Musisz wiedzieć, że przez osiemnaście lat nie było w moim życiu nawet jednego dnia, żebym o tobie nie myślała i żebym nie żałowała życia, które ci ukradłam. W tej chwili, w tym pięknym miejscu na wysokim wzgórzu, składam przedmiot, który stanowi jedyny materialny związek z tobą, jakim dysponuję. Będą go obmywać delikatne deszcze, będzie go oświetlać złociste słońce. A ja nigdy o tobie nie zapomnę. Na zawsze pozostaniesz w moim sercu. I obiecuję ci, że kiedy spotkamy się w niebie, przytulę cię do siebie, ogromnie żałując, że nie dałam sobie szansy, aby kiedykolwiek uczynić to samo na tej ziemi. Będę szeptała do ciebie słowa o mojej matczynej miłości, które wyryte są w moim sercu i przeznaczone są wyłącznie dla ciebie. A tymczasem polecam cię opiece boskiej. Żegnaj, moje maleństwo.*

Kiedy klękała obok świeżo wykopanego rowu, po jej policzku pociekła pojedyncza łza. Ułożyła w dziurze tekturową tubę i powoli ją zasypała, zagarniając ziemię

rękami. Następnie stopami ubiła ziemię i ukształtowała z niej niewielki wzgórek, a Karen podała jej różę. Val wbiła jej łodygę w symboliczny grób.

Później klęczała przy nim przez minutę, z opuszczoną głową. Kiedy wreszcie zdecydowała się powstać, poczuła, że z obu stron unoszą ją pomocne ręce. Następnie i siostra, i David, mocno ją uściskali.

Nie padło przy tym ani jedno słowo, bo słowa nie były tutaj potrzebne. Obecność dwóch nadzwyczajnych osób wystarczała za wszystko, co można by w takiej chwili powiedzieć.

Kiedy wracali do samochodu, David i Karen trzymali ją za ręce. Jednak Val czuła przy sobie wsparcie jeszcze jednej postaci, niewidocznej dla ludzkich oczu. Ta postać otaczała ją... pocieszała, udzielała przebaczenia i dawała nadzieję.

Oddalając się od przeszłości, Val odczuwała spokojną pewność, że ta niewidzialna postać pozostanie przy niej przez całą przyszłość.

— Masz za sobą niezwykły tydzień.

Val otworzyła oczy. Leżąc na plecach na trawie, widziała nad sobą jedynie błękitne niebo... do chwili, w której w jej polu widzenia pojawiła się twarz Davida. Pochylał się nad nią i łagodnym, czułym ruchem zsunął z jej czoła niesforny kosmyk włosów.

- Tak, rzeczywiście.

Poszukała jego dłoni i usiadła na kraciastym kocu, który zabrali ze sobą na piknik. Jego silne palce splotły się z palcami Val. Kiedy ją delikatnie uścisnął, Val cicho, z wyraźnym zadowoleniem, westchnęła.

- To z powodu wyczerpania czy ze szczęścia? - zapytał David.

- Ze wszystkiego po trochu. Odnoszę wrażenie, że mogłabym teraz przespać cały miesiąc. Kiedy tylko pomyślę, co robiłam przez ostatnie siedem dni... aż nie chce mi się w to wierzyć! Byłam na rozmowie w sprawie pracy w tutejszej szkole średniej, zrezygnowałam z pracy w Chicago — wyliczała — zlikwidowałam mieszkanie i umieściłam cały mój chicagowski dobytek w magazynie. .. Wróciłam do Waszyngtonu.

David położył się obok niej i podparł głowę na łokciach.

- Już samo słuchanie tej litanii wywołuje we mnie zmęczenie.

- Pomyśl więc, jak ja się czuję. To *ja* wykonałam całą tę pracę.

- Ale było warto, prawda?

- Tak. Absolutnie.

David obrócił się na bok i, podparty teraz na jednym łokciu, delikatnie pogłaskał policzek Val.

- Tęskniłem za tobą. Jej serce zabiło szybciej.

- Ja też za tobą tęskniłam.

David popatrzył na plac zabaw, gdzie Victoria kołysała się na huśtawce. Po chwili uniósł się i złożył na ustach Val słodki, prosty pocałunek, który natychmiast sprawił, że kobieta zapragnęła ich więcej.

On jednak cofnął usta i dopiero po chwili powiedział:

- Nie patrz na mnie w taki sposób, bo zachce mi się znowu cię pocałować.

Val posłała Davidowi kuszący uśmiech i przez chwilę bawiła się guzikiem swojej koszuli.

- Czy to obietnica?

Mężczyzna złapał ją za rękę, ścisnął jej palce i powiedział poważnym tonem:

- Przestań. Moja zdolność do kontroli nad sobą już i tak jest mocno nadwreżona.

- W takim razie będę grzeczna. Oczy Davida pociemniały.

- Och, nie wątpię w to.

Val odniosła wrażenie, że przez jej ciało przebiegł impuls elektryczny. Drgnęła. Dostyc tego.

Uwolniła rękę i ruchem głowy wskazała Victorię.

- Mamy przyzwoitkę, pamiętaj.

-Tak... Dzięki, że mi przypomniałaś. - David usiadł i podparł tułów na rękach. Nogi skrzyżował w kostkach. - Powiedz mi, jak zamierzasz się urządzić? Będzie ci dobrze z Margaret?

Val usiadła obok niego w identycznej pozycji.

- Na razie nie narzekam. Mama kilkakrotnie wspomniała, że chce, żebym zamieszkała u niej na stałe, ja jednak od początku daję jej do zrozumienia, że taki układ może być tylko tymczasowy. Kiedy tylko znajdę sobie mieszkanie, wyprowadzę się od niej. Przyzwyczyłam się żyć samodzielnie.

- Mam nadzieję, że to przyzwyczajenie nie jest zanadto głębokie, ponieważ chodzą mi po głowie zupełnie inne plany.

Serce Val na moment jakby stanęło, a potem gwałtownie przyśpieszyło.

- Nie znamy się wystarczająco długo, żeby o tym rozmawiać.

- Nie zawsze potrzeba długiego czasu, aby mocno się ze sobą związać.



Młoda kobieta zerwała koniczynę i podsunęła ją sobie pod nos, żeby poczuć jej świeży, słodki zapach.

- Być może. Jednak w przeszłości, działając pochopnie, popełniałam już różne błędy. Tym razem nie uczynię niczego, jeśli nie będę absolutnie pewna swojego postanowienia.

- Rozumiem i nie zamierzam cię ponaglać. Musisz sobie poukładać nowe życie, a oboje mamy przed sobą wiele spraw, hmm... logistycznych do ułożenia. Chcę być jednak całkowicie szczery w kwestii moich uczuć i intencji. - David ujął dłonie Val w swoje ręce, patrząc jej w oczy. - A fakty są takie, że się w tobie zakochałem. Nie spodziewałem się tego, a na początku nawet nie chciałem. Bardzo mi przykro, ale to się stało. Dam ci tyle czasu, ile zechcesz. Ale pewnego dnia, kiedy już będziesz gotowa, będę chciał, żebyś została moją żoną.

Kiedy Val spojrzała na Davida, jej serce biło jak oszalałe.

- Czy to są... czy to są oświadczenia?

- Nie. - Odpowiedź Davida była szybka i stanowcza. - W tej chwili nie jesteś jeszcze na nie gotowa, a ja nie zamierzam wywierać na ciebie żadnego nacisku. Chcę tylko, żebyś wiedziała, do czego dążę. Pewnego dnia, mam nadzieję, że w niezbyt odległej przyszłości, na pewno ci się oświadczę.

- Tato! Val! Zobaczcie, co znalazłam!

Minęło kilka sekund, zanim do Val dotarło zawołanie Victorii, i kilka następnych, zanim zrozumiała słowa Davida.

Mężczyzna, który pomógł jej odmienić całe życie, chciał, żeby stała się częścią jego życia - na zawsze. Czy mogło ją spotkać coś lepszego?

- Zaraz do ciebie przyjdziemy! - zawołał David.

Wstał i wyciągnął rękę. Val przyjęła ją bez wahania i jednym szybkim ruchem mężczyzna postawił ją na nogach.

- Czy to jest kokon, tatusiu? - Victoria wskazała na mały obiekt, przylegający do gałęzi drzewa.

- Tak, to jest kokon.

Mała dziewczynka popatrzyła na Val.

- Tato mówił, że z kokonów powstają motylki. Wiedziałaś o tym?

- Tak, wiedziałam. - Val przykucnęła przy Victorii.

- Mogę tutaj zostać i patrzeć, jak powstaje motyl?

- Kochanie, to by trwało bardzo długo. - David popatrzył na kokon.

Victoria również uważnie spojrzała na swoje znalezisko.

- Jak długo?

- Każda ćma i każdy motylek jest inny. Niektóre wyłaniają się z kokonów w ciągu kilku tygodni. Niektóre tkwią w nich przez całą zimę i pojawiają się dopiero wiosną.

- Chcesz powiedzieć, że ten motyl będzie w kokonie jeszcze na Boże Narodzenie?

- Być może. Gdyby motylek wyskoczył z kokonu zbyt wcześnie, jego skrzydełka byłyby słabe i próbując latać, spadłby na ziemię i zrobił sobie krzywdę. A nie chciałabyś tego, prawda?

-Nie.

- Obejrzymy ten kokon, kiedy będziemy tutaj następnym razem, dobrze?

- Dobrze. - Dziewczynka popatrzyła z nadzieją na Val. - Przyjdiesz tutaj z nami?

- Tak, kochanie. Przyjdę. - Val poprawiła Victorii niesforny kosmyk włosów na czole, po czym skierowała

spojrzenie na Davida. - Mam przeczucie, że ten motylek będzie gotowy do lotu na długo przed Bożym Narodzeniem.

- To będzie jak wczesny prezent bożonarodzeniowy, prawda, tatusiu?

David uściskał córkę i uśmiechnął się - ale jego uśmiech był przeznaczony dla Val.

- Tak, najdroższa. I to będzie najlepszy z możliwych prezentów na Boże Narodzenie.

## Epilog

Cztery miesiące później

- Uroczą parą, prawda?

Usłyszawszy słowa Scotta, Karen odwróciła się, żeby popatrzeć, jak Val i David, trzymając się za ręce, idą w kierunku tortu ślubnego, ustawionego na samym środku niewielkiej sali bankietowej. Val promieniała szczęściem, a David dosłownie nie odrywał wzroku od dopiero co poślubionej żony.

- Tak, rzeczywiście.

- Podoba mi się symbolika ślubu zawieranego w wieczór sylwestrowy.

- Mnie też, szczególnie w odniesieniu do Val. Pod wieloma względami zaczyna się dla niej nowe życie.

- To wspaniale, że tak dobrze wkomponowała się w naszą szkołę średnią.

- Oczywiście. Uczniowie ją kochają, i przełożeni zapewne też. Nie byłam pewna, czy Val i ta druga nauczycielka będą dobrze ze sobą współpracować na podzielonym etacie, przecież jej poprzedniczka zwolniła się właśnie z powodu nieporozumień na tym tle... Ale widać, że Val ma z nią doskonałe relacje. David sam układa sobie harmonogram pracy, dzięki czemu na zmianę opiekują się Victorią i prawie nie potrzebują pomocy.

- Przede wszystkim rodzina. Podziwiam ich priorytety.

- Ja również.

Nowożeńcy kroili tort, wokoło błyskały flesze aparatu-

tów. Kiedy towarzyszący tym czynnościom aplauz ucichł, Karen zapytała Scotta:

- Zjesz kawałek tortu? Mężczyzna chwycił ją za rękę.

- Prawdę mówiąc, wolałbym spędzić z tobą kilka chwil na osobności.

Ścisnęła jego dłoń.

- To się da załatwić.

Ponieważ Michael odszedł na zawsze, także jej życie rozpoczęło się na nowo. Miała nadzieję, że w tym życiu poważną rolę zacznie odgrywać mężczyzna stojący teraz u jej boku. I to jak najszybciej.

- Mówiłam ci już, jak sobie ceniłam te wszystkie chińskie dania na wynos, które mi przynosiłeś, załatwianie moich spraw i podwożenie mnie na wieczorną gimnastykę w dni, kiedy pracowałam do późna albo zajmowałam się dokumentami Michaela?

- Kilka razy coś na ten temat wspominałaś, owszem.

- I wiesz co? Jeszcze bardziej jestem ci wdzięczna za te wszystkie chwile, kiedy trzymałeś mnie za rękę, dodając mi odwagi i sił po trudnych dniach. Za wysłuchiwanie moich pretensji do Kristen i znoszenie zmagania z samą sobą, kiedy nie wiedziałam, czy się złościć, czy wybaczać. Ale najbardziej dziękuję ci za to, że nie naciskałeś, żeby zacieśnić nasz związek, kiedy Michael jeszcze żył. Cóż, bez ciebie nie przebrnęłabym przez to wszystko.

- Przebrnęłabyś, na pewno. Jesteś silną kobietą.

- Nie jestem tego pewna.

- Ale ja jestem. - Scott pochylił się ku Karen i małe iskielki w jego oczach, które tliły się przez te wszystkie miesiące, nagle przemieniły się w fajerwerki. - A jeśli chodzi o podziękowania, znam tylko jeden...

- Tutaj jesteś, Karen! - Nagle znalazła się przy nich Margaret i przerwała ich rozmowę, jak zwykle władczy tonem. - Zanim potniemy cały tort, Val chce zrobić rodzinną fotografię. Dołącz do nas. Ludzie czekają na deser, a przecież nie mamy zamiaru nadużywać ich cierpliwości.

Nie czekając na odpowiedź, pomaszerowała do panny młodej i pana młodego. Karen westchnęła z irytacją.

- Nikt lepiej od mamy nie potrafi przeszkadzać ludziom w najmniej odpowiedniej chwili.

Usłyszała cichy śmiech Scotta i poczuła jego ciepły oddech na skórze.

- Idź. Obowiązek wzywa. Zaczekam na ciebie. Potrząsnęła głową.

- Dość już się naczekałeś przez ostatnie miesiące. Wrócę do ciebie tak szybko, jak tylko się da.

Patrząc przez cały czas na Scotta, Karen dołączyła do rodziny. Uśmiechała się, kiedy fotograf pstrykał zdjęcie za zdjęciem. I kiedy tylko zyskała szansę na ucieczkę, podbiegła do mężczyzny, którego kochała.

Wyciągnął do niej rękę.

- Cóż, to rzeczywiście nie trwało długo.

- Bo wszyscy się śpieszyliśmy. Tak samo, jak ja do ciebie, Kristen chciała szybko powrócić do Stevena. Teraz przez kilka minut nikt chyba nie będzie potrzebował weselnej starościny.

- To może poszukamy dla siebie jakiegoś zacisznego miejsca?

- Doskonały pomysł.

Scott poprowadził ją przez jadalnię, a potem przez hol do prywatnej części lokalu. W małym saloniku

wesoło trzaskał ogień w kominku, a tuż przed nim stała mała, pusta kanapa.

- Miejsce jakby stworzone dla nas - powiedział Scott i zdecydowanym krokiem podszedł do kanapy.

Kiedy oboje usiedli, odwrócił się ku Karen, kładąc ramię na oparciu kanapy.

- Tutaj przynajmniej nie trzeba walczyć o miejsce, jak u Pana Franka - zauważył.

- Wszystko ma jednak swój urok - odparła Karen. - Pamiętam pewną wizytę w lodziarni, kiedy musieliśmy się do siebie przyciskać na ławeczce poplamionej żywicą.

- Ja też to pamiętam. Od tego czasu żywica ma w moim sercu szczególne miejsce.

Karen roześmiała się i przysiadła bliżej Scotta.

- A jednak znacznie przyjemniej jest przytulać się do siebie przed gorącym kominkiem w chłodną zimową noc. - Popatrzyła na zegarek. - Prawie północ. Zdaje się, że przyjemnie powitamy nowy rok.

- Skoro już mowa o nowym roku i w ogóle o nowościach, chcę ci coś zakomunikować. - Scott nie zmienił tonu głosu ani wyrazu twarzy, jednak przez ciało Karen natychmiast przebiegł dreszczyk ekscytacji. - Mam nową pracę.

Karen zmarszczyła czoło i przekrzywiła głowę, żeby na niego popatrzeć.

- Ale chyba masz już wystarczająco zajęć? Jesteś dyrygentem chóru kościelnego, grasz na saksofonie w zespole jazzowym, udzielasz prywatnych lekcji kilku nastolatkom... Czego jeszcze chcesz się podjąć?

- A co byś powiedziała o Orkiestrze Symfonicznej z St. Louis?

Posłała mu zdziwione spojrzenie.

- Nie rozumiem.

- Jako muzyk jestem przede wszystkim dyplomowanym klawirzystą. Jesienią, kiedy ty byłaś bardzo zajęta, przeprosiłem się z klawirystką, sporo poćwiczyłem i w listopadzie stanąłem do konkursu. Rozstrzygnięto go dwa tygodnie temu i, wyobraź sobie, zaproponowano mi etat klawirzysty!

Karen szeroko otworzyła oczy.

- Ale... to jest przecież orkiestra światowej sławy! Scott popatrzył na nią z udawanym oburzeniem.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że nie jestem wystarczająco dobrym muzykiem?

Lekko trąciła go łokciem.

- Nic z tych rzeczy! Podziwiam twoją grę na saksofonie i jestem pewna, że równie dobrze dajesz sobie radę z klawirystką... Ale dlaczego wcześniej mi o tym nie powiedziałaś?

- Miałaś kilka ważnych spraw na głowie.

- Ale nic, co mogłoby być ważniejsze od tej informacji, Scott! To jest... to jest niewiarygodne... nadzwyczajne... cudowne... Nie potrafię znaleźć słów, żeby ci powiedzieć, jakim wielkim szczęściem i jaką radością jest dla mnie twój sukces!

Scott uśmiechnął się do niej.

- Istnieją inne sposoby na wyrażanie radości. — Rozejrzał się, chcąc mieć pewność, że są sami w saloniku, i wziął ją w ramiona. - Czekałem na ten moment przez długi czas. Przygotuj się więc.

- Jestem więcej niż gotowa. - Poddała się mu, jeszcze zanim dokończyła zdanie.

W trakcie ostatnich tygodni Michaela Scott wyćwiczył w sobie cierpliwość, której — jak twierdził — nie posiadał. Nigdy nie nakłaniał jej na spotkania, gdy nie



miała na nie czasu, a jedyną nagrodą za jego cierpliwość były pośpieszne pocałunki, które stanowiły tylko drobną zapowiedź namiętności, jaką oboje w sobie tłumili.

Lecz teraz nadszedł wreszcie czas.

Długi pocałunek Scotta był właśnie takim, o jakim marzyła.

Był czuły i płomienny. Spontaniczny. Przepełniony obietnicą.

Kiedy w końcu - bez żadnego pośpiechu - Scott się cofnął, Karen zdołała wydusić z siebie tylko:

- O kurczę...

- Powiedziałbym to samo. - Głos męczyzny lekko drżał. Drżała również jego ręka, którą delikatnie głaskał twarz Karen. - Muszę ci powiedzieć coś jeszcze. W kwietniu moja orkiestra wyjeżdża na trzytygodniowe tournée po Europie. Pomyślałem, że mogłabyś dołączyć do mnie w ostatnim mieście, w którym będziemy grali, w Paryżu. Nie potrafię sobie wyobrazić lepszego miejsca na spóźniony miesiąc miodowy, a ty?

Karen niemal zabrakło powietrza w płucach.

- Czy to są... oświadczyzny?

- A jak myślisz? - Jego czuły, serdeczny uśmiech rozwiewał wszelkie wątpliwości.

- Chcesz, żebyśmy wzięli ślub w kwietniu? - Karen napawała się słowami, które wypowiadała.

- Nie. Wspomniałem przecież o spóźnionym miesiącu miodowym, prawda? Jeśli o mnie chodzi, im szybciej weźmiemy ślub, tym lepiej. - Scott ujął ją za rękę i poczuła, jak przebiega pomiędzy nimi coś, co przypomina wyładowanie elektryczne. - Po twoim poprzednim doświadczeniu małżeńskim bez wątpienia tym razem zasługujesz na księcia z bajki. Niestety, moja książęca korona gdzieś się zapodziała. I, szczerze mówiąc, nie

jestem najlepszą partią w okolicy. Popelniam różne błędy, nie zawsze bywam cierpliwy i czasami zanadto daję się ponieść nerwom. Mam jednak także dobre cechy: zawsze dotrzymuję obietnic, wierzę, że miłość jest darem, który człowiek powinien cenić i pielęgnować przez wszystkie dni swojego życia i że zawsze należy być szczerym i wiernym. No i jestem przekonany, że Bóg zetknął nas ze sobą nie bez powodu. Myślę, że znam ten powód i mam nadzieję, że ty także, ponieważ kocham cię z całego serca. I zawsze będę cię kochać.

Karen drżącą ręką chciała dotknąć twarzy Scotta; chciała się upewnić, że ukochany mężczyzna znajduje się przy niej, a słowa, które wypowiada, nie są wytworem jej fantazji. Jednak Scott chwycił jej dłoń i przycisnął ją do swoich ust. Dopiero po chwili umieścił ją na swoim policzku. Kłujący, wieczorny zarost mężczyzny pod palcami Karen ostatecznie przekonał ją, że nie jest sama.

Rozległo się bicie starego zegara, ustawionego pod ścianą. Jego dźwięczny ton ogłaszał nadejście nowego roku i przypominał Karen, jak szybko przemijają kolejne etapy ludzkiego życia.

Pierwszy dzień nowego roku oznaczał dla Karen początek kolejnego etapu. Znacznie lepszego niż poprzedni.

Ona i Scott mieli już za sobą etap smutku i płaczu.

Nadchodził dla nich czas śmiechu - i miłości.

Pochyliła się ku niemu tak blisko, że musiał teraz słyszeć z ust Karen nawet najcichszy szept.

- Ja... czuję to samo. Też cię kocham, z całego serca! Może jestem sentymentalna, ale zawsze uważałam, że najlepszym dniem na ślub jest dzień świętego Walentego. .. Do tego czasu nawet Kristen zaakceptuje fakt, że jej matka znowu wychodzi za mąż, chociaż i tak uważa

cię za fantastycznego mężczyznę, nie powinna więc mieć żadnych obiekcji. Czy wystarczy ci cierpliwości?

Płomień w jego oczach stał się intensywniejszy od ognia na kominku.

- Myślę, że wytrzymam jeszcze sześć tygodni czekania. Tym bardziej, że już wiem, że mam przed sobą całe życie z tobą. - Poglaskał Karen po policzku, później zaczął się bawić jej włosami. - Myślę, że teraz powinniśmy we właściwy sposób przypieczętować nasze narze-czeństwo.

Kątem oka Karen dostrzegła jakiś ruch. To Val przemierzała szybkim krokiem hol, ale zobaczywszy na kanapie w saloniku zakochaną parę, zatrzymała się. Na krótką chwilę spojrzenia sióstr połączyły się. Val uśmiechnęła się, a w jej oczach Karen dostrzegła radość, aprobatę i miłość. Uniósłszy w górę kciuk, panna młoda cofnęła się i szybko zniknęła w cieniu.

Usta Scotta delikatnie przywarły do ust Karen. Zanim zatraciła się w jego ramionach, w ułamku sekundy, jeszcze zanim zakreśliło się jej w głowie, Karen podziękowała Bogu za łaskę, którą obdarzył jej życie.

I za lato, które było świadkiem spotkania czworga ludzi i rozkwitu wspaniałej miłości.